

**TIZIANO TERZANI**

# zakazane wrota

terra incognita

wydawnictwo  
**wab**



Tiziano Terzani

## **ZAKAZANE WROTA**

przełożył Krzysztof Żaboklicki



Tytuł oryginału: *La porta proibita*

Copyright © 1984 by Tiziano Terzani

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2011

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2011

Wydanie I

Warszawa 2012

## Dedykacja

przedmowa do wydania z 1998 roku

przedmowa

1. „wolno latać, ale tylko w klatce”

2. śmierć o tysiącu ostrzy

3. „niebo wysoko, a cesarz daleko”

4. królestwo myszy

5. głosy z niebios

6. „jeśli zadowoleni są chłopci, w cesarstwie panuje spokój”

7. „budować na sto lat”

8. „uczmy ich nie buntować się”

9. „jak psy z pogruchotanymi kośćmi”

10. „cztery razy pchnąłem go nożem i byłem szczęśliwy”

11. „doskonałe dla jednostki, doskonałe dla ojczyzny”

12. „najlepsze dziecko to dziecko nieżywe”

13. dyscyplina na „polu wonnej trawy”

14. „witajcie, długowłosi”

15. „Allah dał nam jedno tylko serce”

16. „zabij kurczaka, żeby przestraszyć mały”

17. „Chińczycy nie są przyzwyczajeni żyć bez cesarza”

18. „teraz zaczynamy twoją reedukację”

Przypisy

Folkowi i Saskii, którym wpoilem swoją miłość do Chin

# przedmowa do wydania z 1998 roku

Odgrywanie roli Kasandry nie należy do przyjemności i nie jest pocieszający fakt, że z biegiem czasu stwierdzamy, iż słusznie przewidywaliśmy to, co najgorsze.

Czternaście lat minęło od chwili, kiedy ukazała się niniejsza książka, owoc liczących podróży i długiego pobytu zagranicznego dziennikarza w Chinach. Bez żadnej satysfakcji konstatuje dzisiaj, że zdarzyło się w tym czasie wiele z tego, czego intuicyjnie tylko wtedy się obawiałem, i że wiele wniosków, do których wtedy doszedłem jedynie w teorii, jako obserwator, znalazło potwierdzenie w rzeczywistości.

Od wiosny 1984 roku, kiedy to mnie aresztowano, poddano reedukacji, a wreszcie wydano z Chin, ten kraj uległ niezwykłym, wstrząsającym przeobrażeniom. Oparta na egalitaryzmie dyktatura maoistowska ustąpiła miejsca dyktaturze innej, opartej na kapitalistycznej logice; zamiast dawnej ideologii „służby ludowi” ogłoszono nową ideologię „chwalebego bogacenia się”. Liberalizacja życia gospodarczego nie pociągnęła za sobą liberalizacji życia politycznego; monopol władzy zachowała partia komunistyczna, nabierająca coraz wyraźniej cech organizacji nepotystycznej i mafijnej. Stłumiono wszelkie dążenia do demokratyzacji państwa. W 1989 roku represje przybrały krańcową, najdotkliwszą formę wraz z masakrą kilkuset bezbronnych młodych ludzi na placu Tiananmen.

Jednocześnie gospodarka tego kraju rozwinęła się w tempie, które wywarło wielkie wrażenie i wzbudziło entuzjazm w świecie zachodnim. Rozwinęła się jednak w sposób odtwarzający sytuację nierówności właściwą Chinom przedrewolucyjnym i prowadzący państwo na skraj ekologicznej katastrofy, której zapowiedzią były niedawne straszliwe powodzie.

To, co w Chinach wydaje się dobre nowym międzynarodowym „mędrcom” – handlowcom i doradcom globalnych towarzystw finansowych – niekoniecznie jest dobre dla tamtejszej wsi, gdzie mieszka jeszcze mimo wszystko ogromna większość ludności. Duże chińskie miasta szczycą się dzisiaj setkami nowych drapaczy chmur (wiele z nich stoi pustych i bezużytecznych, jak w Szanghaju), gazety piszą z zachwytem o nowych miliardach, lecz kraj jest zdecydowanie niestabilny, brak tam pomysłów i jasnej wizji

przyszłości. Kasandrze łatwo przewidzieć dalsze nieszczęścia.

Propozycję mojego wydawcy Maria Spagnoli ponownego opublikowania tej książki przyjąłem nie tylko dlatego, że wypełnia ona pewną lukę – brak reportaży z Chin w moim zbiorze *W Azji* – lecz także i zwłaszcza dlatego, że to wszystko, co dzieje się tam dzisiaj i wydarzy jutro, ma swoje korzenie w latach, kiedy to mnie samemu i bardzo nielicznej grupce innych zagranicznych dziennikarzy dane było mieszkać wśród Chińczyków.

W tamtych latach stało się po raz pierwszy jasne, dokąd zmierzał Mao i dlaczego spotkało go niepowodzenie. W tamtych latach nastąpił wielki zwrot; zrozumieliśmy jego przyczyny, dojrzeliśmy związane z nim wielkie korzyści, ale także i jego pierwsze niepokojące konsekwencje.

Przyjechałem do Pekinu i uderzył mnie od razu fakt, że to niezwykle miasto, okaleczone już przedtem wskutek urbanistycznych zapędów komunistów, niszczone ponownie z powodu pozbawionych szacunku dla przeszłości wymogów pewnej formy modernizacji, którą zaczęto importować z Zachodu. Pisałem o tym z rozpaczą, w nadziei, że ktoś zapobiegnie zbrodni. Dzisiaj mogę jedynie stwierdzić, że wobec powszechnej obojętności doprowadzono do końca dzieło zniszczenia Pekinu, jednego z cudów świata.

Pisałem o chińskiej kolonizacji Tybetu i o konieczności ratowania duszy tej starej, szczególnej kultury. Dzisiaj Tybetańczycy w swojej stolicy, Lhasie, stanowią tylko mniejszość narodową i niebawem staną się w ogóle wymierającą grupą etniczną.

Pisałem, że jednym z wyników „reprivatyzacji” rolnictwa było osłabienie ducha wspólnoty, a wraz z nim... tam, których konserwacja od stuleci zniewalała Chińczyków, zapewniając im jednak przeżycie. Dzisiaj, po zlikwidowaniu ludowych komun, zwróceniu ziemi chłopom, zastąpieniu idei opartej na zaimku „nasz” inną – o wiele bardziej naturalną, ale i bardziej szkodliwą – opartą na zaimku „mój”, zaczynają kruszyć się tamy. Powodzie obejmujące rozległe obszary i zagrażające wielkim miastom z milionami mieszkańców (jak Wuhan) to tylko wierzchołek straszliwej góry lodowej – niedbalstwa, z jakim zarządza się teraz tym wszystkim, co dawniej było wspólne, nie prywatne.

Opisywałem w tamtych latach kraj zawieszony między starym a nowym, coraz

bardziej niepewny swoich korzeni kulturalnych, podobny do olbrzymiej, niesionej prądem tratwy, obciążonej balastem w postaci trupa – trupa Mao. Jeszcze dzisiaj jest tam tak, a nawet gorzej: niepoddany nigdy prawdziwemu sądowi historii, Mao ciąży nadal nad duszą Chin w swoim mauzoleum, które otaczają obecnie coraz ciasniej sklepiki z pamiątkami.

Przeszłość jest nieodzownym przewodnikiem tych, którzy pragną poznać teraźniejszość lub wyobrazić sobie przyszłość. Podczas wszystkich moich podróży wożę ze sobą zawsze książki kogoś, kto przebył tę drogę przede mną. Dostarczają mi one towarzystwa, ale nie tylko: służą mi do porównań, są miarą tego, co oglądam. Podobnie i niniejsza książka sprzed czternastu lat może się okazać użyteczna ludziom podróżującym po dzisiejszych Chinach w rzeczywistości lub tylko w wyobraźni.

Ja sam wracałem tam kilkakrotnie, aby porównać i zaktualizować moje wrażenia sprzed lat. W 1989 roku pojechałem po kryjomu, udając turystę, aby nie przeoczyć masowych wystąpień na rzecz demokratyzacji i tego, co nastąpiło po rzezi. Kolejny raz byłem w Chinach w 1993 roku – roku, w którym nie latałem samolotem z obawy przed katastrofą lotniczą, mającą spowodować moją śmierć zgodnie z przepowiednią chińskiego wróżbity. Przejechałem wtedy pociągiem kraj z południa na północ, zatrzymując się w miastach rzadziej odwiedzanych przez turystów. Zobaczyłem go ponownie latem 1997 roku, kiedy to spędziłem dwa miesiące w Hongkongu w okresie przekazywania angielskiej kolonii we władanie Pekinowi.

Za każdym razem uderzał mnie fakt, że dawnych sprzeczności Chin – klasycznych sprzeczności między miastem a wsią, między obszarami nadbrzeżnymi i wnętrzem kraju – nowa polityka nie rozwiązała, a wręcz przeciwnie, zaostrzyła je. Za każdym razem uderzał mnie fakt, że kiedy, ogólnie rzecz biorąc, kraj rozwija się i bogaci, ogromna część ludności biednieje i traci pewność posiadania owego niezbędnego dla przeżycia minimum, które miała dawniej. Restrukturyzacja gospodarki wywołała na przykład niebezpieczne krążenie olbrzymiej masy wędrownych robotników, szukających dorywczego zatrudnienia. To sto dwadzieścia milionów ludzi, którzy przy korzystnej sytuacji ekonomicznej zasilają finanse pozostawionych na wsi rodzin, lecz którzy – gdyby gospodarcza przebudowa zawiodła – mogliby pod wpływem rozpaczyny stać się iskrą wzniecającą pożar aglomeracji miejskich, gdzie w danej chwili biwakują.



Wraz z podyktowanym przez Deng Xiaopinga zwrotem Chin, naśladowując wszystkie inne kraje azjatyckie, wkroczyły na wskazaną przez Zachód drogę rozwoju. Podobnie jak wszystkie owe państwa, Chiny przyjęły to rozwiązanie jako jedyną możliwą formę nowoczesności i uznały, że nie ma innego politycznego wyboru, jak wejść w skład globalnego świata, za którym stoją przede wszystkim Stany Zjednoczone. A przecież nowoczesność, tak jak każda inna forma rozwoju, nie może nie być owocem określonej kultury, określonego doświadczenia, własnej drogi; aby rozwinąć naprawdę kraj starodawny i różny od innych, jakim są Chiny, nie wystarczy importować z zagranicy wzorców i fabryk, nie wystarczy oddać mas własnych, nędźnie opłacanych robotników w służbę zagranicznego kapitału, zainteresowanego jedynie wytwarzaniem produktów jemu samemu potrzebnych.

Konsekwencje polityki nastawionej teraz wyłącznie na zysk i poddanej tylko prawom rynku powodują w Chinach takie samo zachwianie społecznej równowagi i taki sam społeczny zamęt, jakie wystąpiły w innych państwach południowo-wschodniej Azji. Jednak na razie wydaje się, że Chiny, chociaż obarczone już zniekształceniami strukturalnymi, które wywołały kryzys w owych krajach – rozpowszechnioną korupcją, nepotystycznym wypaczeniem kapitalizmu, niestabilną bankowością – nie ponoszą ich ostatecznych konsekwencji. Wszędzie, a zwłaszcza na Zachodzie, żywa jest nadzieja, że Chiny uratują się, ratując przez to wszystkich.

A gdyby tak się nie stało? Gdyby ten model nowoczesności nie dał oczekiwanych wyników? Gdyby zawiodła globalizacja, którą tak gorąco się zachwala jako panaceum na wszelkie zło, jako jedyne antidotum na wojny i konflikty? Reakcja w Chinach – nie zapominajmy nigdy, że to kraj olbrzymi, zamieszkały przez jedną czwartą ludzkości – mogłaby być niezwykle groźna, bo byłaby to reakcja odrzucenia. Odrzucenia wszystkiego, co importowane, co zachodnie.

Koniec „azjatyckiego cudu” poskromił tamtejsze „tygrysy”, lecz nie jest bynajmniej pewne, że byłoby tak samo z chińskim smokiem. Wręcz przeciwnie: Chiny są wielką potęgą, wyposażoną w broń atomową. Aby odzyskać wewnętrzną spójność, musiałyby wkroczyć na drogę nacjonalistycznej arogancji. Pod tym względem ów kraj to pływająca mina, której nie można się nie obawiać.

Nawet gdyby dało się uniknąć najgorszego, okropnie przykro jest patrzeć na Chiny,

które wyrzekają się stopniowo swojej odmienności i stają się coraz bardziej państwem podobnym do wszystkich innych. Zasmuca to bardzo wielu Chińczyków, a także pewnych cudzoziemców, takich jak ja, którzy nie przedstawiali sobie nigdy Chin jako ogromnego rynku, lecz widzieli w nich odmienną cywilizację. Cudzoziemców, którzy przez długie lata starali się kraj ten zrozumieć i których połączył z nim w rezultacie związek, będący także miłością.

t.t.

Orsigna, wrzesień 1998 roku

Zostałem Dengiem Tiannuo w 1968 roku.

W Chinach rewolucja kulturalna była wówczas w pełnym toku. Mao w Pekinie jak iskra rozpałał wyobraźnię młodzieży Zachodu, rozentuzjasmowanej jego antyautorytatywnym wezwaniem.

Chiny widziane z daleka wydawały się krajem najbardziej twórczym, a Mao jawił się geniuszem, przeprowadzającym największy eksperyment z zakresu inżynierii społecznej, jakiego kiedykolwiek człowiek próbował dokonać: budowę sprawiedliwszego, bardziej ludzkiego społeczeństwa.

Jak świat światem, młode pokolenia zawsze ulegały urokowi nowych ideałów, zapominając często, że trzeba brać pod uwagę następstwa, które te ideały wywołują w praktyce. Takie było i moje pokolenie; wielu oczarowało wielkie złudzenie, jakie stanowił Mao i jego Chiny. Nasz świat był stary i niedoskonały, nadzieje przeszłości zawiodły, a teraz – nowa sposobność. Chiny nie będą powtórzeniem Związku Sowieckiego, nie będą powtórzeniem Kuby. Chiny to coś innego. I tak Chiny stały się mitem – właśnie „mitem czegoś innego”.

Zapragnąłem zobaczyć go na własne oczy i przygotowałem się do tego. Studiowałem chiński język, historię i politykę Chin oraz nadałem sobie chińskie imię – Deng Tiannuo – aby wydać się mniej cudzoziemcem, gdy wreszcie zacznę żyć wśród Chińczyków.

Musiałem czekać długie lata, bo w tych czasach wpuszczano do „raju” tylko nielicznych, zaufanych wybrańców. Musiałem czekać, aż umrze Mao i Deng Xiaoping otworzy bramy Chin; wraz z rodziną wyjechałem wtedy do Pekinu.

Przybyłem tam w styczniu 1980 roku i pojąłem od razu, że rzeczywistość jest mniej piękna od marzeń. Przyjechałem szukać nowej formy socjalizmu, którą w Chinach jakoby zbudowano, a znalazłem jedynie szczątki nieudanego eksperymentu. Przyjechałem szukać nowej kultury, jakoby zrodzonej z rewolucji, a znalazłem tylko resztki starej, wspaniałej kultury, którą zdążono metodycznie zniszczyć.

Wśród otwartych przez Deng Xiaopinga bram były także bramy obozów koncentracyjnych, obozów „reedukacji przez pracę”, dokąd trafiło co najmniej

dwadzieścia milionów niezgadających się z reżimem inteligentów. Zacząłem spotykać ludzi, którzy stali się ofiarami szaleństwa Mao, i zrozumiałem szybko, że sen Denga Tiannuo był koszmarem dla Chin.

Czytanie w zaciszu nowojorskiego Uniwersytetu Columbia sloganów Mao, takich jak: „Nie ucinajcie ludziom głów, bo to nie kapusta, która odrośnie” dostarczało natchnienia. Zupełnie czym innym okazywało się odkrycie na miejscu, że całą masę głów ucięto, że całą masę osób torturowano i że po zakończeniu tak zwanej „rewolucji kulturalnej” Chiny zamieniły się w pustynię, wypełnioną zastraszonymi, zdezorientowanymi ludźmi.

W przeciwieństwie do Chin Mao, Chiny Deng Xiaopinga można było zobaczyć z bliska. Ludzie rozmawiali prawie swobodnie i przez pewien czas nawet ściany mówiły o tym, co zdarzyło się naprawdę. „Ściana demokracji” stała się jednym z najlepszych źródeł informacji.

Była to chwila szczególna, wyjątkowa okazja, której nie wolno było zaprzepaścić. Podróżowałem zatem, jeździłem wszędzie, dokąd tylko się dało, od zakątka Chin wysuniętego najbardziej na zachód, w prowincji Sinkiang, do ich leżącego najdalej na wschód krańca w prowincji Szantung, od Mandżurii na północy po tropikalną wyspę Hajnan na południu. Nie zawsze było to łatwe, bowiem postawa komunistycznych urzędników nie różniła się w gruncie rzeczy wiele od postawy owego dziewiętnastowiecznego mandaryna, który, spotkawszy po raz pierwszy mówiącego po chińsku cudzoziemca, zwrócił się do swojej świty z pytaniem: „Co to za zdrajca nauczył go naszego języka?”.

Próbowałem zamieszkać w zwykłym chińskim domu, w chińskiej dzielnicy, lecz okazało się to absolutnie niemożliwe. Cudzoziemcy mogą mieszkać tylko w granicach tak zwanej „dzielnicy dyplomatycznej”, której bramy są dzień i noc strzeżone przez uzbrojonych policjantów; funkcjonariusze ci rejestrują wszystkich wchodzących i wychodzących.

Starałem się poznać Chińczyków, nawiązywać z nimi stosunki, lecz to także okazało się skomplikowane, ponieważ wszelkie kontakty „nieoficjalne” między cudzoziemcami a obywatelami Chińskiej Republiki Ludowej są „nielegalne”, chociaż nikt nie zna stanowiącego o tym prawa.

Pewien starszy, wykształcony pan, którego spotkałem kilkakrotnie wkrótce po

przyjeździe do Pekinu i u którego chciałem pobierać lekcje kaligrafii, zawiadomił mnie przez wspólnego znajomego, że mam już z nim się nie kontaktować. Wezwano go na policję i powiedziano, że może nadal mnie widywać jedynie pod warunkiem, iż za każdym razem napisze krótkie sprawozdanie z tego, co robiliśmy i o czym mówiliśmy. Uznał to za zbyt dotkliwe upokorzenie; nie zobaczyliśmy się więcej.

W dzisiejszych Chinach zagraniczny dziennikarz chcący spotkać się z jakimkolwiek urzędnikiem lub po prostu porozmawiać z pisarzem, malarzem, profesorem uniwersyteckim czy robotnikiem fabrycznym, musi przede wszystkim złożyć pisemne podanie we właściwym urzędzie. Jeśli otrzyma zgodę, spotkanie odbywa się zawsze w pokoju przyjęć, który mieści się we wszystkich biurach, fabrykach, szkołach, szpitalach i koszarach; rozmówcy siedzą tam na przybranych białymi koronkami fotelach w obecności miejscowego sekretarza partii i kogoś, kto zapisuje pytania i odpowiedzi. Ta procedura sprawiła, że szybko straciłem ochotę na kontakty w trybie oficjalnym i postanowiłem poszukać własnej drogi, która pozwoliłaby mi poznać Chiny.

Zacząłem podróżować pociągiem – nie w specjalnych przedziałach „z miękkimi siedzeniami” dla cudzoziemców, ale w przedziałach „z twardymi siedzeniami”, przeznaczonych dla Chińczyków. Jeździłem po prowincji na rowerze, spotykając w ten sposób zwykłych ludzi, słuchając prostych chłopów, opowiadających o swoich wioskach i rodzinach. Ponieważ interesowały mnie dawne gry i pekińskie rozrywki, zacząłem hodować świerszcze i gołębie oraz chadzać na małe targowiska w stolicy, gdzie spotykałem regularnie starców, którzy uczyli mnie pradawnej sztuki „koncertowania” ze zwierzętami.

Poznawałem powoli wspaniałe, ludzkie Chiny – takie, o których dużo nie śniłem, ale o wiele bardziej prawdziwe i niezwykłe od tych, które przedstawiali zewnętrznemu światu rządowi funkcjonariusze i reżimowa prasa.

Postępując w ten sposób, dokonałem też własnych drobnych odkryć. Na przykład w Tybecie, kiedy grupa, z którą musiałem podróżować, poszła zwiedzać jeszcze jedną fabrykę „Czerwony Sztandar”, udało mi się na wypożyczonym rowerze dotrzeć samotnie do miejsca, gdzie odbywał się „podniebny pogrzeb”, starodawny obrządek, według chińskich przewodników zupełnie już zarzucony: ciała zmarłych Tybetańczyków tnie się na kawałki i rzuca na żer sępom.

I tak schodziłem stopniowo z wyznaczonej mi drogi. Podobnie jak w bajce o zaklętym zamku, w którym przybysz może robić wszystko, ale nie wolno mu otworzyć pewnych wrót, bo wypuści złe duchy, ja takich wrót nie mogłem nie otworzyć. No i oczywiście złe duchy się na mnie rzuciły.

Po ponadczteroletnim pobycie w Chinach zaaresztowano mnie, przesłuchano i poddano całomiesięcznej reedukacji, jakbym był Chińczykiem. I dlatego właśnie, że potraktowano mnie jak tubylca, zyskałem niezwykłą sposobność odbycia ostatniej, wyjątkowej podróży – podróży do jądra chińskich ciemności. Znalazłem się niespodziewanie jakby w brzuchu wieloryba, zmuszony doświadczyć na sobie policyjnej przemocy, znanej mi przedtem tylko ze słyszenia, która – mimo ogromnych zmian, jakie zaszły ostatnio w kraju – napełnia nadal przerażeniem miliard Chińczyków.

Oskarżono mnie na koniec o niepopelnione przestępstwo i wydano z granic państwa.

Lu Xun, wielki pisarz Chin przedrewolucyjnych, powiedział już przed kilkadziesiąt laty: „Kiedy chcesz utopić psa, oskarż go o wściekliznę”. Moją „wścieklizną” było to, że chciałem rozbić mur dzielący mnie od chińskiej rzeczywistości. Moje przestępstwo polegało na tym, że pisałem o Chinach nieposkromionych. Moje przestępstwo polegało na tym, że szukałem drogi wyjścia z labiryntu zakazów i tabu, które miały trzymać mnie z dala od ludności.

Moje przestępstwo polegało na tym, że spróbowałem być człowiekiem wśród ludzi, usiłując pozbyć się nieznośnego wrażenia, iż wśród Chińczyków jest się zawsze cudzoziemcem.

Hongkong, 1984

# 1. „wolno latać, ale tylko w klatce”

Chiny Deng Xiaopinga

W środku środka Chin leży trup, którego nikt nie ośmiela się wynieść. Zabalsamowane zwłoki Mao, owinięte w czerwony sztandar partii, chronione szklaną trumną w olbrzymim mauzoleum pośrodku placu Niebiańskiego Spokoju, przedstawiają symboliczną więź dzisiejszych Chin z ich przeszłością, a także punkt odniesienia wobec ich przyszłości.

Deng Xiaoping, człowiek, który zajął miejsce Mao na czele narodu, „niebo przeniósł na ziemię, a ziemię na niebo” – jak mówią Chińczycy, chcąc opisać ogromne zmiany, jakie przeprowadził – zatrzymał się jednak przed tym imponującym monumentem z marmuru i granitu, w którym zamurowano na użytek potomnych ideologiczne pryncypia Chin.

W odróżnieniu od Mao, Deng Xiaoping nie pisze wierszy; jego filozofią jest po prostu zdrowy rozsądek. W odróżnieniu od Mao, nie kazał poumieszczać w całym kraju swoich pomników i portretów, ale w ciągu siedmiu lat sprawowania władzy dowiódł, że jest jednym z największych rewolucjonistów, jakich Chiny kiedykolwiek miały. Obalił bowiem to, co Mao wzniósł, chwalił to, co Mao potępiał, starał się odbudować to, co Mao zniszczył.

Mao kierował się jednak w swoim szaleństwie pewną logiką. Był przekonany, że rewolucja wyzwoliła bezmiar niezwykle silnej energii, co umożliwi Chińczykom pójście drogą, którą żaden naród jeszcze nie kroczył w poszukiwaniu sprawiedliwości i szczęścia. Dlatego odciął Chiny od wszelkich obcych wpływów i próbował zbudować społeczeństwo całkowicie nowe – społeczeństwo, w którym każdy, zgodnie ze swoimi możliwościami, miał dać z siebie jak najwięcej dla wspólnego dobra. Jego zamiar się nie powiódł, a wraz z rewolucją kulturalną Mao wplątał kraj w katastrofalną wojnę domową.

Deng Xiaoping odziedziczył Chiny w dramatycznej sytuacji: chłopstwo niezadowolone, buntownicze mniejszości narodowe wzdłuż granic, inteligencja zawiedziona, młodzież pogrążona w nieuctwie, armia słaba, państwo osamotnione na

arenie międzynarodowej. Trzeba było odwagi, aby pozbierać skorupy po tej klęsce i rozliczyć się z utopią, która zainspirowała przecież i ogarnęła miliony ludzi, zwłaszcza młodych. Deng tę odwagę miał, a jako „starzec, któremu ogromnie się spieszy” (ma dzisiaj osiemdziesiąt lat), zabrał się zaraz do roboty, aby przeprowadzić swoje reformy.

Mao, dla którego polityka była ważniejsza od ekonomii, skazał Chiny na zacofanie gospodarcze. Deng ten priorytet całkowicie odwrócił, wdrażając swoje „cztery modernizacje”.

Mao – podobnie jak inni jemu podobni rewolucjoniści, od Stalina po Pol Pota – zamierzał zrealizować prawdziwie przestępczy plan, mający na celu stworzenie „nowego człowieka”. Deng dostrzegł, ile klęsk ten ideał wywołał, i zwrócił człowieka naturze, wyzwolił jego instynkty.

Mao kładł nacisk na bodźce duchowe, zaniedbując bodźce materialne. Deng oświadczył od razu, że trzeba „podnieść poziom życia ludzi”. Odkąd objął władzę, jego polityka zmieniała w większym lub mniejszym stopniu wszystkie bez wyjątku aspekty chińskiej rzeczywistości. Chiny Deng Xiaopinga są dzisiaj fizycznie różne od Chin Mao.

Obecne Chiny są krajem jak wiele innych, gdzie ludzie rozmawiają swobodnie, młodzież nosi wielobarwne stroje, zakochani przytulają się do siebie, gdzie dzieci na pytanie: „Kim chcesz być, kiedy dorośniesz?” odpowiadają: „Lotnikiem”, „Lekarzem”, „Maszynistą”, a nie – jak do niedawna – „Tym, kim zechce zrobić mnie partia”.

Panoramę wielkich chińskich miast wzbogaciły sylwetki ogromnych bloków mieszkalnych i wysokościowców, zbudowanych z woli Denga. Wieś nie wygląda już jak jednostajna, jednobarwna przestrzeń, bo pola zostały podzielone na parcele, na których rodziny uprawiają to, co zechcą.

Na typowej ilustracji propagandowej z czasów Mao grupa uśmiechniętych chłopów siedziała w krąg, czytając artykuł wstępny w najświeższym numerze „Dziennika Ludowego”. Ilustracja doby Denga – nie mniej kłamliwa, ale nader wymowna – ukazała się niedawno w całej chińskiej prasie. Przedstawia rodzinę wieśniaków stojącą dumnie obok japońskiego samochodu, który właśnie zakupili.

Deng odwrócił do góry nogami, zanegował i przekształcił wszystko to, co dla Mao było typowe. Nie tknął tylko jednego: ideologicznych ram, w których kraj tkwi. Marksizm-leninizm i myśl Mao stanowią nadal zbiór kierujących Chinami zasad,



a partia komunistyczna pozostaje monopolistycznym ośrodkiem władzy. Dlatego śmiało z pozoru reformy Denga przybierają właściwe proporcje albo bywają wręcz anulowane za każdym razem, kiedy okazują się niebezpieczne dla zasad. Dlatego przyznane dopiero co swobody cofa się zawsze, kiedy zaczynają kwestionować niepodlegające dyskusji prawo partii do rządzenia całym krajem.

Jednym z przełomowych kroków, jakie Mao zrobił na drodze ku swojej utopii, było wprowadzenie w 1958 roku komun ludowych. Jednym z najodważniejszych i najbardziej brzemiennych w skutki posunięć Denga była właśnie likwidacja owych komun; wyzwoliła ona chłopstwo z ograniczeń kolektywizmu i uruchomiła olbrzymi zasób energii – skrepowaną przedtem przedsiębiorczość milionów osób.

Wynik był imponujący. Produkcja rolna wzrosła dwa razy szybciej niż w poprzednich dwudziestu latach, zbędna dawniej siła robocza znalazła zatrudnienie w zróżnicowanym sektorze prywatnym, prywatne bazy powstały we wszystkich częściach kraju, przywrócenie obiegu pieniądza na wsi sprawiło, że Chiny zamieniły się nagle w gigantyczny rynek dóbr konsumpcyjnych.

„Mao nas oswobodził. Deng nas wzbogacił” – brzmi jedno z najbardziej rozpowszechnionych na wsi haseł.

„Trzydzieści lat temu mieliśmy jedną krowę, teraz mamy dwupiętrowy dom” – piszą chłopcy na ścianach swoich nowo wybudowanych siedzib.

Jak długo potrwa ten tak zwany system odpowiedzialności?

Działki na prywatne gospodarowanie, przyznane rolnikom na zasadzie odnawianych co roku umów, są już maksymalnie wykorzystane. Dla utrzymania obecnego tempa wzrostu potrzebne są inwestycje, ale wieśniacy nie mają ochoty wkładać pieniędzy w ziemię, która do nich nie należy. Dlatego Deng stanął w obliczu prostego wyboru: umożliwić grę sił rynku, pozwalając chłopom zaradnym powiększać swoje działki kosztem mniej zaradnych sąsiadów, albo zlecić racjonalizację rolnictwa państwu, łącząc działki mniejsze w większe i uruchamiając przez to ów proces kolektywizacji, który wprowadzono w latach pięćdziesiątych i którego wznowienie w najwyższym stopniu niepokoi mieszkańców wsi.

To samo dotyczy prywatnego sektora gospodarki. Mao go zniósł, zaś Deng nie tylko go przywrócił, ale i dodał mu odwagi. W Chinach są teraz prywatne hotele i restauracje,

są prywatni krawcy, fryzjerzy, lekarze i handlowcy, są prywatne przedsiębiorstwa budowlane i transportowe, są prywatne szkoły. Znalazły w ten sposób zatrudnienie dziesiątki milionów osób, głównie młodych, które w innym przypadku byłyby bezrobotne lub skazane na pracę dorywczą. Wewnętrzna logika nakazuje takim przedsiębiorstwom rosnąć i rozwijać się, ale nie ma dotąd stanowiących o tym i gwarantujących ich przetrwanie praw. Powtarzana nieustannie przez komunistycznych przywódców podstawowa zasada głosi, że gospodarka pozostaje socjalistyczna, a sektor prywatny ma działać w ramach ogólnonarodowego planu.

– Jak ptak – powiedział mi jeden z najwybitniejszych pekińskich ekonomistów – któremu wolno latać, ale tylko w klatce.

Mao miał wizję tego, czym Nowe Chiny powinny być. Deng nie ma żadnej wizji przyszłości; wiele z jego reform to eksperymenty mające na celu rozwiązanie tego lub innego problemu, ale bez zamiaru pogodzenia się z wynikającymi stąd konsekwencjami. Deng rozumie na przykład konieczność importowania zachodniej technologii, ale nie zamierza importować ideologii, z której ta ostatnia wyrosła. Aprobuje więc kampanię przeciwko „wypaczeniom duchowym”.

Aby uspokoić mniejszości i zyskać sobie w jakiejś mierze uznanie międzynarodowej opinii publicznej, Deng proklamuje „wolność religii”, ale ta wolność ma się ograniczać do wyznań takich jak islam, lamaizm i chrześcijaństwo, obejmujących stosunkowo niewielką liczbę mieszkańców Chińskiej Republiki Ludowej. Jej przywódca nie chce bynajmniej, aby owa odzyskana wolność spowodowała odrodzenie i ponowny rozkwit buddyzmu oraz taoizmu – tradycyjnych religii chińskich mas, stanowiących największe zagrożenie dla komunizmu.

Deng pragnie rozwijać przemysł, ale nie chce powierzyć wszystkich uprawnień decyzyjnych menedżerom i technikom. Ostatnie słowo ma mieć zawsze sekretarz partii.

Deng zdaje sobie doskonale sprawę z tego, że modernizacja nie jest możliwa bez udziału intelektualistów, ale nie chce przyznać im wolności myśli i wypowiedania własnych poglądów. Wystarczy, że spróbują zakwestionować decyzje władz, a natychmiast zmusza się ich do milczenia.

Deng jest zafascynowany, zaciekawiony kapitalizmem i jego oczywistymi sukcesami. Każe więc go studiować, wypróbować jego metody, ale w obu szkołach zarządzania,

otwartych dopiero co w Szanghaju i Dalianie, gdzie młodzi Chińczycy mają poznawać „kapitalistyczną naukę”, wśród obowiązujących przedmiotów są marksizm-leninizm i myśl Mao. Deng chce ulepszyć system socjalistyczny; aby uczynić go wydajniejszym, chwytą się wszystkich środków, z pewnością nie chce jednak go zmienić, a już w żadnym wypadku nie myśli o przekształceniu Chin w kraj kapitalistyczny.

O tym właśnie zdaje się zapominać Zachód, rozentuzjasmowany odkryciem Chin jako olbrzymiego rynku zbytu, a także jako potencjalnego sojusznika przeciw Związkowi Sowieckiemu. Chiny Deng Xiaopinga są krajem komunistycznym i pragną nim pozostać. System chiński jako taki jest bez porównania bliższy systemowi sowieckiemu niż europejskiemu, amerykańskiemu czy japońskiemu. Lewica dała się oczarować maoistom, prawica daje się dzisiaj oczarować Dengowi. Chińczycy są nadal najlepszymi iluzjonistami świata; zmienia się tylko iluzja.

Mao zmarł 9 września 1976 roku. Miesiąc później, w trakcie starannie obmyślnego i starannie wykonanego przez starą gwardię partyjno-wojskową zamachu stanu, zaarrestowano tych, których Chińczycy – a wraz z nimi wszyscy inni – nazywają obecnie „bandą czworga”. Trzeba wyjaśnić jedno: banda czworga jako taka nigdy nie istniała. Jest czystym wymysłem Deng Xiaopinga, który pozwolił mu przypisać wszystkie zbrodnie rewolucji kulturalnej ograniczonej liczbie osób – czterem właśnie – a wśród nich wdowie po Mao, oszczędzając prawdziwego winowajcę, to jest Komunistyczną Partię Chin (KPCh) z jej milionami członków.

Zamach stanu i kampania oskarżeń przeciwko maoistowskim radykałom wywołały wrażenie, że Chiny stoją u progu nowej ery. Pozdejmowano portrety Mao z publicznych gmachów, zapowiedziano procesy i kary dla przestępców z poprzedniego okresu, dopuszczono do rzetelnych dyskusji o błędach rewolucji kulturalnej, pozwolono swobodnie się wypowiadać na „ścianie demokracji” – bardzo wielu ludzi zarówno w Chinach, jak za ich granicami uwierzyło wtedy, że Deng Xiaoping chce rzeczywiście odwrócić kartę i zapisać całkiem nowy rozdział w dziejach kraju. Niektórzy pomyśleli nawet, że skończył się monopol partii komunistycznej na władzę i na prawdę. Młody dysydent Wei Jingsheng odważył się domagać publicznie „piątej modernizacji”, to jest demokracji, bez której – jak zapewniał – nie da się nigdy zrealizować pozostałych czterech. Deng Xiaoping odsłonił „ścianę demokracji” i on też kazał ją zlikwidować,

a Wei Jingshenga posłał na piętnaście lat do więzienia.

Ów krótki, lecz nadzwyczaj intensywnie przeżyty okres wolności, nazwany później „pekińską wiosną”, szybko się skończył. Twórczość artystyczna i literacka, która zaczęła kiełkować w latach 1979–1980, ugrzęzła znowu w tępotcie ortodoksji.

Prywatyzacja gospodarki i przełamanie społecznego modelu produkcji kolektywnej, w którym każdy pełnił wobec innych rolę policjanta, pociągnęły za sobą jednak definitywne rozluźnienie kontroli nad ludnością. Zmusiło to Deng Xiaopinga do zaprowadzenia „piątej modernizacji” – ale nie tej, której pragnął Wei Jingsheng. Była to modernizacja aparatu policyjnego w kraju. Deng podzielił dawne Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego na dwa osobne wydziały: pierwszy zajmuje się jak przedtem ludnością miejscową, drugi – cudzoziemcami w Chinach, wywiadem i kontrwywiadem. Do tych dwóch nowych wydziałów policji włączono całe jednostki Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej (ChALW), wyposażono je także w olbrzymie środki finansowe.

Pod względem ideologicznym i strukturalnym oba te nowe organy są wzorowane na sowieckim KGB, stosuje się w nich też te same metody. Konieczność zaostrzenia kontroli politycznej i represji powstała właśnie dlatego, że Chiny otworzyły się obecnie na świat i coraz więcej Chińczyków styka się z cudzoziemcami i z zagraniczną myślą. Stąd poszerzenie zasięgu władzy organów policyjnych i niedawna fala egzekucji w całym kraju.

Wiele żywionych w latach 1978–1979 nadziei okazało się więc złudzeniem. Mimo to reżim Deng Xiaopinga jest nadal popularny, ponieważ ludzie zdają sobie sprawę, że mogłoby go zastąpić jedynie coś znacznie gorszego: powrót do radykalnej ideologii maoizmu pod postacią dyktatury wojskowo-policyjnej, albo po prostu chaos.

Oto przyczyna poparcia, jakiego ludność udziela swemu przywódcy; z tej samej przyczyny opozycja wobec jego reżimu wywodzi się jedynie z własnych szeregów – ze środowisk wojskowych i partyjnych, z których Dengowi nie udało się jeszcze całkowicie wyeliminować zwolenników radykalizmu.

W Chinach maoistowską przeszłość mile wspomina jeszcze bardzo wielu i oni właśnie pracują w obu organach, na których reżim się opiera. Na razie maskują się, pozostają w ukryciu; czekają jednak tylko na właściwą okazję, aby podnieść głowy i rozliczyć się

ze swoją historią. Charakteryzująca rewolucję kulturalną wojna band bynajmniej się nie skończyła. Bandy istnieją nadal jako prawdziwe tajne stowarzyszenia, złączone dawnymi więzami lojalności i kompromisów.

Osobisty autorytet Denga pozwala mu dotychczas utrzymywać pod kontrolą owe „mroczne siły” wewnątrz swojego reżimu. Nie wiadomo jednak, czy uda się to po jego śmierci sukcesorom, których sobie wyznaczył: Zhao Ziyangowi jako szefowi rządu i Hu Yaobangowi jako szefowi partii.<sup>1</sup> Ważną rolę odgrywa tu sprzyjający Deng Xiaopingowi czas: im dłużej rządzi, tym bardziej rosną szanse na utrzymanie się przy władzy jego spadkobierców. „Gdyby tylko Deng mógł żyć jeszcze sto lat” – mówią ludzie, zmartwieni wiszącą nad nim śmiercią. Kiedy dzień zgonu nadejdzie, Deng pozostawi swoim następcom Chiny w położeniu lepszym od tego, w którym były w chwili obejmowania przez niego rządów. Będą to już jednak Chiny bez wiary i bez ideałów.

Szaleńcza utopia Mao przynajmniej na początku inspirowała ludzi, niektórzy dzięki niej oddawali się marzeniom. Młodzi uwierzyli naprawdę, że są awangardą ruchu rewolucyjnego, który ogarnie świat.

– Za rewolucję można było umierać – powiedział mi pewnego dnia trzydziestolatek z byłej Czerwonej Gwardii – ale dzisiaj, czy można byłoby umrzeć za lodówkę?

Dawne Chiny były osobnym światem, który uważał się za środek wszechświata. Mao Zedong zachowywał tę fikcję, trzymając kraj w zamknięciu, chroniąc go przed wszelkimi wpływami z zewnątrz, a wewnątrz usiłując budować społeczeństwo nowe, całkowicie chińskie. Deng otworzył okna na świat i czar prysł. Chiny muszą teraz pogodzić się z bolesnym faktem, że są tym, czym są: po prostu państwem słabo rozwiniętym, choć największym ze wszystkich.

Stare Chiny umarły, Nowe Chiny Mao nigdy się nie narodziły, a Chiny Denga po wyrzeczeniu się bycia osobnym światem walczą obecnie o to, aby stać się w najlepszym wypadku kopią reszty świata. Chińczycy zasługiwaliby z pewnością na coś więcej.

Kiedy z okazji ważnych socjalistycznych uroczystości stawiają oni na placu Tiananmen portrety Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina, człowiek dziwi się, że wielkie Chiny z całym ogromem swojej historii i kultury musiały chwytać się idei tych czterech zupełnie im obcych panów z Zachodu, aby zaradzić toczącym je chorobom. Większym jeszcze smutkiem napęła fakt, że obdarzeni bez wątpienia olbrzymim zasobem energii

kulturalnej Chińczycy nie mogą tej energii wykorzystać.

Stojąca pośrodku Pekinu szklana trumna mieści nie tylko śmiertelne szczątki Mao i skorupy jego utopii. Zawiera również symboliczne zobowiązanie wobec ideologii, która powiodła Chiny do wyzwolenia, ale skrepiła ich materialny i duchowy rozwój.

Ta ideologia – komunizm – wyczerpała już dzisiaj swoją siłę twórczą, straciła zdolność inspirowania i wywoływania wzruszeń; zachowała jedynie umiejętność niedopuszczania do rozpadu państwa, poprzez posługiwanie się zastraszeniem i represją.

Dopóki ten trup pozostanie w środku środka Chin, dopóty Chińczycy nie zazną wolności rozstrzygnięcia o własnym losie i swobodnego wyobrażania sobie własnej przyszłości.

## 2. śmierć o tysiącu ostrzy

zniszczenie Pekinu

Było kiedyś w dalekim kraju przepiękne miasto. Miało bogate pałace, wspaniałe świątynie, wielobarwne łuki triumfalne, olśniewające ogrody i tysiące harmonijnych domów o szarych ścianach – każdy zbudowany wokół zacisznego podwórza, wszystkie uszeregowane zgodnie z regularnym schematem ulic i zaułków, jak na szachownicy. Całość otaczały wysokie, imponujące mury długości dwudziestu sześciu kilometrów, z potężnymi bramami strzeżonymi przez kamienne lwy. Było to miasto święte, wzniesione na skraju pustyni według projektu otrzymanego bezpośrednio z Nieba.

Miasto posiadało magiczny urok. Jego czarowi nie sposób było się oprzeć. „Pekin to ostatnie na świecie schronienie tego, co nieznanne i cudowne” – napisał Pierre Loti w 1900 roku. „To miasto, które budzi szacunek” – tak określił je w 1930 roku Arnold Toynbee.

W 1949 roku, kiedy Pekin zajęli komuniści, był on jeszcze miastem jedynym w swoim rodzaju: wielkim przykładem architektury, którego zniewalające piękno zdawało się stworzone po to, by żyć wiecznie. Teraz już tak nie jest.

Pekin umiera.

Zniknęły mury, zniknęły bramy, zniknęły łuki triumfalne. Zniknęła większość świątyń, pałaców i ogrodów. Pod bezlitosnymi razami kilofów, pod naporem koparek znika codziennie cząstka odwiecznego Pekinu.

Miasto straciło swój wewnętrzny porządek, mający odzwierciedlać geometrię wszechświata. Tam, gdzie kiedyś panowały harmonia i doskonałość, królują dzisiaj nieład i chaos.

– Gdy tonie Wenecja, cały świat płacze i protestuje. Gdy znika Pekin, nikt nie zwraca na to uwagi – mówi Philippe Jonathan, młody francuski urbanista, który pracuje na uniwersytecie Qinghua i prowadzi teraz prawie sam jeden kampanię „Ratujmy Pekin”. – Los tego miasta powinien zainteresować wszystkich – dodaje – ponieważ wielkość Pekinu nie jest sprawą wyłącznie chińską, dotyczy kultury całej ludzkości.

Dzieło zniszczenia trwa nadal. Rząd oświadcza, że jest zdecydowany chronić

i restaurować to, co pozostało ze starej stolicy Chin, a jednocześnie Ministerstwo Kultury każe zburzyć jeden z najwspanialszych pałaców miasta, aby wybudować na jego miejscu gmach-sypialnię dla swoich urzędników. Grupa architektów stara się opracować projekt pozwalający uratować jedną z najpiękniejszych, uświęconych tradycją dzielnic Pekinu, otaczającą Wieżę Bębnow, a jednocześnie wyburza się tam w największym pośpiechu wiekowe domy i sklepy z ich fasadami z intarsjowanego drewna oraz barwionymi belkami pod szarym dachem, aby wznieść na ich miejscu nowe, szkaradne bloki z cegieł i cementu. W południowo-wschodniej części miasta cesarskiego restauruje się z przeznaczeniem na muzeum trzynastowieczne obserwatorium astronomiczne, wyposażone jeszcze we wspaniałe instrumenty wykonane przez europejskich jezuitów w siedemnastym stuleciu, a jednocześnie tuż obok rośnie szpetny wieżowiec mieszkalny, który zasłania jego widok i sprawia, że ten sędziwy, o sławnej przeszłości zabytek wydaje się mały i śmieszny.

– Tak, to prawda, powinniśmy byli budować ten wieżowiec gdzie indziej – mówi Liu Keli z pekińskiego Biura Ochrony Zabytków. – Popelniliśmy błąd.

Błąd. Błędy. O dziesięciu latach rewolucji kulturalnej, kiedy to miliony młodzieży z Czerwonej Gwardii krążyły po Chinach, rozbijając, paląc, niszcząc wszystko to, co stare, mówi się teraz: „To był błąd”. Błędem nazywa się dziś także „wielki skok naprzód”, mocą którego Mao zmusił ludzi, aby rzucali do pieców odlewniczych wszelkie przedmioty z metalu – także stare wazy i posągi – w celu przerobienia ich na rondle i patelnie. Błędem było zburzenie starych murów Pekinu, błędem było zniszczenie bram miasta, jego łuków triumfalnych i świątyń.

Poczynając od 1949 roku, nieprzerwany szereg błędów sprawił, że to cudowne niegdyś miasto zamieniło się w pozbawione jakiegokolwiek uroku skupisko baraków, mieszaninę dawnych, rozpadających się teraz budowli i świeżo wzniesionych, paskudnych gmachów, pretendujących do miana nowoczesnych.

– Zniszczenie Pekinu to największa zbrodnia, jaką popełnili komuniści – mówi amerykański uczonego chińskiego pochodzenia, który po trzydziestoletniej nieobecności przyjechał odwiedzić swoje rodzinne miasto i zastał je „zmasakrowane, oszpecone tak bardzo, że nie sposób go rozpoznać”.

Siedliskiem ludzkim było już od ponad dwóch tysięcy lat, gdy w 1403 roku Yongle,



cesarz z dynastii Ming, kazał wybudować tam „stolicę północną” (takie jest znaczenie słowa Pekin, po chińsku Beijing), by przenieść do niej rząd z Nankinu (po chińsku Nanjing, „stolica południowa”). Według legendy zstąpił z nieba tajemniczy mnich taoistyczny, aby wręczyć władcy plik dokumentów zawierających cały projekt urbanistyczny ze wszystkimi szczegółami. I rzeczywiście było coś boskiego w wizji miasta pośrodku jednostajnej równiny Chin północnych, gdzie brakuje zupełnie rzek, jezior i osłony, jaką dają góry.

Pekin ze swoimi murami otoczonymi innymi murami i swoimi kanałami otoczonymi przez inne kanały był urzeczywistnieniem w kamieniu kosmicznego porządku tamtych czasów. Każdą budowlę wzniesiono w określonym miejscu: Ołtarz Słońca we wschodniej części miasta, Ołtarz Księżycy – w zachodniej, Świątynię Nieba – na południu, Świątynię Ziemi – na północy, dla przeciwwagi. W samym środku powstało Zakazane Miasto, „Wielkie Wnętrze” – jak zwano to serce Chin, środek środka świata, siedzibę cesarza, źródła wszelkiej władzy.

Przez całe wieki mieszkańcy Pekinu mieli świadomość tego, że żyją w miejscu wyjątkowym. Niepokoiły ich tylko dwie rzeczy. Pierwszą był smok wodny, zamieszkujący jakoby trzewia miasta i nieustannie grożący mu powodzią, którą spowodowałby, wychodząc ze słynnej studni w pobliżu Bramy Hata. Inne zagrożenie stanowili najeźdźcy zlaknieni bogactw Pekinu i zazdrośni o jego piękno; próbowaliby oni napaść na stolicę i ją spustoszyć.

Przed smokiem zabezpieczyli się pekińczycy, umieszczając w ocembrowaniu studni ogromnego kamiennego żółwia, któremu powiedziano, żeby się stamtąd nie ruszał, dopóki nie usłyszy bicia w gongi zawieszane nad wszystkimi bramami miasta – będzie to sygnał, że ktoś przychodzi go zastąpić. Zdjęto jednak gong znad Bramy Hata i powieszono tam dzwon. Nieszczęsny żółw stał więc wiernie na straży przez długie wieki – aż niedawno usunięto go wraz ze studnią i całą resztą, aby poszerzyć biegnącą obok ulicę.

Niebezpieczeństwu grożącemu ze strony najeźdźców pekińczycy zapobiegli, zwracając się do pewnego szczególnego bóstwa, które za pomocą odpowiedniego zaklęcia sprawiło, że mury miasta stały się niezniszczalne od zewnątrz.

Oba systemy obronne działały doskonale: Pekinu nie dotknęła nigdy powódź,

a chociaż rozmaici najeźdźcy pojawiali się w mieście, chociaż różne dynastie obejmowały w nim władzę i upadały, jego mury chronione magicznym zaklęciem oparły się wszystkiemu i stolica nigdy poważnie nie ucierpiała.

Kiedy 1 października 1949 roku Mao Zedong, stojąc na tarasie Bramy Niebiańskiego Spokoju (Tiananmen), zwrócony plecami do Zakazanego Miasta, a twarzą w stronę południa, ogłaszał narodziny Chińskiej Republiki Ludowej, rozpościerający się u jego stóp Pekin nie różnił się zbytnio od tego, którym był za czasów cesarstwa.

Nawet japońscy okupanci okazali wobec pierwotnej struktury Pekinu, wobec jego boskiego rozplanowania szacunek tak daleko posunięty, że nie ośmielili się tknąć historycznego centrum i rozpoczęli budowę miasta satelity, skąd zamierzali prowadzić swoją ekspansję, na zachodniej peryferii.

Komuniści tak nie postąpili. Pekin, symbol starych Chin, był dla nich kwintesencją wszystkiego, przeciwko czemu walczyli i co chcieli zmienić.

– Plan miasta odzwierciedlał feudalne społeczeństwo, bo demonstrował centralną, absolutną władzę cesarza – mówi profesor He Renzhi z Uniwersytetu Pekińskiego. – Sprawa była jasna: musieliśmy to zmienić, musieliśmy zrobić z Pekinu stolicę Chin socjalistycznych.

Komuniści chińscy w tym nie zawiedli. Zaczęli od obalania *pai lou*, łuków triumfalnych z marmuru i drewna, wzniesionych w ciągu wieków nad głównymi ulicami dla uczczenia cnót pewnych wdów, wierności pewnych mandarynów, szlachetności pewnych wodzów. Pięćdziesiąt pięć takich budowli przetrwało wprowadzenie do miasta samochodów i tramwajów. Zniknęły wszystkie w ciągu kilku tygodni. Władze wyjaśniły, że *pai lou* przeszkadzały ruchowi pojazdów, lecz najprawdopodobniej kazano je zburzyć dlatego, że stały tam przecież po to, aby upamiętnić dawne cnoty i dawne wartości, o których z woli nowego reżimu ludność miała zapomnieć.

Komuniści zmienili potem ukierunkowanie miasta: zastąpili dawną oś cesarską północ–południe nową, dostosowaną do ich polityki oś wschód–zachód, poszerzając i wydłużając aleję Chang’an, czyli Długiego Pokoju.

Kiedyś podróżny zbliżał się do Pekinu od południa, wzdłuż prostej, którą zdobiły *pai lou*, mosty i bramy, jakby muzyczne crescendo przygotowujące go do olśniewającego swoim splendorem widoku Zakazanego Miasta z jego czerwonobordowymi murami

i żółtymi dachami pod nieskazitelnie błękitnym niebem. Kto przybywa do stolicy Chin dzisiaj – zwykle samolotem – wkracza do miasta od wschodu, wielką, płaską aleją Długiego Pokoju, której monotonię urozmaicają jedynie nowoczesne budynki getta dla cudzoziemców, hotel Pekin i gigantyczna próżnia placu Tiananmen.

W starym Pekinie nie było placów, ponieważ w tamtych czasach ludzie nie mieli potrzeby – ani prawa – zbierania się w tłum; nie wolno im było w szczególności gromadzić się dla wyrażania swoich poglądów. Otoczony utrzymanymi w stylu grecko-stalinowskim gmachami Wielkiej Hali Ludowej i Muzeum Rewolucji plac Tiananmen stał się natomiast sercem Nowych Chin. Tutaj odbywały się ważne uroczystości nowego reżimu. Tutaj zaczęła się rewolucja kulturalna i tutaj Chiny na gigantycznych wiecach proklamowały wielkim głosem swoje poparcie dla Wietnamu, swoją nienawiść do amerykańskiego imperializmu, swój sprzeciw wobec rewizjonizmu. Po śmierci Mao środek placu zajęło mauzoleum, które zniszczyło resztki jego dawnej harmonii; Tiananmen służy odtąd tylko tym, którzy przychodzą tam puszczać latawce oraz przybyszom z innych miast, robiącym sobie pamiątkowe zdjęcia pod ostatnim portretem Mao.

W krótkim okresie „pekińskiej wiosny” niektórzy obrali sobie ten plac za miejsce wieców i publicznego wyrażania swoich żalów. Na wszystkich rogach umieszczono więc nowy regulamin: „Bez upoważnienia ze strony rządu ludowego zabrania się odbywać pochody i manifestacje, wygłaszać mowy, wywieszać bądź rozdawać ulotki lub jakiegokolwiek inne materiały propagandowe”.

W dawnych Chinach mury stanowiły coś, z czego mieszkańcy byli niesłychanie dumni. Najsurowszą karą, jaką cesarz mógł wymierzyć miastu, w którym popełniono wyjątkowo ciężką zbrodnię – na przykład ojcobójstwa – było częściowe lub całkowite zburzenie jego murów.

Mury Pekinu były najbardziej imponujące, najbardziej majestatyczne, najbardziej legendarne. Nie ośmieliła się ich naruszyć nawet ekspedycja międzynarodowa, przybyła w 1900 roku do Pekinu, aby przerwać oblężenie dzielnicy misji dyplomatycznych i ukarać Chiny za powstanie bokserów.

Komuniści nie zawahali się. Dzieło zniszczenia rozpoczęto w 1950 roku. Brygady robotnicze pracowały nocą, ponieważ obawiano się wrogiej reakcji ludności, która

w burzonych murach widziała magiczną ochronę. „Czułem się wtedy tak, jakby krajano mnie na kawałki, jakby obdzierano mnie żywcem ze skóry” – napisał Liang Sicheng, najślynniejszy chiński architekt, którego oskarżono później o prawicowość i prześladowano, póki nie zmarł w niełasce w 1973 roku.

Pomysł zburzenia murów wywołał żywą dyskusję między tymi, którzy chcieli je zachować jako „sznur pereł na szyi Pekinu”, a tymi, którzy za wszelką cenę chcieli je zniszczyć, bo były „łańcuchem na nogach stolicy” i jako taki „uniemożliwiały jej rozwój”.

W 1958 roku ktoś zaproponował, aby to, co zostało jeszcze ze starych murów, przekształcić w podwyższoną promenadę ze stoiskami sprzedawców pamiątek i restauracyjkami. Roztaczałyby się stamtąd wspaniałe widoki na miasto; było już tak, poczynając od 1860 roku, kiedy to mocą specjalnego edyktu cesarskiego zezwolono także cudzoziemcom (ale nie ich kobietom) wchodzić na te majestatyczne bastiony, aby oglądać olśniewającą panoramę Pekinu.

Nic z tych planów nie wyszło.

Ostatnie odcinki murów i ostatnie bramy zburzono podczas rewolucji kulturalnej. Tym razem kazano usunąć owe pozostałości „Chin feudalnych” brygadam więzionych przez Czerwoną Gwardię intelektualistów, bo byli oni – podobnie jak to, co musieli niszczyć – oskarżeni o reprezentowanie potwornej przeszłości.

– Za każdym uderzeniem kilofa zdawało mi się, że popełniam samobójstwo kulturalne – opowiada dzisiaj pewien profesor historii – ale wtedy, gdyby Czerwoni Gwardziści kazali mi burzyć Zakazane Miasto, zrobiłbym to bez wahania. Jaki miało sens chronić jeden lub dwa zabytki, kiedy niszczone cały kraj?

Niektórzy z czołowych przywódców ówczesnych Chin zamierzali rozprawić się definitywnie ze starym Pekinem. Marszałek Peng Dehuai, bohater wojny koreańskiej, później ofiara rewolucji kulturalnej, a wreszcie znowu wysławiany heros, całkiem poważnie zaproponował zburzenie Zakazanego Miasta jako najbardziej znamienego symbolu przeszłości. Na szczęście nie przyznano mu racji. Mao Zedong, a także zwłaszcza Zhou Enlai, zdawali sobie sprawę, że trzeba uchronić kilka zabytków z przeszłości jako przedmiot narodowej dumy.

Tak samo postąpili w Kambodży Czerwoni Khmerzy, którzy niszczyli systematycznie

świątynie i pagody, ale zachowali Angkor Wat.

W 1958 roku rząd polecił spisać wszystkie zabytki Pekinu o jakiegokolwiek wartości historycznej, religijnej, kulturalnej i artystycznej; powstała lista złożona z ośmiu tysięcy pozycji. Postanowiono zachować siedemdziesiąt osiem, pozostałe mogły zniknąć. Podczas rewolucji kulturalnej nie darowano także i tym siedemdziesięciu ośmiu, częściowo je niszcząc.

W 1982 roku dokonano nowego spisu celem stwierdzenia, co da się jeszcze uratować i co warto odbudować. Do wspomnianych siedemdziesięciu ośmiu zabytków dodano siedemdziesiąt. W niektórych przypadkach trzeba było odbudowywać je od podstaw – jak Bramę Desheng w północnej części miasta, zrekonstruowaną całkowicie przy użyciu cementu, ponieważ ze wspaniałej budowli ceglano-drewnianej prawie nic nie zostało.

Tam, gdzie wznosiły się kiedyś mury Pekinu, biegnie dziś okrążająca miasto autostrada. Na południe od placu Tiananmen, gdzie stał drugi krąg murów, znajduje się teraz to, co ludzie nazywają „murem Hua Guofenga” – długi rząd szarych bloków mieszkalnych, które następcza Mao kazał wybudować dla kadr partyjnych.

Mieszkania stały puste przez wiele miesięcy, bo wybuchł gwałtowny spór o to, komu mają być przyznane; na przykład dzieciom wysokich rangą urzędników partyjnych udało się załatwić umieszczenie swoich nazwisk na liście przed nazwiskami funkcjonariuszy średniej kategorii. Gdy wreszcie apartamenty poprzydzielano, okazało się, że wszyscy są z nich niezadowoleni. W większości okien były powybijane szyby, wskutek zbyt niskiego ciśnienia woda nie docierała na wyższe piętra, nie działały windy.

– Wybudowaliśmy te mieszkania, będąc jeszcze pod wpływem bandy czworga, kiedy o wszystkim decydowali robotnicy, a architekci i inżynierowie musieli siedzieć cicho – tłumaczy wicedyrektor Komisji Planowania Pekinu.

Obecnie architektom i inżynierom wolno już się wypowiadać, ale to, co budują, nie jest najlepsze.

Przyrost ludności jest w stolicy ogromny (przybywa jej trzysta sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców rocznie), a w okresie rewolucji kulturalnej w ogóle nic tu nie budowano; dlatego rząd, pragnąc podnieść poziom życia obywateli, zaczął realizować zakrojony na szeroką skalę program rozwoju budownictwa. Wszędzie rosną szybko wysokie,

prefabrykowane bloki, i równie szybko niszczeją. Domy wznoszone z budulca złej jakości, zaprojektowane krańcowo banalnie, stłacza się w całkowitym nieładzie, bez żadnej troski o otoczenie. Tysiące osób znajdują się więc nagle w labiryncie zupełnie nowych dzielnic, pozbawionych targowisk i szkół, a nawet – jak wynika z publikowanych w miejscowych gazetach listów protestujących mieszkańców – miejsc, gdzie można by zostawić rower.

Pekin nie ma jeszcze planu zagospodarowania przestrzennego, nie istnieją przepisy dotyczące nowego budownictwa; wiadomo tylko, że domy nie powinny przekraczać wysokości czterdziestu metrów. Zarząd miasta nie jest uprawniony do kontrolowania, a tym bardziej do wstrzymywania samowolnych budów.

– Każda jednostka to królestwo, a każdy sekretarz partii to cesarz – lubią tu mawiać ludzie.

„Jednostka”, *danwei*, oznacza zespół pracowniczy, do którego każdy obywatel Chin musi należeć. „Jednostką” jest szkoła, „jednostkami” są fabryka, szpital i biuro. „Jednostka”, lub dokładniej sekretarz partii w jednostce, sprawuje absolutną niemal władzę nad swoimi członkami i zarządza niepodzielnie przyznanym sobie mieniem. Każda „jednostka” zawiaduje swoją własnością tak, jak jej się podoba.

– Musieliśmy zburzyć ten budynek, nie mieliśmy wyboru – mówi kierownik Instytutu Historii Chińskiej Akademii Nauk, który w końcu 1982 roku kazał zrównać z ziemią jedną z ostatnich rezydencji książęcych o licznych dziedzińcach, aby wzniesć na jej miejscu żałosny, nowoczesny dwunastopiętrowy wieżowiec. – Potrzebowaliśmy przestrzeni, a nigdzie indziej jej nie było.

I tak w okresie od 1949 roku do dzisiaj ponad połowa powierzchni starego Pekinu uległa zniszczeniu. Zniknęły najpierw budowle najpiękniejsze, najobszerniejsze, najwięcej znaczące pod względem artystycznym.

Trzydziestego pierwszego stycznia 1949 roku wojska komunistyczne zajęły Pekin bez walki, ponieważ generał armii Kuomintangu poddał się, oszczędzając miastu zbędnych zniszczeń. Rezydencje książęce, świątynie i pałace opuszczone przez dawnych władców kraju, którzy uciekli na Tajwan, zostały wtedy natychmiast skonfiskowane i przekazane niezliczonym tysiącom żołnierzy-chłopów, zalewającym stolicę.

Najpiękniejsze budowle Pekinu zamieniły się zatem w koszary. Skonfiskowano

również wszystkie posiadłości tych, których komuniści uznali za „wrogów ludu”; stały się one ośrodkami władzy nowego reżimu.

Każda „jednostka” ze swoimi pracownikami i całym sprzętem sadowiła się w przypisanym sobie podczas podziału łupów budynku, pałacu lub świątyni i zapuszczała tam korzenie. W granicach swoich sektorów „jednostki” powiększały się i gospodarowały bez najmniejszego poszanowania dla zajmowanego miejsca, dla jego wartości historycznej i architektonicznej.

Niszczono stare komnaty, zamieniając je w ohydne sypialnie. Cenne meble wyrzucano lub palono, aby ustawić na ich miejscu zwyczajne łóżka i stoły. Kamienne ogrody przekształcano w boiska do siatkówki, ulubionego sportu żołnierzy. Dwanaście z najpiękniejszych pałaców książęcych Pekinu zaadaptowano na siedziby instytucji rządowych, między innymi Ministerstwa Zdrowia, Centralnego Konserwatorium Muzycznego, pewnego wydawnictwa oraz Zarządu Działalności Kulturalnej i Widowskiej wojska.

Najwspanialsza i najsłynniejsza rezydencja pekińska, pałac księcia Gonga z jego wieloma dziedzińcami i pawilonami, stawami, salami recepcyjnymi i ogrodami został podzielony między kilka jednostek; w części środkowej umieszczono fabrykę urządzeń klimatyzacyjnych. Ten pałac, znany każdemu Chińczykowi, ponieważ natchnął autora powieści *Sen czerwonego pawilonu*<sup>2</sup>, znalazł się teraz na liście zabytków, które władze miejskie Pekinu zamierzają objąć ochroną; łatwiej jednak to powiedzieć, niż zrobić. Wiele części budowli jest już zniszczonych, inne uszkodzone tak dalece, że trudno sobie wyobrazić ich rekonstrukcję; te, które się zachowały, zajmują jeszcze „jednostki” (na przykład oddział policji) niemające zamiaru ich opuścić.

– Jednostki Chińskiej Armii Narodowo-Wyzwoleńczej muszą jak najstaranniej unikać niszczenia starych budowli i słynnych miejsc – rozkazał ostatnio szef Sztabu Generalnego w piśmie do wszystkich zakwaterowanych w Pekinie pułków.

Od Wyzwolenia minęło trzydzieści lat, lecz Pekin wydaje się jeszcze miastem pod wojskową administracją. Wojsko kontroluje nadal pewne obszary śródmieścia i zajmuje niektóre z najpiękniejszych pałaców, ukrytych teraz za bezimiennymi, szarymi murami z cegieł.

Napełniają smutkiem spaceru po Pekinie w poszukiwaniu nie tyle zabytków

z przeszłości – tych już nie ma – ile miejsc, na których stały.

Plany miasta sprzed 1949 roku są *neibu* (tylko na użytek wewnętrzny), innymi słowy – tajne.

– Komuniści nie chcą, aby ludzie uświadomili sobie ogrom zniszczeń – wyjaśnia mi zaprzyjaźniony intelektualista.

W sklepach papierniczych dostępne są dzisiaj plany z trasami autobusów i metra, ułatwiające poruszanie się po stolicy; nie ma na nich nazw wszystkich zaułków, a brak już w ogóle odniesień do zabytków i miejsc historycznych.

Zdarzają się jeszcze starzy pekińczycy, gotowi wskazać umiejscowienie świątyń lub pałaców; ale młodzi, przyzwyczajeni widzieć ulice zagrodzone murami, nie wiedzą, co tam jest albo było, i już się nad tym nie zastanawiają. U wejścia do ruin Żółtej Świątyni (Huang Si), za Północną Bramą, wywieszono ostrzeżenie: „Nie chcemy zwiedzających”. Niedostępna jest także pobliska Świątynia Czarna, ponieważ leży w obrębie strefy wojskowej, zamkniętej dla ogółu.

Jedynie za specjalnym zezwoleniem można zwiedzić stary cmentarz katolicki Zhalan w zachodniej części miasta, gdzie w XVII wieku pochowano Matteo Ricciego<sup>3</sup> i innych europejskich jezuitów. Znajduje się on teraz pośrodku kompleksu nowych, masywnych budynków – Szkoły Partii Komunistycznej. Nagrobki Ricciego, Verbiesta i Schalla wydobyto z ruin, naprawiono i wystawiono na pokaz, aby zaspokoić ciekawość zagranicznych dostojników (jako pierwszy oglądał je senator Vittorino Colombo)<sup>4</sup>, gdyż Chińczykom wiadomo, że goście na to liczą. Inne leżą porozrzucane w nieładzie na rozległym terenie, wyglądającym tak, jakby przeszło tam trzęsienie ziemi; uczniowie szkoły partyjnej spożywają na nich posiłki. Cierpliwemu zwiedzającemu uda się odcyfrować francuskie, włoskie i łacińskie napisy z nazwiskami tych, których pogrzebano tam kiedyś, aby spoczywali w spokoju.

Niekiedy jedynie przypadkiem można się dowiedzieć, jaka jednostka zajmuje określone słynne miejsce, do którego nie ma dostępu.

Ostatnio wysłano w pośpiechu dwadzieścia wozów strażackich, aby gasiły pożar trawiący Świątynię Dziesięciu Tysięcy Epok, odległą o cztery kilometry od centrum; w przeszłości była ona jednym z najlepiej utrzymanych miejsc kultu w Pekinie, znajduje się bowiem na drodze do Pałacu Letniego i cesarze po opuszczeniu Zakazanego Miasta



zatrzymywali się tam, jadąc na wieś. Wiadomość tę podała wieczorna gazeta, w krótkiej notce wyjaśniając, że pożar – już drugi w ciągu dwóch miesięcy – spowodowała grupa chłopców, którzy na dziedzińcach świątyni puszczali dla zabawy sztuczne ognie. Na koniec podano informację, że świątynia jest siedzibą Biura Propagandy Sił Zbrojnych i że od 1949 roku mieszka tam kilkuset wojskowych wraz z rodzinami.

W Pekinie było niegdyś bardzo wiele świątyń. Może aż za wiele; już przed Wyzwoleniem niektóre z nich zamieniono na szkoły i szpitale. Inne – jak przesławna Świątynia Lamów z zamieszkującymi ją ekscentrycznymi mnichami – stały się schroniskami bandytów, dezertersów i oszustów, żerujących na zagranicznych turystach. W latach dwudziestych i trzydziestych cudzoziemcy zainteresowani pornograficznymi rysunkami ze zbiorów tego lamaistycznego przybytku płacili dużo pieniędzy, aby tam wejść, a często jeszcze więcej, aby odzyskać wolność i móc stamtąd wyjść.

Komuniści przekształcili świątynie, uczynili je „użytecznymi”. „Zrobić z Pekinu miasto, które produkuje” – brzmiało ich hasło. Aby produkować, Pekin potrzebował fabryk, zaś fabryki potrzebowały przestrzeni. Świątynie ze swoimi pięknymi, pustymi dziedzińcami umożliwiały idealne rozwiązanie problemu rozwoju przemysłowego stolicy.

Polityka *ji* („wypchnięcia”) – tak ją właśnie nazywano w łonie partii – miała podwójny cel: z jednej strony zwiększała produkcję, z drugiej – niszczyła religię.

Taktyka była prosta i zawsze taka sama. Do świątyni wkraczała „jednostka produkcyjna” z kilkoma maszynami, zachowując się nadzwyczaj uprzejmie. Kłaniając się mnichom i nieustannie przeprasząc, „jednostka” instalowała się w jakimś kącie budowli i zaczynała pracować. Po pewnym czasie funkcjonariusz partyjny tłumaczył mnichom – nadal z największą grzecznością i szacunkiem – że produkcja jest dla dobra ludności co najmniej tak samo ważna, jak ich modlitwy, i że w związku z tym fabryka potrzebuje trochę więcej miejsca. Przywożono kolejne maszyny. Po kilku miesiącach funkcjonariusz powtarzał swoją przemowę. Wreszcie świątynia wypełniała się maszynami i robotnikami, a mnichom nie pozostawało nic innego, jak ją opuścić.

I tak nad pięknymi, kolorowymi dachami świątyń, obok dzwonnicy, wyrosły powolutku dziesiątki, potem setki kominów fabrycznych, plujących kłębamii czarnego

dymu w niebo, którego błękit był dotąd niezrównany.

Jedna po drugiej, świątynie zamieniły się w fabryki. Tylko w okresie „wielkiego skoku naprzód” uruchomiono w śródmieściu Pekinu tysiąc czterysta fabryk. Stoją tam nadal. Świątynia Wielkiego Buddy produkuje odlewy, Świątynia Uczonej Mądrości – przewody elektryczne, Świątynia Boga Ognia – co nader słuszne – wytwarza żarówki. Świątynia Białej Chmury, największy ośrodek studiów taoistycznych w Chinach, stała się po części magazynem, a po części – siedzibą rozmaitych zakładów naprawczych.

O czystości nieba nad Pekinem opowiadano legendy; obecnie miasto stało się jednym z najbardziej zanieczyszczonych na świecie. A chińska propaganda, której hasła powtarzają jak papugi przeróżni pisarze, dziennikarze i intelektualiści zachodni, omotani nimi podczas dwutygodniowych pobytów, sławiła niezwykłą sprawność, z jaką komunistyczne władze zwalczają zanieczyszczenie środowiska.

Dziś jeszcze jedenaście tysięcy ogrzewanych węglem kotłów wypływa ze śródmieścia Pekinu chmury duszącego dymu. „Zanieczyszczenie zarówno wody, jak powietrza osiągnęło niepokojący poziom” – stwierdza oficjalne czasopismo „Zdrowie”.

Dzięki swojemu suchemu klimatowi Pekin uchodził w przeszłości za jedno z najbardziej korzystnych dla zdrowia miast na świecie. Dzisiaj pobyt w nim wywołuje to, co mieszkający tam cudzoziemcy nazywają „pekińskimi płucami” – rodzaj chronicznego bronchitu, przed którym zimą miliony Chińczyków starają się bronić za pomocą noszonych na ustach i nosie maseczek z gazy. Ludność stolicy wygląda wówczas jak armia chirurgów i pielęgniarzy w marszu ku salom operacyjnym.

Pewien amerykański naukowiec przywiózł ostatnio do Pekinu przyrząd do oceny jakości powietrza na podstawie obecności w nim określonych cząsteczek, które, aby nie zagrażać zdrowiu, nie powinny przekraczać poziomu trzydzięści. Poziom zarejestrowany w Pekinie wyniósł sto dwadzieścia.

– Biegać tutaj rano to tak, jakby wypalić paczkę papierosów dziennie – mówi europejski lekarz.

Miejskowe władze zdają sobie sprawę z powagi sytuacji. Ogłaszają plany przewidujące przeniesienie fabryk na peryferie i narzucenie surowszych przepisów w walce z zanieczyszczeniem.

W 1978 roku zarząd miejski Pekinu obiecał uroczyście, że „uczyni ze stolicy miasto

czyste, gdzie stojąc na szczycie Białej Pagody w Parku Północnego Jeziora [Beihai], będzie można widzieć jasno i wyraźnie zachodnie wzgórza”. Taki widok był czymś całkiem normalnym w Pekinie sprzed rewolucji; obecnie stał się prawdziwą rzadkością. W bezwietrzne dni całun żółtawego dymu unosi się nad miastem, zasłaniając wszystko. Fabryki stoją, jak stały. Przepisów mających ograniczyć zanieczyszczenie nigdy nie wprowadzono w życie.

Na początku 1982 roku zapowiedziano znowu „ważny” plan, który uczyni ze stolicy „miasto nadzwyczaj nowoczesne, wzór dla całej reszty Chin”.

„Plan badań «ekosystemowych» (*sic!*) jest pierwszym w liczącej sobie trzy tysiące lat historii Pekinu” – oświadczył rzecznik Akademii Nauk. W ramach owego planu ustalili się to, co należy zrobić. Zgodnie z przewidywaniami badania potrwać do końca 1985 roku. Pekieńskie dzienniki publikują tymczasem nadal listy czytelników, którzy skarżą się, że na ich podwórzach drzewa przestały owocować i że płynące z pobliskich fabryk dym, smród i hałas zaturują im życie.

Nie wszystkie świątynie zamieniono jednak w fabryki. Część po prostu zburzono, aby przeprowadzić ulice, jak to się stało w przypadku Świątyni Obfitego Spokoju i Świątyni Śpiącego Buddy, położonych za Bramą Hata, lub aby wznieść na ich miejscu nowe, zdaniem komunistów bardziej użyteczne budowle, jak w przypadku Świątyni Pagody Prawa, którą zastąpił Stadion Ludzi Pracy, czy w przypadku powszechnie znanej Świątyni Kwitnącego Szczęścia, poświęconej na rzecz supermarketu. Smutny koniec spotkał dwa wielkie marmurowe żółwie, które stały na straży tej ulubionej przez pekińczyków świątyni: leżą brzuchami do góry pośród ruin starego Pałacu Letniego.

Kilka świątyń pozostawiono natomiast w nienaruszonym stanie, dostępnych wiernym, aby uwiarygodnić powtarzaną w tekście każdej kolejnej konstytucji (od 1949 roku było ich już pięć) fikcję, zgodnie z którą ustrój komunistyczny uznaje i gwarantuje „wolność religii”. I tak Dongyue Miao, Świątynia Wschodniej Góry, przetrwała do 1959 roku, odwiedzana przez dziesiątki tysięcy wiernych, którzy zapełniali codziennie jej sto pięć komnat, aby uklęknąć i modlić się przed ołtarzami zamieszkałego w nich tysiąca różnych bóstw.

Wierzono bowiem, że tam właśnie dusze zmarłych muszą stawać przed obliczem zawiadujących pozagrobowymi więzzeniami bogów, aby dowiedzieć się, jakiego rodzaju

męczarniom zostaną poddane za złe uczynki, popełnione za życia. Ta świątynia – największy ośrodek kultu taoistycznego w północnych Chinach – była więc nadzwyczaj ważna; przybywały do niej tłumy ludzi, by modlić się za swoich zmarłych i błagać o łaskawe ich traktowanie w zaświatach. Po zamknięciu świątyni usadowił się tam budzący postrach Urząd Bezpieczeństwa Publicznego, który kontroluje życie każdego obywatela.

– Przynajmniej w tym przypadku komuniści uszanowali ducha miejsca – mówi mi zaprzyjaźniony intelektualista, mieszkający w pobliżu. – Ta świątynia była związana z więzieniami dawniej i jest z nimi związana obecnie.

Świątynia leży tuż za Qijiayuan, najważniejszą dzielnicą cudzoziemców; mówią, że znajduje się tam centrum podsłuchu wszystkich naszych telefonów i lektury całej naszej korespondencji. Wspaniałe niegdyś i ozdobione przepięknym łukiem *pai lou* wejście jest teraz na wpół zakryte rzędem baraków. Pewnego dnia, udając, że się zgubiłem, spróbowałem wejść na pierwszy dziedziniec, zasłonięty – jak często bywa – murem z napisem: „Służyć ludowi”. Zaledwie jednak zrobiłem parę kroków, dwóch gburowatych młodzieńców w cywilu, głuchych na propozycję nawiązania rozmowy, odprowadziło mnie na ulicę. Posągi zniknęły, zburzono kilka budynków, w samym środku głównego dziedzińca wybudowano szkaradny, wielki barak z czerwonej cegły.

W dzisiejszym Pekinie nie istnieje ani jedna prawdziwa świątynia – taka, jakich dziesiątki widuje się w Hongkongu, w Makau lub w jakimkolwiek kraju południowo-wschodniej Azji, gdzie mieszkają Chińczycy; świątynia swobodnie odwiedzana, gdzie nie płaci się za wstęp, dokąd chodzi się pomodlić, zapalić bogom laseczkę kadzidła, zapytać bambusowe pręty o swoją przyszłość, porozmawiać sobie albo porozmyślać.

Nie są przybytkami kultu religijnego trzy świątynie udostępnione obecnie publiczności na Zachodnich Wzgórzach, ani Świątynia Pięciu Pagód, otwarta ponownie po piętnastu latach, w czasie których hodowano w niej psy policyjne. Są one po prostu miejscami rozrywki, celem niedzielnych spacerów. Nie przez przypadek zarządza nimi ten sam dział Urzędu Miejskiego Pekinu, któremu podlegają parki publiczne i ogród zoologiczny.

Znajdującą się w samym centrum stolicy Świątynię Konfucjusza zamieniono w muzeum. Teraz można tam zwiedzić ekspozycję – jest takich wiele – poświęconą jednemu z założycieli partii komunistycznej, a obok niej – wystawę starych brązów,

odnalezionych w śmietnikach; podczas rewolucji kulturalnej ludzie starali się pozbyć posiadanych antyków, aby uniknąć oskarżenia o burżuazyjne gusty.

W Fayuan Si, Świątyni Źródła Prawa, zamienionej w siedzibę Akademii Buddyjskiej, i w Guangji Si, Świątyni Wielkiego Miłosierdzia (znanej też jako Świątynia Rozległej Pomocy), przyjmuje się – wywołując należyte wrażenie – przybywające z zagranicy delegacje buddyjskie. Yonghe Gong, czyli Świątynia Lamów, jak zazwyczaj się ją nazywa, stanowi natomiast atrakcję turystyczną dla grup zwykłych cudzoziemców, które przyjeżdżają w autokarach z klimatyzacją. Nielicznych starych mnichów, krążących po dziedzińcach w barwnych szatach na użytek aparatów fotograficznych, importowano z Mongolii. Strzegący poszczególnych sal młodzi mnisi, którzy czytają czasopisma w rodzaju „Dzisiejsze Kino” albo „Świat Sportu”, wyglądają nie tyle na praktykujących nowicjuszy, ile na przebranych policjantów.

Świątynia Lamów słynęła między innymi ze swoich posągów i erotycznych malowideł, służących mnichom do medytacji nad życiem ludzkim i do sublimowania jego najbardziej naturalnych instynktów. Wiele oryginałów zniknęło – skradziono je, zniszczono lub sprzedano. Kopie umieszczono w żółtych okładkach, by ukryć boskie genitalia i akrobatyczne pozycje spółkujących.

Niekiedy widuje się w tej świątyni turystę z Hongkongu, stawiającego laseczkę kadzidła przed którymś z posągów. Gest, na który żaden zwykły Chińczyk nie może sobie pozwolić chociażby dlatego, że bilet wstępu do Yonghe Gong – jak i do innych świątyń – kosztuje pięćdziesiąt centów, to jest równowartość połowy przeciętnej dniówki. Kadzidło nie jest zresztą w dzisiejszych Chinach składnikiem religijnych obrzędów, a jego święty niegdyś zapach nie kojarzy się już Chińczykom, jak reszcie świata, z atmosferą świątyni lub kościoła. Kojarzy się im z toaletami hotelowymi, gdzie palą kadzidła, aby neutralizować wszechobecny odór cebuli.

Na początku lat sześćdziesiątych komunistom chińskim udało się uczynić ze starego Pekinu miasto bardziej podobne do tego, czym w ich mniemaniu powinna być stolica socjalistycznego państwa.

Nowy reżim miał swoje symbole w wielkich gmachach zbudowanych wzdłuż alei Długiego Pokoju, robotnicy mieli swój ogromny stadion, chłopci – swój gigantyczny Pałac Wystaw (ostatnia wystawa, którą w nim obejrzałem, to wystawa dywanów!),

mniejszości etniczne miały swój Ośrodek Kulturalny, kolejarze mieli swój nowy dworzec.

Wszystkie te budowle były bardzo okazałe. Wśród ludności krążył wtedy następujący dowcip: „Myślałem, że komuniści nie lubią świątyń... – To prawda, nie lubią świątyń innych, więc budują sobie własne”.

Nowy reżim nie naruszył jeszcze wówczas tego, co stanowiło duszę stolicy.

Pekin był miastem, które cechowała prywatność, miastem, gdzie życie każdej rodziny skupiało się na dziedzińcu otoczonym murami, które chroniły ją, oddzielając od reszty świata. Te „domy przy dziedzińcu” (po chińsku *siheyuan*, co znaczy dziedziniec łączący cztery budynki) stały szeregiem jedno obok drugich wzdłuż ulic i zaułków, tworzących na wzór szachownicy tkanę łączną miasta. Ulic było około trzech tysięcy, a zaułków – *hutong*, jak zwą je pekińczycy – „tyle, ile jest włosów w sierści bawoła”.

Owych „domów przy dziedzińcu”, charakterystycznych dla architektury Chin Północnych poczynając od XII wieku, były dziesiątki tysięcy. Na zewnątrz niewielkie, pomalowane na czerwono drewniane drzwi, z kamiennymi rzeźbami po obu stronach, odcinające się na tle jednostajnej szarzyzny murów *hutongu*. Wewnątrz, za ustawionym naprzeciw wejścia murkiem, który zagradzał drogę złym duchom, poruszającym się wyłącznie w linii prostej, delikatna harmonia czterech niskich, jednopiętrowych budynków: czerwono-zielona fasada, dach z szarych, wygiętych dachówek, okna z białego papieru, osadzonego w powycinanych w geometryczne desenie, drewnianych ramkach. Pośrodku dziedzińca drzewo. Za pierwszym dziedzińcem drugi, potem jeszcze jeden, i jeszcze, zależnie od zamożności rodziny.

*Siheyuan* był oazą prywatności, schronieniem indywidualizmu, który nowy reżim musiał zwalczyć, aby naprawdę zawładnąć Pekinem.

W 1966 roku Mao spuścił ze smyczy Czerwoną Gwardię, powierzając jej, obok innych, także i to zadanie. „Ten dom jest dla was za duży. Waszej rodzinie wystarczy w zupełności jeden pokój; pozostałe mają służyć ludowi” – mówili młodzi aktywiści. Powtarzali zawsze to samo, zawsze z takim samym rezultatem.

Bandy młodzieży z czerwoną opaską na rękawie (nosić ją mieli prawo jedynie synowie i córki robotników, chłopów oraz wojskowych), a za nimi tłumy ludzi, wdzierały się do „domów przy dziedzińcu”, aby inscenizować „procesy ludowe” przeciw właścicielom i członkom ich rodzin. Domy opróżniano, konfiskowano majątek.

Ładowano na ciężarówki i wywożono stare, antykwarycznej wartości meble, obrazy, porcelanowe wazony, ubrania, biżuterię, zbiory książek i rodzinne albumy. Resztę wyrzucano na dziedziniec, rozbijano i palono. Każdy dom zamieniał się w pole bitwy; bito ludzi do krwi, często zabijano.

Procesy trwały niekiedy długie dni. W obawie o to, co zdarzy się jutro, wielu wolało zniszczyć swoją własność, sprzedać swoje biblioteki na kilogramy jako papier pakowy lub popełnić samobójstwo. Po zakończeniu procesu przybyłe spoza Pekinu albo z zatłoczonych kwater przyfabrycznych rodziny umieszczano w „domach przy dziedzińcu” obok dawnych właścicieli, którzy stawali się nagle ubodzy i zdesperowani jak wszyscy. Tam, gdzie przedtem mieszkała jedna rodzina, znalazło się ich pięć, czasem dziesięć. Zajmowały każdy kąt, ścinały drzewa, majstrowały sobie budy służące za kuchnie i komórki.

Czerwona Gwardia wykonała swoje zadanie skrupulatnie, dom za domem, zaułek za zaułkiem. Nowy reżim przeniknął w ten sposób do serca stolicy.

Dzisiaj nie ma już ani jednej ulicy, która zachowałaby tę skromną elegancję dawnego Pekinu, to milczące piękno długich, szarych murów okraszonych miejscami lśniąca czerwienią drzwi, drżącym listowiem drzew pomiędzy wygięciami dachów, pod którymi obdarzeni niezwykłą siłą ludzie przez wieki utrzymywali przy życiu wspaniałą cywilizację. Nie istnieje już ani jeden dziedziniec nacechowany wyrafinowaną atmosferą, dokąd uczone zapraszał swoich przyjaciół, aby cieszyć się z nimi rozkwitaniem chryzantem i spędzać noce na pisaniu wierszy dla księżycy.

– Świątynie i pałace stanowiły wyjątkowy aspekt tego miasta, ich zniszczenie oznacza ogromną stratę – mówi jeden z chińskich historyków – lecz to, co Pekin naprawdę zabiło, to zniszczenie codzienności, „domu przy dziedzińcu”.

Zaułki *hutong* wyglądają teraz nędznie, brudno, nieporządnie. „Domy przy dziedzińcu” – ongiś wzór pełnej spokoju harmonii – zamieniły się w zrujnowane, chaotyczne obozowiska, w meandry baraków. Ludzie stłoczeni na tych kilku metrach ubitej ziemi, które pozostały jeszcze wolne na dziedzińcach, gotują tam, myją się, pracują i bawią z dziećmi wśród rozstawionych w nieładzie rowerów, kuchenek, stosów cegieł i węgla, nad którymi suszy się porozwieszana bielizna. Nad odrapanymi wejściami do wielu „domów przy dziedzińcu” – nikt nie troszczy się już o to, aby je odmalować – widnieją

jeszcze stare slogany: „Socjalistyczny dziedziniec to szczęście”. Na innych ścianach wypisano hasła nowsze i bardziej realistyczne: „Założ kłódkę na rower i uważaj na złodziei”.

Redakcja „Dziennika Ludowego”, zdając sobie sprawę z trudności, których przyczyną jest to przymusowe współżycie wielkiej liczby różnych ludzi, poświęciła ostatnio całą stronę opisaniu sytuacji „wzorowej”, mającej być przykładem dla wszystkich. Tytuł artykułu brzmiał: *Dziewięć rodzin jak jedna*. Opowiadał on historię trzydziestu dziewięciu osób należących do dziewięciu różnych rodzin, które przez długie lata dzieliły w wielkiej zgodzie skąpą przestrzeń, jedyne pomieszczenie kuchenne z dziewięcioma kuchenkami i dwoma kranami. „Ich przestrzeń życiowa była bardzo ograniczona, ale bardzo obszerna była ich przestrzeń duchowa” – podsumował organ prasowy partii. W rzeczywistości stosunki między zajmującymi wspólne mieszkania rodzinami są bardzo napięte. Rewolucja kulturalna odbyła się w latach sześćdziesiątych, ale starzy mieszkańcy „domów przy dziedzińcu” nadal uważają nowych lokatorów za intruzów, zaś ci ostatni widzą jeszcze w dawnych właścicielach „wrogów klasowych”, których słusznie wywłaszczono. W dalszym ciągu jedni podejrzewają drugich, ludzie mówią szeptem nawet w gronie rodziny, z obawy, że zostaną podsłuchani i ewentualnie zadenuncjowani przez sąsiadów. Pewien cudzoziemiec chciał podarować kurczaka choremu chińskiemu przyjacielowi, ale ten odmówił, tłumacząc, że gdyby na dziedzińcu rozszedł się zapach pieczonego drobiu, inni lokatorzy zasypaliby go pytaniami i donieśli władzom o jego „nielegalnych kontaktach”.

– Od czasów rewolucji kulturalnej żyjemy w warunkach urągających wszelkiej przyzwoitości – mówi niemłody intelektualista, który mieszka jeszcze w swoim „domu przy dziedzińcu”, ale w towarzystwie dwudziestu trzech innych rodzin; ponadto mieści się tam fabryczka.

Co dzień rano ów starszy pan musi przejść pięćdziesiąt metrów, aby stanąć w kolejce do dzielnicowego ustępu, podczas gdy skorupy wyposażenia jego skromnej, lecz funkcjonalnej łazienki leżą w rogu podwórza, bo Czerwona Gwardia zniszczyła ją jako symbol „burżuazyjnego indywidualizmu”. Dzieje pekińskich ubikacji ilustrują wzorowo absurdalną politykę niedawnej przeszłości. Jeszcze jedna budząca rozpacz historia. Kiedy budowano „domy przy dziedzińcu”, nie miały one kanalizacji (duża część Pekinu



nie dysponuje nią do dzisiaj), ale w latach trzydziestych i czterdziestych wiele rodzin pozakładało sobie ubikacje, a oprócz nich nawet prawdziwe łazienki z wodą podgrzewaną za pomocą piecyków opalanych drewnem. Wszystkie te udogodnienia niszczone systematycznie w latach 1966–1968, kiedy to na fali ogromnego rewolucyjnego entuzjazmu powstał nowy wynalazek, który dziś jeszcze zasmradza ulice Pekinu: dzielnicowe latryny. Są to baraczki z szarej cegły, ustawione co dwieście lub trzysta metrów w zaułkach. Po jednej stronie jest wejście dla kobiet, po drugiej dla mężczyzn, w środku zaś jeden brudny, cuchnący rów. Brak nawet oddzielających miejsca ścianek.

W dzisiejszym Pekinie tuż za pompatyczną aleją Długiego Pokoju nikogo nie dziwi widok ludzi stojących rano w kolejce do ustępu, nieraz dzierżących nocniki, które zamierzają opróżnić. Pekińskie gazety publikują często listy czytelników uskarżających się, że latryna w ich dzielnicy nie jest wypróżniana od miesięcy, że od smrodu tracą apetyt, że nie zastąpiono jeszcze skradzionych stamtąd żarówek i że w nocy łatwo się tam przewrócić na śliskiej podłodze. Miejski Urząd Higieny powołał niedawno specjalną jednostkę, złożoną z siedmiuset pięćdziesięciu osób; jej zadaniem jest między innymi zwracać uwagę na ludzi, którzy kradną „drzwi, okna i haki ze ścian dzielnicowych toalet”.

Warunki życia w Pekinie nieprędko ulegną poprawie. Od 1949 roku po dzień dzisiejszy liczba mieszkańców miasta niepomrotnie wzrosła, a z wyjątkiem kilku „domów uproszczonych” (czyli bez łazienek i kuchni), powstałych w okresie rewolucji kulturalnej, przez dwa ostatnie dziesięciolecia nie budowano tam w ogóle lokali mieszkalnych. Dopiero od 1980 roku rząd zaczął się troszczyć o zakwaterowanie ludności stolicy. W 1949 roku liczyła ona milion dwieście tysięcy osób, obecnie – dziewięć milionów dwieście tysięcy.

Kiedy komuniści obejmowali władzę, na każdego pekińczyka przypadało przeciętnie jedenaście i dwie dziesiąte metra kwadratowego powierzchni mieszkalnej. Dzisiaj ma do dyspozycji tylko trzy i pół. Zamiast mieszkań dla ludności, komuniści woleli budować ogromne, imponujące gmachy reprezentacyjne i siedziby organów swojej administracji.

W całych Chinach rzuca się od razu w oczy kontrast między olbrzymimi, praktycznie niewykorzystanymi budowlami publicznymi a maleńkimi pomieszczeniami na użytek

prywatny.

Na przykład Centrum Wystaw Przemysłowych, Pałac Rolnictwa i Muzeum Wojska to po prostu marnotrawstwo przestrzeni, bo przeważnie stoją całkiem puste. Różne ministerstwa i biura Urzędu Miasta dysponują ogromnymi pokojami konferencyjnymi oraz salami do gry w ping-ponga, podczas gdy ich urzędnicy mieszkają ściśnięci jak sardynki w puszcze daleko od miejsca pracy, w prymitywnych warunkach.

Wszystkie kapitały i wysiłki, które powinno się było wykorzystać na rozbudowę i odbudowę Pekinu, zostały natomiast roztrwonione... pod Pekinem.

Historia tuneli pod stolicą – oraz pod wszystkimi innymi miastami Chin – to jeszcze jeden dowód politycznego obłędu, który może skazać na nędzę cały naród. Mao rzucił hasło: „Wkopujcie się w głąb ziemi. Kryjcie wszędzie zboże. Zabezpieczajcie się przed nieszczęściami i wojną”. Prace rozpoczęto w 1969 roku.

– Nie było maszyn, musieliśmy kopać ręcznie. Wszyscy zgłaszali się na ochotnika – opowiada Dai Jinshen, kierownik Biura Tuneli i Obrony Przeciwlotniczej Pekinu. – Nie mieliśmy żadnego doświadczenia, ale jakoś dawaliśmy sobie radę.

Dzień w dzień po normalnych godzinach pracy miliony ludzi uzbrojonych w motyki, łopaty i kilofy kopały pod swoimi fabrykami, szkołami, szpitalami i sklepami. Małymi taczkami wywożono setki ton ziemi. Miliony cegieł, tysiące worków cementu i kilometry żelaznych prętów pochłonał ten niesamowity labirynt korytarzy, podziemnych przejść i placów postojowych, rozciągający się we wszystkich kierunkach pod powierzchnią Pekinu jak gigantyczne mrowisko.

Chodziło o to, że Chiny stały jakoby w przededniu agresji ze strony Związku Sowieckiego. Gdyby ona nastąpiła, ludność mogłaby łatwo skryć się w tunelach i uciec nimi za miasto, na pola. Wejścia do tego podziemnego świata znajdują się wszędzie: za ruchomą ścianą w domu towarowym, na dziedzińcu szkoły, w fabrycznej stołówce i w bloku mieszkalnym.

Przez długie miesiące Chińczycy kopali bez ustanku. Rezultatem było olbrzymie marnotrawstwo. Gdyby naprawdę wybuchła wojna, wykonane w ten sposób schrony nie wytrzymałyby zwykłego nalotu dywanowego, nie mówiąc już o wybuchu jednej tylko bomby atomowej.

W 1979 roku – roboty poszerzające jeszcze trwały – zrozumiano wreszcie, że cały ten

projekt jest kolosalną pomyłką. Olbrzymi podziemny potwór stał się problemem dla nowych władz.

Część tuneli zamieniono w atrakcję turystyczną. Organizuje się ich zwiedzanie z przewodnikiem („Fotografowanie jest surowo zabronione” – słyszą uczestnicy wycieczek podczas podziemnego spaceru; potęguje to nastrój tajemniczości), otwarto tam sklepy z pamiątkami dla dwóch tysięcy cudzoziemców, schodzących co roku do tych bunkrów przez właz w podłodze jednego z wielkich sklepów galanterijnych w dzielnicy Dazhalan. Inne części tuneli użytkuje się jako magazyny położonych nad nimi sklepów, jako pomieszczenia sypialne dla pracowników różnych jednostek, jako warsztaty i fabryczki, jako przyzakładowe stołówki. Pewna jednostka z zachodnich dzielnic odkryła, że wilgotne, nieruchome powietrze w schronach sprzyja uprawie pieczarek, i produkuje ich teraz dwieście pięćdziesiąt kilogramów rocznie.

Chociaż z wojskowego punktu widzenia ta podziemna sieć nie ma żadnego znaczenia, wszystkie informacje jej dotyczące są jeszcze objęte tajemnicą. W każdym razie szacuje się, że istnieje co najmniej trzydzieści kilometrów cementowanych tuneli, przejezdnych dla ciężarówek. Najbardziej widocznym rezultatem tych robót ziemnych jest niedostatek wody pitnej w Pekinie. Żłobienie tuneli zakłóciło układ warstw wodonośnych i naturalną równowagę między poszczególnymi źródłami.

Pekin był kiedyś miastem rozrywek, wesela i przyjemności, miastem wielkich uroczystości i wspaniałych targów. W wyznaczone dni świętowano tam początek wiosny, składano hołd gwiazdom, czczono księżyc, urządzano festiwale papierowych lampionów, wystawiano na słońce zimową odzież. Ulicami przechodziły codziennie konduktory pogrzebowe i pochody weselne, odbywały się przeróżne ceremonie. Przed szeregami sklepów, ozdobionych chorągwiami i napisami, bezustannie trwało barwne, żywiołowe widowisko.

Ulice Pekinu pozbawione obrzędów, festiwali i dorocznych świąt, bez ozdobnych festonów i szyldów utraciły w dużej mierze swój specyficzny charakter. Ludzie nie biegną już, aby się przekonać, co oznacza dźwięk trąby lub bicie w gong. Teraz biegną często po to, aby się przypatrzeć dwóm rowerzystom, którzy wpadli na siebie i zawzięcie się kłóć, wyładowując w ten sposób wezbraną z wielu innych powodów

złość.

Po Wyzwoleniu nowy reżim obchodził przez pewien czas swoje święta, witał uroczyście swoich przywódców, upamiętniał rocznice. Później zaprzestano stopniowo i tego. W rezultacie życie uliczne Pekinu – niegdyś jednego z najbardziej urzekających miast świata – toczy się w jednostajnym rytmie, przepełnione nudą.

Dzień milionów pekińczyków niemających jeszcze w domach bieżącej wody zaczyna się następująco: ze szklanką w jednej, a szczoteczką w drugiej ręce myją zęby i płuczają usta na chodniku. Potem stoją w kolejce, aby zjeść śniadanie, aby wsiąść do autobusu, aby kupić ryby, warzywa, mleko, pastę fasolową, i wreszcie – by wrócić do domu. Przyjemności mają mało albo w ogóle żadnych.

Przed 1949 rokiem na uliczkach wokół Targu Perłowego znajdowało się dwieście trzydzieści siedem domów publicznych z ponad tysiącem prostytutek. Komuniści zaraz po wkroczeniu do miasta oznajmili, że nie będą takiej sytuacji tolerować, ale ludzie im nie uwierzyli i wszystko zostało po staremu. Nie na długo jednak.

Pewnego wieczoru w 1950 roku komunistyczne wojsko otoczyło niespodzianie dzielnicę Ośmiu Zaułków, aresztowało setki osób, a stawiających opór rozstrzelało na miejscu. prostytutki wysłano do obozów pracy i reformy myśli. Po niedługim czasie pojawiły się ponownie, aby odgrywać rolę nawróconych, dowodząc, jak straszne było ich życie pod dawnymi rządami i jak wspaniałe jest ono teraz, za nowej władzy.

W dzisiejszym Pekinie nie ma już domów publicznych i prawdopodobnie tylko niewielka część mieszkańców stolicy tego żałuje. Wszyscy żałują za to zniknięcia wielu innych rzeczy, które sprawiały, że życie w mieście było kiedyś przyjemne i wesołe.

W 1949 roku w obrębie murów miejskich znajdowało się dziesięć tysięcy restauracji. Teraz jest ich tylko tysiąc siedemset na użytek ludności, której liczba tymczasem wzrosła ośmiokrotnie. Pekin słynął ze swoich kucharzy. Dzisiaj dobrą chińską kuchnią można się cieszyć wyłącznie w kilku bardzo specjalnych restauracjach „tylko dla cudzoziemców”, gdzie rachunki są wystawiane w obcej walucie. W „jadłodajniach dla mas” – taką nazwę noszą pozostałe – można napełnić sobie brzuch i tyle.

Warunki higieniczne w tych ostatnich lokalach, do których turyści zagląдают nader rzadko, są przerażające, mogą przyprawić o mdłości. Na podłodze warstwa zmieszanych resztek jedzenia i plwocin, stoły przykryte lepкими od brudu, plastikowymi obrusami,

które od czasu do czasu przeciera się nieświeżą szmatą. Klienci zmuszeni są jeść w pośpiechu, za ich plecami stoi szereg innych, którzy liczą im kęsy, dopóki nie wstaną i nie zwolnią miejsca. Wielu niecierpliwych pożywia się, siedząc w kucki na podłodze z miską w rękę; nad nimi czatują żebracy, zlewający do plastikowych woreczków pozostałość każdej niedojezionej zupy.

Po Pekinie krąży niewielu żebraków (ludzie mówią, że policja rozciągnęła wokół miasta swego rodzaju kordon sanitarny, aby trzymać ich z dala), ale nie sposób ich nie zauważyć w miejscach takich, jak dworzec kolejowy czy zatłoczone ulice na południe od Qianmen, lub wreszcie nocą, kiedy w ciemnych zaułkach grzebią w stertach śmieci.

Pekińskie noce pozbawione są już pokus. Miasto kładzie się do snu mniej więcej o zachodzie słońca. Restauracje zamykane są z reguły o ósmej, ale z wielu wyrzuca się ludzi już od siódmej trzydzieści, kiedy kelnerzy zaczynają zmywać podłogę wodą, wylewaną z wiader prosto pod nogi klientów. Prywatne potańcówki, które pozwolono organizować młodzieży w latach 1978–1980, zostały ponownie zakazane „ponieważ zakłócają normalne życie mas” i dlatego że grana podczas nich muzyka uchodzi teraz za „pornograficzną”.

Kin i teatrów jest w Pekinie niewiele (sześćdziesiąt dziewięć na całe miasto), filmów do wyboru nie ma zwykle więcej niż pięć lub sześć. Bilety trzeba kupować przynajmniej o dzień wcześniej, często za pośrednictwem swojego zakładu pracy. Mieszkańcom, którzy nie chadzają spać z kurami, miasto ma do zaoferowania jedynie mizerne światło neonowych latarni, pod którymi zbierają się grupki ludzi, aby grać w karty lub w szachy.

W dawnym Pekinie nawet w najgorszych latach wojny domowej i japońskiej okupacji dało się zawsze znaleźć jakieś miejsce, gdzie można było poszukać ucieczki przed rozpaczą, próbować się zabawić.

Dzielnica Tianqiao (Most Niebiański) na wschód od Świątyni Nieba była pełna teatrów, herbaciarni, palarni opium, gospód, hotelików i domów noclegowych dla robotników, rikszarzy i żebraków. Tam właśnie udaje się bohater powieści Lao She *Rikszarz*, ogarnięty rozpaczą po śmierci żony, chory, bez sił do pracy. Tam gubi się wśród straganów z żywnością, grup akrobatów, grajków i pieśniarzy, aby poczuć się znowu jak człowiek między innymi, podobnymi sobie nędzaczami.

Obecnie całkiem unowocześniona Tianqiao jest dzielnicą jak wszystkie inne. Jedyne ślad jej przeszłości to teatr o tej samej, nadanej mu przed laty nazwie, w którym wystawia się jednak przeważnie folklorystyczne spektakle dla turystów.

Do czasów rewolucji kulturalnej istniały jeszcze w Pekinie herbaciarnie. Zwłaszcza w zimie siadano tam sobie przy kupionej za kilka centów pełnej filiżance dymiącego napoju i talerzyku solonych nasion słonecznika, aby słuchać godzinami ulicznych pieśniarzy, sławiących pamiętne czyny dawnych bohaterów. Potem herbaciarnie zamknięto i dopiero niedawno pozwolono kilka otworzyć, mogą więc prowadzić nadal swoją tak miłą ludziom działalność. Jedna znajduje się dokładnie tam, gdzie była kiedyś łąka, na której przeprowadzano egzekucje, druga – w Wieży Bębnow na północy miasta.

Reaktywowano również operę pekińską, zapewniającą najbardziej popularną w Chinach Północnych formę rozrywki, a podczas rewolucji kulturalnej w praktyce nieistniejącą. Nie jest teraz ona jednak tym, czym dawniej była, i nigdy ma już taka nie być. Opera pekińska ze swoim bogatym repertuarem (około dwóch tysięcy sztuk) była przez prawie tysiąc lat najważniejszym „pasem transmisyjnym” chińskiej kultury ludowej. Od wędrownych trup aktorskich, występujących podczas świąt religijnych lub na jarmarkach, Chińczycy uczyli się swojej historii, swojej literatury, przyswajali sobie poezję. Ta forma sztuki odzwierciedlała oczywiście feudalizm i wywierała wpływ na światopogląd widzów. Dlatego po 1949 roku komuniści uznali za konieczne ustanowić nad nią kontrolę.

Zredukowali przede wszystkim repertuar, ograniczając go do około tuzina oper. Nie można było rzecz jasna wystawiać sztuk, w których szlachta i urzędnicy starego reżimu występowali na scenie w pozytywnych rolach, kiedy w rzeczywistości tysiące właścicieli ziemskich i im podobnych stawiano przed sądami ludowymi, oskarżano o wszelkie możliwe zbrodnie i najczęściej wysyłano przed oblicze Stwórcy strzałem w tył głowy. Ostateczny szturm na operę pekińską przypuszczono podczas rewolucji kulturalnej: aktorzy zostali wtedy uwięzieni albo wysłani do obozów reedukacji przez pracę.

W ciągu ostatnich trzech lat opera pekińska – nie tylko ona zresztą – została ponownie odkryta. Jednak pod pretekstem, że w swoim dawnym kształcie nie może podobać się dzisiejszej młodzieży, „zmodernizowano” ją i w konsekwencji

„zamordowano” – według określenia pewnej zagranicznej badaczki tej starej formy sztuki chińskiej. Tradycyjne tematy dostosowano do aktualnej linii politycznej. Wyliminowano duchy i zjawy, ponieważ „nie są rzeczywiste, stanowią tylko wytwór przesądu”. Oglądani na scenie cesarze i mandaryni nie mogą mieć więcej niż po jednej żonie, ponieważ bigamia jest nielegalna, zaś młodzieniec, który w oryginalnym tekście śpiewał: „Mam lat dwadzieścia i nie mam jeszcze żony”, śpiewa teraz „Mam lat trzydzieści...”, bo zdaniem partii w takim właśnie wieku należy się żenić.

Pekin był miastem krawców, fryzjerów, stolarzy i wszelkiego rodzaju rzemieślników, słynących ze swojej sprawności i szybkości wykonywania usług. Teraz tak już nie jest. Przeciętny Chińczyk musi czekać zwykle siedem miesięcy na uszycie ubrania; „Pekiński Dziennik Wieczorny” i „Wieczór Pekinu” zamieściły dziesiątki listów od czytelników, którzy po wielu wyrzeczeniach i długim staniu w kolejkach znaleźli się w posiadaniu zbyt ciasnych, niedających się wciągnąć na nogi spodni i dwa razy za dużych marynarek.

Na ulicy Wangfujing, przed zakładem krawieckim Lantian, uchodzącym za trochę lepszy od innych, już o piątej rano ustawia się kolejka młodych ludzi. Będą czekać na wydanie numerka, który umożliwi im wejście do środka po otwarciu o godzinie dziewiątej. Lantian przyjmuje tylko dwudziestu pięciu klientów dziennie. Jedyne zakłady krawieckie, który próbuje jeszcze jako tako dbać o swoją klientelę, to Hongdu – Czerwona Stolica – przy dawnej ulicy Misji Dyplomatycznych, tam, gdzie kiedyś wznosił się hotel Wagons Lits. Klientami Hongdu są wyłącznie cudzoziemcy, dostojnicy partyjni i członkowie oficjalnych delegacji chińskich, którzy zaopatrzeni w wydane przez swoją „jednostkę” bony, pobierają tam ubrania na wyjazd za granicę (dawniej trzeba było po powrocie takie ubrania zwracać; teraz już nie, co jest jedną z wielu korzyści, jakie niesie ze sobą udział w oficjalnej delegacji). W zakładzie tym sztyto dla Mao jego słynne kurtki o rękawach sięgających do połowy dłoni.

– To on takich sobie życzył – tłumaczy się krawiec obsługujący wówczas Przewodniczącego.

W Pekinie były kiedyś tysiące sklepów. Po Wyzwoleniu część z nich zlikwidowano ze względów ideologicznych, wiele zamknięto z innych przyczyn. Władze jak zwykle miały

na celu zastąpienie istniejącego porządku ustrojem socjalistycznym. Przed 1949 rokiem było na przykład w Pekinie ponad trzysta księgarń wyspecjalizowanych w sprzedaży książek używanych i antykwarycznych; nie przetrwała ani jedna z nich. Na starej ulicy Liulichang od stuleci stały jeden obok drugiego sklepiki odwiedzane przez uczonych, kolekcjonerów i artystów; można tam było kupić starodawny rękopis i równie stare malowidło na zwoju, najlepsze pędzle i najlepszy papier do malowania. W 1981 roku ulicę tę zrównano z ziemią, a na jej miejscu powstaje swego rodzaju „hollywoodzka wersja dawnego Pekinu” na użytek turystów.

W 1949 roku istniały w Pekinie siedemdziesiąt dwa tysiące trzysta trzy sklepy, zatrudniające łącznie sto piętnaście tysięcy osób. Obecnie, mimo wzrostu liczby mieszkańców stolicy, placówek takich jest tam mniej niż dziesięć tysięcy i mają łącznie stodwadzieścia tysięcy pracowników. W dawnej dzielnicy handlowej śródmieścia małe przedsiębiorstwa wyspecjalizowane w sprzedaży lub w wytwarzaniu pewnych artykułów skupiały się przy poszczególnych ulicach. Były tam więc zaułki Nefrytu, Lampionów, Jedwabnych kwiatów, Futer, Kapeluszy, Trumien. Niektóre z tych ulic istnieją jeszcze i zachowały nawet tradycyjne nazwy, ale po sklepach i warsztatach nie ma już śladu.

Małe firmy, których właściciele wstawali co rano z całą rodziną, zastanawiając się, jak sobie radzić dalej, jak wykonać określoną pracę i zrównoważyć przychód z rozchodem, zespolono w wielkie przedsiębiorstwa państwowe, gdzie ludzie wykonują bezosobowo i bez żadnego zaangażowania swoje zadania w ramach działalności kolektywnej.

Chińczyk chcący dać do naprawy krzesło albo stół nie znajdzie dzisiaj w całym Pekinie ani jednego stolarza, a jeśli chciałby sam sobie taki mebel zмайstrować, również by mu się to nie udało. W dziewięćmilionowym mieście osoba prywatna nie może kupić kawałka drewna lub żelaza, plastikowej rury czy paska gumy. Jeśli zamierza nabyć trochę szkła, powinna zaopatrzyć się w zaświadczenie od swojej „jednostki”, określające, po co jej to szkło i ile go jej potrzeba.

Oto jeden z powodów, dlaczego w pekińskich domach przeciekają dachy, wybite szyby w oknach zastępuje się kawałkami tektury lub plastikowymi woreczkami i dlaczego nawet nowe mieszkania szybko ulegają zniszczeniu. Ich należyta konserwacja



ze strony użytkowników nie jest zresztą w ogóle możliwa, lokale te są własnością państwa.

– Cegiel nie ma w sprzedaży, więc je kradnę – powiedział mi kiedyś człowiek, który za pomocą zaprawy z gliny z wodą (osoby prywatne nie mogą nabyć także cementu) murował sobie obok wejścia do domu składzik, aby przechowywać tam w zimie kapustę.

Najprostsze meble, takie jak łóżko i szafa, sprzedaje się tylko nowożeńcom; aby dokonać zakupu, należy udać się do specjalnego sklepu i przedstawić świadectwo ślubu. Dlatego mieszkańcom wsi, gdzie łatwo o drewno, opłaca się pokonywać dwieście albo i trzysta kilometrów dzielące ich od Pekinu, by przewieźć na rowerach, z trudem utrzymując równowagę, fotele i tapczany na sprzedaż, pokryte szkaradnym, ale bardzo tutaj cenionym plastikiem.

Od czasu do czasu zdarza się, że w jakimś sklepie niespodziewanie pojawi się towar, którego na rynku od miesięcy brakowało. Ludzie rzucają się na to i cały zapas bardzo szybko znika. Wychodząc z domu, pekińczycy mają więc zwyczaj wkładania do portfeli wszystkich swoich oszczędności na wypadek, gdyby trafiła się im wyczekiwana od dawna okazja.

Wielkie domy towarowe, które dzięki obfitości asortymentu wywierają zawsze bardzo korzystne wrażenie na odwiedzających miasto cudzoziemcach, mają w ofercie wszelkiego rodzaju artykuły codziennego użytku: od mydła po garnki, od plastikowych toreb po swetry i niebieskie lub zielone spodnie. Aby jednak kupić niektóre racjonowane jeszcze produkty spożywcze, jak ryż, mięso i olej, trzeba mieć na nie talony, odstać swoje w kolejce i zadowolić się tym, co akurat jest w sklepie. Nie zawsze towary wystawione w witrynach są w sprzedaży.

W pobliżu ambasady sowieckiej ogrodnicy od lat sprzedają tanio świeże warzywa, aby „rewizjoniści” uwierzyli, że w taki sam sposób zaaprowidowane jest całe miasto.

Dwa miesiące temu pekińczycy ujrzeli na wystawie sklepu mięsnego we wschodniej dzielnicy coś niezwykłego: piękne, chude mięso. Wpadli w pośpiechu do środka. „Nie, nie. To nie na sprzedaż – usłyszeli. – To tylko ze względu na inspekcję”. Kilka osób wróciło do sklepu po południu, kiedy wyszedł już stamtąd komitet mający zbadać jakość towaru. Tym razem powiedziano im: „Nie, tego mięsa nie sprzedajemy. Jest zastrzeżone dla tylnych drzwi”. Wtedy rozżłoszczeni klienci napisali list do „Dziennika Ludowego”.

Wyrażenie „tylne drzwi” jest powszechnie używane przez Chińczyków na określenie sposobu, w jaki przeciętny obywatel może uzyskać rzeczy w normalnym trybie dla niego niedostępne. „Wejść tylnymi drzwiami” oznacza mieć dobrego znajomego w kierownictwie „jednostki” albo znać partyjnego urzędnika lub jego syna, którzy skłonni są pomóc, wyświadczyć przysługę... oczywiście nie za darmo. W dzisiejszych Chinach „tylnymi drzwiami” załatwia się wszystko: wizytę u dobrego lekarza, przyjęcie do dobrej szkoły, zdobycie dobrej posady, wyrobienie sobie paszportu. Ta rozpowszechniona już w całym kraju forma korupcji tłumaczy się z jednej strony niezwykle szybkim wzrostem liczby ludności, poczynając od 1949 roku, z drugiej – niezdolnością władz do dotrzymania kroku temu wzrostowi.

Tylko dla połowy pekińskich dzieci wystarcza miejsc w przedszkolach. Szkoły są przepełnione, lekcje odbywają się także po południu. W szpitalach jest taki natłok pacjentów, że chorzy często muszą czekać tygodniami na łóżko i na operację. Stąd wynika potrzeba uzyskiwania w szczególny sposób tego, na czym ludziom zależy.

W pekińskich szpitalach jest zaledwie trzydzieści dwa tysiące łóżek dla ogółu ludności, ale dla kadry partyjnej i wojskowej zarezerwowano ich dziesięć tysięcy w specjalnych klinikach. Chorego, który musi szybko trafić do szpitala, wiezie się na drewnianym wózku ciągniętym przez rowerzystę, ponieważ z nielicznych miejskich karetek pogotowia mogą korzystać jedynie wysocy rangą urzędnicy.

Wiele podobnych spraw daje się wytłumaczyć faktem, że Chiny są jeszcze krajem biednym, lecz niemało wynika po prostu z absurdalnych pobudek ideologicznych. Zabroniono na przykład obywatelom wykonywania pewnych zawodów, jak tragarz i rikszarz, uznanych za „upokarzające” i symbolizujące dawny porządek społeczny.

W Pekinie jest dzisiaj wielu młodych bezrobotnych, ale dziesiątki tysięcy pasażerów, przybywających codziennie z całych Chin na centralny dworzec kolejowy, nie znajdują absolutnie nikogo, kto pomógłby im nieść bagaże. Nie ma już tragarzy, bo nie wypada, aby jeden człowiek nosił drugiemu walizki. W autobusach miejskich, zawsze zatłoczonych do ostatecznych granic, gwałtowne nieraz kłótnie między zdenerwowanymi pasażerami są na porządku dziennym.

W 1957 roku było w Pekinie jedenaście tysięcy riksz, za skromną opłatą przewożących po dwie lub trzy osoby do każdej części miasta. Podczas rewolucji

kulturalnej zlikwidowano ten środek transportu jako „burżuazyjny przeżytek”. W październiku 1980 roku nie bez pewnego zakłopotania dopuszczono znowu riksze do ruchu miejskiego, ograniczając jednak z góry ich liczbę (obecnie siedemset pięćdziesiąt).

Ze wszystkich przeprowadzonych przez Deng Xiaopinga reform najważniejsze dla codziennego życia stolicy jest ponowne udostępnienie klienteli małych targów prywatnych, gdzie przybywający z otaczających Pekin gmin chłopi sprzedają produkty z własnych działek przyzagrodowych, polepszając zaopatrzenie miasta w warzywa i jajka. Pracownicy urzędów publicznych wykorzystują teraz piętnastominutową przerwę poranną, przeznaczaną przedtem na gimnastykę pod gołym niebem, aby popędzić rowerem na jedno z targowisk i zaopatrzyć się w cebulę i kapustę.

– To także swojego rodzaju gimnastyka – mówią.

Dawny Pekin przypominał ogromny skarbiec, w którym przez wieki składano zwożone ze wszystkich zakątków cesarstwa wspaniałe dzieła sztuki, cuda i osobliwości. Zakazane Miasto było olbrzymim muzeum. Na miano muzeów zasługiwały też pałace książąt i mandarynów, a także bardzo wiele domów należących do zwykłych ludzi.

Kiedy nacjonałiści uciekali na Tajwan, z rozkazu Czang Kaj-szeka wielkie kolekcje Zakazanego Miasta przewieziono do Muzeum Narodowego w Tajpej, gdzie znajdują się do dziś, zachowane w dobrym stanie. „Dla Chin oznacza to stratę równą tej, jaką byłaby dla kultury europejskiej utrata Luwru” – jak to ujął pewien zagraniczny historyk sztuki. Reszta skarbów zgromadzonych w pałacach, świątyniach i prywatnych domach uległa zniszczeniu podczas kolejnych kampanii politycznych ostatniego dwudziestolecia. Ucierpiało szczególnie wszystko to, co miało związek z religią.

Obecnie restauruje się i otwiera ponownie niektóre na wpół zdewastowane świątynie, ogołoczone przedtem ze wszystkich posągów, obrazów i dzwonów. Wiele trudności nastrecza znalezienie dla nich nowego wyposażenia.

Z całkowicie zrujnowanego wiejskiego przybytku pochodzi osiemnaście posągów pustelników, ustawionych teraz w świątyni Guangji Si (Świątyni Wielkiego Miłosierdzia), gdzie podczas rewolucji kulturalnej więziono wszystkich mnichów z obszaru Pekinu. Znajdujące się tam statuy Buddy przewieziono z pewnego podmiejskiego klasztoru. Obok w oszklonej gablocie umieszczono szkaradne zbiorowisko

plastikowych Buddów różnych rozmiarów – podarunków zagranicznych delegacji, które odwiedziły ostatnio Pekin. Ogromna, wspaniała statua Buddy Siakjamuniego z miedzi, stojąca obecnie pośrodku Fayuan Si (Świątyni Źródła Prawa), znajdowała się przedtem w wiejskim sanktuarium, które chłopci zdołali obronić przed niszczycielskim szaleństwem Czerwonej Gwardii. Posąg jest tak wysoki, że aby go zmieścić pod dachem głównego pawilonu, trzeba było wyłobić w podłodze dół na piedestał. Piękny Leżący Budda, długości siedmiu metrów, został odnaleziony w jakimś garażu, dokąd trafił po tym, jak podczas budowania nowej drogi zburzono świątynię, w której spoczywał od epoki Ming. Aby zmieścić się w tym garażu, musiano mu niestety odpiłować podpierające głowę ramię.

W domach prywatnych nie pozostało nic, absolutnie nic z dawnych czasów; nie ma żadnego stołu, krzesła, wazonu, obrazu, zegara czy niewielkiego nawet zbioru starych książek.

– To, co udało się uratować, ludzie sprzedają wam, cudzoziemcom – powtórzył mi kilkakrotnie człowiek, którego mienie skonfiskowała lub zniszczyła Czerwona Gwardia.

Do sprzedawania starych mebli cudzoziemcom upoważniony jest wyłącznie tak zwany Sklep Teatralny, znajdujący się o kilka kroków od hotelu Pekin, oraz dwie inne placówki handlowe: jedna na ulicy Wangfujing, druga przy Świątyni Nieba. Zdarza się nieraz, że niemłodzi już mieszkańcy miasta rozpoznają tam na wystawach przedmioty odebrane im przez Czerwoną Gwardię. Na przedmieściach stolicy stoją ogromne szopy, w których złożono skonfiskowane podczas rewolucji kulturalnej przedmioty. Pokazuje się je teraz i sprzedaje hurtem nowojorskim i londyńskim antykwariuszom.

Niektórym rodzinom, zrehabilitowanym po powrocie do władzy Deng Xiaopinga, zwrócono część zagarniętego mienia, ale dzisiaj nikt nie wie już, co z taką starzyzną robić. Ludzie nie mają na nią miejsca w małych mieszkaniach, młodzieży się nie podoba. Jedynym rozwiązaniem jest sprzedaż, ale nie w drodze prywatnej transakcji – to jest zabronione. Wolno za to odstąpić swoją własność państwu za ułamek sumy, za którą sprzeda ją ono potem cudzoziemcom w upoważnionych sklepach.

Chiny potrzebują dzisiaj na gwałt obcej waluty. Dlatego nawet te drobne przyjemności, do których ludzie byli przyzwyczajeni – jak używanie terakotowego czajnika z Yixingu czy ceramicznego pudełka na pędzelki z Hunanu – stają się w coraz

większym stopniu luksusem.

Jeszcze kilka lat temu takie właśnie wyroby rzemieślnicze były w sprzedaży prawie wszędzie, po bardzo niskiej cenie. Teraz przeznaczają się na eksport, a Pekinńczycy nie mogą ich już zdobyć.

Do innych drobnych przyjemności mieszkańców Pekinu zaliczało się dawniej chowanie zwierząt. Psy, gołębie, świerszcze i słowiki dostarczały mnóstwa rozrywki starym i młodym. To również nie podobało się maoistowskiemu reżimowi.

Najpierw rozprawiono się z psami. Rozkaz został wydany w 1950 roku.

Peter Lum, żona angielskiego dyplomaty przebywającego wówczas w Pekinie, tak opowiada o masakrze psów we wspomnieniach wydanych pod tytułem *Peking 1950–1953*: „Wpychano je do karetek podobnych do wózków do wywożenia śmieci i zabierano gdzieś, żeby je podusić albo zatłuc kijami. Z karetek wyciekała na ulicę krew, psy miały się wewnątrz i głośno szczekały”.

Masakra psów wywołała wśród mieszkańców stolicy duże niezadowolenie; aby udobruchać obywateli, władze komunistyczne ogłosiły, że wykonawcy pojęli ich zarządzenia zbyt dosłownie. Akcja eksterminacyjna rozwijała się jednak nadal i niebawem w Pekinie nie było już psów. Oficjalne wyjaśnienie brzmiało, że wśród zwierząt szerzyła się wścieklizna, stanowiły więc zagrożenie dla ludzi. Natomiast w 1956 roku rzecznik Ministerstwa Zdrowia wyjaśnił grupie zachodnich dziennikarzy, że psy trzeba było zlikwidować, ponieważ Amerykanie rozpoczęli w Korei wojnę bakteriologiczną i zwierzęta stały się nosicielami straszliwych chorób. Mieszkańcy miasta utrzymują zaś, że prawdziwy powód eksterminacji psów był następujący: tajna policja, która pilnie szukała wówczas i eliminowała po nocach szpiegów, właścicieli ziemskich, kapitalistów oraz kontrrewolucjonistów, nie życzyła sobie, aby przeszkadzało jej w tym jakieś szczekanie.

Jest też i inne wyjaśnienie, które ludzie chętnie powtarzają. Mao Zedongowi udało się kiedyś prawie już uciec z więzienia, ale go złapano, bo nie zdołał przeskoczyć jakiegoś muru i dopadł go ujadający pies. „Jeżeli kiedykolwiek zostanę cesarzem, w Chinach nie będzie już żadnych murów ani żadnych psów” – poprzysiągł sobie wtedy młody Mao. No i kiedy został władcą Chin, dotrzymał słowa: kazał zburzyć mury Pekinu i zlikwidować wszystkie psy.

Cudzoziemcy zachowali psy w getcie, gdzie zmuszeni są mieszkać; stwarzają one jednak problemy. Na przykład na początku zeszłego roku ambasadora pewnego wschodnioeuropejskiego państwa wezwano na policję i przedstawiono mu listę przestępstw, których dopuścił się jego pupil podczas swoich wypadów poza granice dzielnicy dyplomatycznej. Policja wydała już na psa wyrok śmierci. Po wielogodzinnych pertraktacjach darowano zwierzęciu życie, ale ambasador musiał w imieniu psa przyznać się do winy i poprosić o łaskę, powołując się przy tym na fakt, że zgodnie z chińskim kalendarzem do incydentu doszło właśnie w roku psa.

W krótkim okresie liberalizacji po uwięzieniu bandy czworga, kiedy ludzie zaczęli odzyskiwać i wywalczać sobie wiele drobnych swobód, pozwolono im także chować zwierzęta. Tu i tam pojawiły się znowu psy, a spacerując w niedzielę pośród ruin starego Pałacu Letniego słuchało się z prawdziwą przyjemnością od dawna zapomnianych głosów zwierząt. I znowu nie potrało to długo.

Na początku 1982 roku władze miejskie Pekinu wprowadziły ponownie w życie przepisy dotyczące psów. Po stolicy zaczęły krążyć patrole policyjne uzbrojone w porażające prądem elektrycznym pałki, którymi zabijały każdego napotkanego psa. Właścicielom nie pozostało nic innego, jak obdzierać martwe zwierzęta ze skóry, wieszając ją na murze, aby wyschła, i robić z niej potem zimowe rękawiczki.

Po psach przyszła kolej na czerwone rybki, koty, ptaki i wszystkie inne zwierzęta, oskarżone o to, że są „darmozjadami”, których istnienia nowa moralność nie może tolerować.

Pekin był kiedyś miastem uczonych, rzemieślników, inteligentów, artystów i urzędników państwowych, wywodzących się z młodego stanu mieszczańskiego.

Podobnie jak zwycięstwa komunistów w innych krajach, zajęcie stolicy przez wojska Mao Zedonga oznaczało początek głębokich zmian w Chinach, początek rewolucji społecznej, która uczyniła z Pekinu miasto chłopów, robotników, żołnierzy i partyjnej kadry. Społeczeństwo wywrócono dosłownie do góry nogami. Dawną klasę rządzącą pozbawiono mienia, domów, przywilejów, a władzę objęli ludzie nowi, całkowicie różni od swoich poprzedników. Już od trzydziestu lat rządzą oni Pekinem. W dyrekcjach Ogrodu Zoologicznego i Zakładu Komunikacji Miejskiej, na czele Przedsiębiorstwa

Gazowniczego, Urzędu Rozwoju Przemysłu i Urzędu do spraw Macierzyństwa są przez cały czas osoby, których główna zasługa polega na tym, że we właściwym czasie (co najmniej na krótko przed 1949 rokiem) stanęli po stronie rewolucji i cieszą się pełnym zaufaniem partii.

W konsekwencji życie miasta ogromnie się zmieniło. Sam język Pekinu uległ przekształceniu pod wpływem nowej klasy rządzącej. Zniknęły dawne wyrażenia, ustępując miejsca innym, prostszym, często zaczerpniętym ze słownictwa wojskowego, którego używali komunistyczni partyzanci podczas wojny domowej.

Przyzwyczajenia zrodzone z działalności w podziemiu i z komunistycznej obsesji czyhającego zewsząd zagrożenia przyjęły się w Pekinie w 1949 roku i trwają nadal. Na przykład osoba odbierająca telefon nie podaje nigdy swojego nazwiska ani nazwy swojej „jednostki”, ani nawet swojego numeru telefonu. Ponieważ ten, kto zadzwonił, robi dokładnie tak samo, typowa rozmowa telefoniczna Chińczyków przebiega dzisiaj mniej więcej następująco:

- *Wei...* (halo)
- *Weeei... weeei.*
- *Wei... wei.*
- *Wei... Z kim mówię?*
- *Wei... A z kim ja mówię?*
- *Wei... Z jakiej jesteś jednostki?*
- Powiedz najpierw, z jakiej ty jesteś jednostki!

Sporo czasu może upłynąć, zanim jeden z rozmówców się podda, wyjawiając wreszcie swoje nazwisko lub nazwę swojej „jednostki”.

Zwykła książka telefoniczna była przez długi czas dokumentem zastrzeżonym. Dopiero dwa lata temu w ramach reform Denga udostępniono ogółowi większość numerów, aby choć trochę ułatwić ludziom komunikację. Pierwsza od 1949 roku książka telefoniczna znajduje się teraz w normalnym obiegu.

Kiedy komuniści zajęli Pekin, było tam ponad dwadzieścia tysięcy telefonów, czyli średnio dwa i jedna dziesiąta aparatu na stu mieszkańców. Dzisiaj jest sto piętnaście tysięcy telefonów, ale ze względu na przyrost liczby ludności średnia wynosi jeden i trzy dziesiąte aparatu na stu mieszkańców.

W 1949 roku ponad połowa pekińskich telefonów należała do użytkowników prywatnych. Dzisiaj wszystkie numery przydzielone są albo do poszczególnych „jednostek”, albo do rozmównic publicznych. W trosce o bezpieczeństwo, a więc przede wszystkim po to, aby utrudnić porozumiewanie się wrogom nowego reżimu, komuniści natychmiast po objęciu władzy skonfiskowali aparaty wszystkim osobom prywatnym i wycofali telefony ze sprzedaży. Obecnie instalacja nowego telefonu – jeżeli otrzyma się na nią zezwolenie – kosztuje równowartość rocznej pensji, a miesięczny abonament wynosi równowartość jednej trzeciej miesięcznego wynagrodzenia. W każdym razie jest tak teoretycznie, bo w praktyce nie może mieć telefonu w domu nikt, kto nie jest wysokim urzędnikiem partyjnym. Dla zwykłych ludzi są aparaty publiczne... Oczywiście jeżeli działają.

Niedawno „Dziennik Młodzieży” opublikował artykuł o człowieku, który musiał pilnie zatelefonować. Obszedł wszystkie aparaty w swojej dzielnicy, a ponieważ były co do jednego popsute, napisał publiczny protest, dołączając do niego parodię ulubionej bajki Mao Zedonga *Szalony starzec przenoszący góry*: „To nic, że mnie nie uda się zatelefonować. Po mojej śmierci spróbuje mój syn. Po jego śmierci spróbują jego synowie. Po nich – ich synowie, i tak dalej...”.

Telefony publiczne pozakładano w pomieszczeniach „komitetów ulicznych”, więc każdej rozmowy słuchają i – jeśli wyda się podejrzana – donoszą o niej natychmiast władzom ci, których ludzie nazywają „policjantami o małych stopach”.

Także i te postacie pojawiły się w Pekinie wraz z przybyłymi w 1949 roku komunistami; obecnie ciąży one nad życiem codziennym każdej rodziny. Wszystkie dzielnice miasta podzielone są na sektory. Każdy sektor ma swój „komitet uliczny”, składający się przeważnie ze starych emerytek, urodzonych w większości w czasach, kiedy panowała jeszcze moda na bandażowanie dziewczynkom stóp tak, aby nie urosły, maleńkie stópkę uchodziły bowiem za nadzwyczaj piękne. Wiele z tych kobiet przybyło do Pekinu z Armią Wyzwoleńczą, która je właśnie „wyzwoliła”, i do dziś pełnią funkcję „policjantów o małych stopach”. „Komitety uliczne” mają różne zadania, zmieniające się w zależności od natężenia politycznej kontroli i presji, jaką władze wywierają na ludność. Także w spokojniejszych czasach „komitety uliczne” kontrolują i denuncjują kobiety nielegalnie zachodzące w ciążę (jedna para nie może mieć więcej niż jedno



dziecko), śledzą osoby odwiedzające zamieszkałe w okolicy rodziny oraz obserwują to, co się dzieje w domach. „Policjanci o małych stopach” nie umieją często czytać ani pisać, ale uzyskanie ich aprobaty jest pierwszym, niezbędnym warunkiem, aby móc się starać o zmianę zameldowania albo o miejsce dla dziecka w dzielnicowym przedszkolu.

„Policjanci o małych stopach” mogą w każdej chwili wejść do prywatnego mieszkania, zobaczyć, co się w nim dzieje i pod pretekstem skontrolowania, czy rodzina przestrzega ostatnio wydanych rozporządzeń, dotyczących na przykład tępienia myszy, zajrzeć pod łóżko, bo może ukryto tam kogoś lub coś. Każdy Chińczyk za pośrednictwem zatrudniającej go „jednostki” albo „komitetu ulicznego” w dzielnicy zamieszkania jest nieustannie pod kontrolą Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, który zawiaduje całokształtem życia ludności i określa granice przyznanych obywatelom swobód. Na tego, kto poza owe granice wykracza, są różne sposoby.

Na przykład w chińskich hotelach nie ma portierów, ale przy wejściu siedzi zawsze funkcjonariusz Urzędu Bezpieczeństwa. Chińczyk pragnący odwiedzić cudzoziemca albo tylko przybyłego z zagranicy krewnego musi okazać swój dowód osobisty. Funkcjonariusz zapisuje nazwisko odwiedzającego, nazwę zatrudniającej go „jednostki”, nazwisko odwiedzanej osoby oraz przyczynę wizyty. Zawiadamia potem niezwłocznie komórkę Urzędu Bezpieczeństwa w odpowiedniej „jednostce”; tam sprawdza się dane i wyciąga odpowiednie wnioski po ewentualnym dodatkowym przesłuchaniu pracownika, którego dotyczy sprawa. Odwiedziny zostają w każdym razie odnotowane w teczce personalnej, którą Urząd założył dla każdego Chińczyka i o której istnieniu każdy Chińczyk wie, chociaż nie może jej zobaczyć i przedyskutować z władzami tego, co tam napisano. Kto nie stosuje się do obowiązujących reguł, ma duże kłopoty i niekiedy trafia prosto do obozu reedukacji.

Przeciętni Chińczycy nie mają w praktyce dostępu do wielu miejsc w Pekinie, dobrze znanych cudzoziemcom przyjeżdżającym tam nawet na bardzo krótko. Chodzi między innymi o hotele, restauracje i najlepsze sklepy.

– Dawniej wstęp był wzbroniony psom i Chińczykom, a teraz tylko Chińczykom – zauważył parę lat temu mój amerykański znajomy chińskiego pochodzenia.

Poszliśmy wtedy do Pawilonu Modłów o Urodzaj (na użytek turystów zrobiono z niego dziś sklep Marco Polo) w parku Świątyni Nieba. Mój znajomy miał na sobie

niebieskie spodnie i robotniczą kurtkę; wzięto go za kogoś miejscowego i brutalnie wyrzucono za drzwi.

Pawilon służył w dawnych czasach cesarzom, którzy poszcząc, przygotowywali się do wielkiej dorocznej ceremonii, mającej zapewnić bogate plony całym Chinom. Teraz tę wspaniałą budowlę zamieniono w dom towarowy, wypełniony dywanami, emaliami, meblami i wyrobami rękodzieła, ale zwykli Chińczycy mogą zaspokajać swoją ciekawość tylko poprzez przyklejanie nosów do szyb wielkich drzwi wejściowych, na których napis po chińsku głosi: „Zarezerwowano dla zagranicznych gości”.

Życie komunistycznego kierownictwa różni się znacznie od życia zwykłych ludzi. Zaczęło się to od razu, już w 1949 roku.

Najpiękniejsze pekińskie rezydencje przydzielono generałom i komisarzom politycznym, część obszaru Zachodnich Wzgórz zamknięto dla ogółu i zabudowano luksusowymi, odizolowanymi od reszty miasta domami dla partyjnych dygnitarzy. Obok starego Zakazanego Miasta, którego tylko jedna trzecia jest teraz udostępniona zwiedzającym jako muzeum (pozostałe dwie trzecie są nadal zamknięte, całkowicie niedostępne), komuniści wznieśli „Nowe Zakazane Miasto”, Zhongnanhai, otoczone i chronione takim samym murem cesarskim koloru byczej krwi jak ten, za którym przez wieki pozostawał niewidzialny i nietykalny Syn Nieba.

Mao Zedong, Zhou Enlai, Liu Shaoqi i inni wielcy komunistyczni przywódcy żyli i pracowali, kontrolując się wzajemnie i podejrzewając (ktoś opowiedział mi kiedyś, że Zhou, idąc w odwiedziny do towarzyszy, zabierał ze sobą zawsze manierkę z wodą, w obawie, że zostanie otruty), obmyślając zamachy i kontrzamachy stanu, aż do ostatniego w 1976 roku, kiedy to zaarrestowano i objęto czystką wdowę po Mao wraz z jej otoczeniem.

Komunistyczne kierownictwo w Chinach żyje odizolowane od ludności. Jego członkowie rzadko występują publicznie, ze swoich rezydencji do biur w Pałacu Ludu lub w głównej kwaterze partii przemieszczają się tajną siecią podziemnych tuneli.

Lin Biao zabarykadował się w swojej rezydencji w zachodniej części miasta, otoczonej dziesięciometrowej wysokości murem. Jiang Qing mieszkała w pałacu należącym kiedyś do księcia Duana, przywódcy pekińskiego powstania bokserów przeciw cudzoziemcom

w 1900 roku. Żona Mao Zedonga mogła w razie potrzeby niewidziana opuścić swój dom i dostać się podziemnym tunelem aż na lotnisko, położone dziesięć kilometrów od miasta.

Kang Sheng, szef tajnej policji i zaufany Mao, zajął piękny „dom przy dziedzińcu” niedaleko Wieży Dzwonu i kazał wybudować w ogrodzie schron przeciwiatomowy, gdzie przesłuchiwał potem wrogów reżimu. Dzisiaj to miejsce jest ekscytującą atrakcją dla turystów, którzy chętnie jadają tam, gdzie ów wyrafinowany dżentelmen rozstrzygał o losie swoich ofiar i ewentualnie również o przeznaczeniu należących do nich antykwarycznych zbiorów (Kang Sheng był zapalonym kolekcjonerem i przywłaszczał sobie zazwyczaj najpiękniejsze przedmioty ze skonfiskowanego ludzom mienia). Po śmierci Kanga objęto go czystką i wydalono z partii, jak gdyby członkostwo w niej mogło dotyczyć także dusz zmarłych. Jego rezydencję, Bambusowy Ogród, zamieniono w hotel i luksusową restaurację, zastrzeżone dla cudzoziemców.

W pierwszych latach Republiki Ludowej przywileje nowego kierownictwa budziły powszechną niechęć. Później zaczęto gorliwie tłumaczyć, że te „drobne” ułatwienia życia są tylko skromnym zadośćuczynieniem za ogromne poświęcenia w czasach wojny wyzwoleniczej i rewolucji. Ludzie szybko przestali stawiać pytania i zaakceptowali nierówność jako coś oczywistego.

Teraz nikogo już nie dziwi, że wielkie czarne samochody z zasłoniętymi oknami wożą po mieście niewidzialnych urzędników partyjnych – zupełnie tak samo, jak w dawnych czasach noszono w lektykach z zaciągniętymi firankami cesarskich mandarynów.

Jest faktem, że w centrum Pekinu, gdzie większość mieszkańców żyje jeszcze w nędzy, znajdują się wygodne rezydencje chronione drutem kolczastym, o lśniących dachach opatrzonych kominami – świadectwem tego, że domy posiadają centralne ogrzewanie. Ich drzwi są zamknięte. „Drzwi otwarte to dziedziniec dla ludu, drzwi zamknięte to dom kogoś z kierownictwa” – pokpiwają pekińczycy.

Wysocy urzędnicy partyjni mają wszystko, o czym zwykli ludzie mogą sobie tylko pomarzyć. Ich kucharze chodzą do specjalnych sklepów, gdzie kupują świeże mięso i ryby. Za wschodnią bramą Zakazanego Miasta jest nawet specjalny państwowy ogródnik, który sprzedaje wyłącznie na użytek dygnitarzy owoce i warzywa z gruntów użyźnianych nawozami naturalnymi, nie chemicznymi. Kierownictwo partii korzysta ze

specjalnych szpitali, gdzie stosuje się metody terapii niedostępne dla przeciętnego obywatela; ma do dyspozycji samochody. W pociągach ma prawo do najwygodniejszych siedzeń, w teatrze – do miejsc w pierwszych rzędach, w kinach – do miejsc w ostatnich. Materiał, z którego szyte są ubrania członków władz, jest doskonałej jakości, podobnie jak edukacja ich dzieci, uczęszczających od najmłodszych lat do specjalnych szkół.

– Chiny są jeszcze ubogie. Gdybyśmy musieli żyć tak, jak wszyscy inni, nie moglibyśmy należycie pracować – wyjaśnił mi raz wysoki urzędnik państwowy, kiedy chcąc sprawdzić posiadane informacje, sporządzałem listę wszystkich jego przywilejów.

To niewątpliwie prawda, tak samo jak prawdą jest, że dzisiejsze społeczeństwo chińskie nie jest tym, które komuniści zamierzali zbudować trzydzieści lat temu, gdy obejmowali władzę. Oto jeden z aspektów tragedii Chin.

Komuniści mieli moralne prawo do zwycięstwa w wojnie domowej z Czang Kaj-szekiem. Nacjoniści byli skorumpowani, niesprawni w rządzeniu, utracili zupełnie poparcie ludności. Przez ponad stulecie Chiny były cywilizacją umierającą, cywilizacją niezdolną już do odparcia ataków, a nawet choćby do pokojowego współzawodnictwa z resztą świata. Chiny stały się „wielkim chorym Azji”, a ówczesne mocarstwa szykowały się do zawładnięcia nimi i podzielenia tego łupu między siebie.

Komuniści ujrzeli w sobie zbawców narodu i wystąpili jako jedyna siła zdolna odeprzeć obcą agresję. Obiecali odrodzenie Chin, dlatego dziesiątki tysięcy młodych Chińczyków oddało życie za sprawę komunizmu, a rewolucję poparła rzesza inteligentów, chociaż komunistami nie byli.

Teraz, po trzydziestu pięciu latach, Nowe Chiny są bardzo odległe od tego, co komuniści mieli nadzieję stworzyć i co obiecywali. Wstrzymali wprawdzie upadek kraju i wprowadzili go na drogę rozwoju, ale to, co osiągnęli, bardzo drogo ludzi kosztowało, a popełnione błędy wywołały wiele tragedii i ogromny zamęt.

Ideologia komunistów skłoniła ich do uznania całej przeszłości za złą i odpowiedzialną za nieszczęścia i zacofanie Chin. Dlatego postanowili z przeszłością skończyć. Nie rozumieli, że łatwiej jest niszczyć niż budować. I nie powiodło się im. Oczywiście trudno oprzeć się pokusie przypisania winy za swoje niepowodzenie innym.

Osiemnastego października 1982 roku uroczystie obchodzono w Zakazanym Mieście sto dwudziestą drugą rocznicę zdevastowania starego Pałacu Letniego (Yuanmingyuan)

przez wojska angielskie i francuskie pod koniec drugiej wojny opiumowej.

– Imperializm chce zniszczyć cywilizację chińską, Yuanmingyuan jest tego przykładem – powiedział w swoim okolicznościowym przemówieniu Lian Guan, członek rządu centralnego, ogłaszając przyjęcie zakrojonego na szeroką skalę, lecz całkiem bezsensownego planu odbudowy pałacu.

– Potomni zapamiętają w ten sposób tych, którzy go zniszczyli – dodał ze swej strony Liao Mosha, wiceprzewodniczący władz miejskich.

Zniszczenie zabytku, z którego nie zachowały się nawet fundamenty, stanowi niewątpliwie straszliwy przykład zemsty cudzoziemców na Chinach. Tyle tylko, że nie można mówić o tym pałacu, nie wspominając, że zbudowali go w dużej części Europejczycy, wśród których był włoski jezuita Giuseppe Castiglione. Nie wolno też przemilczać, że budowlę ograbiono i spalono, ponieważ Chińczycy torturowali przedtem i zabili parlamentariuszy, którzy z białą flagą udali się do nich na rozmowy. Ten fakt w Chinach chętnie się pomija, nie uwzględniono go też w powstałym niedawno filmie, w którym cudzoziemcy odgrywają tę samą rolę, co Niemcy w powojennych filmach amerykańskich. W każdym razie idiotyczne jest twierdzenie, że ów epizod dowodzi właściwej cudzoziemcom woli zniszczenia chińskiej cywilizacji.

Zniszczenie starego Pekinu z jego murami, świątyniami, pałacami, ogrodami i domami to tragedia, którą Chińczycy urzeczywistnili własnymi rękami, bez żadnej pomocy ze strony podejrzanych „obcych”.

W 1949 roku Pekin był jeszcze wspaniałą powłoką, pod którą wycieńczona, skorumpowana, umierająca społeczność oczekiwała zmian i odrodzenia. Zamierzający wprowadzić te zmiany komuniści postanowili zniszczyć wszystko to, co dawne, i obiecali uczynić ze starego Pekinu nową stolicę, symbol ich nowych, socjalistycznych Chin.

Po trzydziestu pięciu latach nieładu, cierpień i poświęceń Pekin wygląda jak pospolite skupisko ulic, budynków i placów, które trudno nazwać miastem. Trzydzieści pięć lat niespójnej, sprzecznej polityki zrobiło z niego stolicę ani chińską, ani socjalistyczną – chyba że socjalizm musi nieodzownie oznaczać jednostajność, beznadzieję, brak wyobraźni i żywotności oraz zakurzone wystawy sklepowe. Stało się tak jedynie dlatego, że komuniści przeciwstawiali się każdemu przejawowi niezależnej myśli,

odsunęli na bok intelektualistów, nie posłużyli się ekspertami i pozwolili „twardogłowym” rozstrzygać o wszystkim.

Jeszcze w latach pięćdziesiątych niektórzy intelektualiści zastanawiali się, jak zmienić Pekin, nie tracąc jego starodawnej duszy. Liang Sichen, dziekan Wydziału Architektury Uniwersytetu Qinghua, wystąpił z koncepcją stylu architektonicznego „w duchu narodowym”, łączącym chińską tradycję z nowoczesnymi doświadczeniami. Spotkał się z krytyką, objęto go czystką, a jego projekt odrzucono.

Odtąd każda „jednostka” robiła, co jej się podobało, stłumiono wszelkie dyskusje i wkrótce nikt nie odważył się już wypowiadać, nikt nie śmiał się sprzeciwić, sugerować czegoś innego niż to, czego chciała partia. Tysiące intelektualistów oskarżono o prawicowość i deportowano daleko od Pekinu w trakcie kolejnych kampanii politycznych, przeprowadzanych umyślnie w celu pozbawienia tych osób wpływu na społeczeństwo.

Komuniści zburzyli mury Pekinu, aby wyzwolić miasto z feudalnych więzów. Zbudowali jednak o wiele bardziej zniewalający mur w ludzkich umysłach – mur strachu i ideologicznych uprzedzeń.

W dzisiejszym Pekinie nie ma planu, schematu, twórczej myśli. Można całymi godzinami krążyć po mieście i nie zobaczyć ani jednego gmachu, ani jednej budowli z ostatnich trzydziestu lat, które zwróciłyby na siebie uwagę jako osiągnięcie architektoniczne, jako dowód – choćby tylko jeden! – tego, co Nowe Chiny potrafiły stworzyć.

Odosobnionym przykładem czegoś interesującego, nowego i oryginalnego jest hotel Pachnące Wzgórze, zaprojektowany przez I.M. Peia, amerykańskiego architekta chińskiego pochodzenia, który udzielił w ten sposób Chinom jedynej lekcji godzenia w architekturze tradycji z nowoczesnością, jakiej ten kraj wysłuchał w ciągu dziesięcioleci.<sup>5</sup> Po dwóch latach wysiłków i trudów Pei opuścił Pekin pod koniec października 1982 roku, oddając swoje „dziecko” w ręce chińskiej biurokracji, której wystarczyły następne dwa lata, aby zamienić tę piękną budowlę w jeszcze jeden brudny i zaniedbany biwak dla synów partyjnych urzędników. W sadzawce u wejścia mętną wodę pokrywają zeschnięte liście, fotele opleciono plastikowymi paskami, żeby nie siadali na nich kelnerzy, bambusy w holu położyły w swoich ogromnych koszach, bo ktoś

zapomniał je podlewać, popękane już w części okien szyby skleiono taśmą samoprzylepną.

Pragnące unowocześnić w jakiś sposób kraj kierownictwo dzisiejszych Chin potrzebuje intelektualistów. Dlatego stara się pozyskać sobie tych nielicznych, którym udało się przeżyć, oferując im przywileje, mieszkania, a także legitymacje partyjne.

Nie przez przypadek ogromny betonowy budynek, przeznaczony na siedzibę Akademii Nauk Społecznych, wyrósł zupełnie niedawno w alei Długiego Pokoju, naprzeciwko Obserwatorium Astronomicznego. W tym właśnie miejscu stał kiedyś Pałac Egzaminów, gdzie przez długie wieki zamykano w setkach cel kandydatów na mandarynów, aby zapisywali dziesiątki stron wyuczonymi na pamięć wiadomościami, a później sprawowali władzę. Właśnie tam, gdzie znajdowała się instytucja strzegąca ciągłości cywilizacji, za sprawą której Chiny pozostały przez dwa tysiące lat w bezruchu, jest teraz ośrodek nowoczesnej nauki, wylęgarnia idei mających dostarczyć krajowi pomysłów i projektów na przyszłość. Dla Pekinu jest już jednak za późno.

Aby poprawić w krótkim czasie nędzne warunki życia ponad dziewięciu milionów mieszkańców, władze stolicy – nie mając jeszcze generalnego planu działania – podjęły wielki wysiłek w dziedzinie budownictwa. Rosną ogromne bloki mieszkalne, wypierając coraz więcej tego, co przetrwało jeszcze z dawnego miasta. I tak Pekin bezustannie umiera.

Według starej przepowiedni miasto na skraju pustyni prędzej czy później zasypie piasek. Kiedy wspaniałe i straszne burze piaskowe spadają na Pekin, kiedy słońce staje się nagle kulą dziwnie błękitnego koloru na żółtym niebie, kiedy piasek pokrywa wszystko, wciska się w każde drzwi, w każde okno, w każde usta – wtedy wydaje się, że starodawne duchy pustyni przybyły naprawdę, aby zawładnąć na powrót swoim cennym miastem.

Burze piaskowe trwają jednak zaledwie kilka godzin.

Natomiast koparki i kilofy pracują dzień po dniu, nieprzerwanie spychając stary Pekin coraz głębiej w bezdenną otchłań zapomnienia.

### 3. „niebo wysoko, a cesarz daleko”

Sinkiang – prowincja na pograniczu ze Związkiem Sowieckim

Płasko. Jałowo. Strasznie.

Pod niebem bez chmur, w potwornym upale, pokryta piaskiem i kamieniami równina rozpościera się aż poza horyzont i poza ludzką wyobraźnię. Chwilami jest szara jak wystygły popiół, chwilami brązowa, to znowu fioletowa lub czarna jak sadza albo różowo-czerwona jak pąki drzewa brzoskwiniowego, którego tutaj nie sposób sobie wyimaginować.

Człowiek mógłby iść tu przez wiele dni w tym samym kierunku, nie spotykając nikogo oprócz własnej śmierci, w prawdziwie księżycowym krajobrazie, owiany kurzem o zmiennych barwach, falującym nieustannie pod wpływem gorącego, bezlitosnego wiatru.

Ujgurzy nazywają ten obszar Takla Makan, co w ich języku znaczy: „wejdiesz, ale nigdy nie wyjdiesz”, zaś dla Mongołów to po prostu Gobi – „pustynia”. Miliony lat temu było tu dno morza, teraz jest olbrzymi korytarz przecinający Sinkiang, najdalej na zachód wysuniętą prowincję Chin.

Przez długie stulecia ta pustynia była świadkiem historii. Na jej piaskach staczano wielkie bitwy, zdobywano i tracono królestwa. Przechodziły tędy karawany ludzi i wielbłądów, zmierzających Jedwabnym Szlakiem do Niebiańskiego Cesarstwa, aby handlować tam towarami z Zachodu. Drogą na wschód przeszło chrześcijaństwo, niesione przez pierwszych nestoriańskich misjonarzy. Przeszedł islam, niesiony przez tureckich zdobywców. Przeszli chiński mnich Xuanzang zmierzający do Indii w poszukiwaniu świętych tekstów buddyjskich oraz Marco Polo w poszukiwaniu bajecznych skarbów Katalaju.

W razie wojny między dwoma komunistycznymi gigantami przeszłyby tędy czołgi sowieckie w drodze do serca Chin i do chińskich instalacji atomowych nad jeziorem Lobnor, ukrytych właśnie na południowo-zachodnim krańcu pustyni.

Na razie te czołgi nie nadjadą lub przynajmniej wydaje się, że Chińczycy się ich nie spodziewają. Sterczące tu i ówdzie wśród pagórków z gliny lufy ciężkich



przeciwlotniczych karabinów maszynowych tkwią w grubych pokrowcach. Zarastają zielskiem opuszczone okopy, które pod koniec 1978 roku wykonano w pośpiechu wzdłuż dróg prowadzących od granicy sowieckiej do Urumczy, stolicy prowincji.

W lutym 1979 roku, po wkroczeniu wojsk chińskich do Wietnamu, Pekin obawiał się, że okazując solidarność ze swoimi sojusznikami w Hanoi, ZSRR podejmie działania wojenne właśnie w Sinkiangu. Ewakuowano ludność leżących wzdłuż sowieckiej granicy miast, jak Aletai, Jining i Tacheng, przewożąc dziesiątki tysięcy osób w głąb prowincji. Po zakończeniu wojny wietnamskiej wróciły one do domów. Napięcie zniknęło, poprawiła się ogólna atmosfera. Nie odnosi się absolutnie wrażenia, że mógłby tędy przebiegać front.

Kilka lat temu przybyszów bombardowano tutaj masywnymi dawkami antysowieckiej propagandy, łącznie z przedstawieniami teatralnymi, w których występowali „bohaterscy” mieszkańcy Sinkiangu, chwytający „sowieckich szpiegów”. Klientów hotelu Kunlun, największego w Urumczy, budziły wtedy rano grupy chłopaków i dziewczyn z milicji ludowej, ćwiczących na dziedzińcu strzelanie ostrą amunicją. Miejscowe władze chciały dowieść świata, że Sinkiang nie boi się sowieckiej agresji i że jest gotów stawić jej czoło.

Obecnie odnosi się wrażenie, że władze chcą przede wszystkim nie straszyć turystów i zatrzymać ich u siebie możliwie jak najdłużej.

– Od 1979 roku nie mieliśmy z Sowietami żadnych większych trudności – zapewnia Abdulla Rahim z Biura Spraw Zagranicznych rządu prowincji.

Pragnąc najwidoczniej przekonać rozmówcę, że sytuacja unormowała się i wszędzie zapanował porządek, przeczy on nawet, że miały miejsce incydenty graniczne – a zdarzali się w nich zabici i ranni – potwierdzone już oficjalnie zarówno przez Moskwę, jak i Pekin.

Chiny i Związek Sowiecki normalizują wzajemne stosunki. Sinkiang, gdzie miały walczyć ze sobą dwie komunistyczne armie, mógłby teraz stać się terenem ostrożnie wznawianej współpracy. Widoczne są już oznaki odprężenia: na sześciu przejściach granicznych wzdłuż tysiąca dziewięciuset trzydziestu pięciu kilometrów granicy między tą prowincją a Związkiem Sowieckim, przedtem szczelnie zamkniętych, spotykają się codziennie oprócz niedziel chińscy i sowieccy listonosze, by wymienić worki

z korespondencją, zaś oficerowie z obu stron zbierają się mniej lub bardziej regularnie, aby przedyskutować i zorganizować „repatriację” krów i kóz, które nielegalnie przekroczyły granicę.

Skończyła się wojna radiowa między Sinkiangiem a sowieckim Turkiestanem, położono też kres propagandzie wewnętrznej po obu stronach granicy, mającej podtrzymywać w ludziach wiarę w zagrożenie ze strony „wroga”. Hałaśliwe głośniki, budzące co rano osiemset tysięcy mieszkańców Urumczy, nie powtarzają już obsesyjnie nawoływań do „zachowania czujności”, lecz równie gorliwie namawiają do zapoznawania się z wydarzeniami w innych krajach i do wyciągania stąd pouczających wniosków. „Kiedy będziecie w Malezji, zwiedźcie koniecznie...” – mówi słodko spikerka, a jej głos rozbrzmiewa na pełnych błota ulicach i placach, gdzie zaczynają już krążyć tłumy ludzi, wielbłądów, mułów i kóz. Ironia zawarta w tym absurdalnym apelu – Chiny są przecież krajem, z którego nie wolno wyjeżdżać, zwłaszcza w celach turystycznych – gubi się, bo radio nadaje po chińsku, w języku, którego olbrzymia większość tutejszej ludności nie zna i który uważa za obcy.

Sinkiang zamieszkiwały przez wieki ludy niechińskie; większość mieszkańców prowincji stanowią jeszcze ich potomkowie. Spacer po bazarze w Urumczy, zamkniętym podczas rewolucji kulturalnej, a teraz znowu działającym, to jakby przechadzka po muzeum ludzkości: wydaje się, że są tam reprezentowane wszystkie rasy poza czarną.

Wdychając mocne zapachy i dym szisz kebabu opiekanego na węglach przez krępych, brodatych muzułmanów, spotyka się Kazachów o orlich nosach, w futrzanych czapach, w skórzanych butach z cholewami, w szerokich, czarnych okryciach; ujgurskie kobiety o księżycowo bladych twarzach, w wielobarwnych strojach, w brzydkich, brązowych pończochach, ze złotymi kolczykami ozdobionymi pośrodku czerwonym kamieniem; jasnowłosych chłopców uzbeckich o wielkich, niezwykle zielonych oczach; Mongołów o wystających, zaczerwienionych kościach policzkowych. Niekiedy widuje się też jakiegoś białego Rosjanina, który uciekł z ojczyzny po rewolucji 1917 roku i został tu wbrew swojej woli, nie mając innego wyjścia, po rewolucji chińskiej 1949 roku.

Pośród wszystkich ludów, które do Sinkiangu sprowadziła historia, Hanowie – przybyli tu już w II wieku przed Chrystusem jako wojskowa załoga – uchodzą za przybyszów z ostatniej chwili i jako tacy są najmniej lubiani.

Na spacerującego po bocznych uliczkach Urumczy gościa z Zachodu tubylcy patrzą i podchodzą do niego, jakby był jakimś ich dalekim krewnym. Mają oni wiele cech właściwych ludom śródziemnomorskim; wśród porozumiewawczych spojrzeń i uśmiechów zauważają z rozbawieniem podobieństwo przejawiające się w rysach twarzy, w długich nosach (w moim przypadku także w wąsach). To podobieństwo odróżnia ich i nas, ludzi Zachodu, od Hanów – Chińczyków.

Dla Chin kontrola nad Sinkiangiem jako naturalnym szlakiem, dostępnym wszelkim najeźdźcom, miała zawsze nadzwyczajną wagę. Każda dynastia cesarska robiła wszystko, co w jej mocy, aby utrzymać tę odległą, lecz szczególnie ważną prowincję. „Po utracie Sinkiangu nie da się obronić Mongolii, a wtedy zagrożony będzie Pekin” – powtarzali przez długie wieki Chińczycy. Pomijając już znaczenie strategiczne, Sinkiang był dla Hanów tym, czym dla Amerykanów *Far West*: nową granicą, terytorium, które należy zbadać i rozszerzyć, ziemią dziką, którą trzeba ucywilizować i wykorzystać.

Jest tak jeszcze i dzisiaj. Sinkiang (po chińsku Xinjiang: „Nowe Terytoria”) ze swoją powierzchnią równą łącznej powierzchni Włoch, Francji i Niemiec, ze swoimi ogromnymi, przeważnie nietkniętymi jeszcze zasobami ropy, złożami węgla, uranu i miedzi, jest ziemią dziewiczą i rzadko zaludnioną: powierzchnia prowincji stanowi jedną szóstą powierzchni całych Chin, lecz mieszka tam zaledwie jedna setna ludności kraju.

Na przestrzeni stuleci chińskiemu panowaniu w Sinkiangu zagrażało wielu najeźdźców, a w XIX wieku zarówno carska Rosja, jak i mocarstwa zachodnie próbowały przeciąć więzy łączące tę krainę z Pekinem. Niekiedy się to udawało: na przykład Rosjanie na podstawie „nierównych traktatów” zdołali opanować kilka części chińskiego wówczas terytorium. Stosowano zawsze tę samą metodę, polegającą na wykorzystywaniu niechęci, jaką Kazachowie, Ujgurzy i inne mniejszości żywiły wobec „obcych” władców z dynastii Qing, i na popieraniu dążeń niepodległościowych tych ludów.

Chińczycy przeciwstawiali się na ogół z powodzeniem podobnym manewrom, są jednak do dziś niezwykle wrażliwi na wszelkie oskarżenia o to, że do Sinkiangu nie mają żadnego prawa, że zajmują go jako kolonizatorzy i uciskają miejscową ludność, odmawiając jej własnej kultury i tożsamości.

Zwiedzając muzeum prowincji w Urumczy, gdzie funkcje personelu pomocniczego pełnią bardzo młode, milczące Ujgurki, a rutynowych objaśnień udziela chiński przewodnik, odnosi się wrażenie, że owa instytucja powstała wyłącznie w celu odparcia takich zarzutów. W dwóch głównych salach muzeum, nad wejściem do którego rzuca się w oczy – jak w tylu innych miejscach – cytat z Mao Zedonga, wypisany białymi literami na czerwonym aksamicie („Za pomocą przeszłości służyć teraźniejszości”), brak jakiegokolwiek eksponatu odnoszącego się do dziejów dwunastu mniejszości narodowych zamieszkujących Sinkiang. Całość wystawionych zbiorów ma dowieść obecności Hanów w tym regionie od ponad dwóch tysięcy lat: brokaty z czasów dynastii Han, figurki ludzi i zwierząt z trójkolorowej terakoty z okresu Tang, kamienne tablice z napisami upamiętniającymi czyny chińskich wodzów i cesarzy. Zwiedzającemu, który mógłby ewentualnie nie pojąć kierujących założycielami muzeum intencji, wręcza się też broszurkę z informacją, że cały ten materiał – owoc wykopalisk przeprowadzonych oczywiście już po Wyzwoleniu – „dowodzi, iż Sinkiang już w najdawniejszych czasach był nieodłączną częścią naszej wielkiej ojczyzny”.

Tego samego dowiadujemy się, zwiedzając sugestywne ruiny Gaochangu o sto osiemdziesiąt kilometrów na południowy zachód od Urumczy, nieopodal Kotliny Turfańskiej, wielkiego zagłębienia w pustyni – sto pięćdziesiąt pięć metrów poniżej poziomu morza – gdzie latem jest tak gorąco, że na rozgrzanym kamieniu można usmażyć jajko, a zimy są tak surowe, że to miejsce uznano za najzimniejsze w Chinach. Pośrodku próżni, na gruncie z czerwonawej gliny wydającej się starą jak czas, stoją resztki bastionów, wież, świątyń i domostw, zbudowanych z błota i słomy przez Chińczyków na początku I wieku przed Chrystusem, aby zakwaterować tam żołnierzy, którzy wytyczali wtedy i poszerzali granice cesarstwa Han. Zdaniem innych miasto o nazwie Efez założyli na tej równinie już za czasów Aleksandra Wielkiego greccy kupcy; teorię tę wydaje się potwierdzać fakt, że w okolicy znaleziono niedawno kilka starych greckich monet.

Chińczycy opuścili Gaochang w XIV wieku; zasypane piaskiem ruiny zostały „odkryte” dopiero na początku dwudziestego stulecia przez niemieckich archeologów, von Le Coqa i Grünwedela. Dzisiaj po obejrzeniu tych resztek słyszy się chińskiego przewodnika, który w oślepiającym słońcu zapewnia:

– Długa historia Gaochangu dowodzi, że Sinkiang od najdawniejszych czasów jest nierozłączną częścią Chin.

Nie ulega jednak wątpliwości, że chociaż wojsko chińskie stacjonowało na tych terenach już dwa tysiące lat temu, Chińczycy nigdy nie opanowali ich całkowicie – zwłaszcza w okresach, gdy państwem rządziły słabe dynastie.

„Niebo wysoko, a cesarz daleko” – mawiali miejscowi. Dochodziło też często do powstań, mających na celu stworzenie w Sinkiangu odrębnego organizmu państwowego, niezależnego od Pekinu. Ostatnie z nich wybuchło w 1945 roku, kiedy mniejszości narodowe ustanowiły tu tak zwaną Republikę Wschodniego Turkiestanu przy pomocy Sowietów, którzy próbowali ze swej strony przekształcić ją w satelickie państwo na wzór Mongolii.

Od upadku dynastii Qing w 1911 roku Sinkiang stał się czymś w rodzaju rosyjskiego protektoratu. Gospodarka tego regionu była o wiele silniej związana z sowiecką, niż z gospodarką reszty Chin. Chcąc wyświadczyć uprzejmość Chińczykom i Amerykanom, Stalin zgodził się w Jałcie, aby utworzoną właśnie niezależną republikę obalić, a Sinkiang uznać oficjalnie – w 1946 roku – za część państwa Czang Kaj-szeka. Nie wystarczyło to oczywiście, aby zlikwidować ruch niepodległościowy, który przetrwał także po objęciu władzy w regionie przez komunistów.

Komuniści chińscy dobrze znali problemy Sinkiangu, gdzie przez długie lata działali w podziemiu, stykając się zarówno z mniejszościami, jak i Hanami (brata Mao zamordowano właśnie w tej prowincji na rozkaz miejscowego watażki, związanego z Kuomintangiem)<sup>6</sup>. Potrafili więc stłumić szybko i skutecznie każdy przejaw buntu.

Dzisiaj nikt nie kwestionuje już chińskiej obecności w Sinkiangu. Milion żołnierzy Pekinu strzeże jego granic, a jego społeczeństwo doznało tych samych upokorzeń, przeżyło te same dramatyczne przewroty i zmiany, co cała reszta kraju.

Częściej niż gdzie indziej w Chinach widuje się tu jeszcze cytaty z pism Mao na ścianach domów; białe gipsowe posągi Wielkiego Sternika stoją nadal u wejścia do niektórych fabryk, szkół, teatrów i urzędów. Tutaj bardziej niż w innych prowincjach są one najwyraźniej symbolem owego „ideologicznego spoiwa”, które łączy ten olbrzymi kraj, zamieszkały przez tyle różnych grup etnicznych.

Antychińskie nastroje wśród mieszkańców niebędących Hanami istnieją jeszcze;

niekiedy objawiają się nawet dość wyraźnie. Pekin kontroluje jednak całkowicie sytuację i dlatego Sinkiang stał się teraz jednym z celów podróży napływających masowo do Chin turystów.

– Mniejszości narodowe są bardzo zadowolone, że my tutaj jesteśmy – oświadcza Chang Shengping, chiński urzędnik w Urumczi. – Dzięki nam są koleje, drogi, fabryki i rozwój.

To prawda.

W 1949 roku w Sinkiangu było zaledwie trzy tysiące kilometrów dróg, przeważnie polnych – teraz jest ich dwadzieścia cztery tysiące kilometrów o asfaltowych w większości nawierzchniach; łączą one wszystkie większe miasta.

Przed Wyzwoleniem pociąg z Pekinu dojeżdżał tylko do Lanzhou, stolicy sąsiedniej prowincji Gansu; teraz linia kolejowa dociera do Urumczi, a zgodnie z planami ma sięgnąć aż do Tybetu. Uporządkowano i rozbudowano pola naftowe Kelamayi, uruchomiono kilka fabryk wyrobów włókienniczych i chemicznych.

Wysuwa się często zarzut, że ten rozwój nie przyniósł korzyści dwóm grupom etnicznym: Ujgurom, którzy przeważnie mieszkają nadal w osadach wokół oaz na pustyni, oraz Kazachom, którzy w dalszym ciągu prowadzą na wpół koczowniczy tryb życia w górach jako hodowcy bydła.

Ogromną większość dwustu tysięcy pracowników przemysłowych w mieście Urumczi stanowią Hanowie – Chińczycy. W położonej u stóp góry Yaomo (Diabelski Szczyt) fabryce, produkującej rocznie nieco poniżej tysiąca traktorów marki Czerwony Wschód, zaledwie trzynaście procent z dwóch tysięcy stu robotników nie jest Chińczykami.

Chociaż dla przeciętnego Chińczyka członkowie mniejszości to „barbarzyńcy” (za takich uważa on zresztą również wszystkich innych ludzi niebędących Chińczykami), Pekin nie prowadzi wobec mniejszości polityki otwarcie dyskryminacyjnej. Zwłaszcza gdy stosunki między nim a Moskwą stały się wrogie, władze zdały sobie sprawę, że wszelkie przejawy niezadowolenia ze strony miejscowej ludności mogłyby ułatwić Sowiecom działalność wywrotową i że mniejszości zadecydują, komu być wierne, jedynie po porównaniu oferowanych im przez obie strony warunków. Ujgurzy, Kazachowie, Mongołowie i Kirgizi żyją pomiędzy Chinami a Związkiem Sowieckim; członkowie jednej rodziny mieszkają często po przeciwnych stronach granicy.

Na mocy konstytucji administratorom prowincji Sinkiang – podobnie jak administracjom Tybetu i Mongolii – przysługuje większa autonomia niż władzom innych chińskich regionów, a przed tubylcami otwierają się znaczne możliwości awansu. Przedstawiciele mniejszości etnicznych jest bardzo niewielu jedynie w wojsku i w policji, gdzie w praktyce nigdy nie zostają oficerami; są natomiast licznie reprezentowani w szkołach i w urzędach państwowych. Na dwa tysiące trzystu osiemdziesięciu studentów uniwersytetu w Urumczy tysiąc trzystu sześćdziesięciu należy do mniejszości, z których wywodzi się również czterdzieści trzy procent wykładowców.

– Studenci należący do mniejszości są, prawdę mówiąc, uprzywilejowani względem Chińczyków – mówi prorektor Anwar Hanbaba, który sam jest Ujgurem. – Aby dostać się na studia, Chińczyk musi uzyskać na egzaminie wstępnym co najmniej dwieście sześćdziesiąt punktów, a członkowi mniejszości wystarcza dziewięćdziesiąt.

Owo „uprzywilejowanie” tłumaczy się tym, że na uniwersytecie językiem wykładowym jest chiński, którego nie zna dobrze młodzież po szkole średniej dla mniejszości.

Ujgurom, Kazachom i pozostałym mniejszościom narodowym w Sinkiangu pozwolono zachować własną kulturę i obyczaje, ale odcięto ich jednocześnie od życia reszty kraju, które jest i będzie chińskie. Oto dylemat każdej mniejszości w każdym państwie: zaakceptować asymilację i rozwijać się wraz z innymi, tracąc jednak własną tożsamość – albo asymilację odrzucać, izolować się i pozostawać w tyle.

W Sinkiangu wszędzie spotyka się dzisiaj ludzi pochodzących ze wszystkich części Chin. Kierowca kursującego między Urumczy a Turfanem autobusu to były żołnierz Armii Wyzwoleńczej rodem z Kantonu. Kierownik farbiarni w fabryce tekstylnej „Pierwszy Lipca”, tuż obok stolicy prowincji, pochodzi z Hangzhou. Przewodnik z miejscowego oddziału Chińskiej Agencji Turystycznej to były czerwonogwardzista, który przybył tu w latach sześćdziesiątych „robić rewolucję” i już został. Na uniwersytecie wielu wykładowców języków obcych to szanghajczycy; przysłano ich tu „za karę” w ciągu kolejnych kampanii przeciwko inteligencji i „elementom prawicowym”.

– Nazywam się pani Song, ale może mnie pan nazywać Margaret – mówi mi z doskonałym akcentem wykładowczyni angielskiego, której po raz pierwszy od dwudziestu lat pozwolono rozmawiać z cudzoziemcem.

Margareth pochodzi z „niedobrej” (w Chinach oznacza to: bogatej i mieszczańskiej) rodziny szanghajskiej. Ojciec był dyrektorem amerykańskiego przedsiębiorstwa naftowego, ona od dziecka uczęszczała do szkoły misyjnej, gdzie nauczyła się angielskiego.

– W 1956 roku ludzie patrzyli na mnie krzywo po prostu dlatego, że znałam obcy język, postanowiłam więc przenieść się gdzie indziej.

Margareth zgłosiła się na ochotnika do pracy na „ziemiach dziewiczych”, na wyjazd dokąd zezwalał rząd. Trafiła do jednego z najodleglejszych zakątków Sinkiangu, w pobliżu Ałtaju i sowieckiej granicy. Ponieważ była wykształcona, zatrudniono ją początkowo jako administratorkę gminy; później, podczas rewolucji kulturalnej, zbadano ponownie jej pochodzenie i uznano ją za podejrzaną. Musiała odtąd sprzedawać warzywa na miejscowym targu. Robiła to przez dwanaście lat, dopóki pewnego dnia nie usłyszała, że na uniwersytecie w Urumczy wznowiono naukę języków obcych i że potrzeba tam wykładowców.

Pragnąc uniknąć kłopotów z mniejszościami, rząd pekiński nie narzucił im nigdy ograniczeń co do liczby dzieci, jakie wolno mieć jednej rodzinie. Chociaż małżeństwom Chińczyków zezwala się na jedno tylko dziecko, stosunek liczebny między nimi a członkami mniejszości zmienia się bezustannie na niekorzyść tych ostatnich z powodu stałego dopływu wysyłanych na nowe ziemie wojskowych oraz przymusowej migracji mas młodzieży z miast Chin wewnętrznych do odległych prowincji.

Od 1949 roku tysiące zdemobilizowanych z Armii Wyzwoleńczej żołnierzy przybyło osiedlić się w „gospodarstwach państwowych”, umiejscowionych strategicznie wzdłuż granicy z ZSRR. Jednocześnie z wielkich miast na wschodzie kraju napłynęły tysiące młodych absolwentów szkół średnich i wyższych oraz tłum partyjnych urzędników – wszyscy jako ofiary przeróżnych czystek i polowań na czarownice.

Rezultat jest następujący: w 1949 roku Sinkiang liczył cztery miliony dziewięćset tysięcy mieszkańców, w tym tylko trzysta tysięcy Hanów. Obecnie liczy ponad jedenaście milionów mieszkańców, z czego pięć milionów to Chińczycy. Przed Wyzwoleniem Ujgurzy, Kazachowie i Uzbegy stanowili w prowincji większość, teraz stają się w coraz większym stopniu tym, co Hanowie określają mianem „mniejszości etnicznych”.



Dla Chin, gdzie ogromne skupiska ludzkie zajmują stosunkowo niewielkie obszary wzdłuż dwóch wielkich rzek, Błękitnej (Jangcy) i Żółtej (Huang He), polityka wewnętrznej migracji ze wschodu do regionów przygranicznych jest czymś całkiem logicznym i naturalnym. Będzie więc prowadzona nadal.

Ludzie pochodzący z miast, zwłaszcza młodzi, zmuszeni osiedlić się w Sinkiangu w latach sześćdziesiątych, próbują niekiedy wrócić w rodzinne strony (niedawno miały miejsce dramatyczne epizody: na przykład grupa młodzieży rodem z Szanghaju zatrzymała jako zakładników kilku przedstawicieli partii, domagając się pozwolenia na powrót do domów). Jednak większość przybyłych na te tereny Chińczyków przystosowuje się bez trudu do lokalnych warunków, a tysiące robotników i techników przenosi się tam co roku na rozkaz partii.

Przyczyniają się do tego także bodźce materialne. Zarabiający w Szanghaju sześćdziesiąt pięć juanów (niecałe dwadzieścia sześć euro) na miesiąc nauczyciel pobiera w Urumczy pensję w wysokości siedemdziesięciu dziewięciu juanów. Robotnik drugiej kategorii (kategorii płacowych dla robotników jest osiem) zamiast trzydziestu pięciu juanów miesięcznie otrzymuje pięćdziesiąt. Urzędnik partyjny osiemnastej klasy (pracownicy partii dzielą się na dwadzieścia pięć klas) zarabia w Urumczy sto dwadzieścia pięć juanów zamiast dziewięćdziesięciu pięciu, które otrzymywałby na przykład w Pekinie.

Swoi wolą oczywiście przestawać ze swoimi, więc społeczność Hanów unika kontaktów z tubylcami. Mieszkający w Sinkiangu od ponad dwudziestu lat Chińczycy – także kadra polityczna, która codziennie styka się z przedstawicielami mniejszości – nie znają miejscowego języka, i nie przypadkiem pierwszy podręcznik gramatyki ujgurskiej dla chińskiego odbiorcy wydano dopiero cztery lata temu.

Do utrzymania podziału przyczynia się wszystko, łącznie z kuchnią. Mniejszości to muzułmanie niejadący wieprzowiny, jednego z rodzajów mięsa ulubionych przez Chińczyków. Dla Ujgura bluźnierstwem jest samo dotknięcie czegoś, o co świnia tylko się otarła. Tak więc w fabrykach muszą być dwie stołówki: jedna wyłącznie dla Hanów, druga – wyłącznie dla Ujgurów.

Mimo że małżeństwa mieszane są teoretycznie możliwe, w praktyce nader rzadko się zdarzają.

– Rząd prowadzi politykę odstręczenia od nich – tłumaczy Liu Jiayang, pracownik administracji – bo kiedy chiński chłopak żeni się z dziewczyną z mniejszości, może się wydać, że Hanowie zabierają tutejszym kobiety, a to mogłoby być przyczyną niepotrzebnych uraz.

Chińczycy dzielą z mniejszościami prymitywne warunki życia. Nawet w mieście takim jak Urumczy ludzie mieszkają jeszcze przeważnie w domach z wyschniętego błota, gdzie podłogą jest ubita ziemia, gdzie nie ma wody bieżącej ani toalet. Ulice nie są jeszcze wyasfaltowane, brodzi się po nich w błocie wraz u kurczętami, kozami i osiołkami ciągniętymi drewniane wózki, które odgrywają rolę taksówek.

Poza granicami wielkich miast Hanowie i Ujgurowie żyją zupełnie osobno ze względu na rodzaj swoich zajęć. W ludowej komunie „Wiatr od wschodu” w Baiyang Gu (Dolinie Białych Topoli) u podnóża Tien-szan (Gór Nieba), którego pokryte wiecznym śniegiem szczyty wznoszą się nad północnym skrajem pustyni, wszystkich siedem tysięcy sześciuset mieszkańców jest Kazachami. W całym Sinkiangu żyje siedemset tysięcy Kazachów, którzy wzorem swoich przodków prowadzą na wpół koczowniczy tryb życia, oddając się hodowli bydła. W komunie „Pięć gwiazd” położonej w Kotlinie Turfańskiej mieszka trzydzieści pięć tysięcy ludzi – samych Ujgurów, zajmujących się uprawą roli.

Komuniści chińscy dwa razy mieli z tymi mniejszościami dość poważne kłopoty. Najpierw wtedy, gdy Pekin usiłował nakłonić Kazachów do osiedlenia się na stałe w określonych miejscach i próbował pozbawić ich części pastwisk, aby przekształcić łąki w pola pod uprawę zboża. W rezultacie sześćdziesiąt tysięcy Kazachów w 1962 roku przekroczyło granicę, przenosząc się na terytorium Związku Sowieckiego. Potem podczas rewolucji kulturalnej, kiedy Czerwona Gwardia pozamykała wszystkie meczety w Urumczy i musiała w konsekwencji toczyć krwawe walki na ulicach miasta z grupami miejscowych muzułmanów.

Wydarzenie z 1962 roku spowodowało zwrot we współczesnej historii Sinkiangu. Chińczycy oskarżyli Sowieców o namawianie Kazachów do ucieczki, a przede wszystkim zaczęli obawiać się ożywienia dawnych wpływów sowieckich w regionie. Zlikwidowali więc działalność pięciu istniejących tam konsulatów ZSRR, wydali wszystkich zatrudnionych w Sinkiangu sowieckich specjalistów i doradców, wreszcie zamknęli granicę. Obmyślili następnie dalekosiężny plan, mający na celu całkowite zerwanie

więzi, jakie żyjące w Chinach mniejszości miały lub mogłyby mieć w przyszłości ze swoimi pobratymcami z zagranicy.

Pierwszym krokiem w tym kierunku był zakaz używania alfabetu arabskiego oraz cyrylicy w językach mniejszości i zastąpienie ich tą samą latynizacją, której używa się obecnie w chińskim. Nowej pisowni uczy się teraz w szkołach, stosuje się ją w cytatach z Mao widocznych na murach i w oficjalnej prasie; natomiast dawnymi znakami zapisane są jeszcze kartki, które ludzie przyczepiają na przystankach autobusowych, proponując zamianę miejscami pracy albo sprzedaż roweru.

Spisany jest nimi również jedyny egzemplarz Koranu, który przetrwał rewolucję kulturalną i jest obecnie przechowywany jako bezcenna relikwia w meczecie Nanliang.

– Uratowany, bo udało się nam go schować – opowiada imam, pokazując mi plik, pokrytych pięknym pismem z kolorowymi ozdobami, starych kartek, związanych równie starymi wstążkami i umieszczonych w drewnianym pudełku, zamykanym na wielką kłódkę.

Meczet Nanliang znajduje się przy ulicy, która przed Wyzwoleniem nosiła nazwę „ulicy Cudzoziemców”, bo mieściły się przy niej konsulaty angielski i sowiecki. Była to główna ulica Urumczy, co trzysta metrów wznosił się nad nią minaret. Obecnie przechrzczono ją na „ulicę Jedności”. Stare budynki meczetów w bardzo złym już stanie stoją tam nadal; sponad dziurawych dachów wystają ułamki wież, z których muezini zwoływali wiernych na modlitwę. Budowle te służą już teraz przeważnie innym celom. Jeden z meczetów zamieniono w magazyn, inny – w szkołę, w innym jeszcze umieszczono skład materiałów budowlanych, a jest i taki, w którym zainstalowano prymitywny gabinet dentystyczny.

Do 1966 roku mniejszości mogły w Sinkiangu mniej lub bardziej swobodnie wyznawać swoją religię. Położyła temu kres rewolucja kulturalna. Czerwona Gwardia zajęła meczety, spaliła wszystkie znalezione egzemplarze Koranu, zniszczyła skrupulatnie stare arabskie napisy na drzwiach i w niszach.

– Bili nas, jakby chcieli wybić z nas wiarę – opowiada sześćdziesięciosiedmioletni Ujgur, obecnie jeden z dozorców meczetu Nanliang.

W 1980 roku ten ostatni otwarto ponownie, wraz z półtuzinem innych. Codziennie przychodzi tu pięćset osób, klęka na wytartych dywanikach i modli się w słabym świetle

wpadającym przez popękane szyby okien i szczeliny w dachu, skąd podczas deszczu kapie woda.

– Ilu z was było w Mekce? – pytam grupę starców.

Ich obramowane długimi, śnieżnobiałymi brodami twarze robią się smutne.

– Nikt – odpowiadają.

Kilku młodych ludzi zostaje po modłach i pomaga przepisywać ręcznie Koran po arabsku – w języku, którego nie znają i którego w ten sposób starają się nauczyć. Nauka arabskiego, który władze chińskie wykreśliły z oficjalnego obiegu, ułatwia wielu młodym Ujgurom zachowanie własnej tożsamości i jest poniekąd wyzwaniem rzuconym Chińczykom. Z tej samej przyczyny mieszkańcy Sinkiangu z uporem regulują zegarki zgodnie z czasem lokalnym, a nie pekińskim, obowiązującym oficjalnie w całym kraju. Nikt nie ma już z tego powodu kłopotów.

W Teatrze Ludowym w Urumczy ujgurskie dziewczęta wykonują dzisiaj narodowe pieśni we własnym języku; nie zmusza się ich już do śpiewania po chińsku: „Pragniemy wyzwolić naszych braci i siostry z Tajwanu”. Mój przewodnik nie boi się już pokazać przepisane ręcznie po arabsku egzemplarza *Historii Turlanów i Ujgurów*, której to książki od dawna nie można znaleźć w chińskich księgarniach. W okresie najbardziej radykalnego maoizmu nawet książeczka ze starymi przysłowiami ujgurskimi została zakazana jako „obca propaganda”.

Stosunki między mniejszościami a Hanami poprawiły się z pewnością – chociaż nie zupełnie – dzięki polityce liberalizacji, która pozwoliła Kazachom hodować znowu tyle bydła, ile zapragną, zaś Ujgurom – uprawiać swoją ziemię tak, jak im się podoba.

Chińczycy są już pewniejsi, że mniejszości będą wobec nich lojalne i wydaje się, że o wiele mniej martwi ich problem ruchów wywrotowych, które mogliby inspirować Sowieci. Jeżeli taka sytuacja się utrzyma, ustabilizowany Sinkiang wykorzysta swoje bogactwa i zazna prawdziwego boomu gospodarczego, dokona owego skoku w nowoczesność, który Deng Xiaoping obiecał całemu krajowi.

Region wkroczył już na tę drogę w pierwszych latach po Wyzwoleniu dzięki pomocy udzielonej mu wtedy przez Związek Sowiecki, ale jego dalszy rozwój wstrzymało nagłe zerwanie stosunków między Moskwą a Pekinem. W 1960 roku sowieccy technicy zostali odwołani, pomoc się skończyła. Ślady współpracy z Rosjanami są jeszcze wszędzie

widoczne. Z sowiecką pomocą uruchomiono w Sinkiangu dwanaście fabryk tekstylnych, szesnaście małych i średnich hut stali, sto kopalni węgla. Nawet stare czarne limuzyny, którymi jeżdżą partyjni urzędnicy, sprowadzili tam ponad dwadzieścia lat temu Sowieci.

W ramach układu o przyjaźni, sojuszu i wzajemnej pomocy Pekin i Moskwa porozumiały się co do wspólnej eksploatacji złóż ropy i metali nieżelaznych w Sinkiangu, postanowiły również ulepszyć sieć dróg między oboma krajami i rozbudować koleje, łącząc linię Pekin–Lanzhou–Urumczy z linią biegnącą przez sowiecki Turkiestan i dalej do stolicy ZSRR.

W wyniku zerwania stosunków realizacja tych wszystkich projektów została wstrzymana. Sowieci położyli już tory aż do samego mostu Atkogay na granicy, Chińczycy ze swojej strony tak daleko nie doszli.

– Nie chcieliśmy dawać im sznura, którym mogliby nas udusić – mówią świadomi niebezpieczeństwa, jakie przedstawia zbytne uzależnienie ekonomiczne i komunikacyjne od Moskwy oraz tego, że Sinkiang mógł w naturalny poniekąd sposób znaleźć się w sowieckiej strefie wpływów.

Region musiał więc odtąd liczyć wyłącznie na swoje stosunki z resztą Chin, które oczywiście okazały się niełatwe.

Komunikacja poprawiła się wprawdzie od czasów cesarstwa, kiedy to wielbłądy dostarczające do Pekinu słynne melony z Hami wyruszały – zgodnie z legendą – obładowane wielkimi wazami pełnymi ziemi, w której rośliny te tuż przedtem zasiano (cała podróż trwała bowiem dokładnie tyle, ile potrzeba było owocom, aby wyrosnąć i dojrzeć), niemniej jednak pokonanie odległości trzech tysięcy kilometrów nawet pociągiem lub ciężarówką zabiera kilka dni.

Pozbawiona dostaw ze Związku Sowieckiego fabryka traktorów w Urumczy musiała czekać, aż zamówione motory przyjadą koleją z odległej o trzy tysiące kilometrów Mandżurii. Powodowało to wielotygodniowe lub nawet wielomiesięczne opóźnienia; musiano wreszcie uruchomić produkcję silników na miejscu.

W dziedzinie komunikacji sytuacja nie poprawiła się wiele przez ostatnie dwadzieścia lat. Sinkiang mógłby tylko zyskać na ponownym otwarciu granicy i podjęciu współpracy gospodarczej z ZSRR. Asfaltowe drogi, których budowę Chińczycy przerwali bardzo niedaleko od granicy, czekają tylko na połączenie z drogami po sowieckiej

stronie.

Fabryki zbudowane w latach ożywionej współpracy z Moskwą stały się już w Sinkiangu – podobnie jak w innych częściach Chin – przestarzałe i nierentowne. Teraz trzeba zdecydować, czy lepiej pożegnać się z nimi i kupić całkiem nowe wyposażenie w Japonii lub na Zachodzie, czy też nabywać po niższych cenach od Sowietów udoskonalone maszyny, które dałoby się połączyć z częścią posiadanych, modernizując w ten sposób powoli stare zakłady.

– Jedno nie ulega wątpliwości – powiedział mi w Pekinie pewien sowiecki dyplomata – japońska nakrętka nie pasuje do sowieckiej śruby.

Być może dlatego rosyjski jest jednym z języków nauczanych znowu na uniwersytecie w Urumczy i może dlatego na te zajęcia zapisuje się corocznie ponad stu studentów.

## 4. królestwo myszy

Mandżuria – baza przemysłowa Chin

Ziemia. Ciągłe ziemia. Ziemia bura, jednostajna, zmarznięta, jak okiem sięgnąć. W swoim zadyszczanym biegu przez tę dziką przestrzeń pociąg szybuje nad ogromnymi, skutymi lodem rzekami, które w zimnym słońcu połyskują jak lustra, przemierza wielkie, szare, przezrocyste lasy bez jednego liścia, ociera się o domy z wyschniętego błota, skupione wokół samotnych fabryk, plujących kłębami czarnego dymu w mlecznobiałe zimowe niebo.

Równina nie ma końca; wydaje się, że pociąg nigdy nie dotrze do dalekiej linii horyzontu, skąd dmie bezustannie lodowaty wiatr, który chłoszcze i obezwładnia tę niegościnną ziemię, zwaną dawniej Mandżurią.

Chińczycy nazywają ją dzisiaj Dongbei – Północnym Wschodem. To najbogatszy region kraju, baza przemysłowa Chińskiej Republiki Ludowej.

Wytwarza się tutaj jedną trzecią wszystkich produkowanych w Chinach maszyn, połowę produkowanego w nich drewna, połowę węgla, połowę ropy naftowej. Chińskie czołgi, działa i samoloty pochodzą z fabryk ukrytych gdzieś w tym bezkresnym, ponurym stepie.

Gdyby nieprzyjaciół chciał Chiny okaleczyć, wystarczyłoby mu uderzyć właśnie tu, ponieważ ten region jest z gospodarczego punktu widzenia najważniejszy, a ze strategicznego – najsłabszy.

Dongbei ma z sowiecką Syberią granicę długości czterech tysięcy kilometrów, wzdłuż której Moskwa rozlokowała kilka ze swoich najlepszych dywizji pancernych. To właśnie na tej granicy komuniści stoczyli między sobą pierwszą krwawą bitwę. W 1969 roku setki żołnierzy chińskich i sowieckich padły w walce o nic nieznaczącą wysepkę mandżurską pośrodku rzeki Ussuri.

Mandżuria była ziemią opuszczoną, nie pamiętano o niej przez wieki; leżała za Wielkim Murem, zbudowanym przez Chińczyków ponad dwa tysiące lat temu, aby ich chronił przed pobliskimi koczownikami. „Chociaż nie wiemy dokładnie, gdzie Bóg umieścił raj – napisał w 1846 roku ksiądz Huc – to możemy przynajmniej być pewni, że

nie umieścił go tutaj”.

Minęło zaledwie kilka lat, a Mandżuria stała się niespodziewanie „ziemią obiecaną Azji”. Kilku łowców przygód, którzy tam przybyli, znalazło właściwie przypadkiem złoto, srebro i węgiel.

„Mandżuria to skatula pełna skarbów, a wielkie mocarstwa świata usiłują osiąść do niej klucz” – napisał pewien angielski dziennikarz pod koniec XIX wieku.

Tym kluczem był pociąg. Car rosyjski uzyskał od konającego cesarstwa chińskiego koncesję na budowę linii kolejowej poprzez Mandżurię, od Czyty do Władywostoku.

W 1904 roku Japonia wypowiedziała wojnę Rosji, aby zapewnić sobie w tej budowie udział. Równina pokryta szarą ziemią, która w zimie, przy temperaturze trzydziestu do czterdziestu stopni poniżej zera, twardnieje jak skała, zamieniła się w „arenę międzynarodowej rywalizacji” (zgodnie z tytułem wydanej wówczas książki). Setki tysięcy żołnierzy kilku narodowości zginęło w bitwach, których nazwy wstrząsnęły światem: Mukden, Cuszima...

Budowa kolei posuwała się szybko i wkrótce pędzący przez step pociąg przywiózł do Mandżurii zdobywców i wyzyskiwaczy, nędzę i postępek. Rosjanie zbudowali z niczego, pośrodku bezludnego obszaru, Harbin – miniaturową replikę Moskwy; na południu powstał za ich sprawą port Dalian, jeszcze dziś jeden z najważniejszych w Chinach. Japończycy uczynili ze starego Shenyangu Mandżurów kwitnący ośrodek przemysłowy, zaś na skrzyżowaniu linii kolejowych północ-południe i wschód-zachód zbudowali nowe Changchun („Długą Wiosnę”), wzór nowoczesnego miasta z szerokimi alejami, wielkimi gmachami publicznymi z granitu i rozległymi parkami.

Mandżuria stała się magnesem przyciągającym łowców przygód i biznesmenów z całego świata. Pojawiły się tam tysiące białych Rosjan, za nimi przyjechali europejscy Żydzi. Wielcy cudzoziemscy kapitaliści pootwierali fabryki, sklepy i kopalnie, utworzyli wyspy dobrobytu otoczone nędznymi osiedlami milionów chińskich emigrantów, którzy przybyli z Szantungu i z bardziej jeszcze odległych prowincji, uciekając przed klęskami żywiołowymi i głodem. Pracowali oni jak niewolnicy w koncesjonowanych przedsiębiorstwach zagranicznych, krwawili za czasów krótkiego, lecz wyjątkowo brutalnego reżimu Mandżukuo, ustanowionego przez Japończyków w 1932 roku.

Japończycy chcieli posłużyć się Mandżurią jako bazą do podboju Chin, zamierzali też



wykorzystać jej zasoby dla kontynuowania działań wojennych w Azji. Przyspieszyli więc proces uprzemysłowienia regionu, dokonując znacznych inwestycji.

Kiedy wraz z końcem drugiej wojny światowej Mandżuria, nazywana już „wschodnim Zagłębiem Ruhry”, przypadła w udziale komunistom, była bez cienia wątpliwości najbardziej rozwiniętą częścią kraju. Mao Zedong postanowił więc uczynić z niej – przy pomocy ZSRR – zaplecze przemysłowe, dzięki któremu zbuduje swoje Nowe Chiny.

Od 1949 roku Pekin dokonał w tym regionie swoich najważniejszych inwestycji, skierował tu swoją najlepszą kadrę techniczną. Wysłano tutaj także dziesiątki tysięcy więźniów politycznych wraz z rzeszą młodych ludzi, zmuszonych do opuszczenia miast; mieli oni zagospodarować niezamieszkane przedtem tereny, pracować w kopalniach, budować drogi.

Dzisiaj, po trzydziestu latach ogromnego wysiłku i wielkich osiągnięć – przynajmniej jako takie się je przedstawia – dawna Mandżuria jest nadal najlepiej rozwiniętym regionem Chin, lecz bardziej jeszcze niż inne jest ona także symbolem nieładu, zaniedbania, niesprawnej administracji i kryzysu zaufania, dotyczących całego kraju. Przeceniono zasób bogactw naturalnych, teraz zaczyna ich brakować. Fabryki nie są przestarzałe, a mimo to produkują poniżej swoich możliwości. Przemysł paraliżują nieustannie przerwy w dostawach prądu i niedostatek surowców. Nie inwestuje się już kapitałów.

Po krótkim okresie popierania decentralizacji Pekin przejmuje teraz szybko kontrolę nad wszystkim. Narzucona przez władze nowa polityka „porządkowania” oznacza w Mandżurii rezygnację z licznych projektów rozbudowy istniejących już zakładów przemysłowych i opóźnienia w realizacji setek innych planów, przewidujących uruchomienie nowych fabryk.

W miastach rośnie bezrobocie, a wraz z nim niezadowolenie wśród młodzieży. Ludzie zaczynają uświadamiać sobie, że wielki plan „czterech modernizacji” ogłoszony bezpośrednio po zaareztowaniu bandy czworga jest w gruncie rzeczy znowu złudzeniem, i że nawet gdyby udało się go zrealizować, przyniosłoby korzyść dopiero „synom moich synów”, jak powiedział mi pewien robotnik.

„Fabryka samochodów numer jeden” w Changchunie, niegdyś stolicy państwa Mandżukuo, była jedną z chlub Nowych Chin. Zaprojektowali ją, zbudowali

i wyposażyli w całości Sowietci. W 1956 roku zaczęła produkować „Wyzwolenie” – słynną ciężarówkę dostosowaną do potrzeb wojska, którą w Chinach widuje się wszędzie. W 1958 roku, mając dwadzieścia trzy tysiące pracowników, fabryka wytwarzała trzydzieści tysięcy takich aut rocznie. W 1960 roku jej dyrekcja zapewniła Edgara Snowa, amerykańskiego dziennikarza zaprzyjaźnionego z Mao, że w przeciągu dwóch lat produkcja wzrośnie do stu pięćdziesięciu tysięcy sztuk rocznie. Upłynęło prawie ćwierć wieku, a do tego celu wciąż daleko. Maksymalną produkcję osiągnięto w 1979 roku, kiedy to powstały siedemdziesiąt dwa tysiące ciężarówek. Obecnie, mimo czterdziestu tysięcy pracowników, zakład wytwarza rocznie nie więcej niż sześćdziesiąt tysięcy samochodów.

Z zewnątrz fabryka – jedna z tych, które pokazuje się zawsze wszystkim zagranicznym gościom – imponuje jeszcze fasadami z czerwonych cegieł, ale wewnątrz, w poszczególnych halach, dają o sobie znać wiek i kryzys: połowa maszyn jest jeszcze produkcji sowieckiej, pracują wolno, są przestarzałe. W ruchu jest jedyna taśma montażowa, ale i ją obsługuje zaledwie kilku robotników; pozostali kręcą się po hali, rozmawiają, czytają gazety.

Opuszczające zakład nowe ciężarówki nie są już, jak dawniej, ciemnozielonego koloru. Karoseria jest teraz bladoniebieska, ale to jedyna innowacja w stosunku do starego modelu, zaprojektowanego przez co najmniej dwustu inżynierów sowieckich trzydzieści lat temu. Technicy z różnych krajów europejskich byli już tutaj, aby przedyskutować projekty unowocześnienia fabryki, lecz nagłe wstrzymanie realizacji wszelkich przedsięwzięć związanych z wydatkami w obcej walucie sprawiło, że na razie nic się nie zmienia.

O planowaniu produkcji nowej serii ciężarówek oraz samochodów osobowych, mającej się tutaj rozpocząć w 1985 roku, świadczą tylko gigantyczne malowidła przed główną bramą.

W odróżnieniu od podobnych przedsiębiorstw w innych częściach kraju, fabryka w Changchunie nie umieściła w swoich gablotach statystyk dotyczących produkcji ani grafików ilustrujących osiągnięcia załogi. Poszczególne działy wywieszają natomiast w tych dniach wyniki egzaminów wstępnych, zdanych przez robotników, których zakład nie może dalej zatrudniać w pełnym wymiarze godzin i których dlatego

skierowano na studia. Ze względu na ograniczenie produkcji w każdym dziale, pewna liczba robotników jest teraz w sytuacji, którą określa się formułą „wpół na studiach, wpół w pracy”.

– Zwolnić nie możemy nikogo. To doskonała sposobność, aby podnieść kwalifikacje naszej załogi – mówi mi wicedyrektor Wu.

Wielu innych robotników „fabryki samochodów numer jeden” będzie niebawem objętych tym statusem płatnego półbezrobocia.

Od 1958 roku zakład produkuje także „Czerwony Sztandar”, ogromną limuzynę-katafalk, która stała się symbolem ludzi sprawujących w Chinach władzę. Ile ich do dziś powstało i ile jest jeszcze w eksploatacji, to tajemnica, lub raczej „sprawa państwowa” – mówi mi bez cienia ironii wicedyrektor Wu. Wiadomo natomiast, że produkcja tych samochodów się zakończy.

Zakończy się dlatego, że „Czerwony Sztandar” zbyt dużo kosztuje i zbyt wiele spala benzyny, a także dlatego że jego luksusowe, ozdobione cenną boazerią wnętrze, jego wygląd przywodzący na myśl plutokratów, który zapewnia mu pierwszeństwo na ulicach (dziś jeszcze nie wolno „Czerwonego Sztandaru” wyprzedzać), mogłyby wywołać niechęć wśród ludności państwa, którego większość obywateli jeździ nadal wózkami ciągniętymi przez muły i konie.

Wstrzymanie produkcji „Czerwonego Sztandaru” będzie jeszcze jednym poważnym ciosem dla stu pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców Changchunu, utrzymujących się z zarobków w fabryce. Już w zeszłym roku nie zatrudniono tam ani jednego z licznych młodych ludzi, którzy co roku trafiają na rynek pracy; w tym roku również nie przyjmuje się nikogo.

Średnia płaca w przedsiębiorstwie (pięćdziesiąt pięć juanów, czyli dwieście euro na miesiąc) nie wzrosła od dwóch lat i jest dzisiaj o wiele niższa od średnich zarobków w innych, mniejszych zakładach przemysłowych w mieście. Na przykład dziewczęta zatrudnione w fabryce instrumentów optycznych w Changchunie mogą zarobić do dziewięćdziesięciu juanów miesięcznie dzięki systemowi bodźców motywacyjnych, którego fabryka samochodów nie chciała lub nie mogła wdrożyć.

Reformy gospodarcze przeprowadzone w Chinach po uwięzieniu bandy czworga, a na Zachodzie uważane przez niektórych za oznakę powrotu do systemu zasługującego

przynajmniej w połowie na miano kapitalistycznego, wywołały przede wszystkim duże zróżnicowanie płac robotniczych i zamieszanie w dziedzinie zaopatrzenia w surowce, poddanego przedtem ścisłej kontroli. Ponieważ zakłady przemysłowe i inne przedsiębiorstwa nie muszą już przekazywać państwu całej swojej produkcji, ich zarządy podjęły starania, by kupować po niskiej cenie to, co im do wytwarzania potrzebne, i sprzedawać po możliwie najwyższej cenie to, co wytworzą. Przy takim postępowaniu jedne zakłady zakłócają jednak działalność innych.

Na przykład wielkim fabrykom papierosów zabrakło nagle tytoniu, bo producenci woleli sprzedać go małym miejscowym przedsiębiorstwom, gotowym nieco więcej zapłacić. Innym zakładom nie udało się natomiast sprzedać towarów wyprodukowanych w dużych ilościach z nadzieją na znaczny zysk. I tak fabryka Gemotang w pobliżu Changchunu musiała zaapelować do swoich robotników i pracowników umysłowych, aby sprzedawali z czterdziestoprocentową zniżką znajomym i krewnym sprężyny do materacy, których nikt inny nie chciał kupić. Huty stali wyprodukowały o wiele więcej walcowanej blachy, niż mógł wchłonąć rynek, a fabryka turbin w Harbinie musiała ograniczyć czas pracy, bo zabrakło specjalnego stopu, niezbędnego w procesie produkcyjnym. Fabryki konserw w prowincji Jilin nie działały przez wiele dni, bo zabrakło surowca na puszki.

– Przeniesienie pewnych metod z systemu kapitalistycznego do systemu socjalistycznego wywołuje występujące w obu systemach szkody, nie przynosząc żadnej z właściwych każdemu z nich korzyści – mówi zagraniczny ekonomista zajmujący się problematyką gospodarki mieszanej.

W regionie Dongbei części przedsiębiorstw brakuje surowców, a wszystkim dokuczają ciągłe przerwy w dostawie prądu. W fabryce traktorów w Shenyangu, produkującej od 1958 roku słynne ciągniki „Wiatr Wschodu”, dwie z trzech taśm montażowych stoją, zamknięte są całe działy, tokarki nieczynne, przykryte gazetami. O trzeciej po południu, po jedynej, sześciogodzinnej tylko zmianie, rozlega się dźwięk syren i wszyscy idą do domu. Zakład się zamyka.

W elektrowni położonej na północy regionu, w pobliżu granicy ze Związkiem Sowieckim, doszło niedawno do wypadku, skutkiem którego fabryka otrzymuje jeszcze mniej prądu niż przedtem.

– To nie tylko nasz problem. Jesteśmy uzależnieni od warunków atmosferycznych, w zimie nie starcza nigdy wody w basenach – wyjaśnia wicedyrektor Li Changfu. – Przerwy w dostawie prądu zaczynają się zwykle około listopada i trwają aż do kwietnia.

Całą Mandzurię zaopatruje w prąd jedna elektrownia, która przez pół roku nie jest w stanie dostarczyć minimum tego, czego przemysł regionu potrzebuje, aby móc normalnie produkować. Mandzuria posiada zarówno naftę, jak i węgiel, ale realizacja wszystkich planów wykorzystania tych złóż dla rozwiązania problemu niedoboru energii została na razie wstrzymana ze względu na brak kapitałów. O tym, kto i w jakim wymiarze energię może otrzymywać, decyduje państwo, które robi to zgodnie z pewnymi priorytetami.

Fabryka traktorów w Shenyangu nie figuruje najwyraźniej na szczycie listy priorytetów: prąd dostarcza się jej tylko przez cztery dni w tygodniu. Zbudowali ją w 1953 roku Chińczycy wokół starego zakładu przemysłowego, założonego przez Japończyków w czasach ich okupacji; zatrudnia pięć tysięcy trzystu robotników. Fabryka w obecnym stanie mogłaby produkować osiem tysięcy traktorów rocznie, ale wyznaczona jej przez centralne władze norma wynosi zaledwie trzy tysiące siedemset sztuk.

– W Pekinie wiedzą, jakie jest zapotrzebowanie w skali kraju – tłumaczy wicedyrektor Li. – Powiedziano nam, że teraz chłopom nie potrzeba tylu traktorów, co dawniej, więc produkujemy ich mniej.

Dawniej traktor był szczytem marzeń rolnika. Był symbolem nowoczesności, okazywał się też bez wątpienia użyteczny i rentowny w dużych gospodarstwach. Od kiedy zaczęto jednak likwidować komuny ludowe, a chłopci uprawiają niewielkie pola w ramach nowego „systemu odpowiedzialności”, traktory szybko wyszły z mody. Dlatego ogranicza się ich produkcję.

– Czy mogę was odwiedzić? – spytałem przez telefon dyrekcję fabryki, która słynęła dawniej z produkcji małego traktora specjalnego typu i innych maszyn rolniczych.

– Nie, niestety – usłyszałem w odpowiedzi. – Nie wyrabiamy już w ogóle takiego sprzętu. Produkujemy teraz maszyny do szycia.

Bardzo chciałem zobaczyć, jak udało się przekształcić fabrykę traktorów w wytwórnię maszyn do szycia, ale moje odwiedziny uznano za „niewskazane” (w Chinach mówi się

tak zawsze, chcąc czegoś uprzejmie odmówić) i naleganie byłoby bezcelowe.

– Polityka „porządkowania” oznacza przesunięcie nacisku z przemysłu ciężkiego na lekki i produkowanie rzeczy ludziom potrzebnych – wyjaśnia mi Jiang Wanjiao, urzędnik sprawujący kontrolę nad produkcją w całej prowincji Liaoning, jednej z trzech, na które dzieli się Mandżuria (dwie pozostałe to Heilongjiang i Jilin).

Od zakładów przemysłowych całego Liaoningu, które wytwarzały do niedawna sprzęt będący dumą Nowych Chin i symbolem osiągniętego przez komunizm postępu, żąda się teraz wkładu w produkcję dóbr konsumpcyjnych, symbolizujących indywidualny dobrobyt: odbiorników telewizyjnych i radiowych, rowerów, maszyn do szycia, magnetofonów i zegarków.

Dla części fabryk okazuje się to bardzo trudne, czasem wręcz niemożliwe. Trzeba zamykać całe działy, zostawiać robotników bez pracy (ale nie bez płacy) i w ogóle rezygnować z wszelkich planów zwiększenia produkcji tego, co wytwarzało się dotychczas. Stare fabryki nie rozbudowują się więc, a nowe nie powstają.

Pośród mandżurskiego stepu leżą pola naftowe Daqing, największe w Chinach. Wzdłuż drogi wiodącej od wielkiej rafinerii w Daqing przez bagnistą nizinę, teraz całkowicie zmarzniętą, biegnie żelazna rura pomalowana na jaskrawopomarańczowy kolor. Po kilku kilometrach urywa się nagle pośród pustkowia; w oddali rysują się na horyzoncie gigantyczne zbiorniki na ropę. Są puste, będą musiały poczekać może kilka lat, zanim się je napełni.

We wrześniu 1980 roku poświęcono w imię „porządkowania” wielką fabrykę tworzyw sztucznych, która miała tutaj powstać i być zasilana tym przewodem ze zbiorników na horyzoncie. W dużej odległości widać kikuty słupów ze stali i cementu, mających podtrzymywać jej sklepienie, obok – czarne szkielety budynków, w których miało mieszkać cztery tysiące pięciuset robotników, których zdążono już zatrudnić.

Cały zakład miał kosztować około półtora miliona euro, budowę miano ukończyć w ciągu pięciu lat. Potrzebne fabryce maszyny zakupiono w Niemczech i sprowadzono na miejsce. Obecnie leżą niewykorzystane w wielkim składzie, osłonięte plastikowymi płachtami, zaś stu dwudziestu zagranicznych techników, którzy mieli przedsiębiorstwo uruchomić, wróciło do domu. Część robotników skierowano do innych robót, część wysłano na studia, inni zostali jako stróże, aby pilnować tego opuszczonego placu

budowy, po którym hulają teraz stepowe wiatry.

– Dla pekińskiego kierownictwa mogła to być sprawa małej wagi, ale dla nas był to bardzo ważny projekt; nie wszyscy robotnicy rozumieją, dlaczego z niego zrezygnowano – mówi jeden z urzędników administracyjnych w Daqing.

Pekin argumentuje, że budowę tej fabryki tworzyw sztucznych wstrzymano, podobnie jak realizację setek innych projektów w Chinach, ponieważ krajowi brakuje dewiz na zakup wyposażenia, a nie należy się zapożyczać. Prawdziwa przyczyna mogła jednak być jeszcze poważniejsza: wydobywanie ropy w Daqing nie wystarcza, aby zapewnić zaopatrzenie tej fabryki i urzeczywistnić wiele innych ambitnych przedsięwzięć, które zaprojektowano z nadmiernym optymizmem w latach po upadku bandy czworga.

„Wydobywanie ropy w Daqing wzrastało średnio o dwadzieścia osiem procent rocznie” – czytamy w oficjalnej publikacji z 1978 roku. Te dane – podobnie jak nieskończenie wiele innych informacji chińskiej propagandy – nie odpowiadają bynajmniej prawdzie, ale plany na przyszłość opracowywano właśnie na podstawie takich sfałszowanych liczb. Oszacowano więc, że w 1985 roku Daqing przyczyni się do urzeczywistnienia programu „czterech modernizacji” stoma milionami ton ropy rocznie. Tymczasem Daqing osiągnął szczyt swojego wydobywania w 1976 roku (pięćdziesiąt milionów ton rocznie) i na tym poprzestał.

– Jeśli uda się nam utrzymać ten poziom produkcji, powinniśmy być zadowoleni. To światowy rekord – przechwala się bezpodstawnie Li Wenhai, urzędnik partyjny zawiadujący zakładem.

Wydobywanie odpowiada dokładnie połowie tego, co zaplanowano, i nie ma żadnej gwarancji, że ów poziom zostanie zachowany. Wręcz przeciwnie, wszystko wydaje się wskazywać, że w Daqing wydobywanie będzie w najbliższych latach spadało.

Historia tego miasta ilustruje wzorowo wloty i upadki chińskiej polityki. Na początku XX wieku budując swoją kolej przez step Rosjanie założyli stację w miejscowości zwanej wówczas Sartu. Przybyli w trzydzieści lat później Japończycy stwierdzili na podstawie badań geologicznych, że w okolicy znajdują się złoża ropy. Szukali trochę, ale nie zdążyli ich odkryć, bo po klęsce w drugiej wojnie światowej musieli opuścić Chiny. W 1959 roku, po długich miesiącach bezowocnych poszukiwań, grupie chińskich techników udało się odnaleźć złoża. Z wywierconego pośrodku stepu otworu trysnął

w górę czarny strumień ropy. Stało się to na kilka dni przed dziesiątą rocznicą proklamowania Chińskiej Republiki Ludowej; nazwę Sartu zmieniono zatem na Daqing, co oznacza „wielką uroczystość”.

Pierwsza zima była koszmarna.

– Nie mieliśmy gdzie mieszkać, a w nocy temperatura spadała do czterdziestu stopni poniżej zera. Wykopaliliśmy więc doły w ziemi i sypialiśmy w nich przykryci płachtami z plastiku – opowiada robotnik, który był tam od samego początku.

Wkrótce po odkryciu złóż w Daqing pogorszyły się stosunki między Pekinem a Moskwą. Sowieci odwołali nagle z Chin wszystkich swoich techników i zaprzestali wszelkiej współpracy. W kraju pogorszyły się nastroje, odkrycie w Daqing miało je poprawić. Chiny musiały dowieść przede wszystkim własnym obywatelom, że poradzą sobie same, bez obcej pomocy i obcych specjalistów.

Tę determinację postanowiono wypróbować w Daqing, czyniąc z niego symbol „liczenia na własne siły” zgodnie ze sloganem Mao Zedonga. Zjechali się robotnicy ze wszystkich części kraju; na pustej, dzikiej równinie zaroilo się od tysięcy ludzi, zdecydowanych walczyć z wrogą przyrodą i wiercić, wiercić bez końca. Udało się, rosła liczba szybów, a wraz z nią rosło regularnie wydobycie. W 1963 roku rafineria Daqing, zbudowana w całości przez Chińczyków, wznosiła się jak stalowa katedra nad pustką stepu. Zbudowano następnie fabryki nawozów sztucznych i włókien syntetycznych. W 1964 roku pola naftowe objechał Mao i wymyślił wtedy jedno z haseł, które dziś jeszcze można przeczytać na ścianach chińskich domów: „W przemyśle uczmy się od Daqing”.

Daqing stał się mitem i celem pielgrzymek partyjnych działaczy, przodujących robotników oraz młodych par w podróży poślubnej. Opowiadania o nieugiętych „bojownikach” z Daqing wypełniły kartki szkolnych podręczników, a kilku pracujących tam od samego początku robotników – jak „Wang, człowiek z żelaza”, którego wybrano później na członka Komitetu Centralnego partii – stało się bohaterami narodowymi, wzorem do naśladowania dla młodzieży całego kraju. Stary chiński utwór poetycki, zawierający opis tego, co widzi się na Ziemi, patrząc na nią z Księżyca, został zaktualizowany dopiskiem: „z Księżyca widać Daqing”; miliony młodych ludzi nauczyły się go na pamięć. Daqing nie tknęła rewolucja kulturalna; rozwinęła ona nawet jego



mit. Ludzie żyli tam nadal w prymitywnych warunkach, ale wydobyć rosło. Hasło brzmiało: „Najpierw produkcja, potem dobrobyt”. Upadek bandy czworga nie odbił się w żadnej mierze na Daqing.

W 1977 roku na konferencji na temat „uczmy się od Daqing” podjęto uchwałę: „uruchomić dziesięć nowych Daqingów przed końcem stulecia”. Wydobyć ropy naftowej w tym ośrodku uznano za niezbędną podstawę planu unowocześnienia kraju.

W szkołach dzieci dziś jeszcze uczą się na pamięć o „bohaterskich czynach” w Daqing. Na murach chińskich domów widnieje nadal hasło Mao: „W przemyśle uczmy się od Daqing”. Jedynym miejscem w całym kraju, gdzie tego sloganu nie widać, jest sam Daqing. Wielki mur naprzeciwko stacji, na którym do niedawna widziało się jeszcze sławiące miasto hasło Hua Guofenga, jest pomalowany na biało i pusty. Z setek cytatów z pism Mao, wypisanych białymi znakami na czerwonym tle, które zdobiły dawniej szarą równinę, ostał się tylko jeden: „Niech żyje jedność ludów całego świata” na placu przed wielkim hotelem zbudowanym cztery lata temu, kiedy myślano jeszcze, że wypełnią go tłumy zwiedzających. Teraz nie przyjeżdża już nikt.

Daqing przestał być wzorem. Powoli odsunięto go na bok, zdjęto z piedestału, a koniec jego mitu zbiega się zakończeniem pewnego okresu w dziejach Chin. Reprezentowane przez Daqing wartości zawierało hasło: „Ciężko pracować i liczyć na własne siły”. Teraz pierwszą rzeczą, jaką widzi przybywający do tego miasta, są sprowadzone dopiero co z Rumunii żółte autobusy, które krążą między fabrykami a dzielnicami robotniczymi.

– Mogliśmy jak najbardziej mieć tutaj autobusy chińskie; mamy rumuńskie, bo wymagały tego reguły międzynarodowego handlu – wyjaśnia z pewnym zakłopotaniem miejscowy przewodnik.

W 1974 roku, kiedy do fabryki nawozów zaczęły napływać pierwsze importowane ze Stanów Zjednoczonych maszyny, brygady robotnicze nie chciały ich montować, bo nie były chińskie. Dziś większość sprzętu w nowych zakładach pochodzi z zagranicy. Opór ze strony załóg nie wygasł zupełnie: jedni krytykują jakość importowanych urządzeń, inni ich daleko posunięte zautomatyzowanie, które powoduje redukcję zatrudnienia i uniemożliwia znalezienie pracy młodym bezrobotnym, bardzo licznym zarówno tutaj, jak i w całym Chinach.

Daqing był dawniej także wzorem tego, co nazywano „robotniczo-chłopską wsią”. Rozwiązanie to uważano za idealne: przemysł pozostawał związany z rolnictwem, robotnik i chłop mogli wymieniać się rolami. Obecnie owe wsie ulegają stopniowo likwidacji, robotników przenosi się do dziesięciu wielkich osiedli, gdzie wyrastają jak grzyby po deszczu rzędy nowoczesnych, bardzo do siebie podobnych bloków mieszkalnych.

Co do bohaterów Daqing, przechodzą oni na emeryturę. „Wang, człowiek z żelaza”, którego zdjęcie zdobiło wszystkie podręczniki dla chińskich szkół podstawowych, popadł tutaj w całkowite zapomnienie. Poświęcone mu małe muzeum, otwarte po jego śmierci w 1970 roku, zamieniono niedawno na stałą wystawę przyrządów związanych z poszukiwaniem i wydobywaniem ropy naftowej. Całą ścianę zajmuje kolorowa tablica z wieloma lampkami, ilustrująca rozmieszczenie pól naftowych w regionie. Opublikowana współcześnie broszura opisuje trudności, z jakimi musieli się zmagać robotnicy na polu w sektorze północnym, które otwarto jako ostatnie: „[...] dął wiatr tak silny, że ledwo utrzymywali się na nogach. Brwi pokrywał lód, z nosów zwisały sopelki. – Co z tego? – mówili robotnicy. – Gdyby nawet z nieba spadały na nas noże, pracowalibyśmy dalej, żeby uruchomić ten szyb”. Był rok 1973. Od tego czasu wzięto pod uwagę i przeszukano trzy nowe obszary z zamiarem rozpoczęcia tam wierceń, ale „rezultaty nie są bynajmniej zachęcające” – mówi Li Wanbai z władz administracyjnych Daqing.

– Czy roboty są obecnie w toku? – pytam podczas zwiedzania wystawy.

– Nie, nie – pada odpowiedź. – Teraz na wiercenia zbyt zimno.

Wieczorem na fioletowym niebie wielki czerwony lampion słońca znika za czarną linią horyzontu, rzucając ostatnie złociste promienie na szeregi nędznych, na wpół wkopanych w ziemię chałup z wyschniętego błota; z ich dachów zwisają papierowe lampioniki, którymi mieszkańcy witają nowy rok. Pod kominami fabryk przejeżdżają z rzadka drewniane wózki, ciągnięte przez chude osiołki. Zimno obezwładnia i otępia. Smutno w takiej chwili pomyśleć, że wyschną niebawem podziemne źródła „krwi przemysłu”, jak w Chinach nazywa się ropę naftową, i że „bohaterski” Daqing mógłby wkrótce stać się miastem martwym, podobnym do tych, które wyrosły i zniknęły na amerykańskim Dzikim Zachodzie w czasach gorączki złota.

Niektórzy krytycy utrzymują, że Daqing od samego początku eksploatowano w niewłaściwy sposób; zdaniem innych zawartość złóż zawyżono umyślnie z przyczyn politycznych i dla zwiększenia wydobywania stawiano nowe szyby nad starymi pokładami ropy (szybów jest teraz sześć tysięcy na obszarze około tysiąca pięciuset kilometrów kwadratowych).

Nie ulega w każdym razie wątpliwości, że tutaj – podobnie jak w tylu innych częściach Chin – ludzie ciężko pracowali, poświęcali się bez reszty, przez dwadzieścia lat nie stawiali pytań, bo wierzyli szczerze, że robią to dla dobra ojczyzny i rodaków. Ci ludzie, dzisiaj w wieku pięćdziesięciu, sześćdziesięciu lat, opatuleni w watowane płaszcze, w wielkich czapkach z psiej skóry na głowach, nie utracili jeszcze swojej wiary.

Ich dzieci już ją straciły. W zakupionej w Holandii fabryce mocznika grupki znudzonych młodych ludzi o zniszczonych twarzach, swoim zniechęconym wyglądem przypominający robotników jakiegokolwiek innego tego rodzaju zakładu na świecie, przyglądają się z roztargnieniem plastikowym workom sunącym po taśmie montażowej, importowanej z Niemiec.

– Nie chcą się uczyć. Nie chcą się wysilać. Chcą po prostu mieć jakąś pracę – mówi przewodnik.

Większość młodzieży pracy jednak nie ma.

W Daqing mieszka siedemset tysięcy osób; młodzieży „czekającej na zatrudnienie” – takiego eufemizmu używa się w Chinach na określenie bezrobotnych – jest tam więcej niż gdziekolwiek indziej. W 1979 roku, kiedy wydobywanie osiągnęło szczyt, pracujących na polach naftowych robotników było sto pięćdziesiąt tysięcy; teraz to za dużo.

– Jeśli któryś chce odejść, zegnamy go z radością, ale robotników nikt nie zatrudnia, a my nie możemy ich zwalniać – mówi pan Li.

Partii niełatwo jest wytłumaczyć ludziom obecną sytuację w kraju, niełatwo wyjaśnić, dlaczego dawniej chwalony i okryty sławą Daqing dzisiaj jest prawie zapomniany. Czasem partia w ogóle nie próbuje tłumaczyć.

Aż do 1978 roku w każdej „jednostce” w Daqing odbywały się przynajmniej dwie godziny szkolenia i dyskusji politycznych dziennie. Obecnie poświęca się na nie z reguły dwie godziny tygodniowo, ale „w niektórych jednostkach nie ma nawet tego” – mówi

mi partyjny urzędnik.

Harbin. Przez pokrytą lodem rzekę Sungari ludzie przejeżdżają na rowerach. Z wysokiego brzegu dzieci rzucają się na złamanie karku i pędzą po stromych, wyślizganych torach na sankach zaopatrzonych w żagiel, które gna wiatr.

W przezroczystym powietrzu tej scenerii Harbin widziany z dudniącej pod moimi krokami tafli lodu – odgłos ten zdaje się wydobywać z niedosiężnej głębi – wygląda dokładnie na to, czym kiedyś był: „małą Moskwę” z zieloną kopułą w kształcie cebuli nad spiczastymi dachami katedry, eleganckimi budynkami *fin de siècle*, herbaciarniami, drewnianymi domkami wzdłuż rzeki i parkami z zimową atrakcją: posągami z lodu. Tyle tylko, że nad tym wszystkim unosi się gęsta chmura żółtawego dymu.

Kiedy boom naftowy w Daqing osiągnął szczyt, większość zakładów przemysłowych regionu zrezygnowała z węgla na rzecz nowego paliwa. Teraz, kiedy wydobywanie ropy spada, fabryki korzystają ponownie z tradycyjnego opału, czyniąc z Harbinu jedno z najbardziej zanieczyszczonych miast w Chinach. Wobec braku odnośnych przepisów małe i duże zakłady niszczą swoim dymem atmosferę, zatrująwają pianistymi odpadami rzeki i kanały. Na razie nikogo to nie martwi.

Rodzina jednego z moich chińskich znajomych zasiadła do stołu, aby świętować Nowy Rok potrawą z pięknej ryby, kupionej za dziesięć juań na targu u prywatnego sprzedawcy. W jej gardle znaleziono jednak bilecik: „Chciałem tylko waszych pieniędzy, nie waszego życia. Ta ryba zdechła zatruta”.

W 1964 roku Harbin postanowił stać się piękniejszy. „Zapełnimy miasto zielenią i kwiatami, będzie przez cały rok pachnące” – brzmiało hasło.

Dzisiaj Harbin jest brudny, odrapany i śmierdzący – doskonały przykład tego, co rewolucja chińska odziedziczyła i czego nie potrafiła zachować. Wielki most żelazny nad rzeką Sungari zbudowali jeszcze w końcu XIX wieku razem z koleją Rosjanie. Drugi wielki most pośrodku miasta wzniesli Japończycy. Nawet dzwoniące na ulicach Harbinu, przepelnione pasażerami tramwaje pochodzą jeszcze z okresu przed Wyzwoleniem.

W szczytowym okresie rozkwitu w mieście tym mieszkało –jak czytam w przewodniku z lat dwudziestych – sto tysięcy cudzoziemców; było tam piętnaście konsulatów,

sześćdziesiąt trzy restauracje, pięć teatrów, sto osiemnaście barów i palarnie opium. Obecnie w każdej z wytwornych rezydencji, gdzie żyła dostatnio jedna rodzina, bieduje przynajmniej pół tuzina rodzin. Ścian nie malowano od lat, szyby w oknach potłuczone, kanalizacja nie działa, podłogi popękane, dachy gniją, toalety porozbijane podczas rewolucji kulturalnej jako „burżuazyjny przeżytek”.

– W nocy króluje tutaj myszy – mówi pięćdziesięciolatek, który dzieli z sześcioma krewnymi pokój rozmiarów trzy na cztery metry.

Ze starej społeczności białych Rosjan zostało czterdzieści osób w podeszłym wieku, pogrążonych w nędzy i dyskryminowanych jako „cudzoziemcy”, chociaż mieszkają tu od ponad pięćdziesięciu lat.

Całe miasto przypomina nieustannie o swojej przeszłości, chociaż Chińczycy – zwłaszcza podczas rewolucji kulturalnej – zrobili, co mogli, aby zatrzeć wszelki po niej ślad. Centrum Harbinu stanowił wielki, okrągły plac, od którego odchodziły – jak często w starych miastach – szerokie aleje; tam właśnie po Rosjanach pozostał wyjątkowo cenny zabytek: cerkiew zbudowana z drewna bez użycia jednego nawet gwoźdź. W 1966 roku Czerwona Gwardia pod pretekstem, że w piwnicach świątyni ukrywają się „reakcyjniści”, podłożyła pod nią ogień. W ciągu kilku godzin budowla całkowicie spłonęła. Teraz środek placu jest pusty, stoi tam tablica z napisem: „Dbajcie o kwiaty i rośliny. Podobają się wszystkim”.

Ocalał natomiast nietknięty pomnik, który na skraju placu Armia Czerwona wzniosła na cześć swoich poległych; przed atakami radykałów uchroniła go drewniana obudowa. Został teraz odnowiony i jest starannie konserwowany, podobnie jak inne pomniki ku czci żołnierzy sowieckich we wszystkich miastach Mandżurii. Sowieckie dowództwo umieściło na nim w 1945 roku tablicę z następującym napisem: „Wieczna chwała bohaterom poległym w walce z japońskim imperializmem o honor i zwycięstwo Związku Radzieckiego”. Pod tą tablicą Chińczycy umocowali drugą, która z prawdziwie dyplomatyczną zręcznością głosi: „Wieczna chwała bohaterom wojsk radzieckich poległym w walce z japońskim imperializmem o wyzwolenie Północnego Wschodu, o wolność i niepodległość Chin”.

Sowieci przystąpili do wojny z Japonią dopiero dziewiątego sierpnia 1945 roku, trzy dni po zrzuconiu przez Amerykanów pierwszej bomby atomowej na Hiroszimę i na

tydzień przed ostatecznym załamaniem się Tokio. Nie musieli więc stoczyć żadnej wielkiej bitwy; przybyli w samą porę, aby przejąć Mandżurię od Japończyków po ich bezwarunkowej kapitulacji.

– Dobrze wiedzą, że ten pomnik wcale mi się nie podoba, ale w dalszym ciągu dają mi pokój, z którego doskonale go widać – mówi mi w International Hotel Japończyk w podeszłym wieku. Mieszkał w Harbinie przed wojną i podczas wojny, a teraz odwiedza go regularnie jako przedstawiciel kilku wielkich przedsiębiorstw sprzedających maszyny dla przemysłu. – To miasto bardzo się zmieniło, ale tylko na gorsze – dodaje.

International Hotel, zbudowany w 1927 roku przez polskiego architekta na zlecenie pewnej firmy z Tokio, jest zaniedbany, bliski ruiny. Chociaż miasto udostępniono ostatnio turystom, nie wydaje się on bynajmniej – podobnie jak jego odpowiedniki w innych miastach dawnej Mandżurii – przeznaczony dla płacących gości. Wygląda raczej na miejsce, w którym synowie wysokich urzędników partyjnych urządzili się jako tak zwani kelnerzy. Ci młodzi ludzie mają łatwą pracę w dobrze ogrzewanym budynku; lubią palić papierosy rozwaleni w stojących na korytarzach fotelach, zbierają się w grupki, aby gawędzić i grać w karty w wolnych pokojach. Noszone przez nich stale kurtki powinny być białe, a są pobrudzone tłuszczem i usiane szarymi plamami, choć „kelnerzy” wraz z miesięcznymi poborami dostają też kawałek mydła po to właśnie, by mogli je wyprać.

– Wolą tym mydłem prać swoje rzeczy osobiste – wyjaśnia miejscowy przewodnik. – Ubranie robocze może przecież z powodzeniem być brudne. Brudne są kombinezony robotników w fabryce!

W najstarszej dzielnicy Harbinu uchowała się – pod chińską nazwą Huamei – ostatnia z dawnych wielkich rosyjskich restauracji. Wyodrębnioną część jadalni o drewnianych ścianach kucharze i kelnerzy zarezerwowali sobie na popołudniową drzemkę; resztę sali zapełniają tuziny klientów, tłocząc się przy lepkich od brudu stołach; podłoga jest czarna od błota i odpadków. Na drzwiach wejściowych czerwona kartka z napisem: „Ten zakład uznano za wzorowy pod względem higieny”.

Po drugiej stronie ulicy znajduje się stary hotel Nowy Harbin z freskami przedstawiającymi nagie kobiety na brzegach błękitnych rzek i obszernymi salami na

parterze, gdzie stały niegdyś stoły do bakarata. Jest niedostępny dla zwykłych śmiertelników, ponieważ zarezerwowano go dla „czerwonych mandarynów”, jak ludzie nazywają czasem wysokich urzędników partyjnych.

Obejmując w 1949 roku Mandzurię, chińscy komuniści odziedziczyli strukturę przemysłową, sieć komunikacyjną i kapitał *know-how*, które nie miały sobie równych w całym kraju. To ironia losu, że Mandzuria dysponowała tym wszystkim dzięki pięćdziesięcioletniemu panowaniu imperialistów. Fabryki, porty i koleje zbudowali Rosjanie i Japończycy. Budowę największej do dziś chińskiej stalowni w Anshanie rozpoczęli kapitaliści z Tokio. To samo dotyczy kopalni w Fushunie, nadal jeszcze zwanym „stolicą chińskiego węgla”.

Sowieci, zanim się wycofali, wywieźli z Mandzurii wszystko, co dało się ruszyć z miejsca. Rozebrali na kawałki całe fabryki; lokomotywy pociągnęły do Moskwy wagony wyładowane wszelkiego rodzaju dobrem łącznie z całą rezerwą złota państwa Mandżukuo. Po podpisaniu przez Stalina i Mao traktatu o sojuszu i współpracy w 1950 roku, Rosjanie natychmiast wrócili do Mandzurii i w zamian za produkty rolne regionu pomogli Chińczykom uruchomić ponownie jego przemysł.

Zbudowane przez nich w tamtych latach zakłady wyglądają zupełnie dobrze. Ukończona w 1951 roku fabryka tkanin lnianych w Harbinie była pierwszym tego rodzaju przedsiębiorstwem w Chinach i po dziś dzień pozostaje jedynym. Większość maszyn jest w niej nadal sowieckiej produkcji. Podobna sytuacja panuje na całym Północnym Wschodzie. Fabrykę wagonów kolejowych w Changchunie wybudowali Sowieci, fabrykę obrabiarek w Shenyang – Japończycy, a poszerzyli ją potem Rosjanie z pomocą Czechosłowaków, podobnie jak fabrykę żurawi i fabrykę lokomotyw w Dalianie. Widząc ładną żeliwną bramę, a za nią solidny, porządnie wyglądający budynek, ma się pewność, że to jeden z zakładów przemysłowych wzniesionych przez Sowieców w latach pięćdziesiątych. Chińskim uzupełnieniem jest często jedynie gipsowy posąg Mao Zedonga w płaszczu dotykającym ziemi, z prawą ręką uniesioną do góry w geście przypominającym faszystowskie pozdrowienie.

Lata pięćdziesiąte były dla Mandzurii niewątpliwie najlepsze: nie brakowało środków, zaangażowania i entuzjazmu. Region posiadał wszystko, czego potrzebował dla rozwoju. Sukces odniosłyby każde władze, po zakończeniu drugiej wojny światowej

zarządzające nim dla Chin. Mandżuria miała ogromne bogactwa naturalne, niezwykle obszerne terytorium, nieliczną ludność i wielkie zaufanie do nowego chińskiego rządu, który stanął na czele kraju po dziesięcioleciach obcego panowania i dyktatury lokalnych watażków.

Boom nie trwał jednak długo.

– Najpierw Sowieci przestali pomagać i wycofali specjalistów, potem musieliśmy się uporać z szeregiem klęsk naturalnych, potem z „porządkowaniem” i z rewolucją kulturalną, teraz mamy nowy okres „porządkowania” – mówi pan Luo, przedstawiciel partii we władzach prowincji Heilongjiang.

– Ile fabryk zbudowano po 1960 roku? – pytam go.

– Kilka, kilka... Ale niewiele – odpowiada.

W rzeczywistości nie zbudowano żadnej.

„Żyje się dzisiaj gorzej niż w latach pięćdziesiątych” – słyszałem często od ludzi, kiedy nie było w pobliżu partyjnych urzędników robiących notatki. Na przykład budowane w Harbinie przed 1959 rokiem wszystkie mieszkania robotnicze miały łazienkę i kuchnię. Domy powstające dzisiaj, po ponaddziesięcioletniej przerwie w budownictwie, mają jedną łazienkę na piętro i jedną kuchnię na dwie rodziny.

Jeśli chodzi o ostatnie dwa dziesięciolecia, rewolucja nie ma się czym zbyt chwalić. Na przykład jedynymi zupełnie niepozabawionymi charakteru budynkami w Changchunie są gmachy w stylu klasycystycznym, wzniesione przez Japończyków w latach trzydziestych. Gościom pokazuje się przede wszystkim dawną rezydencję Puyi, marionetkowego cesarza Mandżukuo.

Po otwarciu miasta dla cudzoziemców miejscowe władze postanowiły skorzystać z tej doskonałej okazji i rozpoczęły budowę nowoczesnego, pięćsetpokojowego hotelu. Ogromna konstrukcja z betonu i szkła stoi opuszczona na jednym z głównych placów; budowę przerwano w połowie. Z rusztowań zwisają płachty z wypisanymi na nich wielkimi chińskimi znakami dwoma hasłami – jedno głosi: „Bezpieczeństwo nade wszystko”, drugie jest cytatem z Mao. Prace zostały wstrzymane pięć miesięcy temu, kiedy to w ramach polityki „porządkowania” miastu zabrano trzy miliony juanów, potrzebne na wykończenie budynku. Hotel kosztował już dziewięć milionów juanów; ta inwestycja, która mogłaby zacząć przynosić zyski, na razie nie przynosi ich zupełnie.



Nieliczni turyści muszą nadal mieszkać w starym, zbudowanym jeszcze przez Japończyków hotelu Yamato, który niegdyś był elegancki, ale dziś robi przygnębiające wrażenie.

– Chińczycy przepraszają bez przerwy za to, czego nie mają, za wszystkie niedociągnięcia, i proszą o radę – mówi amerykański przewodnik, rozdrażniony warunkami, w jakich zakwaterowano jego grupę – ale dlaczego nie złączą po prostu sprzęta i naprawiać tego, co mają?

Oto pytanie, na które żaden chiński urzędnik nie udzieli chętnie odpowiedzi.

Jednym ze starych rosyjskich przyzwyczajęń, które mieszkańcy Północnego Wschodu zachowali, jest picie. W pozostałej części Chin roczne spożycie piwa na osobę wynosi pół litra, w Mandżurii – jedenaście i pół litra.

Pewnej nocy czterech pijanych robotników z Daqing wracało do domu z Harbinu dżipem. Kiedy przejeżdżali przez długi most nad Sungari, prowadzący pojazd stracił panowanie nad kierownicą; samochód wraz z pasażerami spadł z wysokości kilkudziesięciu metrów na lód. Wszyscy czterej zginęli, zgniecieni na miazgę. W kamiennym parapecie mostu zieleń dzisiaj jeszcze nad otchłanią przerażająca dziura, wybita przez owego dżipa. Wypadek zdarzył się pół roku temu.

Dla wielu Chińczyków mieszkających na Północnym Wschodzie pod koniec drugiej wojny światowej, wkroczenie wojsk komunistycznych oznaczało prawdziwe wyzwolenie. Życie w państwie Mandżukuo było ciężkie i upokarzające.

– Nie mogliśmy opuszczać pewnych części miasta. Chińczyka, który odważył się wejść na główną ulicę, Japończycy szczuli psami. Zabroniono nam jeść ryż, bo był zastrzeżony dla Japończyków – opowiada Hong Wenli, sześćdziesięciodwuletni kelner, urodzony i zamieszkały w Changchunie.

Dzisiaj ludzie jedzą ryż, mają dość ubrań na zimę, dzieci posyłają do szkół, ale Changchun jako miasto nie zmienił się wiele od czasów japońskich. Jego dwumilionowa ludność żyje w warunkach, które tak długo znosić umie tylko niezwykle cierpliwy naród chiński.

W krańcowo przeludnionych dzielnicach wokół dworca centralnego mieszka się z reguły w nędznych, zaniedbanych domkach z cegieł, bez wody bieżącej i bez ubikacji.

Domki te są tak małe, że zajmujące je rodziny muszą przechowywać swoje zapasy kapusty na zimę w podobnych do psich budkach, ustawionych wzdłuż chodnika. Dzieci bawią się przez cały czas na dworze, pośród stosów śmieci, których nikt nie wywozi; zimą odpadki zamarzają i na szczęście ulegają sterylizacji.

W Harbinie w pobliżu rzeki, poza obszarem dawnej rosyjskiej koncesji kolejowej, mieszkały kiedyś w ogromnym getcie pełnym baraków i nędzy dziesiątki tysięcy chińskich kulisów, *kuli* (*ku li* to po chińsku „gorzka siła”; nazywano tak portowych tragarzy, robotników niewykwalifikowanych, ludzi konie – tych, którzy, aby przeżyć, oferowali na sprzedaż wyłącznie własną siłę fizyczną). Dziś cały ten teren jest nadal jak getto: prawdziwe morze baraków z cegieł, drewna i tektury, powybijane szyby w oknach, rozklekotane drzwi.

Jedyny w całej dzielnicy porządnym i czystym budynkiem to otwarty niedawno meczet. Zbudowano go w 1935 roku, podczas rewolucji kulturalnej został poważnie uszkodzony. Imama wraz z najbliższymi współpracownikami wysłano do obozu na reedukację. W 1979 roku, po trzynastu latach niewoli, wypuszczono wszystkich, a rząd przyznał im tytułem odszkodowania dwieście tysięcy juanów na odnowę świątyni. Teraz w każdy piątek czterysta osób zbiera się w niej na modlitwę; czternastu młodych ludzi rozpoczęło naukę arabskiego, aby móc czytać Koran.

Wygląda na to, że pod względem finansowym „porządkowanie” nie odbiło się ujemnie tylko w dziedzinie religii.

W Changchunie odbudowano właściwie od podstaw meczet Changtong, zniszczony prawie zupełnie przez Czerwoną Gwardię. Kościół św. Teresy, niegdyś siedziba francuskich misjonarzy, został odrestaurowany kosztem trzystu tysięcy juanów, wypłaconych na ręce ojca Rocha Liu, który również spędził czternaście lat w obozie „reedukacji przez pracę”.

W Harbinie restauruje się obecnie cerkiew, a niedawno otworzył tam swe podwoje odbudowany za kolejne trzysta tysięcy juanów zbór protestancki, którym do 1950 roku zawiadywał niemiecki pastor. Grupa wiernych w podeszłym wieku zbiera się w nim teraz regularnie wokół starego austriackiego fortepianu i pozdrawia zwiedzających nieoczekiwanym: „Alleluja! Alleluja!”.

– Nic już nie rozumiem – mówi mi młody jeszcze człowiek, który należał do Czerwonej

Gwardii, potem zaś zatrudnił się w miejscowym biurze turystycznym. – Pojmuję, że nie należało niszczyć tych budynków, ale wydaje mi się zupełnie absurdalne odbudowywanie ich teraz, kiedy tak są potrzebne fabryki z miejscami pracy dla nas, młodych.

Nie zatrudnia się nikogo w starych fabrykach, nie buduje się fabryk nowych. W konsekwencji w miastach Mandżurii gromadzi się coraz więcej bezrobotnej młodzieży, która obija się w parkach albo pracuje dorywczo jako niewykwalifikowani robotnicy, uliczni fotografowie lub handlarze starzyzną. Niektórzy stawiają stragany i sprzedają słodkie ciasto domowego wypieku, a są i tacy, którzy oddają się mniej niewinnym zajęciom, „organizując kontrrewolucyjne bandy złoczyńców, nienawidzących ustroju socjalistycznego” – jak napisał wychodzący w Shenyangu dziennik na temat grupy młodych złodziei.

Niedawno pewien Amerykanin, nauczyciel angielskiego w Harbinie, dał znać w okolicy, że szuka służącego. W ciągu kilku dni otrzymał ponad dwieście podań od młodych ludzi – wszystkich po maturze – którym nie udało się znaleźć innej pracy.

Dawniej wszystkich absolwentów szkół średnich wysyłano od razu na wieś. Utrzymywano, że mają „uczyć się od chłopów”, ale w rzeczywistości chodziło o pozbycie się z miast bezrobotnych. Ta polityka „zbliżenia ze wsią” budziła oczywiście niechęć inteligencji miejskiej, której dzieci musiały przebywać latami w odległych komunach. Deng Xiaoping tego zabronił, ale w rezultacie młodzież pozostaje w miastach bezrobotna, a na wsi w regionach słabo jeszcze zaludnionych brakuje rąk do pracy.

Do niedawna jedną z wielkich tajemnic, strzeżonych w odległych miejscach pośród ponurych stepów Mandżurii, było istnienie dziesiątek obozów koncentracyjnych albo – zgodnie z chińską terminologią – *laogai*, czyli obozów „reedukacji przez pracę”. Od momentu powstania Chińskiej Republiki Ludowej, a w szczególności od 1958 roku, w rezultacie kampanii przeciwko „prawicowej” inteligencji wiele milionów osób przeszło przez te chińskie gułagi; niektórych więziono w nich przez dwadzieścia i więcej lat, część została tam na zawsze. Winą tych ludzi było po prostu to, że ośmielili się nie zgadzać z linią polityczną chwili; przede wszystkim jednak pozbywano się ich, bo mogli skupiać wokół siebie niezadowolonych, tworzyć ewentualną opozycję.

Oni to przyczynili się do rozwoju gospodarki Północnego Wschodu, jako przymusowi

robotnicy wycinając całe lasy, budując drogi, uruchamiając kopalnie. Po upadku bandy czworga zwolniono większość więźniów, a ich pracy teraz nikt nie wykonuje.

W prowincji Heilongjiang jest sto trzydzieści milionów *mu* gruntów uprawnych (piętnaście *mu* to jeden hektar). Zdaniem miejscowych władz dalszych siedemdziesiąt milionów *mu* dałoby się uzyskać z ziemi dziewiczej. Jedyne problemy w tym, że brakuje „ochotników”, którzy zechcieliby tam pracować.

Lasy prowincji Jilin to góry drewna, które chętnie kupiliby Japończycy. Miejscowym władzom trudno jednak znaleźć ludzi gotowych za nędzne wynagrodzenie spędzać długie miesiące w niedostępnych okolicach.

– Dzisiejsza młodzież stawia zbyt wiele pytań, zbyt dużo mówi o swojej wolności i nie rozumie zasad – oznajmia urzędnik partyjny z Shenyangu.

Po śmierci Mao i całkowitym odstępniem od jego polityki złagodzona indoktrynacja, nie odbywa się już tyle zebrań, na których niegdyś nieustannie wbijano uczestnikom do głów obowiązujące w danej chwili hasła. Ludzie stawiają teraz publicznie pytania, które dawniej byłyby całkowicie niedopuszczalne. „Jeśli socjalizm jest taki dobry, to dlaczego nie udaje się nam dogonić świata kapitalistów?” – pyta czytelnik w liście do „Dziennika Ludzi Pracy”. A inny: „Wiadomo, że w kapitalizmie robotnicy są wyzyskiwani; a jednak żyją oni lepiej od nas, którzy wyzyskiwani nie jesteśmy. Mają samochody, lodówki i telewizory, a my nie. Dlaczego?”.

Organ prasowy związków zawodowych musiał zareagować na podobne pytania stawiane przez robotników. W artykule redakcyjnym pod tytułem *Tylko socjalizm może zbawić Chiny*, wywieszonym w gablotach we wszystkich zakładach przemysłowych, czytamy: „Gdyby nie olbrzymie zniszczenia, spowodowane przez bandę czworga w ciągu dziesięciu lat chaosu, różnica między nami a krajami zachodnimi byłaby minimalna”.

Ten argument nie wszystkim trafia do przekonania. Wśród spotykanych dzisiaj w Chinach ludzi są tacy, którzy zaczynają szeptać, że partia komunistyczna „utraciła mandat Nieba” – to klasyczne wyrażenie, za pomocą którego w przeszłości dawano do zrozumienia, że panująca dynastia nie jest już uprawniona do sprawowania władzy. Zaczynają też krążyć pogłoski o strajkach robotniczych i demonstracjach młodzieży. W końcu stycznia 1981 roku zaarrestowano tuzin studentów uniwersytetu w Shenyangu, ponieważ zorganizowali oni protest przeciwko warunkom bytowym w domach

akademickich.

Partia nie może dopuścić do żadnych przejawów niezadowolenia, zwłaszcza w regionie takim jak Mandżuria, wyjątkowo zagrożonym ze względu na sąsiedztwo ze Związkiem Sowieckim (podobno kilku studentów przekroczyło granicę na znak protestu wobec Pekinu).

– Jesteśmy tutaj w gruncie rzeczy konserwatystami. Zmiany wprowadzamy powoli – mówi Huang Ronggui, przedstawiciel partii w biurze turystycznym w Harbinie, starając się wytłumaczyć odrębną mentalność mandżurskich Chińczyków.

Północny Wschód jest rzeczywiście jednym z regionów, w których tak zwana banda czworga najsilniej się zakorzeniła. Mao Yuanxin, bratanek Mao Zedonga i jego oddany powiernik, dowodził stacjonującymi tam wojskami do 1976 roku, kiedy go aresztowano. Oczekuje odtąd na karę za „zbrodnie”, które popełnił jako współnik w spisku radykałów. Data rozpoczęcia procesu nie jest znana.

Na Północnym Wschodzie elementów maoistowskich pozbywano się najwolniej; znaczna część kadry partyjnej ukształtowanej politycznie podczas rewolucji kulturalnej pozostaje tam jeszcze u władzy, a niektóre jej ofiary nie doczekały się dotąd rehabilitacji i są trzymane nadal na uboczu.

Zagranicznych turystów traktuje się w Harbinie jeszcze trochę tak, jak w latach rewolucji kulturalnej, kiedy to wolno im było opuszczać hotel jedynie w celu udania się z przewodnikiem do wybranych fabryk, szkół i wzorowych rodzin, kiedy otaczali ich bezustannie pracownicy biura turystycznego, czyli policjanci, których najważniejszym zadaniem było uniemożliwianie cudzoziemcom najbardziej nawet przelotnych kontaktów z miejscową ludnością. W zasadzie jest tak nadal.

Brak pośpiechu, z jakim miejscowe władze dostosowują się do polityki dyktowanej przez Pekin, wszędzie daje o sobie znać. Kiedy na dworzec kolejowy w Harbinie przybywa – wraz z przewodnikiem – cudzoziemiec, otwierają się przed nim osobne drzwi do pustej, zarezerwowanej dla niego poczekalni, a z głośników rozbrzmiewają wojskowe i rewolucyjne marsze, modne kilka lat temu. Zgodniejszy z duchem czasu jest natomiast pociąg z Pekinu, który odjeżdża ze wspomnianego dworca na północ w takt *Walca w płomieniach świec*, uważanego zapewne nadal w Mandżurii za muzykę „dekadencją i burżuazyjną”.

W Pekinie pozdejmowano już portrety Mao wszędzie z wyjątkiem placu Tiananmen; na Północnym Wschodzie wiszą one jeszcze w koszarach, a cytaty z pism Przewodniczącego widnieją nadal na murach miast. Zachowało się też jeszcze kilka gigantycznych posągów Wielkiego Sternika. Największa statua Mao w całych Chinach stoi na głównym placu Shenyangu. Masywny pomnik wzniesiono w szczytowym okresie rewolucji kulturalnej. Mao otaczają na nim wszyscy bohaterowie owych czasów: robotnicy z Daqing, chłopcy z Dazhai, żołnierze Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, młodzież z Czerwonej Gwardii ze znaczkami z podobizną wodza na piersiach i jego czerwoną książeczką w dłoniach.

Czerwone książeczki później odłupano, ale „bohaterowie” przeszłości – w innych częściach Chin zapomniani, a nieraz przedstawiani w niekorzystnym świetle – manifestują nadal swój rewolucyjny zapał wokół Wielkiego Sternika tutaj, w sercu dawnej Mandżurii.

– Co wiedzą w Pekinie o naszych problemach? Co wiedzą o naszych fabrykach? – pyta mnie urzędnik miejscowej administracji, który nie pozwala mi zwiedzić pewnego zakładu przemysłowego, choć mam odpowiednie upoważnienie z Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Pekinie.

– Nasze zasoby wystarczyłyby z nawiązką na nasze potrzeby, ale chodzi o to, że musimy się nimi dzielić z resztą kraju – mówi mi inny urzędnik, uskarżając się, że Północny Wschód musi przestrzegać dyrektyw ogólnokrajowego planu gospodarczego zamiast dbać o potrzeby regionu.

Regionalizm był zawsze tradycyjnym problemem Mandżurii, która na przykład w okresie od 1911 do 1949 roku wymknęła się zupełnie spod kontroli centralnych władz chińskich. Ze względu na swoje położenie geograficzne Mandżuria była zawsze w ścisłym kontakcie ze Związkiem Sowieckim, co stanowi jeszcze jedną przyczynę, dla której region ten nie może się dokładnie dostosować do reszty państwa.

We wszystkich miastach Północnego Wschodu są ulice, place i sklepy noszące jeszcze imię Stalina. Wzniesione w przeszłości przez zdobywców pomniki Chińczycy zniszczyli lub przerobili dla własnych celów (wysoki obelisk, którym Japończycy uczcili swoich poległych, został zamieniony w wieżę spadochronową), jednak nawet najbardziej krytyczne momenty antyrewizjonistycznej histerii przetrwały monumenty i tablice

pamiątkowe zostawione przez Armię Czerwoną, która dotarła tu podczas drugiej wojny światowej.

W Changchunie kolumnę z modelem sowieckiego samolotu na szczycie zdoła nadal nietknięta tablica z napisem: „Przyjaźń między narodami sowieckim i chińskim jest wieczna”. Młode pary robią sobie pod nią pamiątkowe zdjęcia.

Jedyny istniejący dotychczas w Harbinie cmentarz to ten, na którym pochowano stu pięćdziesięciu żołnierzy sowieckich. Był on dawniej duży, z tysiącami grobów, założono go bowiem dla społeczności rosyjskiej w Harbinie w czasach koncesji. Podczas rewolucji kulturalnej Czerwona Gwardia postanowiła jednak przekształcić cały jego teren w „park ludowej kultury”. Wywrócono wszystko do góry nogami, groby zaorano, ale nie ruszono szarych płyt z czerwoną gwiazdą, pod którymi spoczywają „bohaterowie i męczennicy sowieccy”. Szeregi żołnierskich nagrobków pozostały na swoim miejscu, a bukiety świeżych kwiatów i wielkie wieńce składa się przed nimi w każdą rocznicę powstania Armii Czerwonej.

Na Północnym Wschodzie urzędnicy partyjni przyjmują zagranicznych gości, nie wspominając ani słowem o problemie „sowieckiego zagrożenia”, pojawiającym się jeszcze czasem w rozmowach prowadzonych z ich kolegami z Pekinu. Tutaj obecność ponad miliona żołnierzy sowieckich wzdłuż wspólnej granicy zdaje się nikogo nie martwić, a już z całą pewnością nie ma ona wpływu na codzienne życie mieszkańców regionu.

Od 1976 roku ludność Mandżurii nie musi już uczestniczyć w ćwiczeniach obronnych. W bardzo kosztownej i skomplikowanej sieci podziemnych tuneli, zbudowanej tutaj – podobnie jak we wszystkich innych chińskich miastach – po 1969 roku, aby przeciwstawić się ewentualnemu atakowi ze strony ZSRR, umieszcza się teraz sklepy, stołówki i magazyny.

W centrum Harbinu „wielki dom handlowy numer jeden” zajął całe położone pod nim bunkry i ulokował tam dział sprzedaży telewizorów... sowieckiej produkcji. Marka: „Nowy Świt”.

– Granica jest otwarta, ludzie swobodnie ją przekraczają. Mamy tu mniej problemów niż w Sinkiangu – mówi komisarz polityczny Luo z władz administracyjnych prowincji Heilongjiang.

W przeciwieństwie do Sinkiangu, gdzie nie połączono jeszcze szyn kolei obu krajów, tutaj ekspres Pekin–Moskwa kursuje bez przeszkód po starej linii transsyberyjskiej, a handlowcy jeżdżą z jednej strony granicy na drugą i wymieniają towary: z Chin wieprzowinę, cielęcinę i warzywa, ze Związku Sowieckiego – domowy sprzęt elektrotechniczny i wódkę. Biegająca w większej części wzdłuż rzek Ussuri i Amur granica nie przypomina w niczym beczki prochu, która zaraz wybuchnie. Wygląda na to, że zapomniano już o krwawej bitwie na brzegach Ussuri w 1969 roku.

Handel wzdłuż wspólnej granicy – na niewielką jeszcze skalę – ma ten sam charakter, co wymiana w bez porównania szerszym zakresie, rozwijająca się w latach ścisłej współpracy sowiecko-chińskiej. Wymiana ta, jako wynikająca z samej natury rzeczy i leżąca w interesie obu stron, mogłaby z dnia na dzień zostać wznowiona.

Gospodarki sowieckiej Syberii i dawnej Mandżurii doskonale się uzupełniają. Sowieckie fabryki produkują maszyny i artykuły konsumpcyjne potrzebne Chińczykom, rolnictwo Północnego Wschodu dostarcza mięsa i warzyw, których na Syberii tak bardzo brakuje i które trzeba tam sprowadzać z odległości tysięcy kilometrów. Co więcej, sto dwadzieścia wielkich zakładów przemysłowych i dziesiątki innych fabryk, wybudowanych z pomocą Sowietów w latach pięćdziesiątych, posiada bez wyjątku stare sowieckie maszyny, które już dawno powinno się zastąpić nowymi.

Właściwie cała infrastruktura chińskiego Północnego Wschodu jest sowieckiego pochodzenia, byłoby więc oszczędniej i bardziej racjonalnie unowocześnić ją sprzętem sowieckim, a nie maszynami i metodami importowanymi z Zachodu. Patrząc z perspektywy dawnej Mandżurii, wydaje się, że stosunki między Chinami a ZSRR ulegną poprawie. Wznowienia ścisłej współpracy między tymi dwoma komunistycznymi państwami nie można bynajmniej wykluczyć.

– Wszystko jest możliwe – mówi spotkany na harbińskiej ulicy student, który zaproponował mi nieoficjalne zwiedzanie miasta w swoim towarzystwie. – To, co wczoraj było dobre, dziś jest złe, a jutro może znowu będzie dobre. Jednego dnia ci mówią, że masz jakiegoś człowieka chwalić, drugiego – że masz mu napluć w twarz. W rękach naszego kierownictwa jesteśmy jak śruba. Raz się ją przykręci, raz się trochę odkręci.



## 5. głosy z niebios

chińskie zabawy ze świerszczami i gołębiami

Generał wszedł właśnie na podium i miał rozpocząć mowę, kiedy audytorium wybuchnęło gromkim śmiechem. Świerszcz, którego wojskowy trzymał w małej klatce z wysuszonej dyni w wewnętrznej kieszeni swojej grubej kurtki, zaczął nagle śpiewać; wesołe trele, spotęgowane przez mikrofony, rozległy się w całej sali. „Wybaczcie mi, towarzysze, że dałem się skusić tej małej zabawie” – przeprosił generał.

„Mała zabawa”, jak nazywają Chińczycy swoje zamiłowanie do hodowania różnych, czasem dość osobliwych zwierząt, została zabroniona podczas rewolucji kulturalnej jako „burżuazyjne marnotrawstwo czasu”. Od ubiegłego roku chowanie takich pupilów – z wyjątkiem psów, których nadal nie wolno mieć – jest tolerowane i stało się ponownie jednym z ulubionych hobby ludzi w każdym wieku.

W południowym regionie Pekinu, na brzegu Smoczego Jeziora, w każdą niedzielę już o świcie zbierają się tysiące ludzi – w tym wielu bardzo młodych – aby dyskutować o zwierzętach i podziwiać je, kupować i sprzedawać. Handluje się tam także klatkami, karmą i tym wszystkim, co dotyczy w jakiś sposób „małej zabawy” i przyjemności, której ona dostarcza.

Ponieważ w miastach nie wolno jeszcze mieć psów, Chińczykom musi wystarczyć posiadanie ryb, kotów, małą, królików i ptaków. Hodują oni jednak przede wszystkim świerszcze.

W Chinach zamiłowanie do tych małych owadów sięga najdawniejszych czasów i istnieje bogata literatura na ten temat. Kolejne dynastie cesarskie tradycyjnie wznawiały słynny podręcznik poświęcony świerszczom: jak je hodować, tresować, obchodzić się z nimi, dbać o to, aby piękniej śpiewały i zażarciej walczyły.

Opowieści o świerszczach są od niepamiętnych czasów częścią chińskiego folkloru. Z pokolenia na pokolenie przekazuje się jako przykład synowskiej miłości legendę o chłopczyku, który popełnił samobójstwo, aby móc wcielić się w świerszcza i uratować w ten sposób ojca, nad którym zawisło niebezpieczeństwo, gdyż zgubił niezwykle cennego owada należącego do pewnego wysokiego urzędnika.

Jako pierwsze zaczęły podobno chować świerszcze damy dworu, które trzymały je w złotych klateczkach ukrytych pod poduszkami. Samotnym w cesarskim pałacu, strzeżonym przez eunuchów kobietom często dłużyły się noce; słuchanie delikatnych dźwięków wydawanych przez owady sprawiało im przyjemność. Mówi się też, że w dawnych czasach chwytanie świerszczy na potrzeby dworu było jednym z rodzajów pańszczyzny, które zarządzający prowincjami mandaryni narzucali wieśniakom. Wielu urzędników zaskarbiało sobie w ten sposób łaski otoczenia władcy: im lepszych świerszczy dostarczali, tym bardziej byli cenieni. Z biegiem lat stary obyczaj cesarskich nałożnic rozpowszechnił się wśród zwykłych ludzi. Aż do czasu rewolucji kulturalnej w prawie każdym chińskim domu stał wiklinowy koszyk z butelką ciepłej wody, wokół której zimą gromadziły się zziębnięte świerszcze, oraz bambusowe klateczki różnych kształtów – świątyni, łodzi, wieży – w których trzymano owady latem.

Obyczaj ten ożył po wielu latach i ubiegłego lipca na ulicach Pekinu słychać było znowu okrzyk: „Guo... guorrr... Guo... guorr” wieśniaków przybyłych do miasta na rowerach obładowanych okrągłymi klateczkami z bambusa, każda z pięknym, śpiewającym świerszczem na sprzedaż. Od sierpnia do września jeden *guoguo* kosztuje tylko dziesięć centów (trzy eurocenty), ale w styczniu lub w lutym może być wart nawet pięćdziesiąt razy tyle, ponieważ świerszcze zdychają wraz z nastaniem pierwszych chłodów. Prawdziwą sztuką jest długo utrzymywać je przy życiu i sprawiać, żeby mnożyły się poza sezonem.

Hodowla świerszczy przynosi znaczne zyski; w okolicach Pekinu przedsiębiorczy chłopci prowadzą ją na szeroką skalę. Posiadanie świerszcza oznacza wielką, starodawną, wyrafinowaną radość, jaką ten niezwykły, ciepły głos wiosny sprawia w środku zimy, kiedy wokół mroźno, kiedy na dworze wiatr i śnieg. „Smutek i wesołość budzi we mnie ten śpiew, który milknie, aby za chwilę zabrzmieć znowu długo i dźwięcznie. Wydaje mi się, że to głos z nieba, dźwięk stworzony tam dla ludzi, aby było im radośnie i przyjemnie” – napisał w 1900 roku Tun Lichen, mandżurski szlachcic.

Istnieje bardzo wiele odmian świerszczy, różniących się kolorem (mogą być żółte, zielone, czarne, przezroczyste, ciemnobrązowe) i kształtem (są jak pestki melona albo jak ziarenka ryżu). Każda odmiana ma swoją nazwę, wydawany przez każdą dźwięk opisano słowami poezji. *Jinzhong* – „złoty dzwon” – śpiewa głosem czystym

i jednostajnym, który pewien chiński pisarz przyrównał do „brzmienia trąb i bębnow” oraz do „szumu wody w bystrym potoku”. Cykanie niedostrzegalnego prawie *jinlinzi* przypomina „bicie świętych dzwonów w buddyjskich świątyniach”, zaś pospolitszy *hulu* wydaje dźwięki zmienne, wysokie i niskie, hałaśliwe bądź żałosne, niby śmiejący się lub płaczący człowiek.

Dla Chińczyka mieć świerszcza oznacza to samo, co dla człowieka Zachodu mieć psa albo konia. Troszczy się o swego pupila, karmi go tym, co najbardziej zwierzątku smakuje. Niektóre świerszcze jedzą tylko marchew i sałatę, inne – wyłącznie przeżute już przez właściciela kasztany, jeszcze inne – szczególny rodzaj robaków, które z kolei żywi się tylko kukurydzą i które także trzeba hodować, bo świerszczom smakują wyłącznie żywe. Świerszcze lubią się kąpać – zazwyczaj w filiżance letniej herbaty. Chodzi się z nimi na spacer – trochę po to, aby miały rozrywkę, a trochę po to, aby nie czuły się zaniedbane. Ludzie noszą je w specjalnych kieszeniach, wszytych umyślnie po wewnętrznej stronie kurtki lub płaszcza. Można więc z owadem wszędzie pójść, jest mu wygodnie w klance, grzeje go ciepło ludzkiego ciała.

Na zimę robi się świerszczom domki z dyni, ale nie z dyni w jej zwykłym kształcie. To nie zadowoliłoby Chińczyków, którzy umieją nadać dyniom kształt, jaki im odpowiada; są od wieków mistrzami w tej sztuce. Kiedy kwiat dyni zaczyna rozwijać się z pąka, wkłada się go do glinianej formy, w której owoc rośnie, wypełniając ją i przybierając jej kształt. Na jego powierzchni odciska się jednocześnie wszystko to, co wyryto przedtem we wnętrzu formy. Są więc domki z odbitymi na nich słynnymi wierszami, z krajobrazami, z postaciami ludzi i bogów. Klatki takie zamyka się zatyczkami z kości słoniowej, z drewna, z nefrytu lub z szylkretu, na których widnieją wyryte smoki, lwy lub różnorodne symbole, mające przynosić szczęście owadom i ich właścicielom.

W dawnych Chinach ludzie – zwłaszcza Mandżurowie – wydawali fortuny na domki dla świerszczy, wykonywane przez najlepszych rzemieślników owych czasów. Zadanie owadów nie polegało zresztą wyłącznie na śpiewie. Były też świerszcze bojowe; zdarzało się, że tracono rodowe majątki, zakładając się o wynik ich śmiertelnych zmagania. Chińczykom znana była od dawna skłonność tych owadów do walki, zdołali też w ciągu wieków wyselekcjonować najbardziej nadające się do boju odmiany i udoskonalić ich sprawność.

Rozpowszechniona jest w Chinach wiara, że świerszcze gladiatorzy są wcieleniami narodowych bohaterów z przeszłości. Dlatego też – choć to tylko owady – traktuje się je z szacunkiem i oddaniem. „Ćwiczyć świerszcze to tyle, co ćwiczyć żołnierzy” – napisał w XII wieku pewien słynny znawca tematu. Święta prawda. Świerszczami muszą zajmować się doświadczeni opiekunowie, podobnie jak o konie wyścigowe muszą dbać doświadczeni stajenni.

Świerszcze gladiatorzy miały swoje domki z terakoty, z łózekkami i porcelanowymi miseczkami na wodę i pokarm; żywiono je codziennie według specjalnej diety: miodem, ryżem i kasztanami. Owady te szkolili do walki i utrzymywali w formie specjalni treserzy. Jeden z chwytów „psychologicznych”, mających dodać świerszczowi wiary we własne siły, polegał na wystawianiu przeciw niemu w fazie tresury przeciwnika słabszego albo takiego, który pojedynek już przegrał. Schlebiało to „ego” owada, który nabierał ochoty na prawdziwą, decydującą walkę.

W wyznaczonym dniu dwaj mali gladiatorzy tych samych rozmiarów i tej samej wagi ścierali się na arenie, którą stanowiła okrągła waza o ścianach dwudziestocentymetrowej wysokości. W jej wnętrze wpatrywały się dziesiątki podnieconych widzów, z których wielu pozawierało zakłady. Sędzia zwał się „kierownikiem walki”. Walczących drażniono i ponaglano pędzelkami wykonanymi wyłącznie z wąsów polnych myszy i osadzonymi na rączkach z kości słoniowej.

Walka trwała niekiedy tylko kilka minut. Wśród zachęcających okrzyków i wrzawy widzów świerszcze zderzały się, usiłując odgryźć sobie nogi, skrzydełka i czułki. Na koniec jeden z nich padał martwy lub okaleczony. Zwycięzcę mianowano „generałem”, a jeśli zwyciężał w kolejnych walkach – „marszałkiem”. Zabitego kładziono do srebrnej trumienki i grzebano z należnymi honorami w ogrodzie zasmuconego właściciela.

Wszystko to należy już do przeszłości, jako że dzisiaj Chińczykom nie wolno pochować nawet własnych rodziców. Hazard jest jak najsurowiej zakazany, ale w niedzielne poranki po parku wokół Smoczego Jeziora krążą wieśniacy sprzedający znowu „generałów”, a na ulicach Pekinu można spotkać grupy chłopców z długimi prętami, idących polować na świerszcze, które po tresurze staną do walki. „Najlepsi gladiatorzy rosną w pobliżu grobów” – to rada, jakiej udzielają starcy.

Przed ogromną willą, należącą dawniej do Jiang Qing, żony Mao Zedonga – obecnie

jest Pałacem Dzieci, ponieważ po zaareztowaniu właścicielki żaden z chińskich dygnitarzy nie chciał tam zamieszkać – znajduje się niewielki targ Guangyuan. Można na nim kupić stare wazy na pojedynki świerszczy, klatki, pędzelki na rączkach z kości słoniowej, łódeczka, miseczki i wszystko to, co świerszczowi potrzebne do życia i do walki. Widziałem tam również mikroskopijne paczuszki wypełnione kolorowymi proszkami: nadzwyczaj wyszukane lekarstwa – wyjaśnił mi wiekowy sprzedawca – na „przeziębienie, biegunkę i zawroty głowy świerszczy”.

Oprócz świerszczy Chińczycy hodowali od niepamiętnych czasów ptaki. Jeden ze zwrotów używanych, aby życzyć komuś szczęścia, brzmi: „Obyś mógł się zestarzeć i troszczyć o wnuka oraz ptaka”. Widzi się często takich szczęściarzy spacerujących po ulicy: starców popychających bambusowy wózek z dzieckiem i umieszczoną obok piękną klatką z ptakiem.

Chińczyk nie więzi kanarka lub słowika w domu, nie uważa ich za bibeloty. Są dla niego towarzyszami, z którymi chodzi na spacer, z którymi przekomarza się i bawi.

Jest jeszcze mrok, słońce wychyla się dopiero zza widnokregu, a już dziesiątki ludzi w podeszłym wieku stoją w kolejce przed bramami pekińskich parków. Każdy trzyma w ręku klatkę, którą rytmicznie kołysze. Klatki zostaną zawieszono na gałęziach drzew, ptaki będą śpiewać, a siedzący pod drzewami starcy – rozmawiać o swych ulubieńcach i o radości, jaką przynoszą.

Klatki są różnorodne, ale każda to miniaturowe arcydzieło. Mają odsuwane drzwiczki, wewnątrz widać filizaneczki ze starej nieraz porcelany w stylu najszlenniejszych waz, a czasem nawet wazonik z mikroskopijnym kwiatkiem, którego widok ma ptaka cieszyć i zachęcać do śpiewu. W odróżnieniu od klatek używanych w krajach zachodnich, klatki chińskie nie są wyposażone w huśtawki, na których ptak się kołysze i wzmacnia sobie łapki. W Chinach starzy ludzie podczas spacerów z ptakami kołyszą całą klatką tak, że nie tylko zmuszone do utrzymywania równowagi zwierzę się wzmacnia, ale i oni sami ćwiczą nadgarstki, co dobrze robi na reumatyzm. Oto subtelności Wschodu.

Na prywatnych bazarach sprzedaje się znowu najrozmaitsze ptaki. Cena zależy od jakości ich śpiewu. *Laoshizi*, rodzaj dużego wróbla, wydającego jeden tylko, ostry dźwięk, kosztuje poniżej juana (pięć eurocentów). *Huamei*, czyli „malowane brwi” (od białych piórek wokół oczu), który wywodzi długie trele, wart jest co najmniej dziesięć

razy tyle. *Hailin*, umiejący zdaniem Chińczyków naśladować głosy stu zwierząt, nie wyłączając kota i psa, może osiągać cenę nawet trzystu juanów. Miasta ożywia teraz znowu wiele głosów nieznanymi i dziwnymi, przeminęły „milczące” lata rewolucji kulturalnej, kiedy „mała zabawa” była zakazana, a trzymanie zwierząt dla przyjemności uchodziło za przestępstwo. Zdarza się też słyszeć dźwięki podobne do cichego buczenia, do płynącej z przestrzeni melodii, która zbliża się nieustannie, aby nagle ucichnąć. Spoglądając w górę, widzimy tylko chmurę gołębi. Ktoś urządza „koncert powietrzny”.

Ta zabawa sięga czasów panującej w XII wieku dynastii Song; przywiązywane do ogonów gołębi gwizdki z bambusa lub dyni wykonuje się nadal w taki sam sposób, jak wtedy. Przypominają one miniaturowe organy, mogą składać się z dwudziestu i więcej piszczałek. Podczas lotu gołębia powietrze wciska się w gwizdek, który wydaje dźwięk. Zaopatrując gołębie w różne rodzaje takich instrumentów, tworzy się coś zbliżonego do orkiestry. Orkiestry, która lata.

Chińczycy nazywają to „muzyką z nieba” dlatego, że „gdyby Bóg obdarzony był głosem, ów głos niewiele różniłby się od takiej muzyki” – jak oznajmił pewnego razu jeden ze starców, którzy uczyli mnie dbać o moje gołębie i dobierać gwizdki dla mojej orkiestry.

## 6. „jeśli zadowoleni są chłopi, w cesarstwie panuje spokój”

Szantung i koniec komun ludowych

Mężczyzna kopie ziemię prymitywnym żelaznym narzędziem. Inny zaprzągnął się do wózka i ciągnie go z pomocą synów. Kobieta krąży wokół granitowej podstawy i miele kukurydzę, pchając ciężkie, kamienne koło. Nadal, tak jak setki lat temu, kopia, ciągną, pchają, zalewają się potem. Te same narzędzia, te same ruchy. Pokolenie za pokoleniem.

Wyniszczone przez czas i ludzi góry ukazują – jakby pozbawione ciała – swój szkielet z kamieni i nagich skał. Na równinie ziemia, którą niestrudzeni wieśniacy przekopali miliony razy w bezustannej walce o pokarm, podobnie jak oni sami wydaje się wycieńczona tą niewdzięczną, trwającą od wieków pracą.

Szantung (chińskie *Shandong*: „na wschód od góry”), jedna z najstarszych prowincji Chin, druga pod względem gęstości zaludnienia, to jedna z kolebek chińskiej cywilizacji. Na brzegach Żółtej Rzeki osiedliła się część najdawniejszych Hanów; według legendy ich pierwszym cesarzem został człowiek, któremu udało się poskromić wody tej rzeki. Jednak rzeka-smok, zrodzona na Płaskowyżu Tybetańskim, aby na długości pięciu tysięcy kilometrów płynąć poprzez Chiny i nieść wszędzie życie, powodziami i kapryśnymi zmianami biegu powodowała także klęski głodowe i zarazy. Dlatego nazwano ją „nieszczęściem Chin”.

Dziś jeszcze Żółta Rzeka jest jednym z wielkich problemów Szantungu.

Na północ od Jinanu, stolicy prowincji, czerwonawe, mętne fale kłębią się wokół słupów podtrzymujących długi most kolejowy. Poziom wody jest przerażająco wysoki z powodu ulewnych deszczy w górze rzeki, ale tutaj cała ta masa wodna przepływa bezużytecznie, bo nie potrafi się jej jeszcze wykorzystać. Zbiorniki Szantungu są puste, pola wyschnięte. Od pół roku w całym regionie nie padało, chłopi muszą stawić czoło największej od sześćdziesięciu lat suszy i nie mają już – inaczej niż w przeszłości – bogów, do których mogliby się zwrócić o pomoc. Szantung to Ziemia Święta Chin, ale świątynie są zamknięte.

Tutaj urodzili się Konfucjusz i Mencjusz<sup>7</sup>. Tutaj leży Tai Shan, najświętsza z taoistycznych Pięciu Świętych Gór. Tutaj znajduje się centrum tej religii; z wybrzeża Szantungu Ośmiu Nieśmiertelnych<sup>8</sup> wyruszyło w swoją legendarną podróż za morze.

W życiu wieśniaków religia odgrywała przez wieki zasadniczą rolę. Każda wieś miała swoje świątynie i pagody, były one integralną częścią krajobrazu prowincji. Teraz to wszystko zniknęło, zostało zniszczone, rozebrane lub przebudowane. Niektóre przybytki niedawno otwarto, ale wyłącznie na użytek cudzoziemskich turystów.

Sto lat temu Szantung bardziej niż jakikolwiek inny region Chin ucierpiał wskutek obcej interwencji.

„Dajcie Chińczykom do zrozumienia z całą surowością, a w razie potrzeby brutalnie, że z cesarza Niemiec nie wolno sobie kpić i lepiej nie mieć go za wroga” – zatelegrafował Wilhelm II do admirała von Diederichsa siódmego listopada 1897 roku. Chłopscy powstańcy zabili dwóch niemieckich księży, co dało rodakom duchownych pretekst, którego potrzebowali, aby wystąpić zbrojnie przeciwko Chinom i zagabić im – jak przedtem Anglicy i Francuzi – kawałek terytorium. Penetrując wybrzeże, Niemcy upatrzyli sobie półwysep Jiaozhou. Zajęli go i cały Szantung znalazł się w ten sposób w ich strefie wpływów.

Prowincja ta była tradycyjnie ziemią buntowników. Niezwykle aktywna była tam sekta tajpingów o inspiracji chrześcijańskiej, która prowadziła w Chinach krwawe wojny w połowie XIX wieku. Z Szantungu pochodzili powstańcy ze Stowarzyszenia Bokserów<sup>9</sup>, którzy w 1900 roku oblegli dzielnicę dyplomatyczną w Pekinie i zagrozili, że wymordują w Chinach wszystkich cudzoziemców. W 1937 roku zrodził się tam ruch oporu przeciwko japońskim najeźdźcom. Komuniści chińscy od początku swojej walki mieli w Szantungu bazy, dlatego też podczas całej wojny domowej odnosili tam zwycięstwa nad Kuomintangiem.

„Jeśli zadowoleni są chłopci, w cesarstwie panuje spokój” – mawiano w Chinach przed kilkoma wiekami. Było to prawdą wtedy i jest prawdą dziś. Dawne rządy upadły wskutek niezadowolenia wsi, a obecne podtrzymuje osiemset milionów chłopów, zadowolonych z liberalnych reform Deng Xiaopinga.

Na początku XX wieku system wielkich latyfundiów doprowadził do desperacji rzesze wieśniaków, zmuszonych płacić przekraczające ich możliwości czynsze i lichwiarskie



procenty od sum, których nie byli w stanie uiścić. Wszyscy oni marzyli o posiadaniu na własność uprawianej przez siebie ziemi. Komuniści to właśnie im obiecali i w Szantungu zaciągało się do Czerwonej Armii Mao więcej jeszcze synów bezrolnych chłopów, niż w innych prowincjach Chin.

Wiele obszarów tego regionu zostało „wyzwolonych” już na długo przed 1949 rokiem, reformę rolną przeprowadzono tam też wcześniej niż w pozostałej części kraju. Wywłaszczeni obszarnicy uciekli na terytoria znajdujące się pod kontrolą nacjonalistów z Kuomintangu. W Szantungu chłopci opowiadają jeszcze chętnie o dziedzicu, który przed odjazdem powiedział swoim dzierżawcom: „Wrócę tu jeszcze, wrócę. A tych, którzy zabrali moją ziemię, wyrznię jednego po drugim. Otworzę restaurację z daniami z ludzkiego mięsa”. Ale nacjonaści Czang Kaj-szeka przegrali wojnę domową i właściciele latyfundiów, którym nie udało się zbiec z generalissimusem na Tajwan, wrócili do swoich włości po to tylko, aby zostać osądzonymi i automatycznie skazanymi przez „trybunały ludowe”. Wielu z nich bez zbytnich ceremonii rozstrzelano, ścięto lub zadźgano nożami, a pola wszystkich zostały podzielone między ludzi, którzy je uprawiali.

Chłopi byli zadowoleni, zaś komuniści zaczęli powoli wprowadzać kolektywizację: najpierw spółdzielnie, potem – w 1958 roku – komuny ludowe. Szantung był znowu w awangardzie. Wszelki ślad po własności prywatnej zagał. Oddano państwu nawet przydomowe ogródki warzywne i zwierzęta domowe łącznie z kurczętami i prosiakami. Wszystkie targi i wiejskie jarmarki zostały zamknięte.

Komuna posiadała wszystko, sprawowała nadzór nad każdą rzeczą i osobą. Chłop oderwany od swojej ziemi znalazł się w położeniu robotnika wielkiego przedsiębiorstwa (komuny liczyły od trzydziestu do pięćdziesięciu tysięcy członków): dzisiaj kazano mu kopać w polu, jutro miał rąbać drewno albo budować tamę. Nie było indywidualnych uposażeń, każdemu płacono w zależności od tego, co wykonała brygada pracownicza, do której należał. Część tej płacy stanowiło „siedem gwarancji”: jedzenie, ubranie, opieka medyczna, wykształcenie, mieszkanie, opieka nad matką i dzieckiem, wydatki związane ze ślubem i pogrzebem. Pozostałą część wypłacano w bonach, które można było wymieniać jedynie w należących do komuny punktach sprzedaży. Pieniądz w praktyce wyeliminowano.

Mao Zedongowi wydawało się, że znalazł skrót prowadzący do urzeczywistnienia komunistycznego ideału społeczeństwa egalitarnego, w którym „każdy daje według swoich możliwości, a bierze według swoich potrzeb”. Rezultat okazał się katastrofalny. Produkcja zbóż, cukru i wieprzowiny spadła do poziomu z 1951 roku. Zbiory innych płodów rolnych były gorsze niż przed rewolucją.

Dokładną analizę przyczyn klęski maoistowskiej kolektywizacji zawiera publikacja „wyłącznie na użytek kadry partyjnej”, upowszechniona niedawno w Chinach najwyraźniej w celu uzasadnienia nowej polityki Deng Xiaopinga.

W Szantungu, podobnie jak w całym kraju, dziesiątki milionów ludzi głodowało, kilkaset tysięcy zmarło niewidzianych i niezarejestrowanych przez niezależnych obserwatorów – a propaganda Pekinu głosiła ogromne sukcesy.

Sztywną kolektywizację w ramach komun próbował nieco skorygować na początku lat sześćdziesiątych Liu Shaoqi (na przykład pozwolono uprawiać znowu prywatne działki, które chłopci nazywają odtąd „kołami ratunkowymi”, bo umożliwiły przeżycie wielu ludziom), ale te zmiany zmiotła wkrótce rewolucja kulturalna, za pomocą której Mao narzucił swoją radykalną doktrynę kosztem dalszych milionów ofiar.

Wszystko, co dzieje się na wsi, ma w Chinach niezwykłą wagę. Dlatego istotą wszystkich walk politycznych we współczesnej historii kraju (Liu Shaoqi przeciwko Mao, Mao przeciwko Deng Xiaopingowi, Deng przeciwko Hua Guofengowi, obecnie znowu Deng przeciw niedobitkom bandy czworga) jest stosunek do chłopstwa, stanowiącego osiemdziesiąt procent ludności, oraz do rolnictwa, od osiągnięć i niepowodzeń którego zależy dzisiaj – podobnie jak w przeszłości – pozycja panującej dynastii.

Walka toczy się dalej, ponieważ problemy są gigantyczne i nie wszyscy zgadzają się co do sposobu ich rozwiązywania... i co do tego, czy w ogóle można je rozwiązać. Chiny posiadają przecież tylko siedem procent ziemi uprawnej świata, a wyżywić z niej muszą dwadzieścia trzy procent ludności globu. Chińczyków stale przybywa (w ostatnim ćwierćwieczu ich liczba wzrosła z pięciuset pięćdziesięciu jeden milionów do ponad miliarda), a powierzchnia gruntów rolnych maleje, bo rozwijają się miasta i ośrodki przemysłowe (mimo zakrojonych na szeroką skalę projektów zagospodarowania ziem dziewiczych i opuszczonych, areał ogólnokrajowy wynosi dzisiaj dziewięćdziesiąt

dziewięć milionów hektarów – wobec stu siedmiu milionów w 1949 roku). Zbiory zbóż w Chinach nie wystarczają na potrzeby ludności (na głowę mieszkańca przypada dziś tyle, ile za czasów dynastii Han przed dwoma tysiącami lat), więc niezbędny jest znaczny import. Odkąd komuniści objęli władzę, warunki życia na wsi niewiele zmieniły się na lepsze; nawet oficjalna prasa przyznaje, że tylko jedna trzecia chłopów żyje w miarę dostatnio (to znaczy osiąga w ciągu roku dochód równy stu dwudziestu juanom, czyli pięćdziesięciu euro), natomiast jedna trzecia z trudem wiąże koniec z końcem, zaś pozostali, z dochodem poniżej sześćdziesięciu juanów rocznie (dwudziestu sześciu euro), „muszą chwycić się dorywczych zajęć, liczyć na rządowe zasiłki i odżywiać się wstrzemięźliwie” – jak napisano w periodyku partii komunistycznej „Czerwony Sztandar”.

Prowincję Szantung zamieszkuje siedemdziesiąt trzy miliony osób należących w ogromnej większości do chłopstwa; znajdują się na jej obszarze zarówno najbogatsze, jak i najbiedniejsze komuny w kraju. Sytuacja tego regionu ilustruje więc doskonale ogólne warunki, w jakich żyje dzisiaj osiemset milionów Chińczyków i wszystkie sprzeczności wywołane reformatorską polityką Deng Xiaopinga.

Tak jak w całym Chinach, rząd centralny nalega tutaj na likwidowanie komun ludowych, a władze lokalne stawiają mu opór. Tu także, podobnie jak gdzie indziej, żywi się poważne wątpliwości co do systemu, który ma zastąpić system obmyślony przez Mao, i tu również, podobnie jak w innych prowincjach, chłopci korzystają ze sporów zwierzchnictwa i pospiesznie robią to, co im odpowiada. Nauczeni doświadczeniem wiedzą, że okres liberalizacji nie potrwa długo.

W małej wiosce Anqiu we wschodniej części Szantungu od dwudziestu lat nie było jarmarków, stary plac targowy zlikwidowano. Teraz dwa razy w tygodniu ogromny tłum ludzi zbiera się na obszernym, wysprzątanym terenie, gdzie można kupić najrozmaitsze towary: prosięta, pułapki na myszy, kurczaki, okulary słoneczne, zioła lecznicze, sukno na metry, zegarki. Produkty rolne pochodzą z działek przyzagrodowych, wyroby przemysłowe z odległego o trzydzieści pięć kilometrów miasteczka Weifang, dokąd zaradni wieśniacy jeżdżą na rowerach sprzedawać swoje warzywa. Za zarobione w ten sposób pieniądze kupują towary, aby odsprzedać je na targu. Jeszcze kilka lat temu ci ludzie nie mogliby opuszczać swojej komuny,

a prowadzoną przez nich obecnie działalność nazwano by „spekulacją”, za którą groziły surowe kary. Nawet uprawianie na własny użytek malutkiego poletka kapusty na brzegu jakiegoś kanału uchodziło wtedy za inicjatywę „kapitalistyczną”.

Teraz zrehabilitowano „długodystansowych handlarzy”, jak nazywa się tych wieśniaków, pedałujących w długim szeregu po chińskich drogach; zachęca się ich do działania i chwali. Codziennie wjeżdżają gromadą do miast, obładowani kosztami ze swoim towarem. Siedząc w kucki wzdłuż ścian, sprzedają owoce, warzywa i jajka bez porównania świeższe od tych, które kupuje się w państwowych sklepach. Interesy idą dobrze. Na przykład w wiosce Zouping w środkowym Szantungu każda z mieszkających tam czterdziestu dwóch rodzin nabyła już telewizor, chociaż nie może go używać, bo w całej okolicy nie ma ani jednej stacji przekaźnikowej i sygnał tam nie dociera.

Ta wielka zmiana w życiu wsi rozpoczęła się w 1979 roku wraz z ogłoszeniem „dokumentu 75”, który likwiduje w praktyce komuny ludowe i wprowadza w rolnictwie „system odpowiedzialności”. Nazwane tak rozwiązanie jest wielkim wynalazkiem Deng Xiaopinga i podstawą jego polityki reform.

System ów przewiduje, że chłopu nie należy się już część wspólnego dochodu brygady pracowniczej, której był członkiem. Wraz z rodziną uprawia on teraz według własnego uznania przyznaną mu działkę i jest jego własnością wszystko, co wyprodukuje ponad pewien limit, który musi odsprzedać państwu (rodzina może także postanowić, że nie uprawia sama swojej działki, lecz oddaje ją pod uprawę lub wykorzystuje inaczej, pod warunkiem iż z zarobionych w taki sposób pieniędzy zakupi na prywatnym rynku odpowiednik należnych państwu dostaw obowiązkowych).

W praktyce „system odpowiedzialności” demontuje komuny i dokonuje ponownego podziału ziemi między chłopów.

Trzydziestotrzyletni Liu Zongche jest członkiem ubogiej komuny u podnóża Tai Shan, świętej góry w środku prowincji Szantung. W marcu 1981 roku miejscowy przedstawiciel partii powiadomił jego i inne osoby z jego zespołu, że mogą teraz pracować już nie jako kolektyw, a według nowego systemu. Zdecydowali jednogłośnie wypróbować nowe rozwiązanie. Grunty do podziału różniły się jakością. Ponieważ niektóre działki były lepsze od innych, każdemu przyznano numerki; potem numerki zebrano i włożono do kapelusza. W wyniku losowania rodzinie Liu Zongche przypadły

cztery kawałki gruntu odległe o kilometr jeden od drugiego. W ten sam sposób podzielono posiadane przez kolektyw narzędzia pracy. Liu dostał dwoje grabi, motykę i skrzynię ładunkową taczki, ale nie jej koło, które wylosowała niestety inna rodzina. W zamian za tę nowego rodzaju wolność sześćosobowa rodzina Liu zobowiązała się odsprzedawać państwu po stałej cenie tysiąc sześćset kilogramów zboża rocznie. Nadwyżka należy do nich, mogą ją sprzedać na wolnym rynku.

– W porze zbiorów byliśmy oboje z żoną zapracowani i martwiliśmy się o plony, nie mogliśmy zasnąć – opowiada teraz Liu – ale dobrze nam poszło.

Pierwszego roku rodzina zebrała dwa tysiące sześćset kilogramów. Po sprzedaży na wolnym rynku tysiąca kilogramów nadwyżki zakupili krowę, dwie świnie i pierwszą partię cegieł na budowę nowego, aż pięciopokojowego domu. Od tego czasu uzyskują stale pewne nadwyżki i przeprowadzili się już do nowego domu, chociaż nie jest jeszcze wykończony.

„System odpowiedzialności wieśniacy przyjęli z entuzjazmem” – napisał „Dziennik Ludowy”, popierając aktualną linię polityczną kierownictwa. W pewnych przypadkach ten entuzjazm okazał się nawet zbyt duży.

Pogłoska o zwrocie ziemi jej dawnym właścicielom spowodowała na przykład, że w niektórych komunach chłopci ruszyli zajmować należące do nich przed kolektywizacją pola. W innych ludzie zgłaszali się do komitetów partyjnych ze starymi, przechowywanymi pieczołowicie przez długie lata dokumentami, stwierdzającymi ich prawo własności.

Gdzie indziej jeszcze nowy podział wywołał groźne konflikty, kończące się niekiedy bójkami na noże. W pewnej wsi chłopci pod przewodnictwem działaczy partyjnych poszli dzielić między siebie krzesła i stoły zarządu komuny, a następnie rozebrali cały budynek i zabrali każdy swoją porcję cegieł. W komunie Zhifang w okręgu Jiaxiang pięciu urzędników partyjnych sprzedało na licytacji należące do niej grunty i pięćdziesiąt mieszkań, dzieląc potem sprawiedliwie między jej członków uzyskaną w ten sposób sumę dwudziestu dziewięciu tysięcy pięciuset dwudziestu pięciu juanów (dziesięć tysięcy trzysta trzydzieści euro).

– Tak, wprowadzenie systemu odpowiedzialności wywołało w istocie pewien ideologiczny zamęt nawet wśród kadry partyjnej – przyznaje Liu Zongcheng,

wicegubernator Szantungu.

Prasa zrobiła, co w jej mocy, aby zdementować pogłoski, że przyznanie rodzinom działek oznacza przywrócenie własności gruntów. „Ziemia pozostaje własnością zbiorową” – pisze „Dziennik Ludowy” i przypomina wszystkim zasadę, że „ziemi nie wolno ani sprzedawać, ani wydzierżawiać”.

– Chcemy zastąpić egalitaryzm produktywnością, nie naruszając zasad ustroju socjalistycznego – wyjaśnia Guo Xingjiang, kierownik Komisji Planowania prowincji Szantung.

„Egalitaryzm” był ideałem społecznym za czasów Mao. Obecnie „egalitaryzm”, termin tłumaczony na chiński wyrażeniem: „wspólne jedzenie z jednego wielkiego kotła”, uchodzi za coś w rodzaju zgubnego nałogu, którego należy się pozbyć.

– Kto więcej wytwarza, powinien więcej mieć – mówi planista Guo. – Przedtem używali sobie lenie.

To prawda: przedtem ludzie ciężko pracujący jedli z tego samego wielkiego garnka, z którego żywili się pracujący mało albo i wcale. Oczywiście niejeden był tym sfrustrowany, ale przecież z tego samego wielkiego garnka jadła stara kobieta z synem w wojsku, jadła wdowa z małymi dziećmi, które musiała nakarmić, jadł samotny inwalida.

W odróżnieniu od fabryk w miastach, komuny nie zapewniały emerytury ani ubezpieczenia, nie płaciły dodatku rodzinnego, ale to wszystko zastępował „wielki wspólny kocioł”, z którego jedli także starcy, chorzy i wdowy. Na tej właśnie kategorii osób odbija się niekorzystnie nowy system odpowiedzialności.

Są też inni niezadowoleni – na przykład wojskowi. „Rolnictwo kwitnie, a my musimy się martwić o rodziny, które zostawiamy na wsi. W pierwszym roku służby wojskowej tracimy rower, w drugim – dom, w trzecim – żonę” – napisała do swojej gazety grupa rekrutów Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej.

Dawniej tłumy młodych wieśniaków zgłaszały się do koszar na ochotnika. Dla chłopaka ze wsi trzyletnia lub pięcioletnia służba wojskowa stanowiła gwarancję uzyskania po jej zakończeniu dobrej pracy i dawała pewność, że podczas jej trwania rodzinie nie będzie źle się wiodło. Teraz tak już nie jest. Rodzina z synem w wojsku ma mniej rąk do pracy na przyznanym sobie gruncie. Ochotników więc ubywa,

a odbywający służbę wojskową coraz częściej występują o zwolnienie, aby wrócić na pola w tym sprzyjającym rolnikom okresie.

Wysocy rangą oficerowie nie kryją swojego głębokiego niezadowolenia z polityki Deng Xiaopinga. „Wielu z nas nie zrozumiało właściwie sensu przeprowadzanych na wsi reform, uważa je za burżuazyjną liberalizację i marsz wstecz” – napisał w październiku 1981 roku organ sił zbrojnych, przyznając otwarcie, że wśród wojskowych istnieje silna lewicowa opozycja wobec kursu politycznego przyjętego wraz z końcem epoki Mao.

Po wprowadzeniu systemu odpowiedzialności wyszedł na jaw jeszcze jeden problem. Egalitaryzm komun maskował nadmiar siły roboczej na wsi i umożliwiał kontrolę nad nim. Z ośmiuset milionów chińskich wieśniaków trzysta to siła robocza; jedna trzecia tej liczby, czyli sto milionów, jest według oficjalnych statystyk bezrobotna.

Za dawnych porządków wszyscy ci ludzie dzielili między siebie to, co było do zrobienia, a potem jedli to, co było do zjedzenia z „wielkiego wspólnego kotła”. Teraz natomiast każdy zainteresowany jest tym, co może zrobić sam, pragnie zwiększyć swoją produktywność i swój dochód. Przeważa zatem tendencja do redukcji zbędnej siły roboczej i do odsuwania jej od „kotła z ryżem”, który przestał już być wspólny.

Oczywistym rozwiązaniem tego problemu byłaby stopniowa migracja tych ludzi do miast i zatrudnienie ich w przemyśle, ale miasta mają własne tłumy bezrobotnych, których szanse na znalezienie pracy zmalały jeszcze w związku z polityką „porządkowania”. Na dodatek system odpowiedzialności zaczyna teraz obejmować także przemysł. Fabryki chcą działać ekonomicznie, aby móc przyznawać pracownikom premie produkcyjne i dzielić między nich zyski, przeważa zatem znowu tendencja do ograniczania liczby miejsc pracy.

W związku z „porządkowaniem” fabryka obrabiarek „numer dwa” w Jinanie (tysiąc pięciuset pracowników fizycznych i umysłowych) musiała zmniejszyć produkcję o trzydzieści procent, wstrzymała więc rzecz jasna zatrudnienie. W 1981 roku przyjęto tam jako ostatnich trzystu młodych ludzi w zastępstwie krewnych, którzy przeszli na emeryturę.

Bezrobocie rzuca się już w oczy. Na ulicach Yantai, stosunkowo zamożnego miasta w północnym Szantungu, zdrowi i silni młodzi ludzie siedzą godzinami na chodniku obok gipsowych statuetek półnagich kobiet, które usiłują sprzedać. Wokół dworca

kolejowego w Jinanie, zbudowanego przez angielskich architektów jeszcze w latach trzydziestych, dziesiątki chłopców i dziewcząt zarabiają na życie, oferując miski makaronu z dziecięcych wózków zamienionych w obwoźne stragany. Grupy wieśniaczek przybywają tu z daleka po to tylko, aby handlować solonymi ziarnami słonecznika, zapakowanymi w tekturowe pudełka. Na bocznych ulicach spotyka się mężczyzn na rowerach, którzy krążą tam, oznajmiając wrzaskliwie – często wierszem – swoją gotowość do ostrzenia noży, naprawiania znoszonych butów i pękniętych talerzy. Wokół targowisk i stacji autobusowych widać znowu żebraków w łachmanach, szukających czegoś do zjedzenia w pojemnikach na śmieci, a na placach – wędrownie trupy akrobatów, usiłujące przyciągnąć uwagę przechodniów i uzyskać od nich datki przy pomocy dzieci, które odgrywają kontorsjonistów, połykają gwoździe i noże, pluja ogniem. „To prawdziwa tortura; wiele dzieci ponosi szkodę na zdrowiu, zostaje inwalidami” – napisał „Dziennik Ludowy”, zaś policja zakazała wszelkich widowisk z udziałem nieletnich kuglarzy. Oczywiście na próżno, bo ich opiekunowie nie mają innych środków utrzymania.

Nie ulega wątpliwości, że wprowadzenie prywatnej przedsiębiorczości i subwencji przyczyniło się natychmiast – mimo związanych z nim problemów – do wzrostu dochodów chłopów, zwłaszcza w najbiedniejszych rejonach. W 1979 roku średni dochód rolnika w Szantungu wynosił osiemdziesiąt jeden juanów (trzydzieści cztery euro) rocznie, a już w rok po wprowadzeniu systemu odpowiedzialności ta średnia wzrosła do stu pięciu juanów. W okręgu Heze, uważanym za jeden z najuboższych w całym Chinach, w 1979 roku średni dochód mieszkańca wsi równał się czterdziestu juanom; w rok później wzrósł on do siedemdziesięciu jeden juanów. Tak samo było prawie wszędzie. Nie jest to niespodzianka. Całość doświadczeń chińskich od 1949 roku dowodzi, że bodźce materialne powodują wzrost produkcji, zaś bodźce natury moralnej wywołują jej spadek.

Mówi sama za siebie historia świń, opowiedziana w publikacji oficjalnej, ale „zastrzeżonej”. W 1954 roku, kiedy chłopcy pracowali jeszcze na własnych polach, w Chinach było sto milionów świń. W 1956 roku, po powołaniu spółdzielni, pogłowie trzody chlewnej spadło do osiemdziesięciu czterech milionów. Jej stan liczebny wzrósł do stu czterdziestu sześciu milionów w 1958 roku, potem nastąpiły komuny, zlikwidowano



wszystko, co prywatne... i liczba świń spadła o połowę. Następny, dramatyczny spadek miał miejsce podczas rewolucji kulturalnej. Autor publikacji nie pomija milczeniem wynikających z tego doświadczenia wniosków: „Do trzech wielkich spadków doszło wtedy, kiedy kolektywizowano gospodarke i konfiskowano prywatne dobra”.

Oparta na podobnych rozważaniach, reformatorska polityka Deng Xiaopinga popiera – w pewnym zakresie – inicjatywę prywatną. Rzecz jednak w tym, że rozkazy centralnego kierownictwa („Całą parą w stronę reform!”) nie zawsze są wykonywane na peryferiach.

W prowincjach, okręgach i wsiach wpływ starej maoistowskiej ideologii jest jeszcze dość silny. Wielu partyjnych urzędników robi, co może, aby opóźnić realizację reform, próbuje nawet je sabotować. Niektórzy postępują tak z przyczyn ideologicznych:

– Zlikwidowaliśmy tutaj prywatne działki w 1961 roku, dlaczego mielibyśmy teraz znowu je przywracać? – mówi Wu Zhongrong, szef brygady Shijiazhuang w powiecie Anqiu. – Zrobiliśmy krok naprzód, dlaczego mielibyśmy teraz się cofać?

Jego brygada należy do wzorowych, przez ostatnie dziesięć lat była w tym regionie celem organizowanych dla zagranicznych turystów wycieczek. Kolektyw uprawia pola, a jednocześnie prowadzi małe przedsiębiorstwa, produkujące między innymi pidzamy na eksport i plastikowe torby na rynek wewnętrzny, hoduje też króliki. Ludzie mieszkają w świeżo zbudowanych domach, a miejsca publiczne, takie jak kino, sala zebrań i zajazd, w którym kwateruje się „zagranicznych gości”, są utrzymane wyjątkowo porządnie i czysto. Tutaj nie podzielono ziemi między rodziny, chłopcy się też o to nie upominali. Średni dochód roczny każdego z nich wynosi ponad pięćset juanów.

– Jesteśmy przodującą jednostką socjalistyczną. Dlaczego mielibyśmy się cofnąć do mniej socjalistycznego typu organizacji? – mówi kierownik jednego z zespołów pracowniczych.

Z innych powodów są przeciwni Deng Xiaopingowi urzędnicy partyjni niskiej rangi, lokalni biurokraci: widzą oni w reformach i w liberalizacji zagrożenie dla swojej władzy. Chłopi nazywają ich *fantong* („beczkami ryżu”), bo interesuje ich wyłącznie jedzenie, to znaczy opychanie się ryżem.<sup>10</sup> Można ich bez trudu rozpoznać: przechadzają się po wsi dostojnie, z założonymi do tyłu rękami („bo są przyzwyczajeni do tego, że nigdy nie noszą narzędzi” – komentują wieśniacy), zawsze gotowi przyjąć zaproszenie na bankiet,

który powinien wydać przybysz z zagranicy.

Tacy ludzie jeszcze kilka lat temu zarządzali komunami. To oni mówili chłopom, co i kiedy sadzić, co i kiedy zbierać; to oni wyznaczyli limity i decydowali o zadaniach członków kolektywu. Obecnie, po wprowadzeniu systemu odpowiedzialności uprawniającego wieśniaków do swobodnego stanowienia o tym, co i jak uprawiać, owi urzędnicy stracili dużą część swoich funkcji i władzy. W niektórych komunach zmuszono ich nawet do przyjęcia działki i uprawiania jej. Oczywiście nie tego oni pragną.

I dalej. W koncepcji Mao Zedonga komuna była organizmem samowystarczalnym, odpowiedzialnym zbiorowo za produkcję, administrację, opiekę społeczną i obronę. Komuna zawierała w sobie wszystko i o wszystkim myślała. Człowiek rodził się w komunie i w niej umierał, bo nie było żadnego powodu, dla którego miałby ją opuścić. Obecnie, po podziale ziemi, po wprowadzeniu elementu prywatności do codziennego życia wieśniaków, komuna – chociaż trwa nadal jako struktura administracyjna – traci stopniowo kontrolę nad dochodami, przemieszczaniem się i poczynaniami swoich członków.

Chińska wieś jak każdy organizm społeczny pozostawiony sam sobie szuka teraz rozwiązań swoich problemów. Tego właśnie nie chce partyjna kadra, przyzwyczajona wszystko kontrolować, wszystko wiedzieć i o wszystkim decydować.

Shidao jest szarym, robiącym przygnębiające wrażenie miasteczkiem na najdalej na zachód wysuniętym krańcu Szantungu. W jego życiu gospodarczym pewną rolę odgrywa baza marynarki wojennej, ale stanowi o nim działalność wielu pracowni hafciarskich, zatrudniających setki dziewcząt, oraz flotylli kutrów rybackich z licznymi załogami, złożonymi z młodych ludzi. Gdyby w mieście była jakaś sala taneczna, kawiarnia, klub albo po prostu plac, gdzie hafciarki mogłyby spotykać się z marynarzami i rybakami, ta młodzież sama rozwiązałaby problem, przed którym stoją młodzi z całego świata. Ale nie, w Shidao niczego takiego nie ma. Wieczorem, po zapadnięciu zmroku, miasto tonie w ciemnościach, wszyscy zamykają się w domach lub w koszarach. Problem szukania mężów dla panien i żon dla kawalerów przypadł w udziale komunistycznym związkom zawodowym, które otworzyły w tym celu specjalne biuro.

Wprowadzenie elementu prywatności, a wraz z nim odrobiny swobody jest absolutnie

sprzeczne ze wszystkim, czego komunistyczna kadra nauczyła się w szkołach partyjnych, gdzie otrzymała swoje wykształcenie. Dlatego też usiłuje ona ograniczyć nową wolność, uzależnić ją od pewnych warunków.

Pięćdziesięcioośmioletni Zhao Liquan jest wiejskim fryzjerem w powiecie Linq. W 1981 roku komuna, do której należy, ustanowiła własny system odpowiedzialności. Zhao zawarł z kolektywem umowę, zobowiązując się strzyć włosy za równowartość trzystu juanów rocznie (sto dziewiętnaście euro; strzyżenie jednego klienta kosztuje dwie dziesiąte juana, to jest około ośmiu eurocentów). Z tego, co fryzjer zarobi ponad limit, zachowuje dla siebie osiemdziesiąt procent.

– Ma w ten sposób motywację, żeby więcej pracować – wyjaśnia brygadzysta Zhao Yindai.

Nie jest to jednak takie proste. Chłopi nie mogą zwyczajnie przyjść do fryzjerni – pokoju bez drzwi, z fotelem obitym starą, podartą skórą – dać się ostrzyć, zapłacić i pójść sobie. W ramach systemu odpowiedzialności komuna zleciła jednemu ze swoich pracowników prowadzenie księgowości fryzjera. Kiedy wieśniak zechce się ostrzyć albo ogolić, musi najpierw zgłosić się do administracji komuny i pobrać bon, który wręczy fryzjerowi, a ten z kolei po stryżeniu zwróci go administracji. Pod koniec roku sumuje się usługi fryzjera na rzecz chłopa i potrąca ich równowartość w pieniądzu z sumy należnej temu ostatniemu za sprzedaż państwu obowiązkowych dostaw, zaś na konto fryzjera zapisuje się złożone przez niego bony. Całą tę skomplikowaną operację przeprowadza się po to, żeby ludzie nie obracali pieniędzmi i żeby mocno podejrzany fryzjer nie wkroczył przypadkiem na „drogę wiodącą do kapitalizmu”.

Mao Zedong siedział w swoim pełnym książek gabinecie, a Nixon komplementował go za wszystko, co zdołał zmienić w Chinach od chwili objęcia władzy. Przewodniczący wysłuchał amerykańskiego prezydenta, a potem niezwykle wolno odpowiedział: „Nie... Nie. W najlepszym wypadku udało mi się coś zmienić w kilku miejscach tutaj, w pobliżu Pekinu”.

Sytuacja panująca w odległej o pięćset kilometrów od stolicy prowincji Szantung dowodzi, jak wiele racji miał stary Mao, dokonując pesymistycznego bilansu swojego dzieła. Po trzydziestu latach walki z tradycją i ludzką naturą, trzydziestu latach prób

ukształtowania nowego człowieka, a wokół niego nowego społeczeństwa opartego na nowych wartościach, chłop jest tutaj nadal taki, jakim był przez wieki: uparty, samolubny, dbający przede wszystkim o siebie i o swoją rodzinę. Wystarczyło zrobić mały wyłom w sztywnym schemacie komun, przywrócić nieco wolności, aby wszystkie dawne postawy i dawne problemy stały się znowu aktualne.

Na przykład w komunie Xiaozheng powiatu Qingyun wieśniakowi Wangowi wydało się, że wpadł na doskonały pomysł. Partia powierzyła mu działkę pod uprawę, mówiąc: „Ty za nią teraz odpowiadasz. Im więcej zbierzesz, tym więcej zarobisz”. Wang wiedział, że aby więcej zebrać, trzeba użyźnić grunt; poszedł więc na brzeg kanału irygacyjnego komuny i z wielkim trudem wydobył z jego głębi dziesiątki koszy pięknej, tłustej ziemi, którą rozsypał po własnej jałowej działce. Sąsiedzi pozazdrościli mu i natychmiast postąpili tak samo. Po miesiącu obsunęła się grobla, powstał duży przeciek i woda przestała dopływać na wszystkie pola. Komuna zwołała zebranie, poddano krytyce zamieszanych w tę sprawę chłopów i zainicjowano kampanię pod hasłem „Kochajmy kolektyw”.

Od czasu objęcia władzy w 1949 roku komuniści dokonali ogromnego wysiłku, aby rozwiązać jeden z wielkich problemów Chin: problem irygacji. Zwłaszcza po utworzeniu komun, kiedy masy chłopskie na wpeł zmilitaryzowano, zostały przeprowadzone roboty na dużą skalę przy zbiorowym zaangażowaniu setek tysięcy ludzi, pracujących właściwie bez użycia maszyn. Obecnie, kiedy chłopci troszczą się o swoje działki i o własny interes, nikt nie chce już wykonywać niezbędnych prac, jak na przykład oczyszczanie kanałów z liści.

Nie wszystkie masowe kampanie przeszłości dawały jednak pozytywne wyniki. I tak, podjęta w 1958 roku akcja tępienia wróbli – komuś w Pekinie (podobno samemu Mao) przyszło do głowy, że zbyt dużo jedzą – okazała się katastrofalna. W całych Chinach wieśniacy wylegli na pola, powchodzili na dachy i na drzewa z chorągwiemi, bębnami i rondlami, robiąc przez wiele dni tyle hałasu, że ptaki wszelkiego gatunku – przerażone, wycieńczone długotrwałym lataniem bez możliwości przycupnięcia gdziekolwiek – zdychały całymi milionami. Później rozpleniło się oczywiście bez przeszkód pasożytujące na roślinach robactwo, wyrządzając o wiele więcej szkód, niż mogłyby kiedykolwiek spowodować nieszczęsne wróbli.

Innym poważnym problemem, wywołanym przez nowy system odpowiedzialności, jest problem przeludnienia. W Szantungu gęstość zaludnienia wynosi już czterysta dwadzieścia siedem osób na kilometr kwadratowy. Podczas wielodniowej podróży nie widzi się tam ani skrawka ziemi, na którym nie byłoby wsi albo przynajmniej grupki domów z gliny koloru błota.

W latach dwudziestych i trzydziestych wobec powtarzających się klęsk głodu dziesiątki tysięcy ludzi opuszczały Szantung i szukały szczęścia w Mandżurii. Teraz niewielu wyjeżdża do innych części kraju, więc liczba ludności bezustannie rośnie. „Żeń się późno i miej tylko jedno dziecko” – zaleca hasło na ogromnym plakacie przy dworcu w Qingdao.

Ta polityka okazuje się skuteczna w miastach, gdzie kary za wszelkie wykroczenia są wysokie i gdzie maksymalne ograniczenie powierzchni mieszkalnej (średnio trzy metry kwadratowe na osobę) w każdym razie utrudnia poważnie przyrost naturalny; natomiast chłopci całkowicie ją ignorują („dzisiaj bardziej jeszcze niż dawniej” – ubolewa naczelnny planista prowincji).

Wraz z nowym systemem odpowiedzialności, przyznającym działki pod uprawę rodzinom, ożyła dawna wiara wieśniaków w to, że im więcej mają dzieci, tym więcej jest rąk do pracy, a więc tym większy dochód. Rządowi trudno z nią walczyć.

– Teraz uprawiamy nasze pola. Państwa nie prosimy ani o zboże, ani o ubranie. Jeśli chcemy mieć więcej dzieci, to nasza sprawa – z wyzywającą miną mówi mi w obecności komisarza politycznego chłop z powiatu Shouguang.

Niektóre komuny próbowały podnieść wysokość grzywien za drugie i trzecie dziecko, ale chłopci nie zmienili zdania.

– Wolę bawić się z jeszcze jednym dzieckiem, niż mieć kilkaset juanów więcej – oświadcza kobieta, która po raz trzeci zaszła w ciążę.

Inne komuny wprowadziły system „pozwoleń na dziecko” i przymusowego przerywania ciąży u kobiet, które w nią zachodzą bez takiego zezwolenia. Ten system jest jednak zdecydowanie niepopularny i władze obawiają się, że wywoła niebezpieczną reakcję.

Spowodowany wprowadzeniem systemu odpowiedzialności *baby boom* na wsi będzie skutkował dalszym wzrostem bezrobocia i sprawi, że modernizację gospodarki wiejskiej

trzeba będzie odroczyć na czas nieokreślony.

„W dwa lata zmechanizujemy rolnictwo” – obiecał w 1978 roku ówczesny przewodniczący partii, Hua Guofeng. Obietnicy tej już nie powtórzono. Na wsi widzi się w dalszym ciągu rzeszę chłopów uprawiających pola za pomocą prymitywnych narzędzi, ciągnących lub pchających zwykle wózki, wyposażone co najwyżej w żagiel, który wydyma wiatr.

Po powrocie do uprawy małych działek indywidualnych nikomu nie opłaca się posługiwać traktorem. Nawet komuny, które nie wprowadziły jeszcze systemu odpowiedzialności, nie są zainteresowane mechanizacją, bo obawiają się, że spowodowałaby ona dalszy wzrost i tak dużego już bezrobocia.

Także w Szantungu fabryki traktorów starają się teraz produkować coś bardziej na czasie. Zakłady w Yantai wyrabiają części zamienne do rowerów, jedno z przedsiębiorstw naprawy maszyn rolniczych produkuje wentylatory, inne – koperty zegarków na rękę.

– Odpowiadamy na popyt – oświadcza kierujący gospodarką Szantungu urzędnik.

Ludzie są tym oczywiście uszczęśliwieni, lecz nie wiadomo, czy taka właśnie polityka jest dobra dla Chin. „Sądzicie, że dla budowy socjalizmu ważniejsze są szkodzące zdrowiu papierosy niż silniki dieslowskie?” – zapytał pewien cudzoziemiec dyrektora fabryki folii w Yidu<sup>11</sup>, w zachodnim Szantungu. Wybudowany w 1970 roku zakład produkował do 1979 roku trzy tysiące silników dieslowskich rocznie. Później zdecydowano, że ma się przestawić. Wywieziono wszystkie maszyny, a puste hale wypełniono nowymi, które wyrabiają teraz cynfolię do opakowań papierosów dla połowy Chin. „Lud chce palić więcej i lepiej, a my jesteśmy tutaj po to, żeby go usatysfakcjonować. Taki jest nasz wkład w budowę socjalizmu” – brzmiała odpowiedź dyrektora.

W przeszłości podczas podróży po Chinach, przy zwiedzaniu fabryk, komun, uniwersytetów czy przedszkoli gościa zapraszano najpierw do sali przyjęć. Częstowano go tam herbatą, a miejscowy przedstawiciel władzy, siedząc pod wielkim portretem Mao – później pod portretami Mao i Hua Guofenga – wygłaszał wykład na temat aktualnej sytuacji politycznej. W czasach rewolucji kulturalnej wbijano gościowi do głowy, jakie to zbrodnie popełnili i ile szkody wyrządzili krajowi „ci, którzy wkroczyli na drogę

kapitalistyczną”. Po rewolucji kulturalnej i jeszcze w 1980 roku zasypywano go opowieściami o przestępstwach i klęskach spowodowanych działalnością bandy czworga i jej zwolenników.

Obecnie w tych samych pokojach często ci sami ludzie, siedząc pod chińskim obrazem przedstawiającym kwiaty lub krajobraz (nie ma już Mao i Hua, ale na nieodmalowanych ścianach widać ślady po wiszących tam przedtem portretach), podają gościowi dokładne wymiary fabryki oraz kilka innych banalnych informacji na jej temat. O polityce ani słowa, oprócz powtarzanej wszędzie następującej śpiewki: „Od 1949 roku do dziś pod przewodnictwem partii komunistycznej dokonaliśmy wielkiego postępu”.

– Także podczas „wielkiego skoku naprzód”, kiedy w Szantungu zmarły tysiące chłopów, bo ściągnięto ich z pól i kazano topić metale w piecach na podwórzu? – pyta ktoś z obecnych na spotkaniu.

– Ach, nawet wtedy nie było dużych szkód. Zmarnowało się tylko trochę kuchennych garnków...

– A rewolucja kulturalna?

– Tutaj wcale od niej nie ucierpieliśmy – mówi Wu Zhongrong, szef brygady rolnej w okręgu Weifang.

W okresie do końca 1980 – początku 1981 roku, kiedy w Pekinie toczył się jeszcze pokazowy proces przeciwko wdowie po Mao i pozostałym członkom bandy czworga, Szantung – podobnie jak wszystkie inne prowincje – musiał podać do publicznej wiadomości zbrodnie radykałów i sporządzić listę ich przestępstw oraz szkód, jakie wyrządzili. Tutaj też, tak jak wszędzie w Chinach, ogłoszono aresztowanie kilku miejscowych zwolenników „zbrodniczej czwórki” i obiecano, że staną oni wkrótce przed sądem. Te procesy – znowu podobnie jak gdzie indziej – jeszcze się nie odbyły. Zmieniła się muzyka, w którą kadra partyjna pilnie się wsłuchuje.

Jest nagle tak, jakby „dziesięciu lat chaosu” nigdy nie było, jakby do rewolucji kulturalnej w ogóle nie doszło lub jakby była ona co najwyżej drobnym potknięciem w chwalebnym, zwycięskim marszu.

Na szczycie Góry Wielbłądziej<sup>12</sup> niedaleko miasta Linzi w okręgu Yidu piękna kamienna świątynia przez ponad tysiąc lat królowała nad niezwykłym krajobrazem

błękitnych gór i żółtych nizin, gubiących się w szarzyźnie widnokregu. W grotach wokół budowli wierni ustawili przed wiekami posągi, będące jednymi z najwspanialszych egzemplarzy rzeźbiarskiej sztuki buddyjskiej w Chinach. Ze świątyni pozostał teraz stos kamieni i gruzu. Z cienistych grot kamienne wizerunki Buddy o pogodnych obliczach spoglądają dobrotliwie na dolinę i na ludzi. W zamięcie pospiesznie dokonywanych zniszczeń niektóre utraciły ręce, nosy i uszy, z innych pozostał tylko tułów. Głowy im bodajże odpiłowano – robili tak na początku stulecia chińscy handlarze, krążący po kraju i ścinający głowy najpiękniejszym posągom na zamówienie europejskich i japońskich kolekcjonerów.

– Większości zniszczeń dokonano podczas wojen religijnych między buddystami a taoistami za panowania dynastii Ming – twierdzi Yang Zhizhong, kustosz „muzeum Yidu”, które jak dotąd istnieje tylko na papierze. – Ostatnie zniszczenia są wynikiem bombardowań przeprowadzonych przez nacjonalistów w czasie wojny domowej.

– A w czasie rewolucji kulturalnej? – pytam.

– Nie, nie... Tutaj Czerwona Gwardia nigdy nie dotarła... To było dla nich za daleko – odpowiada kustosz.

Prawdę mówiąc, nie wydaje się wcale, aby jakakolwiek odległość odstraszała młodych radykałów.

Cztery kilometry na północny wschód od Qufu, rodzinnego miasta Konfucjusza, znajduje się mauzoleum Shao Hao, jednego z mitycznych cesarzy, którzy panowali jakoby w Chinach, zanim zaczęto spisywać dzieje kraju, cztery tysiące siedemset lat przed Chrystusem. W chińskim przewodniku dla turystów, wydanym w Pekinie, czytamy co następuje: „Jest to jedyny grób w kształcie piramidy w całych Chinach”. Należało jednak raczej użyć czasu przeszłego: „To *był* jedyny grób”, bowiem ocalała z niego tylko podstawa piramidy, a wzniesioną na niej świątynię ze starannie rzeźbionego drewna zniszczyła i spaliła w swoim szale Czerwona Gwardia. Teren jest dziś opuszczony, na świeżo obsianym polu kukurydzy leży samotnie i nieruchomo wielki kamienny żółw. Na jego grzbiecie nie ma już steli z przesłaniem dla potomności.<sup>13</sup>

Ten sam los spotkał wiele dziesiątek innych świątyń, klasztorów, pagód i kościołów w całym Szantungu, niegdyś „świętej ziemi” Chin.

Niszczyć zaczęto jeszcze przed rewolucją kulturalną.



– My tutaj świątynię zburzyliśmy od razu po Wyzwoleniu, w 1946 roku – opowiada Bi Keyou, brygadzysta rybaków w Yudao na wschodnim wybrzeżu regionu. – Ludzi trzeba było wyzwolić z przesądów.

Brygadzysta Bi, który był rybakiem jeszcze przed odbyciem służby wojskowej, wyjaśnia, że za dawnych czasów po złowieniu wyjątkowo dużej ryby załoga kutra szła do świątyni, paliła kadzidła, składała ofiary z pozłacanego papieru i żywności na kilku ołtarzach, a następnie wrzucała rybę z powrotem do wody w hołdzie morskim duchom.

– Teraz duże ryby zachowujemy dla siebie, nie marnujemy ich, jak wtedy – mówi.

Zniszczenia dokonane podczas rewolucji kulturalnej są logiczną konsekwencją komunistycznej polityki, nastawionej na opróżnienie ludzkich głów ze wszystkiego, co dotyczyło przeszłości, i na wypełnienie ich nowymi wartościami.

„Walczyć ze starym”, „wykorzeniać przesady i błędne przekonania” – głosiły hasła partyjne podczas kolejnych kampanii. Przez trzydzieści lat bombardowano tymi sloganami wieśniaków, lecz wszystko dowodzi, że nie całkiem one do nich trafiały.

W Szantungu stare kobiety wdrapują się znowu na górę Tai, aby oddać cześć jej bóstwu. W wielu domach pośrodku największego pokoju stanął ponownie ołtarzyk poświęcony duchom przodków, przed którym pali się kadzidło i składa ofiary z ryżu i owoców. Na targach i jarmarkach są w sprzedaży prymitywne statuetki Buddy i Ośmiu Nieśmiertelnych, które ktoś pomysłowy zaczął masowo wyrabiać. U wejścia do chłopskich chałup, na murku wybudowanym zgodnie z tradycją tuż obok drzwi, aby zagrozić drogę złym duchom, na zlecenie właścicieli biegli w chińskim piśmie umieszczają na czerwonym lub pomarańczowym tle czarne ideogramy *fu* – „szczęście”, albo *cai* – „bogactwo”.

„Wskrzyszanie feudalnych przesądów jest wzbronione” – przeczytałem na plakacie w jednej z komun w pobliżu Jinanu, stolicy prowincji. Ale na pobliskiej Górze Tysiąca Buddów wieśniacy rzucają drobne monety i karteczki z wypisanymi na nich swoimi życzeniami tym niewielu posągom Oświeconych, które przetrwały niszczycielski szal radykałów, a obecnie tkwią w szklanych gablotach.

„Nie pluć. Nie hałasować. Nie niszczyć narodowych skarbów” – głosi napis u wejścia do Pałacu Wielkiej Czystości, jednej z najstarszych świątyń taoistycznych w Chinach, wznoszącej się u podnóża Lao Shan, nagiej, samotnej góry leżącej w odległości

osiemdziesięciu kilometrów od Qingdao, którą młodzi Chińczycy znają tylko dlatego, że tryska z niej źródło najlepszej wody mineralnej w kraju.

„Narodowe skarby” pochodzą wszystkie z 1980 roku. Drewniane stoły, malowidła na zwojach, kadzielnice z brązu, cynowe kandelabry wykonano – świadczą o tym tabliczki na każdym przedmiocie – w Fabryce Wyrobów Artystycznych w Jinanie.

Władze prowincji powierzyły opiekę nad świątynią pięciu mnichom taoistycznym i jednej kobiecie. Krążą oni po podwórzach w nowych habitach otrzymanych od rządu, swoim wyglądem przywodząc na myśl nie tyle osoby oddające się życiu kontemplacyjnemu, ile statystów na planie podczas kręcenia filmu.

– Pracuję osiem godzin dziennie przez sześć dni w tygodniu – mówi jeden z nich, tłumacząc mi, że pracują na zmianę, aby turyści nie byli nigdy sami.

Świątynię zbudowano na wspaniałym, obszernym tarasie z ubitej ziemi; z tyłu skalna ściana góry, naprzeciw morze. Przez co najmniej dwa tysiące lat pielgrzymowali tutaj chińscy wieśniacy, a mieszkający w Szantungu cudzoziemcy przyjeżdżali na wypoczynek do chat zbudowanych w pobliżu sanktuarium.

Według legendy z niewielkiej plaży u stóp przybytku Ośmiu Nieśmiertelnych wyruszyło w swoją mityczną podróż morską ku wybrzeżom Japonii.

Okolice wokół świątyni utraciła swoją tajemniczość, bo tak się dziwnie złożyło, że tam właśnie, tuż obok sanktuarium, wojsko wybudowało sobie koszary i użytkuje część terenu jako poligon. Dostęp jest więc zastrzeżony dla turystów zagranicznych i chińskich, przyjeżdżających specjalnymi autokarami. Zwykłym śmiertelnikom na ten wspaniały taras nadmorski wchodzić nie wolno. Z Qingdao nie dociera tam żaden środek komunikacji publicznej.

Odrodzenie się „feudalnych przesądów” bardzo martwi komunistyczne władze. To dlatego w Szantungu i w innych prowincjach nieliczne odrestaurowane świątynie zamieniono w muzea z biletami wstępu, strzeżone przez strażników i policjantów, którzy kontrolują zwiedzających.

Inaczej przedstawia się sprawa kościołów chrześcijańskich, którym po ponownym otwarciu przywrócono ich pierwotne funkcje, aby zadowolić niewielki odsetek ludności miejskiej (w całym kraju chrześcijan jest najwyżej sześć milionów), a jednocześnie pokazać światu obraz Chin tolerancyjnych i przestrzegających wolności religii.

Zbudowany przez Niemców w 1908 roku zbór protestancki w Qingdao jest znowu otwarty dla wiernych. Kosztem pół miliona juanów (około dwieście pięćdziesiąt osiem tysięcy euro) odrestaurowano kościół katolicki wzniesiony przez Amerykanów w 1936 roku.

– Chcę koniecznie zostać katolikiem – mówi mi napotkany w Qingdao chłopiec. – Katolicyzm pochodzi z zagranicy, więc musi być bardzo dobry.

Kiedy podróżuję dzisiaj po Chinach, obok innych rzeczy dziwi mnie szczególnie ów rosnący podziw dla wszystkiego, co cudzoziemskie, i stopniowe zanikanie zdecydowanego poczucia wyższości, które niegdyś żywili Chińczycy wobec wszystkiego, co niechińskie, a więc barbarzyńskie.

Spacerując po placu targowym w Qufu, gdzie tysiące chłopów sprzedaje swoje towary, na pytania, skąd przybywam, odpowiadałem dla żartu za każdym razem nazwą innego państwa. I zawsze, bez względu na to, jaki kraj wymieniałem, słyszałem słowa: „No tak, twój kraj jest z pewnością lepszy od Chin”.

Chińska prasa skrytykowała ostatnio tę coraz bardziej rozpowszechnioną wśród ludności postawę. Jakby chcąc dać obywatelom nowy powód do dumy, wyliczyła przy sposobności wszystkie zwycięstwa odniesione przez sportowców Chińskiej Republiki Ludowej w różnych zawodach międzynarodowych.

Rzecz w tym, że do otwarcia kraju na świat doszło w chwili wielkiego zamętu ideologicznego i kulturalnego, wywołującego u wielu Chińczyków dezorientację i niepewność. Wspaniała przeszłość Chin, z której ludzie powinni być dumni, została uznana za złą, a jej zabytki w dużej części zniszczono. To, czym Mao i jego zwolennicy usiłowali ją zastąpić, zostało również uznane za złe i popadło w zapomnienie. Chińczycy nie mają już nic, do czego mogliby się odwołać; nic, z czym mogliby bez wahania się utożsamić.

Przez co najmniej dwa tysiące lat chińscy wieśniacy żyli w świecie nieruchomym, rządzącym się stale tymi samymi, niezmiennymi prawami, tymi samymi obyczajami, tymi samymi wartościami. W przeszłości najwyżej cenionym cesarskim urzędnikiem, mandarynem administrującym z woli cesarza prowincją, miastem lub tylko wsią, był ten, kto odchodził po latach, zostawiając wszystko w stanie dokładnie takim samym, jak przed objęciem funkcji. Niezmienianie niczego było największą zasługą.

Poczynając od połowy XIX wieku, ten stary porządek zakłócono: agresja ze strony wielkich cudzoziemskich mocarstw i obce wpływy kulturalne wywołały w Chinach zamęt. Obejmując w 1949 roku władzę, komuniści obiecali ustanowić nowy porządek i zbudować nowe społeczeństwo. Zaatakowali więc stare, aby je zniszczyć. Poddali krytyce i wykorzeniali dawne reguły moralne, dawne obyczaje i dawne wartości, nie cofając się przed fizycznym eliminowaniem ich przedstawicieli.

Kolejne kampanie polityczne ostatnich trzydziestu lat zamiast nowego porządku przyniosły jednak jedną klęskę po drugiej i rosnące zamieszanie. „Precz z czterema starociami”, „W rolnictwie wzorujemy się na Dazhai”, „Przewodniczący Mao jest słońcem naszych serc”, „Precz z bandą czworga”. Hasła, które chłopci musieli wypisywać na ścianach swoich domów, a które teraz – jako już nieaktualne – blakną na słońcu i na deszczu, opowiadają w prosty sposób tę skomplikowaną historię ciągłych sprzeczności.

Na murach Szantungu jeden tylko napis jest świeżo malowany: „Strzeżcie się pożarów. Uwaga na złodziei”. Teraz, kiedy sprawowana przez komuny kontrola społeczno-polityczna złagodniała, kiedy ludzie myślą coraz więcej o tym, co własne, i kiedy rozpoczął się – choć w nader skromnym jeszcze zakresie – bieg w stronę konsumpcjonizmu, zarówno w miastach, jak na wsi rośnie przestępczość. Wychodząc do pracy w polu, chłopci zamykają drzwi na kłódkę, na otaczających fabryki murach pojawiły się ostre kawałki szkła, w miastach rodzice pilnują córek, bo spacerując samotnie, mogłyby zostać napadnięte i zgwałcone przez bandy chuliganów, krążące po niektórych dzielnicach. Władze surowo karzą przestępców; przed siedzibą sądu w Qingdao tłoczą się ludzie, aby przeczytać ogłoszenia o najświeższych egzekucjach.

Chińczycy przez wieki uczyli się zasad właściwego postępowania z *Dialogów Konfucjańskich*<sup>14</sup>. Pisma mistrza zawierały rozwiązania wszystkich problemów, odpowiedzi na wszystkie pytania. Nie istniała w życiu kłopotliwa sytuacja, z której nie udałoby się wybrnąć za pomocą cytatu z Konfucjusza. Dlatego właśnie kandydaci na urzędników musieli dowieść, że znają je wszystkie na pamięć.

Komuniści wypowiedzieli wojnę tej tradycyjnej mądrości, uznanej za „feudalną”. Mao zastąpił *Dialogi* czerwoną książeczką z własnymi cytatami. Nowy system zajął miejsce dawnego, ale podstawowa myśl pozostała ta sama: każdy miał znaleźć w słowach Przewodniczącego odpowiedź na wszelkiego rodzaju pytania. Setki milionów osób

„reedukowano” obsesyjnie na „szkoleniach politycznych”, cały kraj musiał mozolnie uczyć się zdania po zdaniu. Zaledwie ludzie przyswoili sobie kilka z tych zasad i zaczęli je stosować, czerwoną książeczkę wyrwano im dosłownie z rąk, okazała się bowiem „błędna”, ułożona przez „zdrajcę” Lin Biao.

Wielu chłopów zdążyło już postawić Mao na swoich domowych ołtarzykach, na których przedtem stawiali Konfucjusza. Teraz musieli Przewodniczącego zdjąć. Co im zostało? Tylko urywki jego „myśli”.

Jednym z najśłynniejszych haseł Mao – widuje się je jeszcze nad bramami koszar, ostatnich bastionów maoizmu w Chinach – było: „Służyć narodowi”.

„Służyć narodowi” to formuła zachęcająca ludzi do poświęceń dla innych, do uczestnictwa w zbiorowym wysiłku, do zastąpienia wrodzonego egoizmu wzrostem świadomości społecznej. Teraz nad wejściem do kurzej fermy we wsi Shilianzhuang, prowadzonej zgodnie z regułami systemu odpowiedzialności, ktoś wypisał czarnymi znakami na pasmach czerwonego i żółtego papieru: „Służyć kurczętom”. I tak też jest. Im zdrowsze i tłustsze kurczaki, tym więcej zarobią hodujący je wieśniacy.

Dawniej każda komuna miała swojego wzorowego chłopca, a każda fabryka – wzorowych robotników, których należało naśladować. Ich nagrodą za pracę ponad normę były czerwone kokardy, chorągwie, dyplomy wywieszane w miejscu zatrudnienia i ogromny podziw, jaki budzili wśród towarzyszy.

Teraz nagrodą jest podwyżka zarobków, ale wyróżnienie ma swój koszt: kpiny ze strony kolegów.

– Chcę zwrócić dyplom przodownicy – powiedziała sekretarzowi partii pracownica pewnej tkalni. – Odkąd go od was otrzymałam, nikt ze mną nie rozmawia, nikt nie chce pokazać się ze mną na ulicy.

Inna dziewczyna chciała popełnić samobójstwo, bo koledzy z pracy nazwali ją „głupią”. Od pierwszego dnia zatrudnienia wyróżniała się jako osoba pojętna, gotowa pomagać innym i wykonywać szybko wszystkie powierzane jej zadania, ale tę postawę docenili jedynie zwierzchnicy, natomiast u współpracowników wzbudziła ona nienawiść.

– Nasi najlepsi robotnicy muszą pracować w osobnych pomieszczeniach, żeby nie napadali na nich inni – mówi bez ogródek Qi Keqian, dyrektor fabryki tkanin

haftowanych w Shidao.

„Przodownicy” wyznaczają tempo pracy na akord i kontrolują jakość. Po wprowadzeniu w fabryce systemu odpowiedzialności oraz podwyżek dla pracujących więcej i lepiej reszta załogi krzywo na nich patrzy.

Demontaż komun, rezygnacja z egalitaryzmu i wskrzeszenie prywatnej inicjatywy w życiu Chin w ogóle doprowadziły do powstania zupełnie nowej sytuacji, w której jedni zarabiają, a drudzy tracą.

Wszyscy zapytują się teraz – zwłaszcza na wsi, gdzie nowy system dał przeważnie dobre wyniki – jak długo to potrwa.

„Długo. Długo” – odpowiada „Dziennik Ludowy”, starając się przekonać chłopów, aby inwestowali w ziemię przyznaną im w zamian za kontyngent w stałym wymiarze. Ale w 1959 roku ten sam „Dziennik Ludowy” napisał: „[...] wyznaczanie rodzinom dostaw obowiązkowych świadczy o zacofaniu i reakcyjnym podejściu do zagadnienia”.

Xue Muqiao, główny doradca ekonomiczny Deng Xiaopinga, napisał, że kolektywizacji dokonano w swoim czasie w sposób błędny, bo „przedwcześnie”, i że dlatego trzeba było „błąd naprawić, dając chwilowo krok wstecz”.

Z wypowiedzi tej aż nazbyt jasno wynika, że wszystko, na co dzisiaj się pozwala, jutro będzie zakazane. Huśtawka chińskiej polityki bynajmniej nie zatrzymała się na zawsze, jak wydaje się niektórym optymistom, zwłaszcza zagranicznym. Chińczycy znają swoje kierownictwo i pamiętają dobrze przejścia od liberalizacji do kolektywizacji, od drobnych ustępstw do ostrych represji, jakich nie brakowało w przeszłości. Dlatego też usiłują w miarę swoich możliwości szybko się dorobić, nie dbając o resztę.

Streszczają oni na swój sposób dzieje ostatniego trzydziestolecia:

„W latach pięćdziesiątych pomagaliśmy sobie nawzajem.

W latach sześćdziesiątych mordowaliśmy się wzajemnie.

W latach siedemdziesiątych ogarniał nas strach.

W latach osiemdziesiątych każdy myśli tylko o sobie”.

## 7. „budować na sto lat”

dawna kolonia Qingdao

Nie istnieje już hangar, w którym chował swojego „gołębia”<sup>15</sup> porucznik Günther Plüschow po codziennym locie rozpoznawczym nad liniami japońskimi podczas dramatycznego oblężenia Qingdao jesienią 1914 roku, ale większość innych budynków z tamtych czasów nadal stoi. Miasto widziane od strony morza jest mniej więcej takie, jakim było wtedy: pośrodku pokryta patyną iglica zboru protestanckiego, wybudowanego w 1908 roku, za nim solidna, kamienna, podobna do zamku rezydencja niemieckiego gubernatora. Wzdłuż brzegu zatoki Jiaozhou na wschodzie siedziba Banku Niemiecko-Azjatyckiego, Grand Hôtel, masywny budynek administracji kolonialnej; na zachodzie: wieże imponującej centrali policji, dworzec kolejowy, wreszcie dachy niemiecko-chińskiego uniwersytetu.

„Kiautschou<sup>16</sup> to port, dzięki któremu ustanowimy handlowe i gospodarcze panowanie nad Chinami” – napisał wybitny geograf von Richthofen po dwóch podróżach po regionie, z których pierwszą odbył już w 1860 roku. Niemcom, ostatnim uczestnikom wielkiego wyścigu, mającego na celu podział łupów zdobytych na konającym cesarstwie chińskim, Szantung umożliwił nadrobienie czasu straconego w stosunku do innych mocarstw – zwłaszcza Anglii, mocno już usadowionej w swojej kolonii Hongkong.

Wszystkie warunki były korzystne: „Szantung ma idealny klimat dla rolnictwa, przemysł i kopalnie można tam postawić na poziomie o wiele wyższym niż obecnie, jest tam w zasięgu ręki ogromna rezerwa pojętej i taniej siły roboczej” – wyliczał von Richthofen. Niemcom potrzebny był pretekst, aby zawładnąć tym, co upatrzyli już sobie na mapie jako przyszłą zdobycz. Okazja taka nadarzyła się im pierwszego listopada 1897 roku, kiedy to grupa bandytów-buntowników zamordowała („naprawdę we właściwej chwili” – zauważył współczesny komentator) dwóch niemieckich duchownych w południowowschodniej części Szantungu. Zgodnie z obyczajem zachodnich mocarstw w owych czasach, Niemcy dokonały wtedy interwencji zbrojnej w celu „ukarania” Chin. W ciągu dwóch tygodni flota niemiecka uporała się bez większego przelewu krwi

z fortyfikacjami chińskimi wzdłuż zatoki Jiaozhou, a wojsko opanowało całą okolicę. W marcu 1898 roku podpisano zwyczajowy wówczas traktat, na mocy którego cesarstwo chińskie oddawało Niemcom w dzierżawę na dziewięćdziesiąt dziewięć lat rejon tej zatoki i upoważniało je do budowy dwóch linii kolejowych przez całą prowincję Szantung oraz do eksploatacji wszelkich bogactw mineralnych w pasie szerokości piętnastu kilometrów wzdłuż obu linii.

Chiny uznały w ten sposób całą Szantung za niemiecką strefę wpływów, a Niemcy, nie tracąc czasu, uczynili ze swojej kolonii wzór do naśladowania dla Europejczyków na Dalekim Wschodzie.

Dokonali cudów. W całej okolicy nie było na raz nigdy więcej niż pięć tysięcy kolonizatorów, a jednak berlińscy inżynierowie i architekci, posługując się miejscową siłą roboczą, uruchomili port, położyli tory kolejowe, aby umożliwić transport węgla z kopalń wewnątrz prowincji na wybrzeże, a na krańcu półwyspu u wejścia do zatoki Jiaozhou zbudowali z niczego Qingdao – zieloną wyspę, miasto złożone z okazałych budowli publicznych, kościołów, szpitali (było ich aż osiem), szkół i kilku tuzinów eleganckich willi prywatnych.

Zwrócone całkowicie w stronę południa, Qingdao wybudowano według dobrze przemyślanego, nowoczesnego planu. Wszystkie poszczególne projekty i budowy zatwierdzała specjalna komisja, aby nadać miastu jednolity wygląd i zapewnić poszanowanie inżynierskich standardów obowiązujących w ówczesnej Europie.

Założono kanalizację, zainstalowano elektryczność i gaz. Już pod koniec pierwszego roku istnienia Qingdao mogło się poszczycić siecią telefoniczną z dwudziestoma sześcioma abonentami. Szybko uznano je za najczystsze i najlepiej uporządkowane miasto Dalekiego Wschodu.

Aby utrzymać w ryzach stutysięczną ludność dzielnic chińskich, Niemcy zorganizowali osiem wydziałów policji; jeden z nich kontrolował wyłącznie służących. Przepisy były twarde i surowo egzekwowane. „Chińczykowi nie wolno znaleźć się na ulicy między dziewiątą wieczorem a świtem bez latarni” – głosił na przykład jeden z punktów regulaminu.

Cudzoziemcy mieszkający na Dalekim Wschodzie przyjeżdżali z Hongkongu, Sajgonu i Japonii na wypoczynek w zdrowym klimacie Qingdao, „perły Wschodu”. Perły



o całkowicie niemieckim blasku.

Główna ulica Qingdao, Prinz Heinrichstrasse, wyglądała jak centrum jakiegokolwiek eleganckiego miasta Niemiec i pozostała taka do dzisiaj. Zburzono zaledwie kilka wzniesionych wówczas budynków; większość stoi nadal i służy tym samym celom, którym służyła pierwotnie. Dawna siedziba administracji kolonialnej jest teraz siedzibą władzy ludowej, dawną dyrekcję policji zajął lokalny wydział Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Romantyczny zameczek myśliwski, który niemiecki gubernator kazał sobie wybudować z dala od centrum, na skale nad żółtym, mętym morzem, na skraju lasu, w którym nie brakowało wówczas wilków, jest teraz jedną z rezydencji, gdzie partia komunistyczna umieszcza swoich gości. Natomiast w ogromnej, dość ponuro wyglądającej willi, w której gubernator mieszkał, zatrzymują się obecnie najdostojniejsze osoby. Zapominając wyjątkowo o politycznej niepoprawności niektórych, przewodnicy opowiadają z dumą, że spali tam oprócz Mao Zedonga także Lin Biao, Jiang Qing i Ho Szi Min.

Przewodnicy z Qingdao lubią także opowiadać, że von Diederichs, pierwszy niemiecki gubernator kolonii, został odwołany przez cesarza Wilhelma z zawiści, kiedy ten dowiedział się, iż rezydencja gubernatorska w mieście jest wierną kopią jego własnej, cesarskiej siedziby.

– Gubernator był niewątpliwie niegodziwym kolonizatorem, ale jego willę utrzymujemy starannie w dobrym stanie – mówi Liu Baiyuan z Urzędu Spraw Zagranicznych administracji Qingdao.

Miasto miało charakter tak dalece niemiecki, że już po odejściu europejskich kolonizatorów okupujący je do 1922 roku Japończycy wznosili tam nadal budynki w podobnym stylu; w ich ślady poszli Chińczycy w okresie republikańskim.

Po zajęciu Qingdao w 1949 roku komuniści naprawiali i konserwowali nadal najważniejsze budowle, ale pominęli domy przedtem prywatne, a później upaństwowione, czyli pozbawione opieki. Są one teraz w opłakanym stanie. Na powierzchni przeznaczonej kiedyś dla jednej rodziny mieszka obecnie co najmniej pół tuzina rodzin ze wszystkimi tego konsekwencjami, jakie można sobie wyobrazić. Zniknął zupełnie cmentarz niemiecki. Ostatnie płyty nagrobne porozbijano podczas rewolucji kulturalnej, lecz wcześniej już została podjęta decyzja o zaprzestaniu

marnowania miejsca na groby obcokrajowców w czasach, kiedy Chińczykom narzuca się kremację.

„Czerwone dachy w zielonym lesie” – oto hasło reklamujące Qingdao wśród Chińczyków, którym podoba się cudzoziemski wygląd miasta i którzy odwiedzając je dzisiaj, odnoszą wrażenie, że znaleźli się za granicą. Partia wysyła tam na urlop swoich działaczy, fabryki organizują wycieczki dla grup zasłużonych pracowników.

I znowu absurd: Chińczycy są najbardziej dumni z miast wybudowanych przez cudzoziemców, jak Qingdao, Szanghaj, Tiencin, Gulangyu, wzniesione na wyspie naprzeciwko Xiamen, oraz częściowo Kanton.

Zapoczątkowaną i prowadzoną z powodzeniem przez Niemców działalność gospodarczą Chińczycy w niektórych dziedzinach kontynuują i rozwijają. W Szantungu kwitnie jedwabnictwo, hafty wykonuje się jeszcze w ten sam sposób i według tych samych wzorów, co za Niemców. Założony w 1913 roku browar, który wyrabiał wtedy piwo marki Germania, a potem, za okupacji japońskiej – Wschodzące Słońce, dostarcza teraz słynnego chińskiego piwa qingdao, przeznaczonego przede wszystkim na eksport.

Stary zbór protestancki, zbudowany przez Niemców tuż obok rezydencji gubernatora, aby on i jego małżonka mogli chodzić piechotą na mszę, został ponownie otwarty i ma nadal zupełnie północnoeuropejski wygląd. Działa nawet zegar na dzwonnicy:

– Wierni sami go naprawili, bo państwowy zakład zegarmistrzowski zażądał od nas astronomicznej sumy – mówi pastor Andrew Kuang.

Podobnie jak wszystkie inne gmachy w Qingdao, świątynia jest cała z kamienia i żelaza, bowiem, jak mówili Niemcy: „My budujemy na sto lat”.

Qingdao zaprojektowano tak, aby stało się niemieckim rywalem Hongkongu na chińskim wybrzeżu. Sprawy potoczyły się jednak inaczej; Niemcy pozostali tam nie sto, lecz zaledwie szesnaście lat. Koniec nadszedł nagle. Rozkwit i bogactwo kolonii nad zatoką Jiaozhou wzbudziły zawiść Japończyków i Anglików, którzy skorzystali z wybuchu pierwszej wojny światowej w Europie, aby zaatakować Qingdao i pozbyć się w ten sposób niemieckiej konkurencji na Dalekim Wschodzie.

Po wypowiedzeniu Niemcom wojny przez Japonię 23 sierpnia 1914 roku, wojska japońskie i brytyjskie uderzyły natychmiast na kolonię. Większa część niemieckiej floty odplynęła w stronę mórz południowych, a pięcioletni garnizon z sześciuset działami

Kruppa nie miał żadnych szans na stawienie dłuższego oporu sześćdziesięciu tysiącom Japończyków, którzy oblegli Qingdao, oraz blokującym miasto angielskim okrętem. Niemcy postanowili jednak walczyć i pojęli od razu, że ich asem w rękawie jest właśnie „gołąb”, ten zabawnie wglądający jednopłatowiec porucznika Plüschowa.

Wszyscy chichotali, kiedy samolot wylądowano ze statku, którym przyplłynął z Niemiec. Śmiali się jeszcze głośniejsze, kiedy przy pierwszej próbie startu gwałtowny podmuch wiatru przewrócił „gołębia” na hipodrom. Plüschow nie stracił jednak animuszu. Wpadł na doskonały pomysł: zwrócił się do starych Chińczyków wyrabiających latawce, a ci za pomocą jedwabiu, kleju i bambusowych prętów naprawili skrzydła „gołębia”, który wzbił się wreszcie w powietrze.

Jednopłatowiec stał się dumą Qingdao, a Plüschow bohaterem miasta. W mdłym świetle poranka porucznik startował, przelatując nad pozycjami japońskiej artylerii i wracał, aby podać współrzędne niemieckim kanonierom. W nocy Japończycy zmieniali stanowiska ogniowe, ale lotnik odnajdywał je i sprawiał, że działa Kruppa trafiały prosto w cel. Japończycy robili, co mogli, aby zniszczyć hangar, w którym Plüschow trzymał swoją maszynę, ale nawet kiedy udało im się weń trafić, „gołąb” latał nadal. Chińscy specjaliści od latawców skonstruowali jego replikę i to ją właśnie rozbiły japońskie pociski, zaś prawdziwy samolot był ukryty gdzie indziej.

Dzień po dniu „lotnik z Qingdao” (tak brzmi również tytuł jego książki, która stała się bestsellerem) wznosił się w górę i wracał, pilotując samolot wymagający za każdym razem ponownego klejenia. Przekazywane przez Plüschowa informacje były nadzwyczaj cenne.

Na początku listopada Japończycy i Anglicy zacisnęli pierścień wokół miasta; padły jeden po drugim forty Iltis, Molk i Bismarck. Plüschow latał w dalszym ciągu. Nadeszła wreszcie godzina ostatniej misji. Porucznikowi rozkazano polecieć nad terytorium neutralne, wylądować i wysłać stamtąd ostatni komunikat do cesarza Niemiec: „Qingdao stracone”.

Siódmego listopada 1914 roku o siódmej rano Niemcy się poddali, z masztu na kamiennym pałacu gubernatora ściągnięto flagę, która odtąd nigdy już nie miała powiewać nad kontynentem azjatyckim.

Ówczesne kroniki podają, że niemieccy żołnierze w marszu do obozów jenieckich

śpiewali *Miałem towarzysza*<sup>17</sup>.

– Ci imperialiści przybyli tutaj w złych zamiarach – mówi teraz urzędnik administracji Qingdao – ale mimo wszystko zostawili po sobie piękne miasto... Jeszcze my się nim cieszymy.

## 8. „uczmy ich nie buntować się”

Qufu – tam, gdzie urodził się Konfucjusz

Zgodnie z pewnym żartem, gdyby Konfucjusz wrócił teraz do tego miasteczka pośrodku prowincji Szantung, gdzie przyszedł na świat pięćset pięćdziesiąt jeden lat przed Chrystusem (urodzonym w Palestynie), o całe pokolenie przed Buddą (urodzonym w Indiach) i Sokratesem (urodzonym w Grecji), ludność powitałaby go jak bohatera, a sekretarz miejscowej organizacji partyjnej prosiłby mistrza od czasu do czasu, aby zasiadł w cieniu słynnej brzoskwini, pod którą zwykł był nauczać, i poprowadził lekcję etyki dla dzisiejszej młodzieży.

Po gwałtownych atakach ideologicznych na Konfucjusza w latach rewolucji kulturalnej i metodycznym niszczeniu wszystkiego, co go przypominało, nastąpił teraz jego ostrożny, ale niezmienny *revival*, popierany przez samą partię komunistyczną, która szuka wszędzie wartości, ideałów i inspiracji, zdolnych przemówić do coraz bardziej rozchwianego i zdezorientowanego pokolenia Chińczyków.

Rodzinny dom Konfucjusza, ogromna świątynia wzniesiona na jego cześć, olbrzymi cmentarz leśny, gdzie spoczywali do niedawna mędrzec i jego potomstwo, są obecnie z grubsza restaurowane po zniszczeniach, spustoszeniach i podpaleniach, jakich dokonała tam Czerwona Gwardia. Samego Konfucjusza rehabilituje się jako „wielkiego wychowawcę”, a wiele elementów jego doktryny wykłada się ponownie w szkołach, nie podając jednak dokładnie źródła. Jeśli tak dalej pójdzie, mistrz po raz drugi odrodzi się z popiołów.

Dwa tysiące dwieście lat temu Pierwszy Cesarz, który zjednoczył Chiny i wzdłuż ich północnej granicy wybudował Wielki Mur, doszedł do wniosku, że aby zachować jedność kraju, utrzymać go pod kontrolą oraz „zapobiec wątpliwościom i nieporządkom wśród ludzi” (tak właśnie się wyraził), należy wykorzenić dawną myśl i dawne obyczaje. Rozkazał więc zniszczyć wszystkie książki z wyjątkiem traktatów na temat medycyny, astrologii i rolnictwa. Rozkaz dokładnie wypełniono; wraz z tysiącami książek spalono także czterystu sześćdziesięciu uczonych, aby ich umysły nie mogły zapamiętać i przekazać innym tego, co chciano wykreślić na zawsze.

Konfucjanizm został więc nagle wymieciony z Chin, lub przynajmniej tak się wydawało. W zaledwie siedemdziesiąt lat po tej czystce jeden z potomków Konfucjusza, pragnąc rozbudować dom, w którym mistrz urodził się i mieszkał, zburzył fragment muru i znalazł wśród cegieł egzemplarz pism przodka, który z narażeniem życia ukrył tam dziadek. Z kopii tego egzemplarza miliony Chińczyków przez ponad dwa tysiące lat uczyły się etyki. Wykucie tych dzieł na pamięć strona po stronie stanowiło przez dwadzieścia stuleci warunek zdania cesarskiego egzaminu państwowego, który otwierał drogę do nominacji na mandaryna administratora.

Konfucjanizm legł u podstaw chińskiego społeczeństwa. Qufu, miasteczko pośrodku prowincji Szantung, w którym Konfucjusz się urodził, stało się mekką dla wielu milionów pielgrzymów. Nawet najwyższe władze kraju odnosiły się z szacunkiem do potomków mistrza, uważanych za wyjątkowego znaczenia szlachtę, którym powierzono troskę o jego dom, świątynię i grób.

Było tak aż do naszych czasów, kiedy to inny wielki zjednoczyciel Chin, Mao Zedong, ponownie uznał, że aby zbudować nowe społeczeństwo oraz „zapobiec wątpliwościom i nieporządkom wśród ludzi”, trzeba rozprawić się z konfucjanizmem. Dzieło zniszczenia powtórzyło się zatem. Najpierw w sierpniu 1966 roku wraz z początkiem rewolucji kulturalnej, potem w 1974 roku wraz z kampanią przeciw Linowi Biao i Konfucjuszowi właśnie. Ponownie palono książki, bito i mordowano uczonych, a Qufu napadły bandy wandalów, którzy w imię rewolucji podpalili świątynię, zniszczyli bezcenne zbiory muzealne, zatarli dłutem i zamazali farbą napisy na kamiennych, liczących sobie niekiedy ponad dwa tysiące lat stelach.

– Najgorsi byli ci z Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Pekinie. Całymi dniami miotali się tutaj jak opętani – opowiada mieszkaniec Qufu, który dziś jeszcze drży na wspomnienie tamtych czasów.

Okaleczenia i zeszpecenia widoczne są nadal wszędzie, chociaż rząd centralny na restaurację miasta i świątyni Konfucjusza wydał już prawie dwa miliony juanów.

Zniknął wielki posąg mistrza, który znajdował się dawniej w głównej sali sanktuarium i którego kopie stały we wszystkich urzędach państwowych Chin; zastąpiono go przedstawiającym Konfucjusza malowidłem. Z ponad tysiąca kamiennych stel – niektórych wysokości trzech do czterech metrów – ustawionych na dziedzińcu

świątyni zachowało się około tuzina, ale nawet i te są poskładane, jak się dało, z kawałków odnalezionych w rumowisku.

Od północnej bramy miasta kilometrowa aleja obsadzona bardzo starymi drzewami prowadzi do cmentarza, gdzie spoczywają w ogromnym parku Konfucjusz i siedemdziesiąt cztery pokolenia jego potomków. Niemieccy inżynierowie, którzy w 1900 roku budowali w Szantungu linię kolejową, chcieli poprowadzić tory w poprzek tej alei, ale musieli zrezygnować, zdawszy sobie sprawę, że profanacja świętego miejsca wywoła rewoltę ludności. Na marmurowym łuku wznoszącym się przed grobowcem zatarto niedokładnie czarne i czerwone slogany, zaś podczas naprawy samego grobowca postawiono od frontu brzydki mur z szarych cegieł. Stare chińskie znaki określające mistrza mianem „świętego nadzwyczaj uczonego i mądrego” zostały świeżo odmalowane żółtą farbą. Wśród roślin i grobów krążą tuziny starców i dzieci.

– Jak się nazywasz? – pytam chłopczyka.

– Kong.

– A ty? – pytam drugiego.

– Nazywam się Kong.

Jeszcze kilka lat temu ludzie musieli wstydzić się tego nazwiska, będącego także nazwiskiem mistrza;<sup>18</sup> dzisiaj już nie. Nosi je co najmniej trzy czwarte z pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców dzisiejszego Qufu i w ten czy w inny sposób uważa się za potomków Konfucjusza. Nie ma tu natomiast jego potomka w linii prostej z siedemdziesiątego siódmego pokolenia, pana Kong Dechenga. W 1948 roku wyjechał z Qufu i schronił się na Tajwanie, gdzie rząd nacjonalistyczny nadał mu tytuł „mistrza rytuałów”.

Qufu restauruje się, świątynię Konfucjusza otwarto po raz pierwszy od 1966 roku, ale w miejscowości nie ma już prawdziwie religijnej atmosfery. Przed ołtarzami nie widać pałeczek kadzidła.

– Chcemy zrobić z Qufu atrakcję turystyczną na wzór Wielkiego Muru – mówi tutejszy przewodnik.

A jednak rehabilitacja mistrza (w ubiegłym roku na poświęconym mu symposium został nazwany jedną z najbardziej chwalebnych postaci w dziejach Chin) – chociaż jeszcze niepełna – jest czymś o wiele ważniejszym od reklamowego chwytu na użytek

turystów.

W ciągu wieków myśl Konfucjusza (o doskonałym społeczeństwie na kształt piramidy, w którym każdy na swoim poziomie ma zobowiązania moralne wobec innych, znajdujących się na pozostałych poziomach) wryła się głęboko w umysły mieszkańców Chin. Wiele milionów Chińczyków nadal głęboko wierzy – często nieświadomie – w przekazane przez konfucjanizm wartości, takie jak synowskie oddanie, życzliwość i posłuszeństwo. Wagę tych właśnie zalet podkreśla się obecnie znowu, aby przywrócić poczucie moralności w społeczeństwie pozbawionym orientacji i tradycji etycznej przez rewolucję kulturalną, która nauczyła całe pokolenie młodzieży buntu, braku szacunku dla autorytetów i lekceważenia ludzi starszych.

Nawet Hu Yaobang, „kapłan” marksizmu jako sekretarz generalny Komunistycznej Partii Chin, zaapelował do „synowskich uczuć” Chiang Ching-kuo, prezydenta Tajwanu, aby ten złożył zwłoki swego ojca Czang Kaj-szeka w grobie rodzinnym na południu Chin i zapoczątkował tym gestem rokowania między nacjonalistami a komunistami. W 1982 roku władze zainicjowały też kampanię na rzecz „pięciu akcentów i trzech piękności” (akcentowano uprzejmość, moralność, poprawne zachowanie, higienę i dyscyplinę; piękno dotyczyło serca, języka i środowiska), które wydają się zaczerpnięte prosto z listy konfucjańskich cnót. Ponadto partia dziś właśnie mówi o objęciu Chin „cywilizacją moralną” – czymś mocno przypominającym zalecenia mistrza.

Konfucjusza gorszyła postawa moralna współczesnych, martwił się o przyszłość swoich rodaków. Dlatego spędził całe życie na badaniu i upowszechnianiu wartości, które przekazywała przeszłość.

Przed obecnym kierownictwem komunistycznym stanął podobny problem.

– Teraz uczymy młodzież, że nie należy się buntować. Chcemy, żeby nasi uczniowie kochali partię, ustrój socjalistyczny i ojczyznę. Chcemy, żeby szanowali starszych wiekiem i swoich nauczycieli – mówi Qu Siguang, sekretarz partii w szkole średniej numer siedemnaście. – Wychowujemy ich tak, żeby wyrosli na dobrych obywateli, silnych zarówno pod względem fizycznym, jak i moralnym.

Poprosiłem go o podanie przykładów „uczniów na właściwym poziomie moralnym”. Zastanowił się chwilę i wymienił tych, którym w owym roku dyrekcja szkoły udzieliła publicznej pochwały za „zwrot znalezionych na drodze zegarków, pomaganie starym



ludziom przy przechodzeniu przez ulicę i wykonanie poduszek na krzesła dla swoich nauczycieli”.

## 9. „jak psy z pogruchotanymi kośćmi”

Tybet po trzydziestu latach chińskiej okupacji

Imponująca. Majestatyczna. Niepokojąca. Potala, forteca z kamienia, słomy i złota, niedostępna na skalistej górze, wyrosła jakby za sprawą czarów pośrodku doliny Lhasy i symbolizuje pragnienie człowieka wzniesienia się do nieba. Niezwykły to pomnik, zbudowany przez niewolników dla ich władców – bogów.

Od wieków miliony pielgrzymów, ożywionych nadzieją ujrzenia jej, wędrowały długie miesiące, aby dotrzeć do tej doliny; wielu umierało przed osiągnięciem celu podróży. W drogę ruszali także misjonarze i łowcy przygód z Zachodu, których doszły słuchy o owym mitycznym miejscu za niedosiężnymi górami pokrytymi lodem. Zafascynowani tą świętą, zagubioną w odległej przestrzeni wizją, chcieli poznać ostatnią tajemnicę Wschodu.

Kto tam przybywa, musi poddać się jej urokowi. Po prostu nie można mu się oprzeć: sponad biało-brązowych ścian żywej góry wzniesionej przez ludzi pośród niebotycznych, nagich, martwych szczytów, które stworzyła przyroda, okna Potali podobne tysiącom oczu patrzących raz dobrotliwie i pocieszająco, raz surowo i groźnie, śledzą nieustannie przemierzającego dolinę wędrowca. Złote dachy fortecy, owiane poranną mgłą, lśnią w pierwszych promieniach wschodzącego słońca. W ciemnościach nocy jej widmowa sylweta unosi się nad miastem, a wraz z nią wspomnienia o morderstwach i czarach, lecz także o czynach zbawiennych.

Potala to dla Chińczyków okupujących obecnie Tybet muzeum okropności i przesądów, z których oni przed trzydziestu laty „wyzwolili” Tybetańczyków. Dla Tybetańczyków jest nadal siedzibą ich boskiego władcy i dlatego najświętszą ze świątyń.

W niedzielę, kiedy u szczytu stromych kamiennych schodów otwierają się olbrzymie wrota z drewna i brązu (wstęp dziesięć eurocentów), tysiące Tybetańczyków wpada do wewnątrz. Krążą po labiryncie ciemnych korytarzy, padają na twarz przed dziesięcioma tysiącami ołtarzy i biją czołem o święte kamienie, wspinają się po chwiejnych, drewnianych schodach do ukrytych relikwiarzy, wlewają topione masło do setek

migocących lampek ofiarnych przed dwustoma tysiącami podobizn – niektóre są ze szczerego złota – bóstw, demonów i potworów, składają wszelkiego rodzaju dary, od pieniędzy po agrafki, przed zabalsamowanymi ciałami lamów z przeszłości, przeciskają się wśród ogromnych półek ze świętymi księgami, aby nasycić się ich mądrością, podają swoim dzieciom czarki z wodą z położonego dokładnie pod tą fortecą-katedrą podziemnego jeziora usianego złocistymi wysepkami, klękają w milczeniu przed pustymi apartamentami Dalajlamy, swojego wygnanego króla, chodzą wzdłuż niekończących się murów pokrytych wspaniałymi, napawającymi lękiem freskami, wzywają szeptem bogów, składają śluby, w oszołomieniu kręcą młynki modlitewne, powtarzając niestrudzenie, bez chwili wytchnienia, świętą formułę: *Om mani padme hum* („Chwała klejnotowi w kwiecie lotosu”).

Pomiędzy nimi kilku zagubionych chińskich żołnierzy po służbie rozgląda się wokoło z niedowierzaniem.

W 1959 roku, kiedy wojska Pekinu zgłuszyły ostatnie powstanie ludowe przeciwko Chinom, a Dalajlama uciekł do Indii wraz z osiemdziesięcioma pięcioma tysiącami najbardziej mu wiernych poddanych, Potalę zamknięto dla Tybetańczyków. Od stycznia 1980 roku jest znowu dostępna (jeden raz w tygodniu); wybuch tłumionej przedtem religijności zaskoczył wszystkich, zwłaszcza Chińczyków.

Przywrócili oni w ograniczonym zakresie wolność wyznania jako zawór bezpieczeństwa wobec rosnącego niezadowolenia Tybetańczyków, ale zawór bezpieczeństwa okazał się dzwonkiem alarmowym. Pekin bardzo to zmartwiło. Do Lhasy wysłano kilku członków ścisłego kierownictwa partii (łącznie z sekretarzem Hu Yaobangiem i wicepremierem Wanem Li). W nadziei na pozyskanie zaufania nieprzyjaznej w dużej mierze prowincji zapoczątkowano politykę ustępstw i liberalnych reform o wiele bardziej zaawansowanych niż w innych częściach kraju.

Tybet zajmuje jedną ósmą terytorium Chin. Ma długą granicę z wrogimi jeszcze Indiami i leży blisko zajętego obecnie przez Sowieców Afganistanu. Jest jedyną prowincją Chin, w której mniejszość etniczna stanowi absolutną większość ludności (Tybetańczyków jest tu milion siedemset tysięcy na milion osiemset tysięcy ogółu mieszkańców). Czyni to z Tybetu jeden z narażonych na największe niebezpieczeństwo obszarów przygranicznych w Chińskiej Republice Ludowej. Gwałtowny wybuch

niezadowolenia, a może nawet nowe powstanie ludowe przeciwko chińskiemu panowaniu odbiłyby się prawdopodobnie w dramatyczny sposób na reputacji Chin w świecie i wywołały groźniejsze jeszcze skutki wewnątrz kraju, którego wszystkie obszary przygraniczne zamieszkują nieprzychylnie usposobione mniejszości.

Pekin nie może w żadnym wypadku dopuścić do pojawienia się problemu tybetańskiego. W Tybecie rządzono żelazną ręką podobnie jak w całym kraju; teraz, kiedy ta metoda okazała się nieskuteczna, po przemyśleniu sprawy zmieniono zupełnie politykę.

– Do różnych fryzur potrzeba różnych grzebieni – powiedział mi Yin Fatang, szef partii komunistycznej w Tybecie, oczywiście nie Tybetańczyk, ale Han; zajął on miejsce innego Hana – generała, który przez dwadzieścia lat sprawował nieograniczoną władzę w regionie.

Tybet dowiódł już, że jest rzeczywiście innym rodzajem fryzury. Dwadzieścia lat marksizmu-leninizmu i socjalizmu naukowego nie wywarło najmniejszego wpływu na istotę tybetańskiej duszy, która pozostała niezmienną. W domach i w chatkach Tybetańczyków wiszą wprawdzie na ścianach portrety Stalina, Marksa i Lenina, a wśród wiernych padających na twarz w Potali są ludzie ze znaczkiem Mao na piersi – nie widuje się go już zresztą w innych częściach Chin – ale nowa ideologia i myśli nowych mędrców nie zakorzeniły się tutaj i nie przekształciły w żadnej mierze powstałego przed wiekami oblicza tej przedziwnej krainy, hołdującej zapamiętałe całkiem innym bogom i wierzącej ślepo całkiem innym mędrcom, potężniejszym jeszcze od bogów.

Tybetem wydaje się władać dzisiaj ten sam magnetyzm, który zawsze każdego człowieka pociągał. U schyłku życia Laozi<sup>19</sup> wsiadł na bawoła i udał się do tajemniczego kraju, skąd już nie powrócił – do tego właśnie kraju.

Siedemdziesiąt milionów lat temu Tybet leżał nad morzem. Potem płyty kontynentalne indyjska i chińska zaczęły zbliżać się do siebie. W miejscu ich zderzenia wyrósł łańcuch Himalajów, a pośrodku wzniosła się ku niebu Wyżyna Tybetańska.

Dziś jeszcze w tych górach, z których stoków wypływają najbardziej „życiodajne” rzeki ziemskiego globu, jak Brahmaputra i Mekong, ludzie znajdują ogromne muszle jasnej barwy, skamieliny gąbek i koralu. Woda w tybetańskich jeziorach jest nadal słona

jak w morzu. Ruch płyt kontynentalnych trwa: Himalaje rosną o dziesięć centymetrów rocznie, zdaniem niektórych jest to przyczyną straszliwych trzęsień ziemi, zdarzających się często w wielu regionach Chin. Tybetańczycy, odcięci od reszty świata, zmuszeni przez naturę do radzenia sobie we wspaniałym, lecz zarazem wyjątkowo nieprzyjaznym środowisku, wyprowadzili z buddyzmu i z praktyk tantrycznych własną religię, lamaizm, która pozwoliła im znosić wszelkie cierpienia, skłoniła ich do budowy olbrzymich pomników swoim bogom i legła u podstaw całego systemu wartości, którego nie można nazwać tylko cywilizacją. Zgłębił on nieznanne aspekty człowieczeństwa, obdarzył niektóre wybrane jednostki – mężczyzn i kobiety – zdolnościami przekraczającymi naszą wyobraźnię, umożliwiającymi im na przykład znoszenie nago przez długi czas temperatur poniżej zera, telepatyczne porozumiewanie się na duże odległości i odbywanie z zawrotną szybkością podróży po okolicach, gdzie każde miejsce wydaje się owiane legendą, gdzie każdy kamień zdaje się być mieszkaniem ducha twardszego jeszcze od kamienia.

Tybet uchodził zawsze za szkatułę wypełnioną skarbami. „Są tam mrówki wielkości psów, które tworzą stosy złota, kopiąc sobie nory” – zapewniał Herodot. Zaś w o wiele bliższych nam czasach Austriak Heinrich Harrer, który po ucieczce z angielskiego obozu jenieckiego w Indiach spędził „siedem lat w Tybecie” (tak brzmi tytuł jego książki), napisał: „Kąpiąc się w strumieniach płynących w okolicach Lhasy, można dostrzec w promieniach słońca złoty pył”<sup>20</sup>.

Skrepowani swoimi tabu i drżący z obawy przed własnymi przesądami Tybetańczycy nigdy nie próbowali nawet szukać tych minerałów, nie próbowali też budować dróg, w przekonaniu, że spowodowałyby to wyjałowienie ziemi. Nie zatroszczyli się również o przyszłość swego narodu, dopuszczając, aby dziesiątkowała ich własna religia w rezultacie stałego wzrostu liczby zobowiązanych do celibatu mnichów. Około roku tysięcznego Tybetańczyków było dwanaście milionów, pod koniec XVIII wieku – już tylko cztery, w 1949 roku – zaledwie milion. Zastygli w swego rodzaju negacji rozwoju materialnego, podobnie jak my w okresie średniowiecza.

Kiedy Mao wydawał chińskiej armii rozkazy wkroczenia do Tybetu w 1950 i do Lhasy w 1951 roku (Tybetańczycy stawili wtedy silny opór, ale chińska propaganda przedstawia to jako „pokojuwe wyzwolenie”), kraj ów pod teokratycznymi rządami

lamów i szlachty z Dalajlamą („Oceanem Mądrości”) na czele zdecydowanie nie nadszedł za współczesnością. Nie było dróg, szkół, szpitali, fabryk. Trzynasty Dalajlama sprowadził z Indii jedynie trzy samochody, przetransportowane przez Himalaje kawałek po kawałku na grzbietach jaków i ludzi, ale stały się one szybko bezużyteczne ze względu na brak benzyny. Oprócz kół tych aut kręciły się w Tybecie tylko młynki modlitewne, bo zgodnie ze starym proroctwem „wraz z wprowadzeniem kół następuje kres pokoju”.

I w istocie Chińczycy przyjechali tu na ciężarówkach. Przywieźli traktory, pompy do czerpania wody i inne maszyny. Pekin postanowił upodobnić Tybet do „macierzy”. Eksperyment zupełnie się nie udał – Lhasa jest dziś symbolem tego niepowodzenia.

O świcie chiński żołnierz gra na trąbce pobudkę z murów tego samego fortu, który w 1904 roku zajęły wojska angielskie, a głośniki wypełniają dolinę dźwiękami pieśni *Czerwony Wschód*, aby nadać potem po chińsku (to jest w języku, którego Tybetańczycy nie rozumieją) codzienną porcję pekińskiej propagandy. Budzą się wtedy dwa miasta: Lhasa nowoczesna, czysta, dobrze oświetlona, z asfaltowymi jezdniami i domami z cegieł, które Chińczycy wybudowali dla siebie, oraz stara, brudna, zaniedbana Lhasa Tybetańczyków z chałupami z zeschniętego błota, z krętymi ulicami pokrytymi lepka warstwą szlamu i odchodów, owiana fetorem zjełczanego masła i dymem z kuchennych pieców, w których pali się wysuszonym na słońcu łajnem jaków, bowiem przy całkowitym braku drewna jest to jedyne ogólnie dostępne paliwo.

W starym mieście Chińczycy nadali nazwy ulicom i numery domom („łatwiej im jest teraz nas kontrolować” – mówią Tybetańczycy), ale ludzie załatwiają się nadal pod gołym niebem, bo brak tu kanalizacji i nie doprowadzono jeszcze wody. Po całych dwóch dziesięcioleciach „budowania socjalizmu” Lhasa ze swoimi ciemnymi, cuchnącymi podwórkami, gdzie dzieci bawią się pośród świń i kóz, wokół parujących kotłów, potrzebnych kobietom gręplującym wełnę, nie wydaje się zbyt różna od tej, którą oglądał w 1661 roku pierwszy przybysz z Zachodu, austriacki jezuita Johannes Grüber, albo od tej, którą opisał w 1847 roku francuski ksiądz Huc.

Nowa Lhasa rozciągająca się obecnie w dolinie ku zachodowi i stara Lhasa skupiona u podnóża Potali stykają się wzdłuż szerokiej alei. Rano po jednej stronie tej ulicy Chińczycy zaczynają swój dzień gimnastyką i biegami; po drugiej Tybetańczycy

przystępują do zwyczajowych modłów, przebierając paciorki różańca. Obie społeczności żyją osobno, podzielone, często nie utrzymując ze sobą żadnego kontaktu. Czasem wydaje się nawet, że żyją w dwóch różnych epokach. Na drodze z ubitej ziemi, wiodącej w stronę lotniska, widziałem chińskich żołnierzy, którzy zakładali druty linii telefonicznej; za nimi nadeszli Tybetańczycy, aby porozwieszać na tych drutach swoje białe kartki modlitewne.

Nie licząc stacjonujących w Tybecie żołnierzy, jest tam ogółem sto dwadzieścia tysięcy Chińczyków (sześć procent całej ludności). Siedemdziesiąt tysięcy mieszka w Lhasie, stanowiąc kadre polityczną, techniczną i administracyjną prowincji. Chociaż według oficjalnych statystyk czterdzieści sześć procent pracowników tybetańskich instytucji państwowych to Tybetańczycy, łatwo można się przekonać, że wszystkie stanowiska kierownicze są obsadzone przez Hanów.

Hanami są też prawie wszyscy urzędnicy banku, poczty i biura turystycznego. Tylko bardzo niewielu z nich zna tybetański („Już raczej będę się uczyć angielskiego” – oznajmia dziewczyna, przybyła z Syczuanu do pracy w urzędzie państwowym) i wszyscy marzą o powrocie na „zaplecze”, jak nazywa się tu pozostałą część Chin. Ludziom z niziny nie jest łatwo żyć na wysokości czterech tysięcy metrów.

Chińczycy zasadzili w dolinie Lhasy dziesiątki tysięcy drzew, zwiększając przez to zawartość tlenu w atmosferze. Jednak rozrzedzone powietrze Dachy Świata nadal poważnie utrudnia oddychanie nie tylko osobom przyjeżdżającym na krótko, ale i tym Hanom, którzy od dawna tu mieszkają.

Woda w tych górach wrze w temperaturze osiemdziesięciu sześciu stopni. Nie ginie zatem wiele znajdujących się w niej zarazków i Chińczykom dokucza cały szereg chorób żołądka i układu trawiennego, których nabawili się w Tybecie. Aby zrekompensować wszystkie te niedogodności, Pekin wypłaca skierowanym do owej nieprzyjaznej prowincji pracownikom państwowym pobory o trzydzieści procent wyższe. Kontrolę nad regionem zapewnia rządowi stacjonujące tam stale trzysta tysięcy żołnierzy Armii Wyzwoleńczej.

Opór zbrojny właściwie wygasł, opowieści o organizowanych przez tybetańskich partyzantów wymyślnych zasadzkach, w które wpadają chińskie patrole, dotyczą wydarzeń sprzed lat. Trwa natomiast nadal, a ostatnio nawet przybiera na sile,

podziemny ruch oporu biernego.

Kiedy Pekin przeżywał swoją „wiosnę”, a „ściana demokracji” stała się forum swobodnych dyskusji, na murach Lhasy pojawił się pewnej nocy plakat z żądaniem niepodległości regionu.

Od lata 1979 roku, kiedy po trzydziestoletnim zakazie przybyli do Tybetu pierwsi zagraniczni turyści, zdarza się regularnie, że do zwiedzającego podchodzi ktoś, wciska mu w dłoń świstek papieru i znika. Te zapisane po tybetańsku kartki (mnie wręczono dwie) wzywają zazwyczaj Narody Zjednoczone do położenia kresu „chińskiej okupacji Tybetu”. Fakt, że apele mają podobną treść i że wręczane są w różnych, odległych od siebie miejscach, dowodzi istnienia aktywnej organizacji i gotowości do współpracy ze strony wielu osób, którym grożą za to wyroki wielu lat ciężkich robót albo i coś gorszego (ostatnio rozstrzelano kilku tybetańskich dysydentów w ramach akcji zwalczania przestępczości). Ludzie ci podejmują jednak ryzyko w walce o sprawę z góry skazaną na niepowodzenie.

Spektakularnym wyzwaniem rzuconym Chińczykom przez Tybetańczyków był epizod, do którego doszło podczas odwiedzin delegacji Dalajlamy, zaproszonej przez komunistów chińskich, aby zapoznała się z sytuacją w regionie. Kiedy nieliczna reprezentacja wygnańców w eskorcie licznych chińskich urzędników pojawiła się na terenie jednego z wielkich klasztorów, zniszczonych podczas rewolucji kulturalnej, otoczył ją tłum ludzi wołających ze łzami w oczach: „Niech żyje Dalajlama! Niech żyje Dalajlama!”. Siedemdziesięciu trzech kierowców tybetańskich „wypożyczyło” ciężarówkę ze swoich przedsiębiorstw i przetransportowało tam ponad trzy tysiące rodaków. Chińczycy przerwali pobyt delegacji i wydalili ją natychmiast z Tybetu. Zamieszanym w sprawę kierowcom odebrano prawo jazdy.

Poczynając od 1959 roku, Pekin dokonał ogromnego wysiłku, aby zmienić Tybet. W region zainwestowano równowartość trzech miliardów dolarów amerykańskich, zbudowano dwieście pięćdziesiąt dwie fabryki, otworzono sześć tysięcy sześćset dwadzieścia cztery szkoły, położono dwadzieścia dwa tysiące kilometrów dróg, z których najważniejsza łączy Lhasę z Chengdu w Syczuanie, przecinając dwanaście rzek i czternaście łańcuchów górskich, biegnąc na wysokości czterech tysięcy metrów nad poziomem morza.



Podobnie jak wszyscy kolonizatorzy, Chińczycy są dumni ze swoich osiągnięć i chętnie się nimi chwala, ale – znowu podobnie jak inni kolonizatorzy – nie rozumieją, dlaczego mimo wszystko nie są kochani przez ludność kolonii.

– Nie możemy ich kochać, bo za to, co tu zrobili, kazali nam zapłacić własną duszą – mówi Lobsan K., młody nauczyciel, który pewnego wieczoru zaprosił mnie ukradkiem do siebie na kufel jęczmiennego piwa w towarzystwie grupy młodzieży, zdającej się dzielić jego poglądy. – Hanowie pobudowali drogi, ale zburzyli nasze świątynie; uratowali wielu ludzi w swoich szpitalach, ale wystrzelali lamów swoimi karabinami. My, Tybetańczycy, jesteśmy jak psy z pogruchotanymi kośćmi.

W 1959 roku, po zniwiedzeniu antychińskiego powstania i zainicjowaniu przez Pekin tak zwanego „okresu demokratycznych reform”, w Tybecie było jeszcze ponad sto tysięcy lamów i mniszek. Teraz jest ich poniżej tysiąca. Z dwóch tysięcy czterystu sześćdziesięciu czterech klasztorów pozostało... dziesięć.

W dolinie Lhasy, w olbrzymim wąwozie o dwadzieścia kilometrów od Potali, Congkhapa, wielki reformator buddyzmu, tybetański Marcin Luter, założył w 1409 roku kolosalny klasztor Ganden. Wybudował go w miejscu tak odosobnionym i ukrytym, ponieważ wyrocznia oznajmiła mu, że buddyzm kiedyś upadnie; chciał więc, aby w świątyni tej mogli schronić się jego współwyznawcy i zachować tam tradycję. Na ten właśnie klasztor rzuciła się od razu Czerwona Gwardia. Ani jedna cegła ze starej, ogromnej budowli nie pozostała na swoim miejscu.<sup>21</sup>

W Tybecie tępienie religii zaplanowano jeszcze dokładniej i wdrażano jeszcze bardziej systematycznie niż w innych częściach Chin. Przeprowadzano je tak wytrwale i metodycznie, że w rezultacie uległ zmianie tybetański krajobraz. Na wzgórzach królowały przedtem dzongi, zamieszkałe przez mnichów fortece – zrównano je z ziemią. Na polach stały tysiące stup, kapliczek i relikwiarzy – Czerwona Gwardia porobiła z nich strachy na wróble. Każda rodzina miała w domu ołtarzyk z różnymi posążkami z gliny, przedstawiającymi bogów – roztrzaskano wszystko na drobne kawałki. Zniszczono sprzęty kultowe. Wielobarwne chorągwie modlitewne, powiewające z dachów, słupów, wierzchołków wzgórz, ściągnięto i zastąpiono czerwonymi flagami partii. Tysiące buddyjskich figur wyrzeźbionych, intarsjowanych, namalowanych na skalistych ścianach gór zatarto dłutem, oszpecono uderzeniami

młota, pokryto farbą, unicestwiono.

Naprzeciw Potali, na szczycie Żelaznego Wzgórza, wznosiło się przez wieki słynne Kolegium Medyczne, w którym z pokolenia na pokolenie studiowali medycynę lamowie; ze stoków wzgórza Tybetańczycy zeskrobywali proszek do leczniczych napojów, mających przynieść im ulgę w chorobie. Teraz Kolegium zniknęło prawie bez śladu. Chińska artyleria rozbiła pociskami budynek główny jako „gniazdo reakcji”, a Czerwona Gwardia dokonała reszty, niszcząc ocalałe mury i ścierając z całej ściany wzgórza setki wyrytych tam buddyjskich figur.

Nie oszczędzono nawet świętej wierzby płaczącej w centrum Lhasy, która zgodnie z legendą wyrosła z włosa Buddy. Pozostał po niej tylko mizerny pień, przykryty papierem i obrazkami świętych.

Palenie masła w lampkach wotywnych uznano oczywiście za zbędne marnotrawstwo i zakazano go. Psy nazwano „pasożytami” i kazano tępić. Rodzice, pobożni buddyści, musieli beczynnie patrzeć, jak ich wyszkolone przez komunistów dzieci kamieniami i kijami tłuką te zwierzęta, które podobnie jak wszystkie żywe stworzenia są dla Tybetańczyków powtórny wcieleniem innych ludzi, a często – zwłaszcza psy – inkarnacją krewnych, pragnących pozostać w pobliżu rodziny.

Na murach widniała wszędzie święta formuła *Om mani padme hum*, bowiem zasługę stanowi nie tylko jej wymawianie, ale i patrzenie na nią czy też nawet obracanie jej zapisem na modlitewnym młynku. Czerwona Gwardia gorliwie i cierpliwie zamalowała te wszystkie inskrypcje, zastępując je hasłem „Niech żyje przewodniczący Mao!”. Teraz, kiedy czas i deszcz zrobiły swoje, spod czerwieni sloganu maoistów przebijają tu i ówdzie stare napisy.

– Banda czworga wyrządziła tutaj ogromne szkody – mówi Luo Sanchichang, wicegubernator prowincji, powtarzając klasyczne kłamstwo chińskiej propagandy, z którego tutaj jeszcze nie zrezygnowano.

Dla większości Tybetańczyków owo rozróżnienie nie ma właściwie sensu, bo banda czworga i Czerwona Gwardia to dla nich przede wszystkim po prostu Hanowie, Chińczycy.

Tybetańczycy usiłują teraz ratować resztki tego, co pozostało po ogromnej klęsce. Odtwarzają małe, przydrożne stupy. W Gandenie grupy młodzieży poświęcają

regularnie czas wolny od pracy na odbudowę świątyni w miejscu, gdzie wznosił się wielki klasztor. W klasztorze o nazwie Sera, wspaniałym zespole świątyń, domów i cel, stojących kiedyś we wzorowym porządku u podnóża wysokiej góry na północ od Lhasy, połowa zabudowy leży w gruzach – przerażające świadectwo gwałtów dokonanych przez Czerwoną Gwardię. Dziedziniec po zachodniej stronie został całkowicie zniszczony przez pożar, z cel i pięknych balustrad ostały się tylko czarne szkielety. W sąsiednich kaplicach wszystko porozbijano, nie można rozpoznać ani jednego wizerunku. Obrócono w perzynę połowę budowli tworzących przedtem wspaniały kompleks świątynny. Wszystko rozbite, spalone, przewracane, freski zeszpecone.

Od strony Lhasy wiatr niesie kakofonię głośników naszpikowaną chińską propagandą, lecz także melancholijne dźwięki dziesiątek połączonych dzwonków, które tu i ówdzie zwisają jeszcze z dachów.

Stary lama, który ze swojego ciemnego okna zobaczył, jak błąkam się samotnie wśród opuszczonych ruin, przyzywa mnie i zaprasza do swojej celi, dokąd niedawno powrócił. W ogrodzie wykopał z ziemi tankę<sup>22</sup>, teraz zdrapuje ze ścian warstwę błota, którą pokrył freski, aby je ukryć i uratować przed szalem czerwonogwardzistów. Na stole stoi termos, ofiarowany mu przez władze jako odszkodowanie za wszystko, co utracił.

Pekin wypłaca teraz miesięczną pensję tym niewielu lamom, którym udało się przeżyć. Ocalałym klasztorom przyznano na odbudowę pół miliona dolarów amerykańskich. W jednym z nich zakończono już roboty; zwiedzają go obowiązkowo przybywający teraz do Tybetu turyści, którym komunistyczny rząd chiński chce dowieść swojej troski o dawną kulturę w nadziei, że zapomną, iż to właśnie rząd chiński tę kulturę zniszczył.

Położony w odległości pięciu kilometrów na zachód od Lhasy Drepung był – mówią Tybetańczycy – największym klasztorem świata. W 1959 roku było to prawdziwe miasto, zamieszkane przez dziesięć tysięcy mnichów; w 1962 roku zostało ich już tylko siedmiuset. Chińczycy w imię swoich „demokratycznych reform” sprawili, że ogromna większość tybetańskich duchownych zrezygnowała z życia zakonnego. Zmuszono ich do podjęcia pracy i do ożenienia się.

W 1966 roku Czerwona Gwardia zakończyła dzieło, wypędzając z Drepungu ostatnich mnichów i mordując tych, którzy usiłowali stawiać opór.

– Ilu zabito? – pytam.

Wydaje się, że nikt tego nie wie albo nie chce o tym pamiętać.

Obok towarzyszących zwiedzającym chińskich przewodników jest także odpowiedzialny za „pracę duchową” w Drepungu „towarzysz lama” Gandunjacuo. W swojej nadzwyczaj dziwnej jak na mnicha mowie dowodzi on wyższości marksizmu nad religią i przepowiada definitywny upadek buddyzmu w Tybecie, bowiem „komunizm jest doktryną bez porównania lepszą”.

Bardziej niż „wyższość” marksizmu zagraża dzisiaj przyszłości tradycji buddyjskiej fakt, że w klasztorach nie ma już nowych lamów i że w dużej mierze przerwana została ciągłość przekazywania dawnej kultury. Według propagandy komunistycznego rządu – zwłaszcza tej ukierunkowanej na zagranicę – każdy, kto w Chinach zechce być mnichem, może to zrobić; rzeczywistość jest jednak całkiem inna. Na przykład nikomu nie wolno opuścić swojej „jednostki pracy” bez upoważnienia ze strony komisarza politycznego. Zezwolenie udziela się nadzwyczaj rzadko i już sama ta przeszkoda natury czysto biurokratycznej wystarcza, aby uniemożliwić w praktyce korzystanie z rzekomej swobody wyboru życia zakonnego. Ponadto w propagandzie skierowanej na kraj władze chińskie mówią o tej swobodzie nadzwyczaj ostrożnie, w obawie, że pod bramy klasztorów napłyną tysiące młodych z pozwoleniami lub bez. Zapoczątkowana przez Deng Xiaopinga liberalizacja nie pociągnęła więc za sobą znacznego wzrostu powołań, ale umożliwiła już wskrzeszenie w życiu codziennym pewnych tybetańskich tradycji.

W Drepungu starym lamom pomagają chłopcy w typowym układzie mistrz – uczeń.

Szybko rozeszła się po kraju wieść, że latem 1980 roku komunistyczne władze przywróciły w ograniczonym zakresie wolność religii, Lhasa stała się znowu celem pielgrzymek.

Ze wszystkich części Tybetu, z pobliskiego Syczuanu, z prowincji Gansu, Qinghai i Mongolii, gdzie żyją w rozproszeniu jeszcze dwa miliony Tybetańczyków, przybywają codziennie do świętego dla nich miasta setki pasterzy i koczowników – wielu na piechotę, po kilkumiesięcznej wędrówce. Obozują w cieniu najświętszej świątyni Dżokang, przed tysiąc trzystu laty zbudowanej, podobnie jak Potala, nad podziemnym jeziorem, w którego wodach – według starej legendy – został zapisany koniec świata. Dla niektórych z tych ludzi w ciężkich wełnianych okryciach lub w płaszczach ze skóry

jaka jest to ostatnia podróż, bo przybyli do Lhasy, aby umrzeć. Umrzeć w świętym cieniu świątyń, zniknąć w naturze, uniesionym ku najbardziej błękitnemu, najczystszzemu z nieb.

Dawni podróżnicy opisali tradycyjny tybetański rytuał podniebego pogrzebu, a ja usłyszałem, że dziś jeszcze się go odprawia. Nie mogłem oprzeć się pokusie, chciałem to zobaczyć na własne oczy. Wynająłem rower i zacząłem szukać.

Wyczytałem w starych księgach, że pogrzeby odbywają się za wzgórzami na wschód od klasztoru Sera. Na ostatnim odcinku drogi moimi przewodnikami były sępy. Zobaczyłem, jak czekają na szczycie skały; potem zniknęły za wzgórzem, aby pojawić się znowu wysoko na niebie ze swoim łupem w szponach. Wszedłem na wzgórze, stanąłem na ich skale i ujrzałem w dolinie, na brzegu połyskującej w słońcu srebrną rzeki, wielki, płaski głaz. Odbywał się przy nim praktykowany przez Tybetańczyków od stuleci rytuał.

W kraju, gdzie twardą ziemię trudno kopać i gdzie brakuje drewna na stosy, podniebny pogrzeb był zawsze najbardziej pobożnym sposobem pozbycia się zmarłych. Owinięte w białe prześcieradła ciała przynoszą na ramionach rodziny. Wykonawcy rytuału kładą je na głazie twarzą w dół. Najpierw jednym uderzeniem rozbijają czaszkę, aby dusza mogła ulecieć ku swojemu nowemu wcieleniu. Potem otwierają pierś i rzucają serce i wątrobę największemu z sępów. Następnie tną na kawałki skórę i mięso; wtedy na posiłek zlatują się kruki.

Wreszcie jeden z wykonawców zbiera oskrobane z mięsa kości, kładzie je na kamieniu i powoli miażdży młotem, aby i one mogły zostać zjedzone przez ptaki. Później przed wielkim głazem stoi już tylko trzech zmęczonych mężczyzn i podająca im herbatę z masłem kobieta.

W dolinie rzeka połyskuje niczym rtęć. W oddali wydaje się unosić w pełnym blasku powietrzu Potala, która wszystko widzi swoimi setkami okien. Nad moją głową kraczą kruki i szeleszczą szeroko rozpostartymi skrzydłami sępy.

– Cóż to za różnica? Waszych zmarłych zjadają robaki pod ziemią, naszych – ptaki w powietrzu – oznajmia wieczorem jeden z dozorców Potali, który pozwolił mi zostać u siebie i podziwiać z murów fortecy niezwykle kojący, choć smutny zachód słońca. – Po odejściu duszy ciało jest tylko rzeczą, jak ten stół.

Dla wielu pielgrzymów podróż do Lhasy to wypełnienie ślubu albo upragniona okazja pozyskania zasług na rzecz nowego wcielenia. Dla Tybetańczyków Lhasa jest bowiem jednocześnie Rzymem, Lourdes i Jerozolimą. Dwukrotne okrążenie Dżokangu w ciągu dnia, w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara, tak, żeby mieć świątynię zawsze po prawej stronie, to dla nich święty obowiązek.

Wśród skarbów tej wiekowej budowli znajdują się: najstarsza podobizna Buddy w Tybecie, statua Songcena Gampo, najślawniejszego tybetańskiego króla, oraz dziesiątki ciemnych nisz ze złotymi posągami. Wiodąca wokół świątyni ulica pełna jest ciał idących, pełznących, utykających, jest ogromnym dziedzińcem cudów. Z chodników żebracy wyciągają puste ręce, trędowaci swoimi kikutami usiłują wzbudzić litość przechodniów, staruchy sprzedają porcje śmierdzącego, zjełczałego masła z mleka jaków, handlarze starają się odkupić od pielgrzymów korale, bursztyny i turkusy, którymi ci pokrywają koszty podróży, rzeźnicy kroją na ziemi mięso, a obok stada parszywych psów czekają na ochłapy. Sunie bez przerwy pochód ludzi i zwierząt; niektórzy są okaleczeni, wielu w łachmanach, wszyscy brudni, cuchnący, z przeróżnymi dolegliwościami, lecz idą w radosnym podnieceniu, bo składają ofiarę bogom.

Starcy, młode kobiety z niemowlętami przytroczonymi do pleców, dzieci z oczami zeszeconymi już jaglicą, wszyscy i wszystko w tumanach kurzu, w fetorze zjełczałego masła i w dymie wydobywającym się z wielkich kotłów z brązu, w których tłą się aromatyczne zioła.

Tego samego dnia w ciągu kilku godzin widziałem rodzącą kobietę, śmierć starca w tłumie i staruszkę, która piła mocz leżącego obok siebie dziecka.

Wielu okrąży Dżokang, najpierw rzucając się na ziemię z wyciągniętymi do przodu rękami, potem wyginając do góry grzbiet jak dżdżownica, a następnie padając znowu twarzą do ziemi, pokryci kurzem i złani potem. Są tacy, którzy chronią dłonie drewnianymi osłonami, inni zostawiają na przebytej drodze pasmo krwi w przekonaniu, że tym większa będzie ich zasługa. W nocy wierni rozpalają ogniska i zbierają się wokół swoich przywódców. Ze wspólnego kotła nalewają sobie herbatę do drewnianych czarek, dodają kawałek zjełczałego masła i garść jęczmiennej mąki, potem palcami ugniatają z tego wszystkiego kulę i surową wsadzają sobie do ust. Ogień podsyca starzec za pomocą miecha z kociej skóry.

Przed czerwoną, zamkniętą bramą Dżokangu, pod jego dachami ze szczerego złota dziesiątki osób klękają nawet w nocy, klękają i podnoszą się, potem klękają znowu na kamieniach, które stały się gładkie i lśniące wskutek tych samych gestów, wykonywanych w przeszłości przez miliony innych pielgrzymów.

– Teraz panuje wolność religii. Religia jest teorią, nie można jej zabronić siłą – mówi wicegubernator prowincji.

W 1978 roku, kiedy bez zbytniego rozgłosu otwarto ponownie Dżokang (ale tylko dwa razy w tygodniu i na kilka godzin) po zniszczeniach dokonanych przez Czerwoną Gwardię, Tybetańczycy zatrudnieni przez rząd usłyszeli, że nie wolno im pojawiać się w świątyni. Od początku 1980 roku Dżokang, świątynia świątyń, jest otwierana każdego ranka (bilet wstępu czterdzieści eurocentów od osoby), a w tłumie pielgrzymów przybyłych z najodleglejszych części Tybetu nie brak także osobników w kurtkach na modłę Mao, klękających tak samo jak inni wierni i szepczących te same modlitwy.

Dwa lata temu młody człowiek, który śpiewał publicznie pieśń ku czci Dalajlamy, został natychmiast zaaresztowany. Teraz Yin Fatang, sekretarz regionalny partii komunistycznej, mówi:

– Dalajlama? To nasz stary przyjaciel. Jeśli zechce wrócić do Tybetu, powitamy go z radością. Może przyjechać i pojechać sobie znowu, jeśli mu się tu nie spodoba.

Czternasty Dalajlama opuścił swoją letnią rezydencję Norbulingka<sup>23</sup> przebrany za żołnierza, z karabinem przerzuconym przez plecy, nocą siedemnastego marca 1959 roku, i dotąd do niej nie wrócił, a jednak jest w dzisiejszym Tybecie wszechobecny. Jego podobizną opatrzone są ustawione w niszach Dżokangu i Potali posągi. Jest obecny w codziennych modlitwach lamów w Drepungu i w umysłach przytłaczającej większości Tybetańczyków.

W starej Lhasie w mieszkaniu każdej rodziny, za przedpokojem z portretami Marksa, Engelsa, Lenina, Stalina i Mao, znajduje się pokój, w którym wiszą, zasłonięte niekiedy firankami, święte obrazy z fotografią Dalajlamy pośrodku. Na wsi chłopci są mniej ostrożni, nie używają zasłonek. W chacie „wzorowej” rodziny należącej do komuny, która w odległości trzydziestu kilometrów od Lhasy zajmuje się hodowlą koni, fotografię Dalajlamy wetknięto po prostu w ramę portretu Mao. Wystarczy wymienić imię Dalajlamy, by twarze starych wieśniaków rozjaśniły się, niektórzy bez żadnego

skrępowania zaczynają wtedy płakać.

Ludzie noszą na szyi kawałeczki lub po prostu nici tkaniny, którą on kiedyś pobłogosławił. Większość Tybetańczyków nie pali tylko dlatego, że wypowiedział się kiedyś przeciwko paleniu. Na rynku w Lhasie przedsiębiorczy handlarze – nie brak wśród nich młodych Chińczyków – robią dzisiaj pieniądze, sprzedając odbitki jego starej fotografii po czterdzieści eurocentów za sztukę. Dalajlama nie jest ani papieżem, ani królem. Dla Tybetańczyków to wcielenie Chenreziga – Buddy Opiekuńczego, a więc najlepszy władca, jakiego lud mógłby zapragnąć.

Lamaści wierzą, że gdy umrze kolejny Dalajlama, po dwóch lub trzech latach jego dusza przybiera znowu ludzkie kształty pod postacią dziecka płci męskiej, które rodzi się gdzieś w Tybecie. Tego chłopca trzeba odnaleźć, bo jest prawowitym następcą zmarłego. Otoczone tajemnicą poszukiwania często trwają długo, biorą w nich udział najważniejsi lamowie dworu.

– To mój różaniec – powiedziało czteroletnie dziecko, dzisiejszy czternasty Dalajlama, kiedy czterdzieści dwa lata temu grupka przebranych za sługi mnichów zatrzymała się na noc w chacie ubogich ludzi we wschodniej części Tybetu. Mnisi niby przypadkiem zostawili na stole ten przedmiot, który należał do ostatniego Dalajlamy, a chłopczyk natychmiast wziął go do ręki i rozpoznał jako swój. Stary Dalajlama umarł z twarzą zwróconą ku wschodowi i dlatego lamowie wyruszyli szukać jego wcielenia na wschodzie. Dziecko zrozumiało potem, że goście nie są bynajmniej jakimiś służącymi, ale lamami z klasztoru Sera, i zaczęło rozmawiać z nimi językiem dworskim, o którym nikt z jego rodziny nie miał pojęcia. Oprócz różańca rozpoznało jako swoje kilka innych przedmiotów należących do trzynastego Dalajlamy. Dzisiaj ten chłopczyk ma czterdzieści sześć lat, stoi na czele „tybetańskiego rządu na wygnaniu”, jest niekwestionowanym przywódcą stu tysięcy tybetańskich uchodźców rozsianych po całym świecie i pozostaje ojcem duchowym ogromnej większości Tybetańczyków w Chinach.

Pekin robi obecnie wszystko, żeby Dalajlama wrócił do Tybetu. W 1979 roku uwolniono trzystu siedemdziesięciu sześciu jego zwolenników – ostatnich z tych, którzy trafili do więzienia w 1959 roku. Zwrócono się z apelem do wszystkich uchodźców, aby wracali do ojczyzny. Obiecano szlachcie zwrot skonfiskowanych rezydencji (niektóre



odnowiono nawet ostatnio, aby zachęcić dawnych właścicieli do powrotu). Zezwolono na przyjazd kilku delegacji Dalajlamy – jednej przewodniczyła jego siostra – aby zapoznały się z sytuacją w regionie.

Jako dowód szacunku dla Dalajlamy należy chyba rozumieć to, że w 1980 roku kustosz letniej rezydencji w Norbulingka kazał posprzątać sypialnię boga-króla i odtąd nie pokazuje jej już w nieładzie, z porozrzucaną na łóżku pościelą – takiej, jaką zostawił ją Dalajlama, uciekając owej nocy przed dwudziestu pięciu laty.

– Tybet jest jak gra w szachy. Wygrywa tylko ten, kto weźmie króla – mówili przybywający z Indii Anglicy, którzy zajęli region na początku XX wieku. Im króla nie udało się wziąć, bo ówczesny Dalajlama zbiegł do Mongolii. Chińczykom w 1959 roku też nie udało się szach królowi. Czternasty Dalajlama nie dał się złapać, uciekł do Indii. Chińczycy sądzili, że sobie bez niego poradzą.

Nie powiodły się jednak ich plany zmienienia Tybetu; religia, którą zamierzali wykorzenić, jest nadal jak najbardziej żywa. Widzą więc teraz w Dalajlamie najmocniejszy atut, który umożliwiłby im rządzenie tą krainą i ułagodzenie ludności, zdesperowanej maoistowskimi represjami i szeregiem błędnych decyzji politycznych, a więc zdolnej do nowego powstania. Ostatnią kroplą, która przepełniła czarę niechęci Tybetańczyków do Hanów, były olbrzymie szkody, jakie wyrządził Pekin gospodarce regionu.

Tłoczący się wokół świątyni Dżokang pielgrzymi są z pewnością dobrym przykładem tego, co dzieje się w różnych częściach Tybetu, z których pochodzą, a dokąd przez trzydzieści lat chiński rząd nie pozwolił dotrzeć żadnemu niezależnemu obserwatorowi. Świadczą o nędzy, chorobach i zaniedbaniu.

– Tak, to prawda, w siedemdziesięciu procentach komun sytuacja jest dzisiaj gorsza niż dwadzieścia lat temu – mówi Luo Sanchichang, wicegubernator prowincji.

Przed przybyciem Chińczyków ogromna większość ziemi należała do klasztorów, a ludzie – zgodnie z tybetańskim powiedzeniem – „musieli płacić tyle podatków, ile jest włosów na skórze jaka”. Chińczycy znieśli podatki, wyzwolili ludność z na wpół niewolniczego uzależnienia od klasztorów, ale podobnie jak w pozostałej części państwa wprowadzili kolektywizację, która dla przyzwyczajonych do koczowniczego trybu życia Tybetańczyków stała się nową formą niewolnictwa. Wtłoczeni w sztywne ramy komun

ludowych, zmasowani w nich tubylcy poczuli się jak w kaftanie bezpieczeństwa, a zbiory musieli oddawać państwu mniej więcej w takiej samej ilości, jak przedtem klasztorom.

Największym błędem popełnionym przez Chińczyków było jednak zmuszenie Tybetańczyków do uprawy żyta zamiast ulubionego przez nich jęczmienia, który od wieków był zasadniczym składnikiem ich posiłków. Wielką zaletą jęczmienia jest to, że po zmieleniu nie trzeba go gotować i że garść jęczmiennej mąki zmieszana z odrobiną herbaty i łyżką zjełczałego masła stanowi gotowe danie. Natomiast żyto należy gotować, co w kraju pozbawionym drewna na opał – drzewa są tutaj rzadkością – stanowi wielką niedogodność. Na domiar złego żyto wysusza występujący w Tybecie rodzaj gleby i powoduje jej jałowienie. I tak plony zaczęły stopniowo maleć, co powodowało niedostatek żywności, zaś komuniści nadal narzucali uprawę żyta zamiast jęczmienia, ponieważ polityczne hasło „zwiększyć produkcję żyta” dotyczyło całego kraju i wszędzie należało do niego się stosować.

Zapasy jęczmienia stopniały, ceny niebotycznie wzrosły i „w miastach tybetańskich wybuchły zamieszki” – mówi wysoki urzędnik państwowy w Lhasie, odmawia jednak podania szczegółów. Jeszcze w 1980 roku centralny rząd w Pekinie musiał wysłać do Tybetu znaczny transport zboża, aby zapobiec klęsce głodu i uspokoić ludność.

– Daleko nam jeszcze do samowystarczalności – przyznaje teraz wicegubernator prowincji, ale zaledwie cztery lata temu oficjalna agencja prasowa Nowe Chiny ogłosiła triumfalnie, że „Tybet produkuje więcej, niż spożywa”, a w propagandowym filmie chińskim *Tybet – dach świata*, dziś jeszcze wyświetlanym dla zwiedzających region, widzi się szczęśliwych i uśmiechniętych wieśniaków tybetańskich pośród łąnów zboża, zaś głos z offu wyjaśnia, że Tybet swoimi nadwyżkami przyczynia się do zapełnienia spichlerzy reszty Chin.

Sytuacja zmieniła się nieco po odwiedzinach w Lhasie Hu Yaobanga, sekretarza generalnego Komunistycznej Partii Chin, który zapoczątkował całkowitą rewizję polityki wobec Tybetu. Tamtejszych chłopów zwolniono od podatków, nie muszą już oni sprzedawać swoich zbiorów po stałej cenie państwu, lecz mogą swobodnie nimi dysponować. Zlikwidowano komuny ludowe i wprowadzono „system odpowiedzialności” podobnie jak w pozostałej części kraju. Działają znowu prywatne

targi, a w samej Lhasie zezwolono czterystu miejscowym i nepalskim kupcom otworzyć ponownie swoje sklepy.

Rezultaty nie kazały na siebie czekać. W prywatnej sprzedaży masło z mleka jaka kosztuje o połowę mniej, mięso z prywatnego uboju – przedtem prawdziwą rzadkość – można teraz kupić w Lhasie na każdym chodniku.

Zaprowadzony przez Chińczyków w Tybecie ustrój gospodarczy przyniósł same nieszczęścia, zaś głośno chwalona modernizacja regionu, której dokonał Pekin, bardziej niż miejscowej ludności służy Chińczykom. Drogi – mówią Tybetańczycy – zbudowano z przyczyn wyłącznie strategicznych, mieszkańcy mało mają z nich korzyści także i dlatego, że na obszarze prowincji nie istnieje jeszcze komunikacja publiczna. Szkoły nie przyczyniły się w znaczącej mierze do podniesienia poziomu powszechnej oświaty w regionie, skoro – jak podają oficjalne źródła spoza Lhasy – siedemdziesiąt procent Tybetańczyków to jeszcze analfabeci. Realizowany od 1959 roku program uprzemysłowienia nie dał wiele rdzennym mieszkańcom, jako że większość z siedemdziesięciu czterech tysięcy osób zatrudnionych w przemyśle stanowią Chińczycy. Na przykład w elektrowni w Lhasie na trzystu trzydziestu robotników tylko dziewięćdziesięciu to miejscowi, a na pięćdziesięciu ośmiu pracowników umysłowych – tylko ośmiu.

Wskutek wadliwego planowania i fatalnego zarządzania zawiodły w zupełności nawet wielkie inwestycje, poczynione w Tybecie przez Chińczyków. Fabryka szkła, mająca wyrabiać szyby okienne – w regionie, gdzie ludzi chroni jeszcze przed wiatrem i śniegiem osadzony w drewnianych ramach, nasycony masłem papier – zdołała wyprodukować tylko kieliszki do *maotai*, ulubionego likieru Hanów. Cukrowni – cukier jest w Tybecie niezwykle drogi ze względu na wysoki koszt transportu – nie dało się w ogóle uruchomić, bo dopiero po jej wybudowaniu stwierdzono, że w okolicy nie ma dosyć surowca do przetworzenia. Będący poprzednio wyłączną własnością Dalajlamy wodociąg chciano przystosować do potrzeb mieszkańców Lhasy (świetny chwyt demagogiczny!); nie działa jednak, bo wkopane zbyt płytko rury zamarzają przez większą część roku.

W ramach przeprowadzonych przez Deng Xiaopinga reform fabrykę szkła zamknięto, a cukrownia zostanie przekształcona w inny zakład przemysłowy. Ten sam los spotka

fabrykę odbiorników radiowych i kopalnię węgla, uruchomione swego czasu z wielką pompą, a teraz uznane za „nierentowne”.

W ramach reform nastąpi również – tak przynajmniej zapowiedziano – odwołanie z Tybetu większości chińskich pracowników aparatu politycznego i robotników. Pekin powtarza teraz, że „Tybet będzie niebawem rządzony przede wszystkim przez Tybetańczyków”, co jest czysto propagandowym kłamstwem: Chińczykom nie uda się nigdy znaleźć dostatecznej liczby zaufanych Tybetańczyków, którym mogliby powierzyć zarządzanie regionem nawet na niskim szczeblu.

Popęłnione przez wysłanników Pekinu błędy wynikały nie tylko z prostej niekompetencji, ale i z tego, co Tybetańczycy nazywają „arogancją Hanów”. Ilustruje ją doskonale sprawa fabryki dywanów w Lhasie. Tybetańczycy wyrabiali od wieków przepiękne wełniane dywany; był to jeden z najbardziej rozpowszechnionych, a zarazem najbardziej wyrafinowanych produktów ich rzemiosła. Tybetańskich dywanów używało się i używa nadal, aby na nich spać, siedzieć, owijać nimi kolumny świątyń i klękać na nich do modlitwy. Rok w rok Tybetańczycy wyrabiali ich tysiące na użytek własny i klasztorów. Chińczycy po swoim przybyciu zdecydowali od razu, że całą wełnę trzeba oddawać państwu (położyło to kres także innym rodzajom rzemiosła) i zorganizowali potem „nowoczesną”, przemysłową produkcję dywanów, kierowaną przez Hanów sprowadzonych z fabryk Tiencinu i Pekinu.

W rezultacie klasyczne dywany tybetańskie zmieniły wygląd. Uległ zmianie sposób tkania, nawet tradycyjnego tybetańskiego smoka o czterech szponach zastąpiono smokiem z pięcioma szponami na modłę chińską, a kontury figur cyzeluje się jak na dywanach z Tiencinu.

W fabryce dywanów w Lhasie, według dyrekcji nieprzynoszącej jeszcze zysku, dwadzieścia procent robotników to Chińczycy, którzy przyjechali uczyć Tybetańczyków tego, co oni sami umieją robić o wiele lepiej.

W obecnej chwili polityka Pekinu polega na popieraniu wszystkiego, co tybetańskie. Wskrzesza się tybetańską kulturę, otacza szacunkiem miejscowe nawyki i obyczaje (Sala Wystawowa w Lhasie, gdzie zestaw gipsowych figur, obrazów i reprodukcji ilustrował dawniej zacofanie Tybetu przed przybyciem Chińczyków, została zamknięta dla ogółu; wstęp mają tylko cudzoziemcy za zgodą zarządu). Łatwiej jednak to powiedzieć, niż

zrobić.

Chińczycy przez dwadzieścia lat usuwali na bok tybetańską kulturę i pisali na nowo historię kraju, aby dowieść, że Tybet jest nierozłączną częścią Chin. Chwalą się, że wydrukowali po tybetańsku książki w pięciu milionach egzemplarzy, ale są to w dużej części przekłady tekstów z zakresu marksizmu-leninizmu oraz pism Mao. Autorem jedynej publikacji o dziejach Tybetu dostępnej w księgarni w Lhasie jest Chińczyk, a jego praca obfituje w wygodne dla Hanów kłamstwa i wypaczenia historii. Czytamy w niej na przykład, że Dżokang zbudowali Chińczycy dla uczczenia małżeństwa chińskiej księżniczki z Songcenem Gampo, ówczesnym królem Tybetu, a z dokumentów wynika przecież, że ów władca miał trzy żony i że świątynię tę kazał wznieść na cześć małżonki pochodzącej z Nepalu, dlatego też główna brama przybytku zwrócona jest ku zachodowi.

W Tybecie nie ma dzisiaj intelektualistów. Cudzoziemcowi pragnącemu poznać na przykład tybetańskiego pisarza Chińczycy przedstawiają osobę, której największym literackim osiągnięciem jest przetłumaczenie na tybetański słynnych chińskich *Opowieści znad brzegów rzek*<sup>24</sup>.

W ciągu dwudziestu lat Chińczycy zawieźli do Pekinu i wykształcili nieliczną tybetańską kadre, której większość jest teraz bardziej *han* od samych Hanów albo, mówiąc słowami pewnego tybetańskiego uchodźcy, „jest jak żaby na dnie studni, które nigdy nie widziały morza”.

Dawna inteligencja uciekła z Tybetu wraz z Dalajlamą, a teraz wygasa na obczyźnie. Rośnie jednak nowe pokolenie tybetańskiej diaspory, które po studiach na zachodnich uniwersytetach mieszka teraz w Indiach, Szwajcarii lub Kanadzie i które mogłoby przyczynić się do unowocześnienia Tybetu rękami Tybetańczyków.

Gdyby Dalajlama powrócił teraz na stałe do Lhasy, wielu uchodźców postąpiłoby tak samo albo przynajmniej spróbowało żyć w swojej ojczyźnie. Na razie uniemożliwia takie rozwiązanie sen o niepodległym Tybecie; nie wyrzeka się go rząd na wygnaniu, którego Dalajlama nie chce rozwiązać.

Oczywiście Tybetańczykom zawsze trudno będzie się pogodzić z faktem, że panuje nad nimi naród z Tybetem mało mający wspólnego. Nie ulega jednak wątpliwości, że cały świat uznaje dzisiaj tę krainę za część Chin, chociaż żyjący w niej lud ustawicznie

walczył z chińskim panowaniem i niekiedy nawet udawało mu się spod owego panowania wyzwolić. Sama myśl o niepodległości Tybetu jest z politycznego punktu widzenia niedorzeczna. Chiny nie zrezygnują nigdy z kontroli nad tym regionem, ponieważ wzdłuż całej granicy państwa rozmieszczone są mniejszości etniczne, każda z problemami przypominającymi problemy Tybetu.

Z drugiej strony Chiny nie mogą dopuścić do niestabilności i zamieszek ani w tym, ani też w innych regionach przygranicznych. Pekin musi dyslokować tam swoje wojska i wyrzutnie raket, aby przeciwstawić się zagrożeniu ze strony Sowietów. Potrzebne są mu bogactwa naturalne Tybetu, aby przeprowadzać modernizację.

Wydaje się dzisiaj, że za to wszystko komunistyczny rząd gotów jest zapłacić zwiększeniem zakresu autonomii. Powrót Dalajlamy do Lhasy ułatwiłby ogromnie realizację tego chińskiego planu. Nie pomógłby jednak może samemu Dalajlamie, bo przestałby on być postacią, z którą tak wielu Tybetańczyków łączy swoje nadzieje na niemożliwe już wyzwolenie.

– Dalibyście mi władzę polityczną? – spytałem Yin Fatanga, miejscowego sekretarza partii.

– W Chinach religia i państwo to dwie różne sprawy – oznajmił.

Odpowiedź brzmiała więc rzecz jasna: nie.

Najbardziej realistycznie nastawieni Tybetańczycy pragną, aby chiński plan wszedł w życie i aby Pekin za ich przykładem zrozumiał znaczenie starej przepowiedni z Lhasy: „Szczęście Tybetu przyniesie Chinom rozkwit”.

# 10. „cztery razy pchnąłem go nożem i byłem szczęśliwy”

Shanxi – komunizm przeciw tradycyjnej kulturze

W górze tysiąc metrów ostrych skał,  
w dole sto przerażających przepaści.  
Wyciągnij rękę, a dotkniesz księżycy,  
zaś białe chmury wypełnią twój rękaw.

Samotny wędrowiec sprzed wieków, stojąc nad niemą próżnią otchłani, wyraził tymi wierszami niepowtarzalne wzruszenie, jakie ogarnia tego, kto wspiał się do Xuankong Si, Wiszącej Świątyni.

Przeżycie doprawdy wyjątkowe, bo trudno wyobrazić sobie bardziej nieprawdopodobne miejsce na świątynię. Pośród nagich szarych skał strzela prosto w niebo z wyschniętego, usianego kamieniami łóżyska rzeki olbrzymia, granitowa ściana. Tam właśnie, w połowie tej budzącej grozę, kamiennej góry, taoiści pustelnicy wybudowali swoje niesamowite gniazdo, aby rozmyślać w nim nad sensem życia i nad znaczeniem Tao – Drogi.

Zrobili to tysiąc czterysta lat temu, ale niewzruszona Wisząca Świątynia stoi nadal nad przepaścią – wspaniała budowla, wyzwanie rzucone prawom natury, niezbity dowód umiejętności architektonicznych ludzi, którzy nie myśleli o podboju Księżyca, dlatego że mieli go już w zasięgu ręki.

Szeregi ciemnoczerwonych kolumn podtrzymują wygięte dachy, pokryte kiedyś dachówkami turkusowej barwy. Wisząca Świątynia była bramą jednej z Pięciu Świętych Gór taoizmu – góry Heng, wznosi się na południe od Wielkiego Muru, na wschód od Żółtej Rzeki, w sercu prowincji Shanxi.

Przez wieki opiekujący się sanktuarium mnisi, widząc w dolinie czarne punkciki – wspinających się powoli po zboczach mrocznych wąwozów pielgrzymów, szli stawiać na ogniu garnek z wodą, aby przybysze mogli się napić gorącej herbaty.

Dzisiaj stary, trzęsący się mnich buddyjski, który z polecenia władz komunistycznych

przyjmuje tam zagranicznych turystów, idzie włożyć swoją żółtą szatę, bo ciekawi zechcą go sfotografować. Zwiedzać wolno tylko sam przybytek, poza tym góra jest jeszcze niedostępna. Pozostałe dwadzieścia osiem świątyń zniszczono („niektóre wysadzono dynamitem podczas rewolucji kulturalnej – mówi przewodnik), ale Wiszącą – jedyną, która ocalała – odrestaurowano właśnie i zamieniono w atrakcję turystyczną dla wyselekcjonowanych grup cudzoziemców, przywożonych tu z miasta Datong.

Dawniej zwiedzającym Chiny cudzoziemcom pokazywano wyłącznie komuny ludowe, fabryki, przedszkola, szkoły i muzea rewolucji. Prosta prośba o pokazanie czegoś innego – na przykład świątyni lub pagody – wywoływała natychmiast reprimendę ze strony przewodników:

– To starzyzna, Chiny przeszłości – słyszało się od nich. – My chcemy wam pokazać Chiny nowe, Chiny socjalistyczne.

Teraz, po udostępnieniu kraju turystyce masowej, komunistyczne władze uświadomiły sobie, że cudzoziemcom trzeba dać przynajmniej coś z tego, czego szukają, jeśli się chce, aby przyjeżdżali do Chin nadal i zostawiali tam swoje tak bardzo potrzebne dolary, franki i marki. Rzecz jednak w tym, że duża część starych Chin już nie istnieje, bo zniszczono ją, spalono, spustoszone, zmieciono z powierzchni ziemi. Na zlecenie władz zbiera się więc spiesznie ocalałe resztki.

Pod tym względem rozwój sytuacji w kraju ilustruje wiernie prowincja Shanxi, jeden z najstarszych ośrodków chińskiej kultury. Trzy lata temu rząd prowincji nakazał, aby we wszystkich okręgach sporządzono wykazy zabytków nie całkiem jeszcze zniszczonych, które można by pokazywać turystom. W wielkim pośpiechu zatwierdzono program prac restauratorskich, a potem udostępniono cudzoziemcom kilka miejsc, których dawniej nie wolno było zwiedzać. Kto dzisiaj ogląda tych kilka budowli, odrestaurowanych pospiesznie i niedbale, ten stwierdza przede wszystkim, jak strasznym uległy one zniszczeniom i jak bardzo niedorzeczna jest prowadzona obecnie polityka w dziedzinie odbudowy zabytków. Łączy się ze sobą dowolnie części różnych świątyń, stare ruiny przewozi się z miejsca na miejsce, ułamki rzeźb, obrazy o religijnej treści, inskrypcje gromadzi się, odnawia kilkoma pociągnięciami pędzla i przyczepia całkiem gdzie indziej.

W Chinach powstaje historyczno-kulturalne monstrum, swego rodzaju Frankenstein



na użytek cudzoziemskich turystów. W odległości dwudziestu pięciu kilometrów od Taiyuanu, stolicy prowincji Shanxi, brygady robotników wznoszą świątynię w stylu dynastii Ming obok pagody w stylu dynastii Yuan. Na ziemi leżą stosy starodawnych dachówek, zwiezionych z jakiejś dalekiej wioski; pokryje się nimi zupełnie nową budowlę, która jest już prawie gotowa.

Za kilka miesięcy stary, wytworny klasztor Jinsi, wzniesiony ponad tysiąc lat temu wokół trzech legendarnych źródeł na cześć Bogini Matki Wód (źródła teraz wyschły wskutek zanieczyszczenia spowodowanego przez ogromną fabrykę chemikaliów, którą wybudowano w pobliżu), przekształci się w lunapark, zawierający wybór różnych typowych dla Chin budowli.

– Turyści nie będą już musieli jeździć w rozmaite miejsca – tłumaczy urzędnik miejscowej administracji. – Przyjdą tutaj i wszystko zobaczą. To będzie wielka wygoda dla naszych cudzoziemskich przyjaciół.

Aby mógł powstać ten „ogród świątyń”, wykupiono we wsiach całej prowincji stare rzeźby, posągi z brązu i drewna, stare meble, a nawet drzwi starych domów. Przynajmniej tam odtworzy się dawne realia.

W prowincji Guangdong władzom nie udało się znaleźć prawie nic, co można by pokazywać turystom. Idąc za radą pewnej kalifornijskiej firmy, postanowiono więc wybudować z niczego „centrum dawnej chińskiej kultury i rozrywki” – swego rodzaju Disneyland przedstawiający chińskie miasto z epoki Walczących Królestw.

Shanxi jest sercem Chin. Niewielu podróżnych z Zachodu zapuściło się w tę chłostaną wiatrem, błotnistą część kraju; Shanxi zwano „prowincją ukrytą”. W 1900 roku, kiedy międzynarodowa ekspedycja przybyła skończyć z oblężeniem dzielnicy dyplomatycznej w Pekinie i „ukarać” Chiny za zbrodnie popełnione przeciwko cudzoziemcom przez bokserów, wojska zatrzymały się u podnóża górskiego łańcucha, wyznaczającego granicę Shanxi. Przekroczenie go wydało się zbyt trudne.

Prowincja ta leży daleko od wybrzeża, na którym cudzoziemcy wybudowali swoje wspaniałe cudzoziemskie miasta, daleko od Pekinu, stolicy cesarstwa. Była kolebką Han, „ludu czarnowłosego”, pierwotnego szczepu, z którego wywodzą się wszyscy Chińczycy. W pobliżu miasta Linfen, stolicy z epoki mitycznej, znajduje się góra dziś jeszcze zwana Szczytem Pracłowieka, bowiem według starodawnej chińskiej legendy miliony lat temu

doszło na ziemi do wielkiej powodzi, którą przeżyły właśnie na wierzchołku tej góry – po dotarciu tam na grzbiecie lwa – tylko dwie ludzkie istoty. Podobną historię znamy także i my na Zachodzie, jedyna różnica polega na tym, że w powyższej wersji Noe jest Chińczykiem.

W Shanxi urodził się człowiek, który – jak mówią – wynalazł chińskie ideogramy. Stamtąd pochodziła cesarska nałożnica, która zgodnie z podaniem odkryła właściwości jedwabnika, nauczyła się go hodować i wykorzystywać jego oprzęd.

Wysocy, dystyngowani, nieśmiali i stanowczy mieszkańcy tego regionu oparli się w swoich dziejach wszystkim najeźdźcom; jako jedyni nie poddali się nigdy Czyngischanowi. Mężczyźni i kobiety w grubych kurtkach, ich tradycyjnej od wieków odzieży, gromadzący się dzisiaj na placach targowych we wsiach prowincji, przywodzą na myśl postacie z poematów Homera. To potomkowie w prostej linii owej nietkniętej rasy Shanxi. W całym regionie historia i mit odcisnęły piętno wielkości dawnych Chin.

Na północy znajdują się jaskinie Yungang z setkami podobizn Buddy wykutych w kamieniu na cześć nowej religii, która wówczas właśnie dotarła tam z Indii. W części środkowej wznoszą się świątynie upamiętniające cesarzy z epoki mitycznej, kiedy „pola pełne były zbóż, stawy pełne ryb, z nieba spadał złoty deszcz, a ludzie byli szczęśliwi”. Na południu są wielkie sanktuaria taoizmu, który rozprzestrzenił się stamtąd na resztę kraju.

W 1949 roku, kiedy komuniści objęli władzę, w Shanxi znajdowało się siedemdziesiąt osiem procent wszystkich istniejących w Chinach świątyń. Prowincja była wtedy olbrzymim naturalnym muzeum, gdzie każde miasto, każda wieś, każdy dom posiadały istne skarby. Obecnie jest smutnym, usianym ruinami cmentarzyskiem.

Wzdłuż pnącej się w górę drogi, którą po opuszczeniu Datongu podróżny zmierza w stronę Wiszącej Świątyni, widać dziesiątki wiosek, złożonych głównie z wyżłobionych w lessie i w zeschniętym błocie jaskiń. W każdej wsi nad płaskimi dachami nielicznych domów dostrzega się wygięty dach tego, co dawniej było świątynią. Ale świątyń już nie ma. Wejścia zamurowano, dachówki zdjęto. Jedne przybytki zamieniono w spichrze, inne się po prostu rozpadają. I nie jest to dziełem rewolucji kulturalnej.

Metodyczne niszczenie religii, zacieranie wszelkich śladów feudalnej przeszłości stanowiły część świadomej, przemyślanej polityki partii komunistycznej od chwili

objęcia przez nią w Chinach władzy. Chodziło oczywiście o wyeliminowanie wszelkich wpływów tradycyjnej kultury, której obecność uniemożliwiała – zdaniem komunistów – definitywne objęcie kraju marksistowską ideologią.

Pierwszy cios wymierzono w latach pięćdziesiątych wraz z reformą rolną. Każda świątynia posiadała ziemię, którą mnisi oddawali w dzierżawę, aby z uzyskiwanych dochodów móc finansować swoją działalność religijną i dobroczynną. Świątynie były bowiem nie tylko miejscem modlitw, ale także szkołami i szpitalami. Po konfiskacie gruntów mnisi stracili środki utrzymania. Zaprzestali wszelkiej działalności i musieli wrócić do życia świeckiego, szukać sobie zwykłej pracy.

– Umieraliśmy z głodu i musieliśmy zejść z gór – opowiada Zheng Lian, stary, siedemdziesięciosiedmioletni mnich, którego postawiono teraz na straży Wiszącej Świątyni.

W 1960 roku zmuszono go i jego współbraci do opuszczenia Wutai Shan – Góry Pięciu Tarasów, gdzie spędził dwadzieścia pięć lat w jednym z najbardziej imponujących zespołów świątynnych w Chinach.

Kolejne ciosy spadły wraz z „kampanią przeciwko czterem starociom” (stara kultura, stare zwyczaje, stare obrządki, stare myśli) i z rewolucją kulturalną, kiedy to milionową Czerwoną Gwardię spuszczone ze smyczy, aby w całym kraju zamykała świątynie, przepędzała pozostających tam nielicznych mnichów i niszczyła to, co jeszcze zdołało się uchronić.

Dzisiaj partyjni urzędnicy mówią, że te kampanie przybrały niestety niepożądany obrót, że utracono nad nimi kontrolę z winy bandy czworga. Trzeba raz na zawsze tę sprawę wyjaśnić.

Kampanie owe rozpoczęła partia, rewolucję kulturalną zatwierdziło jednogłośnie Biuro Polityczne jej Komitetu Centralnego. Co więcej, kilku z tych, którzy podejmowali owe uchwały, uważane teraz za katastrofalne dla Chin, należy jeszcze do grupy najbardziej szanowanych w kraju przywódców (wystarczy wymienić Li Xianniana, obecnego prezydenta Republiki – jego głos był w ciągu wszystkich lat maoistowskiego szaleństwa niezbędny dla osiągnięcia jednomyślności, którą się tak szczycono).

Unicestwienie religii, bezwzględna walka z tradycyjną kulturą chińską nie były zatem wynikiem aberracji radykałów i tak zwanej bandy czworga, której teraz wygodnie jest

przypisywać wszystkie karygodne postęпки w najnowszej historii kraju. Wynikały one po prostu z ideologii chińskich komunistów. Przecież już podczas „wojny wyzwoleniczej” żołnierze maoistowskiej armii natychmiast po przybyciu wynosili wszędzie ze świątyń posągi „bożków”, rzucali je na wioskowe place, rozbijali, smarowali im twarze błotem i farbą na oczach przerażonych chłopów właśnie po to, aby dowieść, że te „bożki” są bez znaczenia, że nie mają żadnej mocy.

Komisarze polityczni tłumaczyli potem, że owe „bożki”, podobizny Buddy z brązu, z drewna, z kamienia, z papieru i z czystego złota, są przeszkodą na drodze do nowoczesności; te posągi – mówili oni ludziom – nie zapewniają bynajmniej zbawienia. Rozpowszechniany wówczas przez komisarzy politycznych wśród wieśniaków prowincji Shanxi slogan brzmiał przecież: „Mao Zedong jest gwiazdą zbawienia ludu”.

Religia panowała nad życiem Chińczyków przez wieki. Stanowiła o ich sztuce, filozofii i etyce. „Tworem religii – napisał etnolog Ernest Fenollosa – są najsubtelniejsze myśli Chin”, jest ona nierozłączną częścią chińskiej kultury i historii.

Dla komunistów ich rewolucja była epokowym zwrotem w dziejach kraju, była cezurą, decydującym odcięciem się od przeszłości. Stąd ich polityka, nastawiona otwarcie na wyeliminowanie wszystkiego, co odgrywało rolę pasa transmisyjnego związanych z tą przeszłością wartości, myśli i zachowań. Aby budować swoje socjalistyczne Nowe Chiny, musieli zniszczyć stare Chiny feudalne. Aby stworzyć człowieka nowego, musieli starego unicestwić.

Mao nie krył się ze swoimi zamiarami i nazywał Chiny „pustą białą kartą”. Postawił sobie za cel uczynienie *tabula rasa* z przeszłości i dlatego wywołał jedną z najbardziej absurdalnych, tragicznych i niedoprowadzonych jeszcze do końca sprzeczności chińskiej polityki.

– Historia Chin liczy sobie co najmniej cztery tysiące lat – powtarzają do znudzenia przewodnicy turystów i partyjni urzędnicy. Ale przecież właśnie tej historii, jako dziejów cesarzy, bogów i bohaterów, dziejów pałaców, świątyń i nałożnic, a więc jako „dziedzictwa feudalizmu”, Chińczykom się odmawia.

Oto sprzeczność: w stosunkach z resztą świata Chiny chcą chwalić się swoją przeszłością, aby zrekompensować przerażające niepowodzenia terażniejszości, lecz na użytek wewnętrzny tę samą przeszłość neguje się i niszczy. Od Chińczyków władze

żądadają dzisiaj dumy z tego, o czym właściwie nic nie powinni wiedzieć.

„Chiny są jednym z krajów świata o najdłuższej historii, a lud chiński stworzył wspaniałą kulturę” – tak brzmi pierwsze zdanie chińskiej konstytucji (piątej od chwili powstania Republiki Ludowej), która weszła w życie w 1982 roku. Nie jest jasne, o jaką kulturę chodzi, ponieważ kulturze tradycyjnej komunistów chińscy odmawiali zawsze wszelkiej wartości. Już od trzech dziesięcioleci w tutejszych szkołach nie mówi się w ogóle o klasykach literatury, o kolejnych dynastiach i o dawnych Chinach. Nauczanie historii sprowadza się do wyliczania buntów chłopskich; nie jest ona historią „imperiiów, które rodziły się i zniknęły” (tak zaczyna się najbardziej klasyczna z klasycznych powieści chińskich, *Dzieje Trzech Królestw*).

Całe pokolenie Chińczyków dorastało, nie znając mitów, legend, a nawet imion wielkich cesarzy i bóstw, w swoich licznych wcieleniach składających się na ów niezmierny Olimp, który przez tysiąclecia pobudzał ten naród do życia.

Oficjalni przewodnicy z Lüxing She, państwowej agencji monopolizującej turystykę w Chinach i uważanej za część szpiegowsko-policyjnego aparatu, wiedzą mało lub zupełnie nic o miejscach, po których oprowadzają swoich sformowanych w grupy, posłusznych klientów.

Chłopak towarzyszący mi podczas pobytu w Taiyuanie, stolicy prowincji Shanxi, okazał się doskonale poinformowany o poszczególnych zabytkach miasta. W końcu przyznał się jednak, że całą swoją wiedzę zaczerpnął z anglojęzycznego przewodnika wydawnictwa Nagel, podarowanego mu przez cudzoziemca, który był tam przede mną.

W księgarni „Nowe Chiny” w stolicy Shanxi, mieście będącym niegdyś jednym z wielkich ośrodków życia kulturalnego kraju, można dziś bez najmniejszego trudu znaleźć najrozmaitsze książki z dziedziny marksizmu-leninizmu, dzieła zebrane Mao Zedonga, nawet pisma „wielkiego i ukochanego prezydenta Kim Ir Sena”, dyktatora Korei Północnej. Brak w niej natomiast zupełnie książek o historii Taiyuanu, przewodników po tamtejszych zabytkach i planów miasta.

Mnie udało się jednak taki plan zdobyć. Pożółkły i podklejony przezroczystą taśmą egzemplarz zawierała koperta zaadresowana do „Zagranicznego Gościa” przez anonimowego ofiarodawcę. Człowiek ten zauważył mnie najwidoczniej w księgarni i dostrzegł, jak bardzo jestem sfrustrowany bezskutecznymi próbami poruszania się

samemu po mieście. Wrócił więc do domu, wziął swój wydany w 1952 roku plan, poszedł do jedyne go hotelu dla cudzoziemców, w którym byłem wówczas jedynym gościem, i zostawił dla mnie tę kopertę, z zakłopotaniem Chińczyka, któremu wstyd, że w jego kraju pewne sprawy wyglądają już inaczej niż kiedyś.

O dawnej kulturze komuniści chińscy myślą tak: z tych wszystkich starych historii z ich feudalnymi bohaterami i wartościami młodzież dzisiaj niczego się nie nauczy, a zasad postępowania uczyć się ma od nowych, socjalistycznych bohaterów.

W centrum Linfenu, gdzie leży jeszcze w ruinach Wieża Bębna – jeden z najważniejszych zabytków tego miasta – znajduje się stara, słynna pagoda, zbudowana za czasów dynastii Tang wokół ogromnej głowy Buddy z brązu o wielkich, wypukłych oczach i z tajemniczym uśmiechem na wargach. Według legendy Budda, kładąc się do snu w odległym o setki kilometrów mieście Xi'an, wykonał niewłaściwy ruch; odpadła mu wtedy głowa, która potoczyła się daleko i zatrzymała właśnie w Linfenie.

W 1949 roku świątynię zamieniono w szkołę. Potem – może chcąc uniknąć złowrogiego wpływu tej ogromnej, uśmiechniętej głowy, leżącej pośrodku budynku – uczniów przeniesiono gdzie indziej, a budowla stała się pomieszczeniem wystawowym. Od roku wszystkie jej sale zajmuje ekspozycja poświęcona czynom Lei Fenga, wielkiego bohatera nowoczesnego i socjalistycznego.

Lei Feng prawdopodobnie nigdy nie istniał, ale zgodnie z dzisiejszą legendą komunistyczną był żołnierzem Armii Wyzwoleńczej, przez całe życie bezwarunkowo oddanym partii. Pomagał zawsze wszystkim, którzy potrzebowali pomocy, a zginął, bo przewrócił mu się na głowę słup trakcyjny. Na ścianach rozwieszono zdjęcia jego rodziny, jego samego z przyjaciółmi, fotokopie jego dzienników i tak dalej. W salach całkowita pustka, nie ma ani zwiedzających, ani entuzjastów. Niewiarygodne wprost marnotrawstwo powierzchni w kraju, w którym liczy się każdy jej centymetr kwadratowy.

– Jak się nazywa ta świątynia? – pytam grupkę chłopców grających w badmintona wśród kup miążkiego węgla na podwórzu domu w starej części Taiyuanu.

– Jaka tam świątynia! To fabryka! – słyszę w odpowiedzi.

Rzeczywiście. Pod dachami z żółtych dachówek, świadczących o pochodzeniu całego

kompleksu z czasów cesarstwa, stoją maszyny, pracują ludzie. Oplecionych przewodami elektrycznymi, oklejonych afiszami, opatrzonych niskimi, niedawno zbudowanymi kominami budynków nie można prawie rozpoznać. Zamurowano stare łuki, w starych murach wybito nowe okna, ściana zagradzająca drogę złym duchom – widać jeszcze resztki ustawionych na niej posążków pięciu smoków – została na wpół zburzona. Wzdłuż zewnętrznego muru świątyni biwakują dziesiątki rodzin robotniczych, które pobudowały tam sobie z tektury, drewna i plastikowych płacht klatki, nazywane dumnie „domami”.

Tutaj także – tak samo, jak w setkach innych, podobnych miejsc – ludzie mieszkają pośród ruin wspaniałych zabytków, nie czując już z nimi żadnego związku. Całkowicie wyobcowani ze swojej przeszłości Chińczycy żyją pomiędzy pozostałościami innego świata i dziwi ich ciekawość, jaką cudzoziemiec okazuje wobec tych skorup i resztek, o których oni nie wiedzą nawet, skąd się wzięły.

Teraz, kiedy część tych zabytków odbudowuje się na zlecenie tych samych władz, które kiedyś rozkazały je zniszczyć, ludzie są zdezorientowani, niektórych nawet to złości. Złością się zwłaszcza młodzi.

– Po co wydawać tyle pieniędzy na odbudowę starych świątyń, kiedy my potrzebujemy nowych mieszkań? – pyta młody robotnik w Taiyuanu.

A student z Datongu:

– Nasze kierownictwo ciągle powtarza, że należy kraj nadal unowocześniać. Więc po co cofać się i naprawiać tę całą starzyznę?

W każdym razie to, co odrestaurowano i ponownie otwarto, nie jest przeznaczone dla Chińczyków.

Nad żółtą równiną, gdzie płaski i jednostajny krajobraz urozmaicają tylko grupki domów z zeschniętego błota, w obrębie strzegących wiosek murów wzniesionych z takiego samego budulca, o siedemdziesiąt kilometrów na południe od Datongu góruje ciemna sylweta pagody. Dziewięćdziesięciosiedmiometrowej wysokości Muta (Drewniana Pagoda) od 1056 roku, kiedy ją zbudowano, rzuca swój długi, opiekuńczy cień na płaskie dachy chłopskich chat, które wokół niej się zgromadziły. Wielka, wzniesiona na granitowym piedestale budowla jest jeszcze jednym dowodem mistrzostwa dawnych chińskich rzemieślników. Byli nimi w tym przypadku cieśle, bo

pagodę wykonano w całości z drewna.

Już w latach pięćdziesiątych pagodę Muta ogłoszono zabytkiem narodowym, a zespół naukowców rozpoczął pracę nad książką ilustrującą każdy szczegół tej niezwyklej budowli. Książka ukazała się wreszcie w 1980 roku, ale pagoda jest już teraz inna. W sierpniu 1966 roku Czerwona Gwardia brutalnie zakłóciła spokój w wiosce. Młodzi maoiści przybyli rozpruwać piersi glinianych posągów w świątyni, ponieważ miejscowi starcy opowiadali od lat, że mają one „złote serca”. Było tak w istocie, bo twórcy posągów ukryli w ich piersiach święte teksty buddyjskie, z pewnością cenniejsze jeszcze od złota.

Czerwonogwardziści nie znaleźli więc prawdziwego złotego kruszcu, co niezmiernie ich rozczarowało. Zrodzoną z rozczarowania wściekłość wyładowali, rozbijając i paląc, co popadło. Potłuczono młotami kamienne zwierzęta stojące na straży u stóp pagody, z wyższych jej pięter powyrzucano na ziemię gliniane posągi, podpalono świątynkę strzegącą od tyłu głównej budowli.

Pagoda została częściowo odrestaurowana, ale teraz otacza ją wysokie okratowanie z żelaza, oddzielające świątynię od wsi. Setki chłopów przyglądają się w milczeniu, z dłońmi zaciśniętymi wokół żelaznych prętów, jak przypadkowy zagraniczny turysta przyjeżdża dżipem, płaci za wstęp i wchodzi z przewodnikiem tam, dokąd im wejść nie wolno. Ta pagoda już do nich nie należy, nie mają z nią nic wspólnego. Starcy nie mogą już tam pójść, aby zapalić pałeczkę kadzidła przed podobizną Buddy, a kobiety – aby zapytać rozsypanych na podłodze patyczków, czy dziecko, które noszą w łonie, będzie chłopcem. Odwieczne miejsce ludzkich nadziei, modlitw, pragnień, a także obaw i przesądów, stało się po prostu atrakcją turystyczną. Jest teraz martwe.

Dwóch policjantów powstrzymuje coraz liczniejszy tłum ciekawskich, a były wojskowy, obecnie strażnik tego obrazu smutku, mówi mi, że władze prowincji zatwierdziły plan robót przewidujący wykonanie wielkiego kwietnego klombu, małych kiosków, w których będzie się sprzedawać pamiątki, oraz parkingu dla autokarów z „cudzoziemskimi przyjaciółmi”, przyjeżdżającymi na zwiedzanie.

Patrzę w górę i zadziwia mnie niezwykła wspaniałość natchnionej prostoty tej budowli, patrzę w dół i zadziwia mnie tępa pospolitość tego, co widzę i słyszę. Sto par pustych oczu patrzy na mnie nadal przez kraty. Czuję się jak intruz, chciałbym jak



najszybciej stąd odejść.

Widzę na fotografii w starej książce, którą ze sobą przywiozłem, że strzelista sylweta pagody przeglądała się kiedyś w pokrytym liśćmi lotosu jezioru.

– A gdzie ono teraz? – pytam strażnika, byłego żołnierza Armii Wyzwoleńczej.

– Och... Osuszyliśmy je, bo roiło się tam od komarów!

Gdziekolwiek spojrzeć, naprawy wykonane prymitywnie, świeże farby zbyt jaskrawe, szczegóły nie na swoim miejscu. Właściwie wszędzie uderza brak poszanowania dawnej religijnej i artystycznej wymowy budynków, posągów i innych przedmiotów.

Na dziedzińcu Shanhua Si, największej świątyni w Datongu, naprzeciwko zagradzającej złym duchom drogę ściany z pięcioma smokami z barwnej ceramiki, postawiono posągi konia i wołu z żelaza, odzyskane z wiejskiego, zniszczonego już zupełnie przybytku; sama ściana pochodzi natomiast z innego sanktuarium, które znajdowało się na peryferii Datongu – zanim je zburzono, aby wybudować tam hotel.

W Taiyuanie dwieście kamiennych tabliczek z przykładami najwykwintniejszej kaligrafii z czasów dynastii Ming wmurowano w ściany nowego pawilonu, zbudowanego niedawno obok Shuangta Si (Świątyni Bliźniaczych Pagód) – symbolu miasta. Tabliczki pochodzą ze starej świątyni w śródmieściu, od Wyzwolenia siedziby prowincjonalnego komitetu partii komunistycznej.

– Partia zdecydowanie odmawia wyprowadzenia się ze świątyni, więc postanowiliśmy uratować przynajmniej tabliczki – mówi urzędnik miejscowej administracji.

Park wokół obu pagód to skład fragmentów rzeźb, skorup, resztek starych budowli, które zebrano w różnych częściach miasta, aby przy ich użyciu posklejać jako tako te zabytki. Prace restauratorskie wymagałyby dobrych specjalistów, ale w ogromnej większości przypadków powierzono je zupełnie niewykształconym urzędnikom, bez jakiegokolwiek doświadczenia w tej dziedzinie.

– Kto jest tutaj autorem projektu robót renowacyjnych? – zapytałem podczas zwiedzania grobowca cesarza Yao, znajdującego się w odległości pięciu kilometrów od Linfenu.

– My, po konsultacji z masami – odpowiedział miejscowy urzędnik, przedstawiciel partii, którego jedyne doświadczenie w dziedzinie kultury polegało na obsłudze projektora w jednym z kin w Datongu.

Yao jest jednym z mitycznych cesarzy Chin prehistorycznych. Według legendy miał trzy metry wzrostu i panował sto dwa lata. Jego czasy to wiek złoty, o którym marzył Konfucjusz; Chiny żyły wtedy w zgodzie z sąsiadami, a ludzie byli uczciwi. „Wyższy niż chmury, wyższy niż księżyc” – określa cesarza piękny napis nad głównym wejściem do jego mauzoleum. Było ono świętym miejscem Chin, każdy cesarz przyjeżdżał tam co najmniej raz w ciągu swojego panowania, aby złożyć hołd mitycznemu poprzednikowi. Pomnik Yao – jego ogromna figura, otoczona o wiele mniejszymi postaciami doradców – stoi jeszcze w głównej sali przybytku, który utracił skądinąd jedną ze swoich ścian.

Zniknęło wiele innych budowli goszczących niegdyś członków cesarskich orszaków. Zgodnie z planem renowacyjnym będą one jednak odbudowywane (przy zastosowaniu cegieł), aby pomieścić zbiory dawnych przedmiotów i oczywiście po to, aby mogli w nich zamieszkać zajmujący się obecnie danym zespołem urzędnicy. Na terenie pokrytym kiedyś lasem pierwotnych cyprysów – wycięto je potem i zużyto jako drewno na opał – robotnicy sadzą teraz pretensjonalne cyprysy kanadyjskie i kreślą kredą zarysy fundamentów mających powstać budynków. Budowane są też trzy drogi dojazdowe, które niszczą zupełnie uroczystą harmonię parku. Nie ma specjalistów, nie ma architektów. Władza należy do ludu, a o wszystkim decydują kadry partii.

Partyjni urzędnicy: niebieski mundur, wciśnięta na uszy czapka, w jednej ręce czarna plastikowa aktówka, w drugiej – nieodłączny papieros. Siedzą w fotelach biur, hoteli, sal konferencyjnych... To oni rządzą krajem, są nowymi mandarynami; ponieważ od ich sądów nie ma odwołania, są niekiedy kimś więcej niż mandaryni – są nowymi cesarzami. Ci byli rewolucjoniści, partyjni biurokraci nie mają krzty zrozumienia dla tradycyjnej kultury; ich największa zasługa polega na tym, że wstąpili do partii przed 1949 rokiem, kiedy nie sprawowała ona jeszcze władzy. Kierują teraz pracami restauratorskimi. Każda otwarta na nowo świątynia, każda udostępniona zagranicznym turystom pagoda oznacza pięć lub sześć posad dozorców do podziału pomiędzy dzieci tych ludzi.

Głupiutkie panienki, paplające bez przerwy między sobą o fasonach spodni i o tym, kiedy pójdą wreszcie na obiad, oprowadzają gości po terenie, otwierając i zamykając wielkie kłódki u drzwi do poszczególnych niewielkich świątyń. Nie mają przeważnie zielonego pojęcia o miejscu, w którym pracują. Tylko wtedy, gdy się je poprosi, recytują

jak papugi wiadomości wykute na pamięć z powielanej broszurki z napisem *nei bu*, „do użytku wewnętrznego”. Dotyczą one wysokości i długości świątyni, wagi posągów, liczby worków ryżu, które można by kupić za równowartość tych posągów, i tak dalej. Recytację kończy nieuchronne zdanie: „Od 1949 roku partia komunistyczna nie skąpiła pieniędzy i sił, aby zachować i restaurować skarby chińskiej kultury”.

Przy tak częstym powtarzaniu ktoś kiedyś w to uwierzy.

Nie ma specjalistów, nie ma też nawet rzemieślników. Tylko jeden siedemdziesięciodwuletni starzec umie naprawiać gliniane posągi Buddy w pagodzie w Yingxian. Trzy miesiące temu zachorował, prace musiano wstrzymać.

W Pingyao nie ma nikogo, kto potrafiłby zdjąć warstwę wapna, którą zaciągnięto freski Shuanglin Si (Klasztorze Podwójnego Lasu) przy zamienianiu jej w 1966 roku w magazyn. Freski liczą sobie ponad tysiąc lat.

W Lingfenie nie ma stolarza zdolnego odtworzyć skomplikowane wzory wyryte na ramach okien i na drzwiach Świątyni Tęczy.

W 1979 roku odbyła się w Pekinie dwutygodniowa konferencja na temat prac restauratorskich w Chinach. Jeden z jej uczestników oświadczył oczywiście, że najlepiej byłoby założyć ogólnokrajową uczelnię, kształcąca konserwatorów ludzi z poszczególnych prowincji. Jego wniosek został jednak odrzucony: „Jesteśmy jeszcze krajem zbyt biednym, nie możemy sobie na to pozwolić”. I tak szkoda dzieje się dalej.

Dwa lata temu podczas budowania nowej drogi na przedmieściu Taiyuanu odkryto przypadkiem grobowiec cesarskiego urzędnika sprzed tysiąca czterystu lat. Ściany prowadzącego do komory grobowej korytarza były w całości pokryte freskami. Nikt nie wiedział, jak je chronić; już po kilku dniach wystawione na działanie atmosfery i światła malowidła zniknęły. Grobowiec ponownie zamknięto.

Właśnie z powodu braku specjalistów archeologiczne dziedzictwo Chin poniosło bardzo poważne straty na fali wielkiego boomu budowlanego, który objął dziś cały kraj. „Przy kopaniu fundamentów powszechnie stosowanym rozwiązaniem są miny, którymi rozsadza się skałę. W taki jednak sposób w dawnej stolicy Luoyang zniszczono ponad tysiąc grobów” – donosi „Dziennik Ludowy”.

W styczniu 1983 roku ten sam organ partii zganił dyrekcję sławnego browaru, podczas rozbudowy którego zastosowano miny, przez co zniszczono wyjątkowo cenny

grobowiec, zawierający kilkaset posągów, a wśród nich rzadką figurkę czarnego konia – obecnie w Chinach zachował się tylko jeden podobny egzemplarz.

Rzemiosło było przejawem wielkości Chin. Tysiące rzemieślników nauczyło się przez tysiąclecia posługiwać wszelkiego rodzaju tworzywem – drewnem, żelazem, kamieniem, jedwabiem, brązem, nefrytem – a to, co świat zna jako chińską kulturę, jest dziełem nie tylko poetów, filozofów i malarzy, lecz może w większym jeszcze stopniu wynikiem codziennej, mrówczej pracy całej armii bezimiennych cieśli, rytowników i tkaczy. Obecnie zaś, krążąc po placach targowych miast i wsi, nie znajdzie się ani jednego przedmiotu będącego tworem zwinnych rąk człowieka – jeśli pominąć prymitywne tarki i pułapki na myszy.

Owa wspaniała tradycja rzemiosła dobiegła końca wraz z proklamowaniem Republiki Ludowej, a zwłaszcza podczas „wielkiego skoku naprzód”, kiedy to wszelkie wyroby rzemieślnicze i związane z ich wytwarzaniem umiejętności uznano za bezużyteczne, a cały naród zmuszono do udziału w kampanii na rzecz stali. Wszystko, co miało wyłącznie dekoracyjny charakter, co upiększało codzienną egzystencję, nazwano zbędnym, zaś ludność musiała manifestować swój patriotyzm, wrzucając do pieców hutniczych każdy kawałek metalu, bez którego mogła się obyć – nawet klamki od drzwi i zamki szaf. Drewno z porąbanych krzeseł, stołów, starych komód wykorzystano jako opał.

Aby przekonać masy o słuszności takiego postępowania, nakręcono film, wyświetlany potem w całych Chinach pod tytułem *Podarunek za letnie wakacje*. Była to opowieść o grupie chłopców, którzy usłyszeli od pewnego starca, że na dnie rzeki spoczywają starodawne brązowe dzwony. Chłopcy spędzają letnie wakacje, usiłując je wydobyć. Kiedy w końcu im się to udaje, wrzucają dzwony do prymitywnego pieca do wytapiania. W nagrodę za swój wspaniały wyczyn otrzymują od rządu w podarunku piękny traktor.

Zniszczono w ten sposób – z czystego patriotyzmu – bardzo liczne dzieła sztuki, a oprócz nich niezliczone zwykłe wyroby rzemieślnicze. Bliźniacze Pagody w Taiyuanie utraciły wtedy dwadzieścia wielkich posągów z brązu, z których każdy przedstawiał Buddę w innej pozie; zamieniono je wszystkie w stop przeznaczony na ostrza łopat i kilofów. Nisze, w których te brązy stały przez wieki, zieją teraz pustką.

Prowincja Shanxi szczyciła się imponującymi murami, które otaczały wszystkie jej

miasta i wsie. Rozebrali je do szczętu mieszkańcy, zachęceni przez władze do zdobywania w ten sposób cegieł na budowę domów.

Przez całe wieki wieśniacy w Shanxi powtarzali dzieciom: „Nie palcie żadnego skrawka papieru, na którym wypisano choćby jeden znak”. A przecież właśnie chłopów ze wsi Shigou w tej prowincji władze wskazały krajowi jako przykład godny naśladowania. Stele z wyrytą na nich „bezużyteczną” historią wsi wykorzystali oni do budowy „użytecznego” mostu. Organ prasowy partii kilkakrotnie ich za to chwalił.

Teraz jednak partyjni urzędnicy – jak sekretarz komitetu w Linfenie – oświadczają: „Naszym zadaniem jest uczyć lud poszanowania dla swojego dziedzictwa kulturalnego”.

Prawdę mówiąc lud, gdyby mu pozwolono, poszanowanie to okazywałby zawsze, bo przecież dziedzictwo kulturalne do niego właśnie należy.

W południowej części Shanxi, na peryferii Yunchengu – miasteczka niegdyś bogatego w zabytki, dzisiaj smutnego skupiska szarych, nowo wybudowanych domów – stoi wielka świątynia wzniesiona za czasów dynastii Song na cześć Guana Yu, jednego z bohaterów Trzech Królestw, w oczach Chińczyków symbolu prawości i wierności. Wyobrażany zawsze z czerwoną twarzą Guana Yu to także postać występująca często w klasycznych operach chińskich. Przez wieki ludzie czcili go w tej świątyni, czyniąc z niej prawdziwy ośrodek jego kultu. Wiadomo, że w 1957 roku przybytek był w świetnym stanie; miejscowy malarz kończył właśnie pracę nad serią monumentalnych fresków, poświęconych życiu i czynom tego ludowego bohatera o czerwonym obliczu i długiej czarnej brodzie.

Potem dotarła tam, jak wszędzie, rewolucja kulturalna. Kiedy jednak w 1966 roku maoistowscy radykałowie podeszli pod świątynię z zamiarem zburzenia jej, nie wpuszczono ich do środka. Zhang Jiexiang, opiekująca się zabytkowym kompleksem budowli, wraz ze swymi pomocnikami zatarasowała wejście i zabarykadowała się wewnątrz. Oblężenie trwało trzy miesiące. „Wy macie klucze, ale my mamy władzę!” – wrzeszczeli pod świątynią maoiści. Ale za panią Zhang stała miejscowa ludność. Nocą wieśniakom udawało się przerzucać przez mury paczki z żywnością dla oblężonych. Czerwona Gwardia zrezygnowała wreszcie i odeszła.

W 1969 roku władze okręgu rozkazały przekształcić świątynię w szkołę, lecz pani Zhang przeznaczyła na ten cel tylko jeden wewnętrzny dziedziniec. Następnie,

w obawie, że szkoła stanie się pretekstem do zawładnięcia całym budynkiem, zadbała o wzniesienie wokół niej wysokiego muru.

Świątynia Guandi jest dzisiaj jedynym doskonale zachowanym zabytkiem w całej prowincji; panuje w nim jeszcze owa aura tajemniczości i czaru, właściwa kiedyś Chinom. Poszczególne pawilony pozostały nietknięte, na ołtarzach nie brak żadnego kandelabru, żadnego pojemnika na kadzidło, żadnej brązowej wazy, żadnego posągu. Legendarny oręż Guandi znajduje się nadal w starej zbrojowni, a w ciemnym kącie głównego pawilonu stoi nadal kukła bohatera.

Dawniej raz do roku przechodziła ulicami Yunchengu procesja; w palankinie z zaciągniętymi firankami niesiono tę właśnie kukłę. Teraz w półmroku oczekuje ona chyba lepszych czasów. Chociaż wypchany słomą, Guan Yu wydaje się jak żywy w swoim brokatowym stroju pokrytym już kurzem, z twarzą ukrytą za sznurami pereł, zwisającymi mu z czoła.

Pani Zhang i jej współpracownicy – jest ich obecnie szesnastu – mieszkają jeszcze w świątyni. Prowadzą szklarnię, sprzedają kwiaty i warzywa; przynosi to dochód, dzięki któremu dokonują napraw i utrzymują sanktuarium w należyтым stanie. Jednak pani Zhang ma teraz nadzieję, że w zespole pawilonów uda się otworzyć... pensjonat dla zagranicznych turystów.

Dingcun, położona o trzydzieści kilometrów na południe od Linfenu wieś z czasów dynastii Ming, ocalała przez czysty przypadek. Osiedle to jest prawdziwym klejnotem architektury. Każdy dom to muzeum: ciężkie, drewniane drzwi, ceramiczne murki przeciwko złym duchom, rzeźbione werandy, grawerowane ramy okien. Każdy szczegół wyposażenia jest w tej wsi dowodem wyrafinowania. Na podwórzach stoją platformy z marmuru, które służyły jako sceny podczas prywatnych przedstawień teatralnych.

Wieś była jedną z najbogatszych w całym regionie. Domy należały do przedsiębiorców, kupców handlujących ziołami leczniczymi i do bankierów, właścicieli okolicznych gruntów. Przez całe pokolenia wzywano do Dingcun najlepszych rzemieślników Shanxi, aby dawali dowody swoich umiejętności. Nawet słupki, do których przywiązywało się konie, były z marmuru z rzeźbionymi w nim głowami lwów.

W 1949 roku właściciele ziemskich w całym Chinach oskarżono o popełnienie straszliwych „zbrodni przeciwko ludowi”. Dingcun opuścili wtedy jej dawni mieszkańcy.

Części udało się zbiec, innych zabito; ich domy i wszystkie posiadłości podzielono między okolicznych chłopów.

W 1954 roku przy budowie nowej linii kolejowej w odległości kilkuset metrów od Dingcun odkryto skamieniałe szczątki pracźlowieka sprzed czterystu tysięcy lat. To odkrycie uratowało wieś, do której zjechała grupa archeologów. Zachwyceni szczególnym charakterem Dingcun naukowcy zaczęli inwentaryzować domy z ich zawartością.

Dao Fuhai, chłopski syn z Shanxi, który jako młody chłopak uczestniczył w egzekucji jednego z właścicieli ziemskich w swojej wsi („Cztery razy pchnąłem go nożem, cztery razy, i byłem naprawdę szczęśliwy, bo mojej rodzinie wyrządził tyle zła”), był jednym ze specjalistów od skamienielin, przybyłych wtedy do Dingcun. W 1966 roku obronił wieś przed Czerwoną Gwardią.

Teraz Dao Fuhai musi bronić Dingcun przed chłopami, których trzydzieści lat temu rewolucja przeniosła triumfalnie do domów pomordowanych właścicieli ziemskich.

– Suszą kolby kukurydzy na intarsjowanych belkach, w drewniane ściany wbijają gwoździe, żeby rozwieszać na sznurach bieliznę, trzymają w mieszkaniach zwierzęta... – skarży się Dao, krążąc po wsi i wskazując szkody, jakie chłopci swoim sposobem życia wyrządzili patrycjuszowskim rezydencjom.

Zamierza się teraz przenieść chłopów w jakieś inne miejsce i przywrócić Dingcun splendor z czasów, kiedy mieszkali tam bogacze. Wieś ma się stać jedną z turystycznych atrakcji regionu.

– Jeżeli chcemy być nadal krajem cywilizowanym, musimy stanowczo zachować przynajmniej część naszego dziedzictwa historycznego i kulturalnego – mówi Dao.

Wielu inteligentów, dziś w średnim wieku, którzy za młodu brali czynny udział w rewolucji, wielu byłych członków Czerwonej Gwardii spotykanych podczas moich wędrówek po kraju nie kryje zakłopotania, a nawet wstydu odczuwanego obecnie z powodu absurdalnych zniszczeń, do których się przyczynili.

– Chcieliśmy zniszczyć stare, aby narodziło się nowe... ale to nowe nigdy się nie pojawiło – mówi dawny czerwonogwardzista, przyznając, że uczestniczył w podpalaniu kilku pekińskich świątyń.

Teraz jest przewodnikiem turystycznym, który oprowadza cudzoziemców po resztkach

pozostałych po innych pożarach i zniszczeniach w prowincji Shanxi.

Gdziekolwiek spojrzeć, to, co nowe, ma wygląd smutny, przygnębiający. Stare miasta straciły swój urok, bo je częściowo wyburzono, aby zrobić miejsce na nowe ulice i place. Dawniej każde chińskie miasto miało własne oblicze, dzisiaj wszystkie są do siebie podobne: „ulica Wyzwolenia” przecina „ulicę Czerwonego Sztandaru” na wysokości nieodzownego „placu Ludu”, gdzie olbrzymi portret Mao wisi nad żalosną pustką. O zachodzie słońca wszystko staje się ciemne i martwe. Rzadko rozmieszczone białe latarnie, które zapalają się wzdłuż ulic chińskich miast od Kantonu po Mandzurię, są wszystkie do siebie podobne.

Taiyuan był bajecznym miastem. Obecnie – jeśli pominąć nieliczne nowe budynki, jak dworzec kolejowy i kilka bloków mieszkalnych – jest śmierdzącym skupiskiem nędznych ruder z ustępami publicznymi bez drzwi na ulicach. Z wejść do wybudowanych w dawnych czasach domów, gdzie zdarzają się jeszcze grawerowane belki, wychodzą dzieci, starcy i kobiety z pełnym nocnikami w rękę, aby wypróżnić je do rynsztoka. Ludzie myją sobie głowę lub płuczą naczynia, kucając przy ulicznych kranach.

W 1949 roku Taiyuan liczył dwieście siedemdziesiąt tysięcy mieszkańców. Teraz na tym samym mniej więcej obszarze i w tych samych domach mieszkają ponad dwa miliony ludzi. W mieście nie można już, jak kiedyś, rozerwać się, mile spędzić czasu. Zamknięto wszystkie herbaciarnie, nie ma już kiermaszów przy świątyniach. Stary Pałac Chunyang, taoistowską świątynię w śródmieściu, zamieniono w muzeum prowincji, gromadzące pozostałości po zabytkach uległych w Shanxi zniszczeniu.

Komuniści oskarżali zawsze władców z przeszłości o wznoszenie ogromnych, bezużytecznych świątyń i wielkich pałaców dla siebie samych w czasach, gdy wieśniacy nie posiadali niczego. Dziś jeszcze zwiedzający grobowce dynastii Ming w Pekinie muszą wysłuchać opowiadania o tym, ilu chłopów wyżywiłoby się tonami ryżu, które można by kupić za sumy wydane przez cesarzy na budowę fantastycznych grobowców.

A przecież w podobny sposób postępują także obecne władze. W stolicy każdej prowincji znajduje się na przykład imitacja gigantycznego Pałacu Ludu w Pekinie, której szerokie korytarze i wielkie sale pozostają przeważnie puste, niczemu nie służą.

W Taiyuanie bezpośrednio po Wyzwoleniu komuniści zbudowali obok Bliźniaczych Pagód ogromny pomnik i przeznaczyli obszerny teren na upamiętnienie męczenników



rewolucji. Ten otoczony murem, wielki park nadal istnieje. Partyjni urzędnicy – ci sami, którzy przez trzy dziesięciolecia zmuszali wieśniaków do kremacji zmarłych, zakazując grzebania ich w ziemi, aby nie marnować na groby cennych gruntów uprawnych – postanowili teraz zużytkować go... na własny cmentarz. Nie należy się temu dziwić, biorąc pod uwagę obszar, jaki zajmuje w centrum Pekinu Mao ze swoim mauzoleum.

Miejscowe władze wydały ostatnio znaczną sumę pieniędzy na odrestaurowanie świątyni Chongshan, ale zwykłym ludziom bardzo trudno się dostać na tę miłą wyspę spokoju i harmonii, otoczoną zgiełkiem i nędzą Taiyuanu.

– Chcesz wykorzystać tego cudzoziemca, żeby tu się wślizgnąć, co? – wrzeszczy stary mnich do małej Chinki, którą spytałem o drogę do świątyni i która zaproponowała mi swoje towarzystwo, a potem zaczęła z wielką energią walić pięścią w zamknięte na cztery spusty drzwi.

Przypomniały mi się słowa: „Zamknięte, zamknięte... Nie mamy klucza”, skierowane przez dozorcę Klasztoru Podwójnego Lasu w Pingyao do grupy wieśniaków, którzy rzucili się za mną i moim synem, kiedy otwarto dla nas szeroko główne wejście, strzeżone przez czterech wspaniałych wojowników z gliny.

Otwarte pod nazwą „muzeów” świątynie i odrestaurowane pagody, nazywane teraz „wieżami”, powinny przyciągać zagranicznych turystów wraz z pieniędzmi, które ci przywożą do Chin. Zdaniem odpowiedzialnych za rozwój turystyki, kłopot w tym, że te świątynie często znajdują się w zbyt odległych miejscach.

Do słynnych chińskich świątyń taoistycznych należy Yongle Gong, położona na południu Shanxi. Zbudowano ją ku czci Lü Dongbina, jednego z legendarnych Ośmiu Nieśmiertelnych; są w niej najpiękniejsze freski, jakie zachowały się z czasów dynastii Yuan. Ponieważ znajdowała się w samym środku doliny przeznaczonej na zbiornik wodny, w 1959 roku rząd centralny na polecenie premiera Zhou Enlaia nakazał przesunąć ją o dwadzieścia pięć kilometrów i wyasygnował na ten cel pieniądze. Świątynia w doskonałym stanie wznosi się teraz na peryferiach miasteczka Ruicheng, osiemdziesiąt kilometrów od najbliższej stacji kolejowej. Dotrzeć do niej można tylko po nader ryzykownej podróży poprzez nagie szczyty i budzące grozę przepaści.

– Powinniśmy przemieścić Yongle Gong znowu, tym razem do Taiyuanu, gdzie

jesteśmy lepiej przygotowani na przyjęcie turystów – mówi jeden z urzędników administracji prowincjonalnej.

Chiny są w pewnym sensie rzeczywiście pełnym niemiłych niespodzianek krajem, kryjącym jeszcze bardzo wiele małych i wielkich tajemnic. Jest więc oczywiste, że władze wolą, aby cudzoziemcy nie podróżowali swobodnie, nie jeździli sobie tu i tam, jak mogą robić gdzie indziej. Stąd oficjalna strategia polegająca na koncentrowaniu turystycznych atrakcji w niewielu wybranych miejscach, skąd wysyła się wypełnione turystami autokary na zwiedzanie bardziej odległych świątyń, lecz z pewnością nie wsi, gdzie te świątynie niegdyś zbudowano.

I tak na przykład z miasta Datong wiezie się cudzoziemca do Wiszącej Świątyni. Stamtąd – do miasta Hongyuan; przygotowano tam specjalnie dla niego obiad w miejscowej siedzibie partii komunistycznej, ale samego miasta zwiedzać mu nie wolno.

– Ta miejscowość nie została jeszcze udostępniona cudzoziemcom – oświadczył urzędnik, który odszukał mnie na placu targowym, gdzie stałem otoczony tłumem zaciekawionych osób.

Korespondentowi zagranicznemu pewnego komunistycznego dziennika powiedziano niedawno, że Hongyuan nie wolno zwiedzać, ponieważ turyści rzucili kiedyś dzieciom na ulicy garść monet, aby je potem fotografować; po takiej zniewadze zamknięto miasto dla cudzoziemców. Wierutne kłamstwo. Taką samą historyjkę opowiedziano w latach sześćdziesiątych grupie francuskich turystów w Nankinie po to, aby ich ze sobą skłócić. Napisał o tym w swojej książce człowiek, który – dopiero po latach namysłu i wątpliwości – doszedł do wniosku, że nikt z grupy nie rzucał monet i że Chińczycy wymyślili taki pretekst, by zasiać wśród cudzoziemskich gości niezgodę, wzbudzić w nich zakłopotanie i sprawić, aby znosili posłusznie inne zakazy.

Z Taiyuanu można pojechać do Pingyao na zwiedzanie Klasztoru Podwójnego Lasu. Później turystę prowadzi się na obiad do dawnej rezydencji miejscowego dygnitarza, którą tutaj zamieniono – podobnie jak w wielu innych miejscowościach – w siedzibę partii komunistycznej. Nie wolno mu jednak opuścić tego odosobnionego i ogrodzonego budynku.

– To niewskazane – oświadcza sekretarz komitetu partii.

Przyczyna jest następująca: jeśli turysta zrezygnuje z obiadu – jak uczyniłem ja – i wymknie się ukradkiem z komitetu, aby krążyć dwie godziny po Pingyao, zanim go odszukają, zganią i podejrzanego o nieczne zamiary odprowadzą do pociągu, zobaczy on w owym „zakazanym mieście” to wszystko, co miejscowe władze chciały przed nim ukryć i co zazwyczaj dokładnie się ukrywa przed cudzoziemcami w miejscowościach, które dla nich „przygotowano”.

W ciągu dwóch godzin spędzonych w Pingyao, gdzie byłem chyba pierwszym cudzoziemcem od dziesięcioleci, widziałem nieasfaltowane ulice pokryte warstwą błota i odchodów; stare, piękne niegdyś domy w stanie ruiny, przepełnione ludźmi; starodawny marmurowy most ozdobiony głowami lwów, poważnie uszkodzony, nad rzeką czerwoną od wycieków z pobliskiej fabryki plastiku. Wszystkie świątynie i zabytki opisane w przewodnikach z lat pięćdziesiątych nie istniały już bądź były zrujnowane. Stojący jeszcze na początku lat sześćdziesiątych kościół katolicki zniknął zupełnie, rozebrany cegła po cegle; wali się stara wieża na rynku, pokryta dachem o barwnych dachówkach w stylu „podwójnego szczęścia”. Na kilku domach ktoś nakreślił kredą krzyże, a na resztkach starych murów miejskich ta sama ręka napisała po łacinie: „Mamy Boga”. Na ulicy spotkałem żebrzące dzieci, dwóch wrzeszczących w próżnię wariatów, tarzającą się po ziemi epileptyczkę oraz starego intelektualistę, który po powrocie do miasta z obozu pracy, gdzie spędził dwadzieścia lat, usiłował żyć dalej, wyprzedając na chodniku resztki swojej biblioteki.

Napotkany były seminarzysta opowiedział mi historię miejscowej wspólnoty chrześcijańskiej po łacinie, aby nie mógł go zrozumieć idący za mną tłum. Wyszędłszy poza obręb miasta, zobaczyłem oddział złożony z co najmniej dwustu młodych ludzi z ogolonymi głowami, strzeżony przez czterech umundurowanych policjantów, w drodze powrotnej po „reedukacji” w pobliskich kamieniołomach.

Mimo podjętych środków ostrożności, otwarcie świątyń na użytek zagranicznych turystów stwarza władzom komunistycznym problemy przede wszystkim ze strony własnych obywateli. Wieśniacy wiedzą teraz, że do miejsc, w których się modlili, chodzi się znowu, że ich bogowie wrócili po części na ołtarze. Dawnym wierzeniom trudno się oprzeć.

– Musieli tu przyjść w nocy – mówi mnich w Wiszącej Świątyni, wskazując na

gliniany posąg, któremu ktoś założył po kryjomu na ramiona piękny, czerwony, ozdobiony haftem płaszcz.

Miejscowa ludność wierzy, że ten posąg kobiety z dzieckiem na kolanach potrafi sprawić, iż bezdzietne pary przestaną takimi być; czerwony płaszcz potajemnie ofiarował zapewne ktoś, kto pragnął potomka płci męskiej.

W przeszłości istniało bóstwo na każdy przypadek, szczególna opieka ze strony Niebios na każdą okazję. Gdy nie padało i groziła posucha, ludzie wiedzieli, do kogo się modlić; chory wiedział, do jakiego klasztoru zwrócić się po lekarstwo. Mnisi nie wydawali pacjentom wyłącznie zapisanych ideogramami świstków papieru, które należało spalić, a popiół rozpuścić w źródlanej wodzie i wypić – przygotowywali także specjalne napary z rzadkich ziół, które oni tylko znali, o których wiedzieli, gdzie rosną i kiedy należy je zbierać.

Mocy tych odwiecznych wierzeń nie udało się zwalczyć przez trzy dziesięciolecia naukowego socjalizmu, ideologicznych kampanii antyreligijnych i walki z przesadami. W położonym w środkowym Shanxi powiecie Jiexiu wieśniacy chodzą znowu po pewne specjalne lekarstwo do słynnego, odosobnionego klasztoru; w jego pobliżu widziano nawet zaparkowane samochody partyjnych urzędników.

Stare duchy ponadnaturalnego świata Chińczyków nie straciły całkiem swojego uroku. „Dziennik Ludowy” musiał ostatnio zganić wieśniaków, którzy wdrapują się tłumnie na górę Tai, aby podziękować bogini rolnictwa za doskonałe zbiory w bieżącym roku.

Pamięć o przeszłości nie wygasła jeszcze w umysłach ludzi, których zdezorientowały i zaniepokoiły kolejne dyrektywy polityczne ostatnich trzydziestu lat. Dawne legendy urzekają nadal.

Na rynku w Hongyuanie siedzi na ubitej ziemi stara kobieta. Sprzedaje zółwie i opowiada otaczającemu ją tłumowi o pochodzeniu tych zwierząt:

– Zółwia stworzył Bóg wraz z człowiekiem, aby człowiekowi w życiu pomagał – mówi.

Ludzie słuchają jak urzeczeni. Według chińskiej tradycji zółw dokonał niezliczonych wielkich czynów. Zółw pomógł cesarzowi Da Yu poskromić wody Żółtej Rzeki, w nagrodę za co pozwolono mu żyć dziesięć tysięcy lat. Na podstawie znaków znajdujących się na grzbiecie zółwia Chińczycy opracowali swój kalendarz i wyznaczyli

pory siewu oraz zbiorów. Kamiennym żółwiom powierzyli stele ze spisanymi na nich dziejami kolejnych cesarzy i poszczególnych osad.

Żółw symbolizuje długowieczność, siłę i wytrwałość Chińczyków.

– Żółwiowi znane są tajemnice nieba i ziemi – mówi stara kobieta, wskazując tajemnicze znaki na skorupie zwierzęcia. – Przewodniczący Mao zmienił bieg rzek, przesunął góry, ale nie udało mu się zmienić kształtu żółwia.

Tłum wybucha śmiechem, kobieta opowiada dalej.

# 11. „doskonałe dla jednostki, doskonałe dla ojczyzny”

odrodzenie wschodnich sztuk walki

„Mistrzu, jestem gotów. Żadna trudność mnie nie odstraszy. Nie powstrzyma mnie żadne wyrzeczenie. Proszę pozwolić mi przyjechać, będę Waszym oddanym uczniem...”. List nadszedł z dalekiej Europy; stary opat klasztoru Szaolin, ukrytego na jałowym, skalistym zboczu Song Shan, świętej góry Chin środkowych w prowincji Henan, nie umiał go odczytać i przekazał policji. Tam list się zagubił wśród niezliczonych innych, podobnych listów, napisanych przez młodych ludzi z całego świata, którzy błagali mnichów ze słynnej świątyni, gdzie tysiąc czterysta lat temu narodziły się buddyzm zen i śmiertelna sztuka walki kung-fu, o przyjęcie na naukę.

Kandydat z Europy nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Tym lepiej dla niego. Gdyby mu pozwolono przyjechać do Szaolin, spotkałaby go duża przykrość. Większa część klasztoru leży w gruzach, posągi Buddy są nowe, z malowanego gipsu, mała grupka żyjących jeszcze mnichów składa się z ludzi wiekowych, trzęsących się, niezdolnych wstać z łóżka, a co dopiero rozłupywać pięścią cegły i skakać lekko z wysokich murów. Młodzi nowicjusze są słabi, bladzi, niektórzy nawet kalecy. Kung-fu nie praktykuje się tam już od dawna. Kurz pokrywa słynną salę, gdzie przez wieki trenujący mnisi uderzali stwardniałymi stopami w kamienną posadzkę, wybijając w niej wgłębienia. Leży w piasku nienadające się już do użytku jedenaście drewnianych, dwumetrowych słupów, po których wierzchołkach na rozkaz starych mistrzów nowicjusze skakali i gonili się, aby wyrabiać w sobie zwinność i zmysł równowagi.

Mnichów walczących widać jedynie na freskach w świątyni, które w przeszłości służyły uczniom za podręcznik: w przerwach między medytacjami wpatrywali się w nie, by przyswajać sobie sposoby zadawania śmiertelnych ciosów.

Shaolin Si, Klasztor Młodego Lasu, nie jest już dzisiaj ani ośrodkiem buddyjskich rozmyślań, ani szkołą wschodnich metod walki. Jest po prostu jeszcze jedną atrakcją turystyczną, dokąd codziennie przywozi się setki Chińczyków, i na razie tylko niewielu zagranicznych turystów, aby wałęsali się po pozbawionych zresztą szczególnego uroku dziedzińcach świątyni, wśród straganów, na których mnisi sprzedają różne drobiazgi

i pamiątki, łącznie z krzyżykami z wypisanym na odwrocie słowem „Chrystus”, co wydaje się szczytem absurdu.

– Odrodzeniu kung-fu zawdzięczamy dobre interesy, które pomagają nam unowocześnić nasz region – mówi Wang Zhizhou, kierownik Urzędu Spraw Zagranicznych w Dengfengu, stolicy okręgu oddalonej o siedemnaście kilometrów od klasztoru.

Odrodzenie kung-fu rozpoczęło się cztery lata temu, kiedy władze pekińskie postanowiły udostępnić świątynię i zezwoliły przedsiębiorstwu filmowemu z Hongkongu nakręcić tam pierwszy film o sztukach walki, jaki wyprodukowano w Chinach.

Film pod tytułem *Klasztor Szaolin* nawiązuje do słynnego epizodu z dziejów Chin. Ściganego przez wrogów cesarza Taizonga, założyciela dynastii Tang w VII wieku, uratowało trzynastu mnichów szlacheckiego rodu pod wodzą młodego nowicjusza imieniem Zhang Tygrysek. Sensacyjny, obfitujący w sceny niesłychanie gwałtownych i krwawych walk film – czysta rozrywka bez politycznych treści, obciążających wszystkie inne powstające w Chinach widowiska – odniósł niebywały sukces. Wyświetlano go przez wiele tygodni w wypełnionych po brzegi kinach całego kraju. To dzięki niemu odrodziła się moda na wschodnie sztuki walki, którymi pasjonują się teraz młodzi Chińczycy.

Aktor grający główną rolę<sup>25</sup> stał się bohaterem narodowym (jest on dziś jednym z bardzo niewielu obywateli Chińskiej Republiki Ludowej posiadających własny samochód), związki adeptów wschodnich sztuk walki powstały w każdej prowincji i liczą już miliony członków. Coraz liczniejsi są też ci, którzy marzą o nauce kung-fu tutaj – w miejscu, gdzie ta technika się narodziła.

W ciągu zaledwie pół roku napisało do klasztoru ponad dwadzieścia tysięcy osób. Ponad stu chłopców, a wśród nich dziewięcioletnie dziecko, po obejrzeniu filmu uciekło z domu; pociągiem, łodzią, autobusem lub na piechotę dotarli do Szaolin, aby zapukać w bramę z nadzieją, że – jak w filmie – starzy mnisi przyjmą ich na uczniów.

– Odesłaliśmy wszystkich do domów. Żyjemy w socjalistycznym państwie, także kung-fu uczy się zgodnie z państwowym planem – tłumaczy mi z wielką powagą Liang Yichang, wicedyrektor Stowarzyszenia Adeptów Sztuk Walki Szaolin, organizacji powołanej ostatnio przez partię komunistyczną w celu objęcia kontroli nad nauką

wszystkich rodzajów wschodnich sztuk walki, na którą zazdrośnie strzeżony monopol mieli dawniej buddyjscy mnisi.

Szaolin założono w 495 roku po Chrystusie dla hinduskich mnichów, przybyłych tu, by pomóc chińskim uczonym przetłumaczyć z sanskrytu święte teksty buddyzmu, który zaczął wtedy obejmować Państwo Środka. Do tych Hindusów zaliczał się książę Bodhidarma, w Chinach i w Japonii znany lepiej jako Da Mo lub Daruma – założyciel sekty zen.

Da Mo dotarł do Szaolin w 525 roku, po przepłynięciu Żółtej Rzeki – jak głosi legenda – na pręcie bambusa. Aby pozyskać zasługi, zamieszkał w samotnej jaskini na szczycie położonej na tyłach Szaolin góry i spędził tam dziewięć lat, siedząc nieruchomo, pogrążony w medytacji przed wielkim głazem. Jaskinia jest dzisiaj – podobnie jak wówczas – niedostępna, ale pewien przedsiębiorczy wieśniak zbija pieniądze, oddając za opłatą pięciu centów do dyspozycji przejezdnym turystom zakupioną w Pekinie lunetę, aby mogli rzucić okiem na odległą, ciemną dziurę wysoko w górze.

Głaz, na którym według legendy odcisnęła się postać medytującego Da Mo, zabrano z jaskini; wraz z innymi świętymi relikwiami pokazuje się go teraz zwiedzającym w głównej świątyni. Dla osiągnięcia równowagi po bezruchu medytacji Da Mo, a następnie jego uczniowie – łącznie z jego ulubieńcem, który pragnąc zwrócić na siebie uwagę mistrza, odciął sobie pewnego dnia ramię – opracowali szereg ćwiczeń rozluźniających mięśnie.

Szaolin otaczały wtedy wielkie lasy; mnisi rozwijali swoją szczególną formę gimnastyki, obserwując ruchy dzikich zwierząt. Zapamiętali, jak różne zwierzęta walczą, jak atakują, jak się bronią. Postarali się zrozumieć, co stanowi o sile każdego zwierzęcia: pełzanie węża, skoki małp, zryw tygrysa, taniec modliszki.

Żyjący w odosobnieniu mnisi padali często ofiarą złodziei i rozbójników, więc ich ćwiczenia przybrały szybko obronny charakter. Szaolin stał się nader szczególnym klasztorem, gdzie długie godziny milczącej medytacji w bezruchu przeplatano równie długimi godzinami gwałtownych i hałaśliwych ćwiczeń, dzięki którym starzy i młodzi mnisi hartowali się, naśladowując ruchy zwierząt.

– Buddyzm zen i kung-fu narodziły się razem, jako dwie strony tego samego medalu, jako dwa sposoby osiągnięcia tego samego celu: wewnętrznego spokoju – mówi Dechan,



siedemdziesięcioletni opat Szaolin, który nie podnosi się już z łóżka. – Łączymy koncentrację duchową z siłą fizyczną w harmonii ciała i umysłu. Ciało i umysł nie mogą istnieć oddzielnie.

Surowa dyscyplina była w klasztorze najważniejszą regułą. Dzięki swojej sprawności mnisi stali się sławni w całym kraju. Wieśniacy prosili ich o pomoc w walce z rozbójnikami i z despotami, cesarze zwracali się do nich, gdy chcieli pozostać na tronie. Klasztor obsypano odznaczeniami, darami i przywilejami, rozbudowywał się i bogacił, jego sława rosła. W dobie największego rozkwitu zamieszkiwało Szaolin dwa tysiące mnichów, w tym pięciuset walczących.

Za czasów dynastii Ming zaproszono do klasztoru najwybitniejszych mistrzów wschodnich sztuk walki z całych Chin. Mnisi uzupełnili wtedy swoje tradycyjne ćwiczenia przez zastosowanie osiemnastu różnych broni: od prostego miecza po lancę, od „leżącego trójzębu” po „meteoryczny młot”.

Niemniej jednak najgroźniejszą bronią pozostało ciało ludzkie, które mnisi nauczyli się hartować przez długie lata niezwykle ciężkich ćwiczeń, zawsze tych samych w ciągu wieków.

– Ręce to drzwi, które przeciwnika nie dopuszczają blisko. Stopy to młot, którym się go zabija – zapewnia były mnich z Szaolin, obecnie instruktor Stowarzyszenia Szaolin w Dengfengu.

W celu wzmocnienia rąk ucznia, stawiano go przed workiem fasoli, w który musiał całymi godzinami silnie je wbijać. Po dwóch lub trzech latach fasolę zastępował piasek, a ćwiczenie należało powtarzać co najmniej dwa razy dziennie, dopóki czubki palców nie upodobniły się do „stalowych igieł, zdolnych jednym ruchem wyrwać wrogowi serce z piersi” (tak w każdym razie powiedział mi jeden ze starych mnichów). Aby wzmocnić dłoni, nowicjusze musieli uderzać nią wielokrotnie w powierzchnię posypaną najpierw kamykami, a później opiłkami żelaza. Dla wzmocnienia pięści walili w tysiącarkusową ryzę papieru, przyklejoną do muru. Z biegiem lat papier odpadał pod ciosami, aż wreszcie młody mnich musiał z całej siły uderzać pięścią w kamień. Dla wzmocnienia nóg kazano uczniom biegać wokół ogrodzenia świątyni z dziesięciokilogramowymi workami piasku, umocowanymi pod kolanem. Aby stwardniała głowa, musieli tłuc się po niej codziennie drewnianym kijem, zaś po kilku latach – cegłą. W celu uodpornienia

się nowicjusze wykonywali ćwiczenia *qigong*, polegające na głębokim, kontrolowanym oddychaniu wzmacniającym siłę woli i doprowadzającym do najskrytszych zakamarków ciała „energię życiową”. Dla wyostrenia wzroku musieli przyskać sobie zimną wodą w oczy, starając się mieć je otwarte; w nocy musieli wpatrywać się w księżyc, a potem we wschodzące słońce, przez co najmniej kwadrans. Aby wyostrzyć słuch, musieli z zamkniętymi oczami wsłuchiwać się w szum wiatru i próbować określić jego kierunek, w tym także naśladować Da Mo, który – jak się mówi – po dziewięciu spędzonych w jaskini latach słyszał chód mrówek i odgadywał, w którą stronę idą.

Nowicjuszy przyjmowano zazwyczaj do klasztoru w wieku jedenastu lat, ale zdarzali się i o wiele młodszy. Poddawano ich najpierw „próbie łóżka”. Na wysokości dwóch metrów od podłogi wbite było w ścianę pięć grubych prętów, na których uczeń miał spać. Jeśli we śnie spadał, nauczyciele bili go. Po piętnastu lub dwudziestu latach ciężkich ćwiczeń nadchodził wielki dzień ostatecznej próby. Ucznia stawiano w najodleglejszym zakątku świątyni, po czym opat rozkazywał mu wyjść główną bramą. Trzydziestu sześciu mistrzów kung-fu zagradało młodzieńcowi drogę; aby go zatrzymać, każdy z nich mógł zadać tylko jeden cios, wykonać tylko jeden manewr. Jeżeli adept zdołał przejść całą drogę i wyjść ze świątyni, promowano go na mnicha Szaolin, jeżeli nie – pozostawał nadal terminatorem. Ci, którym się udało, otrzymywali długi drewniany kij – odwieczny symbol sztuk walki nauczanych w klasztorze.

Mnisi musieli dawniej zobowiązywać się pod przysięgą, że nie tkną mięsa, wina i kobiet, a przede wszystkim, że nie będą uczyć tajemnic kung-fu nikogo, kto nie jest nowicjuszem w ich klasztorze. Ponadto mnichom nie wolno było zabijać, ale do tego zakazu zaczęto z czasem podchodzić bardzo swobodnie. Stare powiedzenie powtarzane w Szaolin brzmi: „Jeśli tyran żyje, dziesięć tysięcy niewinnych nie może spać spokojnie”. Oswobodzenie świata od tyranów i im podobnych stało się więc wielką zasługą.

Dzień nowicjusza w świątyni zaczynał się o czwartej rano, kończył o dziesiątej wieczorem. Pięć godzin dziennie przeznaczano na ćwiczenia fizyczne, resztę dnia – na medytację, naukę i śpiewanie sutr.

– Na początku było bardzo ciężko, wiele razy płakałem, ale szybko nauczyłem się przewycięzać ból za pomocą koncentracji – opowiada opat Dechan, którego rodzice

przyprowadzili na stopnie świątyni jako siedmioletniego chłopca i nigdy go już nie mieli zobaczyć. – Być mnichem w Szaolin i nie praktykować kung-fu, to byłby wstyd.

Połączenie ćwiczeń fizycznych z duchowymi miało umożliwić mnichom z Szaolin niewiarygodne czyny, które przypisuje im legenda: przelatywanie nad murami miast z pomocą jedynie tyczki, skakanie z ziemi na dachy domów, roztrzaskiwanie jednym kopnięciem grubych drewnianych drzwi na tysiąc kawałków.

Przygody mnichów z Szaolin należały przez wieki do chińskiego folkloru. Wszystkie dzieci słyszały o mnichu, który uzbrojony w zwykły kij walczył z tysiącem wrogów, udając, że jest pijany („pijany kij” to dzisiaj jedna z typowych technik kung-fu), oraz o mnichu kucharzu, który podczas chłopskiego buntu powstrzymywał pogrzebaczem rozeźlony tłum, aby inni bracia mogli dalej spokojnie medytować.

Mnisi z Szaolin nie stanęli na wysokości zadania jako wspaniali zapaśnicy w czasach rewolucji kulturalnej. Kiedy w 1966 roku Czerwona Gwardia przysłała tu „likwidować szczątki przeszłości”, nie stawiał im oporu ani jeden z dwustu mnichów, przebywających jeszcze w klasztorze po objęciu władzy w Chinach przez komunistów. Zwalono i porozbijano posąg Buddy, mury pokryto maoistowskimi sloganami, większość mnichów skierowano do pracy w polu, zaś grupę najstarszych umieszczono pod kluczem na odosobnionym dziedzińcu świątyni. Szaolin został zamknięty. Spalono całą dotyczącą go literaturę rycerską; ówczesni komunistyczni ideologowie wystąpili także przeciwko praktykowaniu kung-fu, uznanego za „feudalne śmieci”.

Tradycja Szaolin przetrwała jednak także poza granicami Chin. Według starego chińskiego powiedzenia, „wszystkie metody walki na świecie narodziły się w Szaolin”. I rzeczywiście, wszyscy znawcy różnych sztuk walki, od japońskich dzudo i karate po koreańskie kendo, uważają starą świątynię w prowincji Henan za święte miejsce narodzin tych technik.

Na początku lat sześćdziesiątych King Hu, reżyser z Hongkongu, wylansował filmem *Dotyk zen* nowy gatunek – chiński western, nawiązujący właśnie do przygód mnichów z Szaolin. Przemysł kinematograficzny Hongkongu natychmiast się nim zainteresował; dzięki tuzinowi filmów z Bruce’em Lee w roli głównej kung-fu stało się sportem nadzwyczaj popularnym najpierw w Azji Południowo-Wschodniej, a potem na całym świecie.

Po śmierci Mao i upadku bandy czworga w 1976 roku, nowe kierownictwo chińskie uświadomiło sobie, że kung-fu to prawdziwa kopalnia złota i że byłoby absurdem pozostawić ją innym, którzy nie mieli przecież świątyni Szaolin. Pekin postanowił więc zainwestować pieniądze w odrestaurowanie świątyni i udostępnienie jej zwiedzającym. Odszukano kilku mnichów, zrehabilitowano ich i osadzono ponownie w klasztorze. I tak na turystyczną mapę Chin trafiło biedne, szare miasteczko Dengfeng u podnóża Song Shan, świętej góry, którą zdążono już ogołocić ze wszystkich jej słynnych lasów.

Zapanowała moda na kung-fu, oficjalna prasa zaczęła zachwalać sztuki walki hasłem: „Doskonałe dla jednostki, doskonałe dla ojczyzny”. Czasopismo „Sportowe Chiny” namawiało dziewczęta do nauki kung-fu, aby mogły się bronić przed natrętami („Takiego kopniaka nikt nie zechce dostać – napisano w czasopiśmie pod zdjęciem kobiety zwalającej z nóg mężczyznę. – Poczujesz straszliwy ból w genitaliach, napastnik opuści ręce, a wtedy będziesz mu mogła zadać cios, którego nigdy nie zapomni”).

„Dziennik Chiński” odkrył, że jeden z najstarszych mistrzów kung-fu w kraju, dziewięćdziesięciodziewięcioletni mężczyzna zamieszkały obecnie w Harbinie, pierwszych ciosów nauczył się od „bokserów”, kiedy ta tajna sekta próbowała wymordować cudzoziemców w Pekinie w 1900 roku. Okazało się też, że techniki tej uczył się za młodu Zhou Enlai. Czasopismo „Sztuki walki” opublikowało długi artykuł o dobrze znanej w Chinach osobistości, generale Xu Shiyou, dowódcy jedynej dywizji kawalerii podczas Długiego Marszu. W wieku siedemdziesięciu dziewięciu lat jest on wiceprzewodniczącym Ludowej Politycznej Konferencji Konsultatywnej Chin, a jako młody chłopak – okazuje się teraz – spędził osiem lat w świątyni Szaolin, poznając sekrety kung-fu. Anegdota o generale zapaśniku zamieściło kilka pism dla młodzieży. Można się z nich dowiedzieć, że podczas wojny z Japończykami Xu Shiyou przeskoczył przez rów sześciometrowej szerokości, że w 1950 roku, w czasie akcji zasiedlania ziem dziewiczych w Chinach, generał gołymi rękami wyrywał z ziemi drzewa, że pewnego razu w Szanghaju upokorzył dzięki swojej nieprawdopodobnej sile aroganckiego eksperta sowieckiego, który rzucił mu wyzwanie: mieli po kolei próbować ruszyć z miejsca kamiennego lwa przy wejściu do restauracji. Rosjaninowi nie udało się przesunąć posągu nawet o milimetr, a Xu Shiyou wziął go po prostu pod pachę i poszedł

sobie.

„Gorączka” kung-fu osiągnęła szczyt, kiedy pojawiły się jednocześnie: w kinach film o klasztorze, a w chińskiej telewizji ekranizacja japońskiej powieści na temat dzudo.

Senny okręg Dengfeng na południe od Żółtej Rzeki zalała fala ludzi pragnących zwiedzić święty klasztor i poznać jego tajemnice. Aby móc przyjąć grupy turystów, miejscowe władze zleciły budowę motelu, a dla uboższych podróżnych otwarto tuzin *gandian* (hoteli „suchych”, to jest bez wody bieżącej), prowadzonych przez osoby prywatne. Dengfeng połączono ze świątynią dziesięciometrowej szerokości autostradą, u wejścia do Szaolin otwarto „sklep przyjaźni”, gdzie sprzedaje się coca-colę i piwo. Powołano Stowarzyszenie Adeptów Sztuk Walki, aby szkolić młodych zapaśników i organizować specjalne pokazy kung-fu dla turystów, oczywiście za opłatą. Zapaśnicy występują na razie na parkingu dla autokarów przed motelem.

Miejscowa ludność, zachęcona nowymi dyrektywami Deng Xiaopinga, który pozwolił obywatelom się bogacić, pootwierała małe pracownie, gdzie wyrabia pamiątki z Szaolin, poustawiała stragany, z których sprzedaje potrawy i napoje. Kilku chłopów wynajmuje konie turystom pragnącym sfotografować się przed dwustu trzydziestoma stupami na niedalekim „kamiennym cmentarzu”, gdzie pochowani są znamienici mistrzowie kung-fu z przeszłości.

Kwitnie handel podręcznikami dla samouków kung-fu oraz książkami o dziejach i legendach Szaolin. Najświeższa publikacja, sprzedawana przez samych mnichów, nosi tytuł *Tajemne przepisy dotyczące leczenia obrażeń spowodowanych upadkami i uderzeniami*. Dowiadujemy się z niej, jak szukać w górach pewnych ziół, jak je suszyć i gotować w dziecięcym moczu („Najlepszy mocz to ten poranny, oddany przez najstarsze dziecko płci męskiej w rodzinie”).

Wobec napływu tysięcy listów – niektóre pisane są krwią – od młodych ludzi, pragnących uczyć się kung-fu, władze zezwoliły na otworenie w Dengfengu szkół-siłowni.

– A cudzoziemcy? – pytam.

– Otrzymaliśmy listy ze wszystkich stron świata – odpowiada kierownik okręgowego Urzędu Spraw Zagranicznych. – Są tacy, którzy zrobiliby wszystko, żeby tu przyjechać, ale my nie możemy podejmować w tych sprawach decyzji. Pozwolenie musi nadejść

z Pekinu.

Pekin obecnie takich pozwoleń nie wydaje.

W powstałych wokół świątyni szkołach uczy się sztuk walki pięćset dzieci: trzysta miejscowych, dwieście z innych części Chin, nieraz bardzo odległych.

– Obejrzałem film i ubłagałem rodziców, żeby mnie tu wysłali. Chcę pilnie się uczyć, może kiedyś i ja wystąpię w filmie – mówi nieśmiały i chudy chłopczyk, który przyjechał tu ze wsi w prowincji Guizhou, odległej o dwa tysiące kilometrów. Ma zostać w Dengfengu pięć lat.

Szkoła znajduje się w opuszczonej cegielni u podnóża góry, przy drodze wiodącej do ceglanej pagody Songyue, najstarszej tego rodzaju budowli w Chinach. Uczniowie prowadzą spartański tryb życia. Wszystkich trzynaścioro (są wśród nich dwie dziewczynki) śpi na wielkiej drewnianej ławie; jadają w refektarzu. Pobudka o szóstej, bieg, potem przez cały dzień treningi i nauka. Chociaż ci „nowicjusze” nie wykonują już najboleśniejszych ćwiczeń, jakie wykonywali dawniej nowicjusze prawdziwi, ich ręce i stopy pokryte są ranami, pęcherzami i zadrapaniami, wywołanymi ciągłym uderzaniem w worki z piaskiem.

Szkołę prowadzi spółdzielnia rolna. Jej zarząd wpadł na szczęśliwy pomysł zatrudnienia tam jednego ze swoich członków – wieśniaka, który do przybycia komunistów w 1949 roku był mnichem w Szaolin. Czesne płacone przez uczniów za wyżywienie, zakwaterowanie i naukę kung-fu wynosi trzydzieści juanów miesięcznie. Dla spółdzielni rolnej jest to dobry interes, dla uczniów – inwestycja na przyszłość (trzydzieści juanów odpowiada połowie średniego miesięcznego zarobku robotnika). W Chinach rośnie bezrobocie wśród młodzieży; starzy mistrzowie kung-fu wymierają, młodzi znajdują z pewnością pracę, a niejeden może stać się sławny.

Takich szkół powadzonych przez spółdzielnie jest około tuzina; są też trzy szkoły prowadzone przez władze okręgu. Ponadto kilku chłopów utrzymujących, że byli mnichami w świątyni, zaczęło przyjmować młodych ludzi na stancję i udzielać im lekcji prywatnych za dwadzieścia pięć juanów miesięcznie. Nie wszyscy uczniowie są zadowoleni.

– Chciałem się nauczyć przenikania przez mury i skakania na dachy, a tutaj przez cały czas tylko się gimnastykuję – skarży się przybyły z Mandżurii piętnastolatek.

Instruktorzy kung-fu w Dengfengu mówią, że większość uczniów doznaje w pierwszych tygodniach rozczarowania, które potem mija; prawie nikt z przyjętych do szkół nie odchodzi.

– Ale młodzi wyrabiają sobie często fałszywe poglądy. Przyjeżdżają tutaj przekonani, że kung-fu jest tym, co widzieli w kinie – oświadcza kierownik szkoły numer piętnaście w Dengfengu – a my nie możemy ich nauczyć dokonywać cudów.

Pomijając już naukę „cudów”, kontrolowane teraz przez miejscowe władze komunistyczne szkoły sztuk walki w Dengfengu nie uczą niektórych klasycznych chwytów kung-fu, jak „morderczy cios tygrysa” lub „śmiertelny kopniak wołu”, którymi można zabić przeciwnika.

– Te chwytów są zbyt niebezpieczne, państwo nie popiera podobnych praktyk – mówi Liang Yichang, wicedyrektor Stowarzyszenia Adeptów Sztuk Walki, pochodzący z rodziny znakomitych mistrzów kung-fu; dzięki znajomości tej techniki uszedł śmierci, bo jako młody człowiek zdołał z pomocą młodszych jeszcze od siebie braci szeregiem ciosów zmusić do ucieczki bandytów, którzy napadli na ich dom. – Kung-fu nie musi już być sztuką równie śmiertelnością, co kiedyś. Obecnie mamy szkolić dobrych zapaśników, a jednocześnie dobrych obywateli.

Dzisiaj uczący się kung-fu nie składają już przysięg, jakie składali mnisi z Szaolin. Mają jednak szczególną, własną przysięgę.

– Do programu szkolenia należy wpajanie uczniom pięciu akcentów i trzech miłości – mówi mistrz Liang, odnosząc się do cnót w konfucjańskim mniej więcej ujęciu, które partia komunistyczna stara się rozpowszechniać wśród młodzieży.

Odrodzenie kung-fu stało się przyczyną ogromnego zainteresowania w całym kraju tym wszystkim, co dotyczy Szaolin. Fałszywe leki z Szaolin sprzedaje się na wszystkich jarmarkach, ludzie podający się za adeptów klasztoru proponują prywatne lekcje – ostatnio „Dziennik Ludowy” musiał ostrzegać czytelników przed oszustami. Odrodzenie sztuk walki wzbudziło jednocześnie pewien niepokój wśród chińskich urzędników partyjnych, ponieważ część z nich uważa jeszcze kung-fu za relikty przeszłości, „który gloryfikuje społeczeństwo feudalne i skłania młodzież do myślenia, że lepiej było żyć tysiąc lat temu, niż pracować dzisiaj dla unowocześnienia kraju” (to słowa pewnego dziennikarza). „Dziennik Sportowy” musiał przypomnieć swoim czytelnikom, że „celem

kung-fu jest przynosić pożytek społeczeństwu”.

Kung-fu przyniosło bez wątpienia pożytek społeczności Dengfengu, gdzie zgodnie z zatwierdzonym w Pekinie planem ta sztuka walki zajmie pierwsze miejsce w rozwoju gospodarczym regionu, stanie się wielką atrakcją turystyczną, najważniejszym towarem eksportowym tego ubogiego okręgu, do niedawna jeszcze całkiem nieznanego, odosobnionego i zacofanego.

We wrześniu w czterech przedszkolach zaczną się doświadczalne kursy kung-fu dla najmłodszych. Podwojeniu ulegnie liczba wyspecjalizowanych w nauce sztuk walki szkół podstawowych i średnich, do których będzie mogło zapisywać się coraz więcej uczniów ze wszystkich części Chin.

Przy pomocy firm z Hongkongu poprawi się infrastruktura turystyczna okręgu. Za pięć lat Dengfeng opuszczą pierwsi „dyplomowani” specjaliści w zakresie kung-fu (aby osiągnąć dobry poziom, potrzeba sześciu do ośmiu lat); jak się przewiduje, ogólna liczba uczniów wzrośnie wtedy do około piętnastu tysięcy.

– To Dengfeng dostarczy całym Chinom mistrzów kung-fu – zapewnia z dumą Wu Chende, członek prowincjonalnej komisji do spraw sportu.

Ale co to wszystko ma wspólnego z klasztorem? Z mnichami?

– Sztukom walki nie jest potrzebny do istnienia buddyzm – mówi Wang z Urzędu Spraw Zagranicznych. – Mnisi niech się zajmują religią, sportem zajmujemy się my.

Prawdę mówiąc, jedenastu mnichów mieszkających teraz w kompleksie Szaolin nie może zajmować się nawet religią, ponieważ popierające i finansujące odrodzenie kung-fu państwo nie popiera bynajmniej odrodzenia buddyzmu, a wręcz przeciwnie, wcale go sobie nie życzy. Pieczę nad klasztorem sprawują obecnie trzy różne instytucje (Zarząd Dóbr Kulturalnych, Patriotyczne Stowarzyszenie Buddystów oraz... Urząd do Spraw Parków i Rozrywek), wszystkie trzy pod kontrolą partii komunistycznej. Przyjętym ponownie do klasztoru mnichom nie wolno prowadzić działalności prozelickiej, nie wolno uczyć religii i wybierać sobie uczniów.

– Wielu młodych przybyło tutaj w zamiarze zostania mnichami, ale musieliśmy im odmówić – oświadcza opat Dechan. – Tylko państwo może mnichów dobierać, a państwu podobają się ci, którzy mają właściwą motywację i odpowiedni wygląd.

W ostatnich latach państwo zwerbowało dla klasztoru czternastu nowicjuszy. Trzech



wysłano do Nankinu, aby studiowali tam buddyzm, pozostali pomagają starym mnichom. Opatowi Dechan przydano nowicjusza kulawego i głupkowatego – państwo chyba nie wiedziało, jak można by inaczej go zatrudnić.

– Starzy mnisi wymierają, potrzebni są nowi, żeby Szaolin utrzymać przy życiu – przyznaje uczciwie jeden z pracowników administracji prowincjonalnej.

Nie ulega wątpliwości, że klasztor jest niezbędny do odrodzenia kung-fu i wykorzystania tej sztuki walki zarówno w dziedzinie sportu, jak turystyki. Dlatego otwarto znowu Szaolin, dlatego dokonano inwestycji i pościągano starych, ocalałych po rewolucji kulturalnej mnichów, aby byli statystami na tej odnowionej scenie.

Jako ostatni przyjechał osiemdziesięcioletni opat Haide, sławny, bo za młodu potrafił utrzymać się w powietrzu oparty o ziemię jedynie dwoma palcami, oraz dlatego że od sześćdziesięciu lat sypia nie w łóżku, lecz siedząc, niczym Da Mo w swojej jaskini, który tysiąc czterysta lat temu połączył niepodzielnie kung-fu z medytacją.

Ta tradycyjna jedność rozmyślań i czynu dobiegła teraz końca tam, gdzie powstała. Losy buddyzmu i kung-fu muszą się potoczyć różnymi drogami. Opat Dechan siedzi w swoim łóżku, gładzi długie brwi i wpatrzony w próżnię uśmiecha się, jakby odkrył coś, czego ja nie mogę sobie wyobrazić.

– Nie udaje mi się dostrzec moim wzrokiem przyszłości buddyzmu, ale widzę przyszłość kung-fu. Otacza mnie ona ze wszech stron – mówi.

Obok krwistoczerwonych murów świątyni robotnicy wznoszą ściany siłowni przeznaczonej na trening kung-fu; inni kopią fundamenty pod nowy hotel dla turystów.

## 12. „najlepsze dziecko to dziecko nieżywe”

polityka kontroli urodzeń

W Kantonie młoda wdowa topi dwójkę swoich dzieci w stawie, aby móc ponownie wyjść za mąż i mieć prawo do „pierwszego” dziecka z drugim mężem. Mająca właśnie rodzić chłopka w Szantungu błaga akuszerkę, żeby udusiła noworodka, jeśli to będzie dziewczynka; błaga, bo mąż nie zbije jej wtedy, a ona, zachodząc znowu w ciążę, spróbuje dać mu syna. We wsi Dongguang grupę brzemiennych kobiet – kilka z nich już w ósmym miesiącu – aresztuje się, zakuwa w kajdanki, wsadza na ciężarówki i pośród wrzasków i płaczu wiezie na przerwanie ciąży.

Tak dzieje się w Chinach. Przyjęta cztery lata temu niezwykle surowa polityka kontroli urodzeń wywołuje te i inne aberracje, lecz nie ulega wątpliwości, że trzeba było sięgnąć po środki zaradcze. Można uznać za dyskusyjne sposoby, jakich władze pekińskie się chwyciły, interweniując dosłownie w kobiece brzuchy, ale cel uświęca środki. Od 1949 roku do dzisiaj ludność Chin podwoiła się; przeciętny zasób ziarna, przypadający obecnie na jednego Chińczyka, równa się dokładnie połowie zasobu z czasów dynastii Tang sprzed dwóch tysięcy lat.

Chińczycy rozmnażają się i przybywa ich nadal, mimo próśb i rad, aby rodzina miała nie więcej niż jedno dziecko, mimo grożenia ludziom różnymi sankcjami ekonomicznymi i społecznymi. Co dwie sekundy rodzi się mały Chińczyk, w ciągu jednego dnia przychodzi na świat czterdzieści trzy tysiące dwieście chińskich dzieci. Co roku szesnaście milionów nowych obywateli trzeba dodać do miliarda zarejestrowanego w ostatnim spisie ludności.

Jeżeli Chińczycy będą dalej rozmnażać się w tempie dwojga–trojga dzieci na rodzinę, za sto lat będzie ich ponad cztery miliardy. Skażą się w ten sposób na nędzę i zacołanie.

„Jeżeli liczba mieszkańców przekroczy próg miliarda dwustu milionów, pod koniec stulecia nasza stopa życiowa nie będzie wyższa niż dzisiaj” – napisał dziennik „China Daily”.

Nie trzeba być wybitnym specjalistą, aby zrozumieć, że wszystko to, co obecnie Chiny kosztem wielkiego wysiłku zdołają wyprodukować, zostaje natychmiast wchłonięte

przez nadmiar ludności, i że ambitny plan Deng Xiaopinga zakończenia modernizacji kraju do roku dwutysięcznego jest czystym urojeniem.

Wśród wielu błędów popełnionych przez Mao Zedonga jednym z najbardziej katastrofalnych pod względem długoterminowych konsekwencji było lekceważenie liczb. „Im więcej ludzi, tym więcej pomysłów, entuzjazmu i energii” – rzekł pewnego razu Wielki Sternik. To zdanie stało się podstawą polityki demograficznej; profesora Ma Yinchuna, który już w latach pięćdziesiątych ośmielił się skrytykować Mao, twierdząc, że podobna polityka grozi krajowi ruiną, oskarżono o „reakcyjność” i zmuszono do milczenia. „Tylko ktoś, kto ludu nie kocha, może od niego żądać, żeby nie płodził dzieci” – powiedziano o nim.

Profesor Ma miał oczywiście rację, lecz Komunistyczna Partia Chin musiała poczekać na śmierć Mao, aby mu ją przyznać. Od jesieni 1980 roku prowadzi się jasną politykę („tylko jedno dziecko na jedną parę”), surowo jej przestrzegając.

– Jesteśmy krajem socjalistycznym. Planujemy produkcję rolną i przemysłową, możemy więc z powodzeniem planować produkcję życia – powiedziała pani Chen Muhua, członkini Komitetu Centralnego partii i jako minister do spraw planowania rodziny najwyższej stojąca w chińskiej hierarchii rządowej kobieta.

Szczegóły zmieniają się w zależności od regionu i od miasta, ale ogólnie rzecz biorąc, reguły są następujące: odwlekać małżeństwo, a wraz z nim wydawanie na świat potomstwa; udostępniać ludności wszelkiego rodzaju środki antykoncepcyjne; ułatwiać, a nawet narzucać siłą przerywanie ciąży; karać na wszelkie sposoby (grzywna, potrącenie z zarobków, pozbawienie kartek żywnościowych, zawieszenie szkolnego stypendium i tak dalej) kobiety rodzące drugie dziecko.

Obowiązujący w kraju od chwili objęcia władzy przez komunistów sztywny system kontroli społecznej ułatwia skuteczne stosowanie tych zasad. Każdy obywatel Chin musi należeć do *danwei*, „jednostki produkcyjnej”, to jest fabryki, szkoły, w której naucza lub się uczy, zespołu aktorskiego, brygady robotniczej na wsi, stowarzyszenia malarzy i tak dalej. *Danwei*, a dokładniej kierujący nią komisarz polityczny, odgrywa ważną rolę w każdej dziedzinie życia swoich członków. *Danwei* wypłaca pensje, decyduje o zmianie miejsca pracy, przyznaje czynszowe mieszkania, przydziela kartki żywnościowe i bilety do kina, wydaje bony na zakup roweru lub telewizora. *Danwei* udziela także (lub raczej

nie udziela) pozwolenia na podróż, wydaje bon na pobyt w hotelu. *Danwei* ocenia, czy ktoś może pojechać na studia zagraniczne albo pójść na kolację do domu cudzoziemca. Ponadto *danwei* decyduje oczywiście, czy i kiedy można mieć dziecko.

– Twoja kolej kiedy?

– Za dwa lata. Przede mną są jeszcze cztery koleżanki. – Takie rozmowy między kobietami słyszy się teraz w Chinach bardzo często.

Kiedy para zechce mieć swoje jedyne dziecko, kobieta zapisuje się na listę w *danwei*. Ponieważ każda *danwei* ma limit dzieci proporcjonalny do liczby członków, wszyscy muszą czekać w kolejce.

Niektóre *danwei* śledzą nawet w kalendarzu menstruację swoich pracownic. Jest im wtedy łatwiej planować ciążę, a zarazem sprawdzać, czy któraś nie pozwoliła sobie bez upoważnienia na „ponadplanową”. W takim przypadku włącza się automatycznie określony mechanizm. Zwołuje się zebranie *danwei*, winna zostaje poddana krytyce, oskarżona o postawę samolubną i aspołeczną; zebrani przekonują ją, że ma poronić i czekać na swoją kolej, jeśli to pierwsza ciąża, a jeśli ma już dziecko, że powinna poddać się sterylizacji.

Presja społeczna na kobietę jest niezwykle silna, grupa jednogłośnie domaga się poszanowania reguł, ponieważ *danwei* musi przestrzegać planu produkcji dzieci tak samo, jak planu produkcji przemysłowej lub rolnej; tylko wtedy jej członków się chwali, stosuje się wobec nich bodźce materialne i przyznaje różnego rodzaju nagrody. Jeżeli delikwentka nie zgadza się na przerwanie ciąży, cierpi na tym nie tylko ona wraz z rodziną, ale i cała *danwei*.

W miastach kontrolować jest dość łatwo, administracje lokalne opracowują tam nowe regulaminy, uniemożliwiające łamanie przepisów. Na przykład w Kantonie idąca na badanie do ginekologa kobieta musi mu pokazać wystawione przez *danwei* „pozwolenie na ciążę”; jest ono również niezbędne, aby zostać przyjętą do szpitala i móc rodzić bez opłaty.

Na wsi pewni nadgorliwi urzędnicy partyjni powołali prawdziwe patrole „przeciwciążowe”, które szukają kobiet podejrzanych o zajście w ciążę, zatrzymują je i sprawdzają, czy są w posiadaniu odpowiedniego pozwolenia. To właśnie taki patrol spowodował incydent w Dongguangu, gdzie chiński dziennikarz był świadkiem obławy

i uwięzienia grupy wieśniaczek. „Kilku z nich założono kajdanki, inne powiązano sznurami. Załadowano je na ciężarówki i ruszono w drogę przy akompaniamencie głośnych krzyków i płaczu” – napisał. W szpitalu okręgowym zrobiono kobietom zastrzyk, po którym wszystkie poroniły.

Dawniej przerywania ciąży dokonywano zazwyczaj przed upływem trzeciego miesiąca. Po wprowadzeniu zasady „tylko jedno dziecko na jedną parę” stały się normalne poronienia aż do dziewiątego miesiąca. W niektórych częściach kraju lekarzom w wiejskich szpitalach partia nakazała nie dopuszczać do przeżycia trzeciego lub czwartego dziecka danej pary i mówić rodzicom, że urodziło się martwe. W pewnym szpitalu prowincji Hebei sekretarz partii kazał powiesić nad wejściem do oddziału położniczego transparent z napisem: „Najlepsze dziecko to dziecko nieżywe”. Wywołało to protesty, lekarze zastrajkowali.

Przymus przerywania ciąży – zwłaszcza zaawansowanej – jest na wsi częstą przyczyną napięć i konfliktów. Dość dawno temu w pewnej komunie w prowincji Szantung sekretarz partii zmusił wieśniaka, którego żona, urodziwszy już dwie córki, była w ósmym miesiącu kolejnej ciąży, aby zabrał kobietę do szpitala i poddał ją tam zabiegowi. Po przeprowadzeniu go chłop stwierdził, że uśmiercony właśnie płód jest rodzaju męskiego. Stracił wtedy głowę. Pobiegł do domu sekretarza partii, pochwyił jego trzyletniego zaledwie synka i zarznął dziecko nożem kuchennym, krzycząc:

– Teraz jesteśmy kwita... Teraz jesteśmy kwita!

Ponieważ wszystkim organizacjom partyjnym nakazano stosować z całą surowością środki zapobiegawcze mające zapewnić kontrolę urodzin, w wielu klinikach zakłada się kobietom bezpośrednio po urodzeniu pierwszego dziecka spiralę wewnątrzmaciczną. Kobiety po trzecim lub czwartym dziecku sterylizuje się natomiast automatycznie, nie pytając o zgodę. Usuwanie spirali kobietom chcącym mimo zakazu nadal rodzić dzieci stało się więc nielegalnym zajęciem, dzięki któremu bogacą się na wsi konowały i różne znachorki. Zabieg kosztuje od dziesięciu do dwudziestu juań (ta suma może stanowić połowę miesięcznych zarobków wieśniaka). Oficjalna prasa ostrzega ludność przed tymi „czarownikami”, którzy używają często zardzewiałych haczyków; działają oni jednak nadal, bo prawdziwym lekarzom nie wolno takich zabiegów przeprowadzać, a tych z nich, którzy okazali się nieposłuszni, oddano pod sąd jako „sabotażystów polityki

kontroli urodzin”.

Realizację tej polityki powierzono władzom miejscowym, więc oczywiście obok przesadnej surowości w pewnych regionach ma się do czynienia ze stosunkową tolerancją w innych. Wieści krążą; ludzie opracowali już swego rodzaju mapę Chin z zaznaczeniem okolic, gdzie wolno, a gdzie nie wolno. Dochodzi do wewnętrznej migracji kobiet w ciąży. Na przykład z Szantungu, gdzie kontrole są wyjątkowo surowe, wieśniaczki jadą czasem „do krewnych” w prowincji Shanxi, gdzie przepisów przestrzega się mniej rygorystycznie. Po urodzeniu dziecka wracają do domu.

– W najgorszym wypadku zapłacę grzywnę, ale dziecko będę miała – powiedziała mi kobieta, która w drugim miesiącu ciąży przeniosła się o kilkaset kilometrów dalej, aby nie być zmuszoną do poronienia w swojej wsi.

Takie szachrajstwa mogą wywołać niezadowolenie nie tylko sekretarzy partii, ale i zawistnych sąsiadów. Niejednokrotnie cała ludność wioski szturmowała dom rodziców „nielegalnego” noworodka i zabierała stamtąd wszystko, co miało jakąś wartość: jeden brał łóżko, drugi – radio, jeszcze inny – czajnik. Policja nie interweniowała naturalnie ani przedtem, ani potem.

Kiedy sprawy przebiegają w sposób bardziej zgodny z prawem, rodzice „nielegalnego” dziecka muszą uiścić grzywnę, wpłacając ustaloną sumę (zwykle czterysta juanów, to jest sto pięćdziesiąt pięć euro, za drugie dziecko, a dwa razy więcej za trzecie) albo od razu, albo w rozłożonych na kilka lat ratach. Grzywny nie okazują się jednak skuteczne, ponieważ pragnący mieć dzieci ludzie są zdolni do wszelkich poświęceń.

Polityka „jednego dziecka” sprawiła, że w całych Chinach, a zwłaszcza na wsi, przybrało znowu niepokojące rozmiary stare, należące do tradycji zjawisko: zabijanie noworodków płci żeńskiej. Marzeniem Chińczyka był zawsze syn; obecnie, kiedy wolno mieć tylko jedno dziecko, na potomku płci męskiej zależy mu jeszcze bardziej. Syn zapewnia ciągłość rodowego nazwiska, pozostaje w miejscu pochodzenia i powinien dbać o rodziców, dopóki nie umrą. Syn to inwestycja, a córka – strata, bo pewnego dnia ktoś z nią się ożeni i ją sobie zabierze.

Konsekwencje takiego rozumowania są oczywiste. W niektórych wsiach prowincji Guangdong chłopci stawiają wiadro wody przy łóżku kobiety w położu, aby móc od razu

utopić w nim nowo narodzoną dziewczynkę. W prowincji Jiangsu ciała noworodków płci żeńskiej znajdowano w rzekach, na polach ryżowych, nawet w publicznych ubikacjach.

„Wyrzucanie” dziewczynek rozpowszechniło się tak dalece, że „Przegląd Pekiński” musiał ostatnio przypomnieć swoim czytelnikom, iż dzieciobójstwo jest przestępstwem, a jeden z paragrafów prawa małżeńskiego brzmi: „Dzieciobójstwo przez utopienie oraz każdy inny czyn, przynoszący dzieciom poważną szkodę, są surowo zakazane” (*sic!*). „Dziennik Młodzieży” uderzył na alarm, ogłaszając artykuł redakcyjny pod tytułem *Ratujmy dziewczynki*.

Za „niezdolność” do płodzenia dzieci płci męskiej wiele kobiet jest bitych przez mężów, teściowe je przeklinają, sąsiedzi nimi gardzą. Zdarzały się z tego powodu samobójstwa. Chińskie gazety – zwłaszcza prowincjonalne – zalała fala opowieści o znęcaniu się nad kobietami, które urodziły córki.

Autorki listu Federacji Kobiet Prowincji Liaoning do „Dziennika Ludzi Pracy” wskazują na ten problem jako na jedną z głównych przyczyn kłótni rodzinnych i rozwodów. W liście zatytułowanym *Pragniemy nowego wyzwolenia* mowa jest o licznych przypadkach maltretowania żon przez mężów. Na przykład w Shenyangu pewien elektryk od czasu do czasu podłączał klamkę drzwi wejściowych do przewodów oświetlenia po to, aby winną urodzenia dziewczynki żonę porażać prądem. W innym liście do redakcji, napisanym przy pomocy miejscowego nauczyciela, czytamy o wysokim urzędniku partyjnym ze szczybla prowincji, który po spłodzeniu czterech córek doczekał się wreszcie syna; uczcił wtedy to wydarzenie pokazem sztucznych ogni i wielkim przyjęciem.

Na poruszony tutaj temat wypowiedzieli się zarówno premier Zhao Ziyang, jak i sekretarz generalny partii Hu Yaobang. Podkreślając znaczenie kobiet w społeczeństwie, potępili oni „przeżytki feudalne” w ich traktowaniu.

„Dziennik Ludowy” wysłał w teren dwóch dziennikarzy, aby zapoznali się ze sprawą. Oto wyniki ich misji opublikowane przez ów organ partyjny: pomijając dzieci, które urodziły się chore lub kalekie, olbrzymia większość noworodków porzucanych, okaleczanych lub pozbawianych życia jest płci żeńskiej; w sierocińcach przebywają prawie wyłącznie dziewczynki; w pewnym niewymienionym z nazwy okręgu w ciągu

dwóch tylko miesięcy porzucono sześćdziesięcioro pięcioro dzieci – same dziewczynki.

Dziewczynce nie wystarczy przeżyć bezpośrednio po urodzeniu. Xiaoliu, córka zamieszkałych w okręgu Licheng wieśniaków, miała już cztery lata, kiedy jej matka zaszła ponownie w ciążę, a ojciec dowiedział się od wróżbity, że mające przyjść na świat dziecko będzie z całą pewnością chłopcem. Aby nie płacić grzywny za „dodatkowe” dziecko, postanowił on pozbyć się Xiaoliu, wrzucając ją do studni. Według poświęconego temu przypadkowi artykułu w „Dzienniku Młodzieży”, dziewczynka wołała jeszcze: „Tatusiu... Tatusiu!”, a ojciec, siedząc na brzegu studni, palił papierosa i czekał, aż córka przestanie szamotać się w wodzie. Mężczyznę zaaresztowano i skazano na piętnaście lat więzienia. Jego żona urodziła kolejną dziewczynkę.

To rozpowszechnione wśród ludności obsesyjne pragnienie posiadania potomka płci męskiej pozwoliło kilku spryciarzom się wzbogacić. Na przykład w prowincji Henan niejaki Cui Yongxian przechwalał się, że odkrył lek, który, zażyty przed upływem trzeciego miesiąca ciąży, gwarantuje „właściwą” płeć noworodka. Reklamował tę miksturę jako „stuprocentowo pewną” na dziesięciu tysiącach afiszy, które kazał sobie wydrukować. Upłynęło sporo czasu, zanim oszusta zdemaskowano.

W wielkich miastach są szpitale stosujące nowoczesne metody określania płci dziecka w łonie matki, aby można było przerwać ciążę, jeżeli okaże się ono dziewczynką. W niektórych publikacjach naukowych, a także w innych, przeznaczonych dla młodzieży, zachwalano podobne metody; przeciwstawiła się temu część naukowców, wnioskując, aby takiego reklamowania zakazano.

Z przeprowadzonego w 1982 roku spisu ludności wynika, że w Chinach stu sześciu i trzy dziesiąte mężczyzny przypada na sto kobiet. Jeśli zabijanie noworodków płci żeńskiej trwać będzie nadal, ta dysproporcja może się tylko zwiększyć. Na przykład w pewnym okręgu prowincji Gansu statystyki dowodzą, że na sto nowo narodzonych dzieci jest aż dziewięćdziesięciu chłopców; łatwo można sobie wyobrazić, co przytrafiło się większości dziewczynek. „Dysproporcja liczbowa między mężczyznami a kobietami jest niebezpieczna dla naszego społeczeństwa. Jeżeli nie uda się nam przywrócić w tej dziedzinie równowagi, za trzydzieści lat ukarzą nas nieubłagane prawa przyrody” – czytamy w wychodzącym w Gansu czasopiśmie z zakresu nauk społecznych.

Wywołuje niepokój także inna konsekwencja polityki „jednego dziecka”. W dniu



dzisiejszym dorosły Chińczyk, wychowany w czasach wojny domowej i rewolucji, jest człowiekiem silnym, przyzwyczajonym żyć w licznej rodzinie, radzić sobie wśród wielu innych; od wczesnego dzieciństwa wiedział, że pokarm należy dzielić między wszystkich. W wyniku polityki kontroli urodzin pojawia się teraz całkiem inne pokolenie dzieci: są one samotne, pieszczone, starannie chronione, zbyt obficie odżywiane. To pokolenie dzieci rozpuszczonych.

Przeprowadzone w przedszkolach Szanghaju badania dowiodły, że dzieci straciły już wszystkie właściwe im dawniej cechy. „Nie szanują rodziców, nie dbają o otaczające je przedmioty, wybrzydzą na jedzenie i na ubranie, są samolubne, nie troszczą się o innych i nie zależy im na schludnym wyglądzie”.

Analogiczne badania w jednym z przedszkoli w zachodniej dzielnicy Pekinu doprowadziły analityków do następującego wniosku: „Jedynacy są słabsi od innych”. Chińskich pedagogów ta tendencja martwi. Tematowi poświęcono już trzydzieści dwie książki, przeznaczone w większości dla rodziców i zawierające rady, jak takie dzieci wychowywać.

Specjalistów niepokoją długofalowe konsekwencje, zaś partia i rząd starają się rygorystycznie realizować swoją politykę. Od początku 1983 roku podkreśla się w ramach kampanii kontroli urodzin konieczność ograniczeń, sugeruje metody ich stosowania i przekonuje ludność o korzyściach wynikających z posiadania jednego tylko dziecka. „Jedno dziecko oznacza szczęście” – wołają afisze z murów wszystkich miast. W Szanghaju pewna drukarnia posłużyła się rodzinną scenką – obrazkiem, na którym Karol Marks bawi się z córeczką swojej córki – aby wyprodukować plakat z hasłem: „Szczęście to rodzina z jednym tylko dzieckiem”.

Natomiast „Wieczór Pekinu”, odnosząc się z większym poszanowaniem do historycznych szczegółów, wykorzystał Marksa następująco: właśnie dlatego że miał on siedmioro dzieci, „trudno mu było związać koniec z końcem, co odbiło się ujemnie na jego życiu i walce”.

Reklamowane są gorliwie pary zobowiązujące się do nieposiadania więcej niż jednego dziecka. Gwarantuje im to kartki żywnościowe, miejsce w przedszkolu dla potomka, a nawet pewne pierwszeństwo w kolejce do mieszkań w nowych blokach. Okazujące zaświadczenie „o jednym dziecku” młode pary mają w pewnych sklepach prawo do

trzydziestoprocentowej zniżki na artykuły żywnościowe, odzież i zabawki. W niektórych szkołach jedyneków i jedynaczki szczepi się przed innymi; są też szpitale, gdzie przysługuje im pierwszeństwo w razie operacji lub badań specjalistycznych.

Do chwili obecnej w całych Chinach zaledwie dwanaście i pół miliona par zobowiązało się mieć tylko jedno dziecko; większość z nich mieszka w miastach. Na wsi realizację polityki kontroli urodzin utrudnia system odpowiedzialności, ponieważ chłopcy rozumują teraz tak, jak kiedyś: „więcej synów, więcej dochodu”.

Innym czynnikiem utrudniającym wysiłki w kierunku ograniczenia przyrostu ludności Chin jest to, że dzieci urodzone w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, podczas wywołanego przez Mao *baby boomu*, teraz właśnie dorastają i wstępują w związki małżeńskie, a więc spowodują nowy *baby boom*. W ciągu najbliższych dziesięciu lat co roku pobierze się co najmniej dziesięć milionów par; będą chciały mieć dzieci.

Jeżeli rząd chce rzeczywiście realizować dalej swoją politykę „jednego dziecka”, będzie musiał poddawać ludność coraz ostrzejszej kontroli.

Sam rozgłos nadawany przypadkom osób karanych za niestosowanie się do zasad tej polityki świadczy nader wyraźnie, że na razie nie przestrzegają ich nawet... sami członkowie partii.

W jednej z komun prowincji Hebei wyrzucono z partii kobietę, matkę trzech córek, która zaszła w ciążę po raz czwarty i wbrew rozkazom swoich partyjnych przełożonych nie chciała jej przerwać. W Kantonie inny członek partii stracił legitymację i posadę. Ten przesadził naprawdę: miał siedem córek, a próbował płodzić dalej.

# 13. dyscyplina na „polu wonnej trawy”

moje dzieci piszą o swojej chińskiej szkole

Mieszkaliśmy w Pekinie przez trzy lata, spędzając większość czasu w chińskiej szkole. Wystarczyło nam to całkowicie. Od samego początku mieliśmy problemy.

Największą trudność przedstawiał dzielący nas od Chińczyków język. Kiedy udało się go nam jako tako opanować, napotkaliśmy inne trudności. W końcu zdaliśmy sobie sprawę, że oddzielającą nas od Chińczyków barierę stanowił nie tyle język, ile sam fakt, że jesteśmy cudzoziemcami, bo chociaż poznaliśmy już mandaryński, nie mogliśmy się do nich zbliżyć. Przez trzy lata nie zdobyliśmy ani jednego chińskiego przyjaciela. To nauczyciele trzymali chińskich uczniów z dala od nas i od naszego „obcego wpływu”.

Przez cały czas nauki w chińskiej szkole żaden chiński uczeń nie zaprosił nas nigdy do swojego domu, żadnemu chińskiemu uczniowi nie pozwolono też przyjść do nas. Wszystkie nasze rozmowy z kolegami ograniczały się do „dzień dobry” i „do widzenia”. Kiedy spytaliśmy chłopaka z tej samej klasy, gdzie mieszka i co robi jego ojciec, odwrócił się do nas plecami. Cały czas traktowano nas jak „cudzoziemców”.

My, cudzoziemcy, musieliśmy bawić się sami ze sobą, rozmawiać sami ze sobą, przebywać sami ze sobą. Aby trzymać nas z dala od Chińczyków, dyrekcja szkoły przyznała nam nawet osobny pokój do gry w ping-ponga, do którego chińscy uczniowie nie mieli wstępu.

W każdy poniedziałek przed rozpoczęciem lekcji odbywała się uroczystość wciągnięcia flagi na maszt. Wszystkie dzieci chińskie – większość z czerwoną chustą na szyi jako „młodzi pionierzy” – stały w szeregu, oddając cześć czerwonej chorągwi wciąganej powoli na maszt przy akompaniamencie hymnu narodowego, płynącego z głośników. Nam, cudzoziemcom, nie wolno było oddawać czci chorągwi ani nosić czerwonej chusty.

Dzień w szkole zaczynał się od półgodzinnej, obowiązkowej dla wszystkich gimnastyki na dziedzińcu. Robiliśmy skłony, zgięcia, bardzo dużo maszerowaliśmy. Potem pod wodzą gospodarzy klas szliśmy w szeregu na lekcje.

Gospodarzami klas są w Chinach zazwyczaj uczniowie, którzy pilnie pracują i mają właściwe poglądy polityczne. Są gotowi poświęcić część swojego czasu na pomaganie

słabszym uczniom i na wykonywanie innych zadań dla dobra ludu. Doprowadzają uczniów na lekcje i kontrolują ich zachowanie w każdej sytuacji, również poza szkołą. Prowadzą gimnastykę poranną, poprawiają błędne ruchy i donoszą nauczycielom o wszelkich nieprawidłowościach.

Łatwo ich rozpoznać, ponieważ oprócz czerwonej chusty na szyi noszą na rękawie trzy czerwone belki. Pod nieobecność nauczycieli utrzymują w klasie dyscyplinę.

W chińskiej szkole dyscyplina jest niezwykle ważna. Na lekcjach uczniowie muszą siedzieć prosto i trzymać ręce za plecami, aby nie mogli się nimi bawić. Podręczniki należy przygotować przed każdą lekcją i ułożyć jedno na drugim na ławce. W czasie lekcji nie wolno szeptać, pożyczać sobie czegokolwiek ani temperować ołówków.

Każdy uczeń musi mieć swoją filiżankę do picia i czysty ręcznik. Paznokcie muszą być krótko obcięte, wyglądać porządnie. Każdy uczeń ma stolik i taboret. Nauczyciel króluje nad klasą, siedząc na podwyższeniu przed tablicą.

Kiedy nauczyciel wchodzi, klasa wstaje i wita go chórem: „Dzień dobry, nauczycielu. Dobrego popołudnia”. Wyraźnie i szybko, bez przeciągania. Nauczyciele, zanim zaczną mówić, nie wywierają większego wrażenia w swoich niebieskich kurtkach w stylu Mao i w równie niebieskich spodniach. Kiedy jednak słusznie lub niesłusznie się rozgniewają, można spodziewać się najgorszego. Mogą ucznia wystawić na pośmiewisko, złapać za ucho; mają też inne sposoby. Ich władza nad uczniami jest nieograniczona. Nam, cudzoziemcom, przysługują pewne przywileje, traktuje się nas na ogół pobłażliwie.

Nikomu nie wolno bez pozwolenia się odezwać. Jeśli zna się odpowiedź na pytanie nauczyciela, należy najpierw podnieść do góry rękę – ale z łokciem opartym o stolik, bez machania nią w powietrzu.

I jeszcze jedno, do czego nie byliśmy przyzwyczajeni: sprzątanie klasy. Codziennie po lekcjach kilkoro z nas musiało zamieść i wymyć podłogę, wyczyścić tablicę i ustawić w rzędach stoliki. Raz w miesiącu odbywały się w szkole generalne porządki: zmywanie okien, sprzątanie korytarzy, sali do gry w ping-ponga i toalet. Udawało się nam często nie uczestniczyć w tym sprzątaniu jako cudzoziemcom i dlatego, że znajdowali się zawsze Północni Koreańczycy, zgłaszający się na ochotnika.

Co tydzień wybiera się dwoje uczniów, którzy mają dozorować klasę. Dostają czerwoną opaskę z napisem „dyżurny”. Sprawdzają, czy każdy ma to, co potrzeba,

kontrolują zachowanie innych na przerwach i kierują sprzątaniami klasy. Muszą z tego oboje złożyć pisemne sprawozdanie w specjalnym zeszycie, który wydaje im nauczyciel.

Naucza się przede wszystkim matematyki i chińskiego. „Kochamy Przewodniczącego Mao. Kochamy Komunistyczną Partię Chin” – to pierwsze zdania, które nauczyliśmy się czytać i recytować z pamięci. Czytaliśmy różne opowiadania o młodym Mao walczącym z Japończykami, o rewolucyjnych przywódcach chińskich i o Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. W innych czytankach Mao występował jako inteligentny chłopiec, który nigdy się nie męczył, miał wielu przyjaciół i dbał o swoją trzodę. Opowiadania o Marksie zaczynały się tak: „Marks i Engels byli dobrymi przyjaciółmi...”. Pisano w nich dalej o dręczącej Marksa biedzie: żeby kupić chleb, musiał sprzedawać swoje ubrania. Były też czytanki patriotyczne o tym, jak Chińczycy walczyli z Japończykami, albo o okrucieństwie Japończyków: na przykład ustawiali oni ludzi w szeregu jednego za drugim, aby się przekonać, ilu przebije jedna kula. Wszystkie te opowiadania były sentymentalne i miały propagandowy charakter. Warto było czytać tylko stare, ale ciągle ich brakowało.

Historii nie uczyliśmy się nigdy, nie mówiło się też o aktualnościach. O obcych krajach mówiono mało albo wcale, ograniczając się do przedstawiania sytuacji ekstremalnych, jak nędza, niewolnictwo i tak dalej. W ten sposób chiński uczeń nie może swojego kraju z niczym porównać. Może porównywać tylko Chiny rządzone przez partię komunistyczną z tym, co partia komunistyczna mu opowiada o Chinach dawnych.

Polityka odgrywa w chińskim szkolnictwie bardzo istotną rolę. Najważniejszą osobą w naszej szkole była nie kierowniczka, a sekretarz organizacji partyjnej. To on wszędzie krążył, wszystko kontrolował i wydawał rozkazy nauczycielom. On decydował, jakie filmy się wyświetli, on wygłaszał mowy przy wdrażaniu w szkole kolejnych ogólnokrajowych akcji, jak akcja uczenia się od Lei Fenga lub akcja sadzenia drzew.

To my powiedzieliśmy ojcu, że coś musiało się przytrafić Hua Guofengowi, ponieważ pewnego dnia zobaczyliśmy sekretarza partii, jak zdejmował jego portret wiszący w sali zebrań. Potem zabrano nam wszystkie podręczniki z obrazkiem Mao mówiącego do Hua Guofenga: „Z tobą u steru mogę być spokojny” i zastąpiono je nowymi. Co za marnotrawstwo! Chiny są biednym krajem, a tu zniszczono pewno z milion książek.

Uczenie się chińskiego jest okropnie nudne. Trzeba się nauczyć każdego znaku i powtarzać go w nieskończoność. Zadania domowe polegały na pisaniu linijka po linijce nowych ideogramów, które należało poznać. Kiedy spytaliśmy o pochodzenie znaków i dlaczego niektóre pisze się w pewien określony sposób, usłyszeliśmy, że trzeba je przepisywać i uczyć się ich na pamięć.

Nauka w szkole sprowadzała się w dużej mierze do kopiowania. Kopiowaliśmy chińskie znaki, kopiowaliśmy rysunki i obrazki z książki o sztuce. Rysunki przedstawiały plac Tiananmen z mauzoleum Mao, młodych pionierów w marszu, powiewające na dachach czerwone sztandary, scenkę z meczem siatkówki, ołówki, wazonik na pędzelki. Książka zawierała także tradycyjne malowidła chińskie: góry, woda, łodzie i mała świątynia na szczycie wzgórza. Kiedy skopiowaliśmy już rysunek jak najdokładniej, nauczyciel dawał nam farby i tłumaczył, jak ich używać. Jeśli na oryginale coś było czerwone, musieliśmy to coś pomalować na czerwono. Jeśli kwiat był żółty, nie wolno było zamienić go w pomarańczowy. Kiedy skończyliśmy, nasze rysunki wyglądały identycznie. Własnego nie można było rozpoznać, jeśli nie został podpisany.

Całe to kopiowanie ogranicza horyzont myślowy ucznia. Nie wolno było pisać z wyobraźni. Nie zażądano od nas nigdy spisania naszych myśli lub naszych wrażeń na jakiś temat. To, o czym mieliśmy myśleć, było już postanowione. My musieliśmy tylko powtarzać bez dyskusji i bez powątpiewania.

W szkole najtrudniej było oprzeć się nudzie; czasem musieliśmy walczyć ze snem. Po długim wpatrywaniu się w znaki chińskiego pisma na tablicy wielką ulgę przynosiło przeprowadzone pod koniec zajęć ćwiczenie wzroku. Piskliwy głos z głośnika liczył monotonnie do ośmiu, potem znowu i znowu. Określał miejsca, które mieliśmy sobie masować: pod oczami, na skroniach i na karku.

Rzecz w chińskiej szkole najbardziej szokującą, do której nigdy nie mogliśmy się przyzwyczaić, były zebrania poświęcone krytyce i samokrytyce, które prędzej czy później zamieniały wszystkich w donosicieli. Klasa zbierała się raz w tygodniu; nauczyciel wskazywał dobrych i złych uczniów, zlecając innym, aby dostarczyli uzasadniających jego opinię dowodów. Raz w miesiącu podobne widowisko powtarzało się w obecności wszystkich klas zebranych w wielkiej sali, aby wysłuchać pochwał i nagan z ust kierowniczkii, która była urodzoną aktorką. Kiedy już wszyscy wypełnili

szeregi ławek, kierowniczką błyskała zębami w zimnym uśmiechu i witała nas. Zrywaliśmy się z miejsc, aby odwzajemnić powitanie. Teraz można było zacząć.

– Przede wszystkim – oznajmiała kierowniczką – musimy rozdać czerwone kwiaty uczniom, którzy w tym miesiącu najbardziej się zasłużyli. Z pierwszej klasy...

Wywołani podchodzili, kierowniczką wręczała każdemu papierowy kwiat. Rozprawiała potem o spełnionych dobrych uczynkach, o tym, jak bardzo się napracowali, a wreszcie odbierała im kwiaty i wkładała je do gabloty z nazwiskami wyróżnionych. Biła brawo, zęby pobłyskiwały jej znowu w fałszywym uśmiechu, kazała bić brawo nam, później odsyłała „dobrych” na ich miejsca.

Teraz przychodziła pora na „złych”. Złych dlatego, że powiedzieli brzydkie słowo, albo dlatego że zostawili łuski orzeszków ziemnych w sali pingpongowej; w naszej szkole obowiązywał jak najsurowszy zakaz jedzenia czegokolwiek podczas lekcji, przed lekcjami i po lekcjach. Kara miała poruszyć sumienie winnego, sprawić, że się zawstydy, wprowadzić go w zakłopotanie w obecności wszystkich. Krytykujący pytał publiczność, czy zgadza się z tym, że popełniony czyn jest naganny. A musi nim być, ponieważ nie wolno przeczyć słowom nauczyciela.

Uczeń będący świadkiem złego postępków innego ucznia musiał kolegę zadenuncjować. Jeśli tego nie zrobił, sam zostawał zganiony. Ja, Folco, widziałem pewnego razu ukrytego za roletą na drugim piętrze nauczyciela, który szpiegował swoich uczniów w dole na dziedzińcu. Chciał się przekonać, czy o niewłaściwym zachowaniu niektórych na przerwie doniosą mu później ich koledzy podczas zebrania poświęconego krytyce. Donosiciele uważani byli za „dobrych”.

Kiedy indziej zaobserwowałem następujący epizod. Czterech małych chłopców odkręciło kran z wodą i bawiło się, przyskajac na siebie. Bawili się w zgodzie, nikomu nie przeszkadzali. Potem nadszedł nauczyciel i ze złością spytał, komu wpadł do głowy taki głupi pomysł. Kran odkręcili wszyscy razem, ale jeden z nich krzyknął: „To on! To on!”, wskazując palcem na innego. Dwaj pozostali natychmiast skorzystali z okazji, aby wydobyć się z tarapatów, i potwierdzili razem: „Tak, tak, to on”, wskazując tego samego chłopca. Interwencja nauczyciela skłóciła małych przyjaciół i położyła kres zabawie.

Część kary tego, który zbłądził, stanowiła samokrytyka.

Mnie, Saskii, najsmutniejszy wydał się następujący epizod. Wszystko zaczęło się na przerwie, po dziesięciu minutach jej trwania. Jeden z moich kolegów z klasy poszedł do ustępu. Kiedy stamtąd wyszedł, chłopak z innej klasy wyśmiał go, pokazując, że nasikał sobie na płaszcz. Mój kolega spojrzał i zobaczył, że rzeczywiście. Wtedy oblaną połą płaszcz potarł tamtego chłopaka, mocząc mu kurtkę. Tamten natychmiast pobiegł do swojego nauczyciela i naskarżył. Otrzymał zaraz pochwałę, a nauczyciel przyszedł do naszej klasy, żeby opowiedzieć o wydarzeniu naszej nauczycielce i nam. Nasz kolega musiał wtedy stać przed wszystkimi ze spuszczoną głową. Na koniec nasza nauczycielka zleciła klasie znaleźć odpowiedni przymiotnik kwalifikujący winowajcę.

W ciągu kilku sekund podniosło się wiele rąk. Pierwszy uczeń powiedział: „niegrzeczny”, drugi: „niehigieniczny”, trzeci: „porywczy”. Wymieniono przynajmniej dziesięć różnych przymiotników, aż wreszcie pewna dziewczyna zaproponowała „niewdzięczny”. To właśnie słowo chciała usłyszeć nauczycielka, chociaż innych też można było użyć. Od uczennicy zażądano, aby rozwinęła temat niewdzięczności Shi Li (tak nazywał się winny). Zrobiła to:

– Shi Li jest bardzo niewdzięczny, bo tamten chłopak zwrócił mu uwagę dla jego dobra, żeby wytarł z siebie siusiu. A on zmoczył go połą oblanego płaszcz. To jest niewdzięczność.

Nauczycielka spytała klasę, czy się z tą opinią zgadza. Wstali i powiedzieli „tak” wszyscy z wyjątkiem dwóch najlepszych przyjaciół Shi Li.

Nauczycielka kazała tym dwóm wstać, opowiedziała zdarzenie od nowa i zapytała, co o nim sądzą. Obaj milczeli. Wtedy nauczycielka wpadła we wściekłość:

– Jesteście obaj bardzo źli!

Wyrzuciła ich z klasy na korytarz i zwróciła się do Shi Li:

– No co teraz powiesz? Przykro ci, że tak postąpiłeś? Żałujesz?

Shi Li zaczerwieniły się oczy, wybuchnął płaczem. Nauczycielka rozżłościła się jeszcze bardziej. Chłopiec zaczął coś mówić, plątał mu się język.

– Mów wyraźniej, mów, patrząc na klasę!

– Tak, byłem niedobry i nigdy już tak nie postąpię. Nauczę się okazywać ludziom wdzięczność. Byłem zły. Wszyscy mogą mnie nazywać niewdzięcznikiem.

Oskarżał się dalej i przeproszał. Wtedy nauczycielka zawołała z powrotem jego obu



przyjaciół, a oni w obawie przed nią powiedzieli, że Shi Li jest niewdzięcznikiem. Tego dnia Shi Li musiał napisać wypracowanie o tym, co zrobił i co teraz myśli. Nazajutrz musiał odczytać je głośno nie tylko w naszej klasie, ale i w klasie tamtego chłopaka.

Na zebraniu ogólnym ogłoszono „miesiąc grzeczności”. Był tematem dnia, więc kierowniczka wygłosiła pompatyczne przemówienie, wyjaśniając, że nie jest to pomysł szkoły, lecz wielkich przywódców tam w górze, kampania obejmująca całe Chiny. Przez ten miesiąc musimy wszyscy być szczególnie grzeczni, pomagać innym, zachowywać się właściwie wobec nauczycieli, rodziców i ludzi na ulicy. Mamy wszyscy wyjątkowo starannie się uczyć i wykonywać prace ponadprogramowe.

Wzorem miał być dla nas nieżyjący już od dawna komunistyczny żołnierz imieniem Lei Feng, który pomagał chłopom ciągnąć wózki, podczas burzy nosił matkom dzieci i zawsze był uśmiechnięty. Podobnie jak on, mieliśmy pomagać starszym ludziom przechodzić przez ulicę, nosić ich paczki i zbierać z ziemi skórki od jabłek.

Ta akcja przebiegła właściwie, ale nie zdążyliśmy nawet po niej odetchnąć, a już zapowiedziano następną: „kampanię upiększania”. Oznaczało to jeszcze cięższą pracę i jeszcze mniej wolnego czasu. Przede wszystkim trzeba było gruntownie wysprzątać szkołę od dołu do góry: okna, drzwi, kafelki, korytarze. Zachęcano nas potem, żebyśmy dla upiększenia szkoły przynosili z domu ozdobne rośliny. Usunęliśmy następnie rosnące tu i tam na dziedzińcu małe drzewka i posadziliśmy zamiast nich większe. Na zakończenie wysłano nas w sobotę i w niedzielę na miasto – w pochodzie pod czerwonym sztandarem, wszystkich z miotłami w ręku.

Naszym zadaniem było wysprzątanie chodników. Setki dzieci zamiatały, z głośników dudniła muzyka, falowały czerwone sztandary. Można by mówić o wielkim sukcesie, gdyby nie to, że popsuł wszystko wiatr. Tego dnia wiał wyjątkowo silnie, za każdym poruszeniem miotły podnosząc tumany kurzu, które sto metrów dalej osiadały znowu, aby zajął się nimi inna kolumna uczniów. W ten sposób sprzątanie ciągnęło się w nieskończoność. Niepowodzenie całego przedsięwzięcia nie ulegało wątpliwości, ale nasi szefowie nie mogli tego przyznać z obawy przed kompromitacją. Zamiataliśmy więc do samego wieczora.

Raz w tygodniu we wszystkich klasach odbywała się „lekcja moralności”. Prowadziła ją druga sekretarz organizacji partyjnej w szkole. Wygłaszała długie monologi o partii

komunistycznej, o tym, że bez partii Chiny byłyby jeszcze biednym krajem, że partia je unowocześnia, i tak dalej, i tak dalej.

Podczas jednej z takich lekcji ja, Saskia, słyszałam, jak powtarzała: „Socjalizm jest... socjalizm sprawia...”. Słuchaliśmy wszyscy uważnie, a kiedy druga sekretarz spytała, czy zrozumieliśmy, odpowiedzieliśmy wszyscy chórem: „Tak”.

Wszyscy, z wyjątkiem jednego – gospodarza klasy. Podniósł rękę i zapytał:

– Ale czym jest socjalizm?

Druga sekretarz milczała przez kilka sekund, potem zaczęła przechadzać się po klasie. Była zdenerwowana. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nauczyła się tylko na pamięć, że dzięki socjalizmowi Chiny są teraz piękne, ale nie wiedziała sama, co znaczy słowo „socjalizm”. Jako druga sekretarz musiała jednak coś odpowiedzieć, więc zaczęła powtarzać od początku swoje przemówienie. Gospodarz klasy nie nalegał. Był to chłopak o wiele odważniejszy od innych, podziwiałam go. Szkoda, że nigdy nie udało mi się trochę z nim porozmawiać.

Pewnego razu nie wpuszczono na taką lekcję nas, cudzoziemców. Wysłano nas do innej klasy czytać książkę. Przyczyną mogło być to, że nauczycielka tłumaczyła wtedy naszym chińskim kolegom, jak mają się zachowywać wobec nas, cudzoziemców.

Mówiąc o naszej szkole, trudno zapomnieć o toaletach. Przede wszystkim dlatego, że bijący z nich smród docierał do każdej klasy, lecz także ze względu na ich konstrukcję.

Ja, Folco, wchodząc tam, byłem zawsze zakłopotany, ponieważ obawiałem się spotkać w środku któregoś z nauczycieli, do czego rzeczywiście doszło. Ustępy składały się z trzech albo czterech stanowisk, przedzielonych murkiem wysokości co najwyżej metra; w kabinkach tych nie ma drzwi. Kiedy wszedłem, jedno stanowisko zasłaniała otwarta gazeta. Krył się za nią mój nauczyciel, który powiedział mi: „Cześć!”. Improwizowanymi drzwiami był więc „Dziennik Ludowy”. Sądziłem, że nauczyciel jest zakłopotany, podobnie jak ja, i wybiegłem z toalety. Z czasem się przyzwyczaiłem.

Mieliśmy też lekcje przyrody. Ja, Saskia, pamiętam w szczególności jedną z nich. Nauczyciel przyszedł ze szklanym słojem, w którym pływała czerwona rybka, i powiedział nam, że odetnie jej jedną płetwę, żebyśmy zobaczyli, jak się zwierzątko zachowa. Cała klasa zaaprobowała to w podnieceniu. Przyrodnik uspokoił uczniów gestem, po czym zanurzył rękę w słoju. Schwycił nieszczęsną, wijącą się rybkę. Wziął

cztery razy dłuższe od niej nożyce i zaczął powoli odcinać jej prawą płetwę. Klasa czekała niecierpliwie, chcąc zobaczyć, co zrobi wrzucona z powrotem do wody rybka. Nie mogła już ona oczywiście utrzymać równowagi, ciążyła w lewo. Jej jedyna płetwa drgała, biedna rybka płynęła ustawicznie w prawo. Klasa się śmiała. Potem zaczęli wyć: „Prosimy uciąć drugą!”.

Rozbawiony i zadowolony z zainteresowania klasy nauczyciel schwycił znowu rybkę, która nie próbowała już nawet uciekać, i bezlitośnie obciął jej także lewą płetwę. Człowiek chodzi, ptaki latają, ryby pływają – ale ta rybka opadła prosto na dno słoja, poruszając się z trudnością za pomocą ruchów ogona. Nie trwało to jednak długo. „Prosimy uciąć ogon, uciąć ogon!” – ryczała klasa, a rozentuzjasmowany przyrodnik wyłowił raz jeszcze rybkę i uciął jej także ogon.

Ryba nie była już rybą, leżała nieruchomo na dnie słoja. Nie bawiło to tylko mnie i chłopca, który przyniósł nauczycielowi swoją rybkę.

Sport zajmuje w chińskiej szkole ważne miejsce. Maszeruje się, oddaje honory, obraca się na obcasach, przyswaja sobie kilka chwytów kung-fu, rzuca granatem. Granaty nie są oczywiście prawdziwe, ale mają zupełnie podobny do prawdziwych kształt. My używaliśmy drewnianych z żelazną główką. W chińskich szkołach rzut granatem odpowiada pchnięciu kulą w Europie.

Raz do roku odbywa się na dziedzińcu szkolnym świetnie zorganizowany „dzień sportu”. Za nakrytym białym obrusem stołem, na którym nie brak filiżanek do herbaty i bukietów kwiatów, zasiadają: sekretarz partii oraz kilku ważnych gości, a wśród nich stary generał, przyjeżdżający swoją limuzyną marki Czerwony Sztandar.

Przed rozpoczęciem zawodów odbywa się defilada. Na czele idą ci w czerwonych chustach, za chorążym trzymającym osadzony na bambusowym drzewcu sztandar w doskonale pionowej pozycji. Potem wszyscy inni, rząd za rzędem, przy dźwiękach marsza. Przed każdą kolumną dwóch uczniów niesie transparent z wypisanym na nim cytatem z Mao Zedonga. Kolumny sformowane są tak, że najmłodsi maszerują zawsze w pierwszych rzędach. W marszu kolumny krzyżują się, mieszają jedne z drugimi, ale na koniec każda odnajduje znowu swoje miejsce. Wszystko przebiega akuratnie, w zdyscyplinowany sposób.

Następnie sekretarz partii przemawia przed frontem klas. Ogłasza otwarcie zawodów

i przypomina uczniom, że powinni z całych sił starać się zwyciężyć. „Zwyciężając, przynosicie zaszczyt ojczyźnie” – mówi. Także na zawodach dziecko musi myśleć o ojczyźnie, a zaszczyt winno przynosić jej, nie samemu sobie.

Ja, Folco, biegłem na osiemset metrów. Biegłem do utraty tchu, bo wiedziałem, że zwycięzca weźmie udział w zawodach dla wszystkich szkół w Pekinie. I zwyciężyłem, dotarłem do mety przed wszystkimi Chińczykami. Jako drugi dobiegł także cudzoziemiec, Chińczycy pozostali daleko w tyle. Zgodnie z zapowiedzią nauczyciela gimnastyki zostałem więc zakwalifikowany. Spytałem go teraz:

– Wezmę udział w zawodach międzyszkolnych, prawda?

– Nie – odpowiedział. – Pobiegniesz szybko, ale nie dość szybko.

I tak sprawa się skończyła.

Rzecz w tym, że bardzo nieliczni w szkole cudzoziemcy zdominowali jednak zawody we wszystkich dyscyplinach. Szkoła nie chciała być reprezentowana przez grupę cudzoziemców. W biegu na dystansie ośmiuset metrów miał ją więc reprezentować Chińczyk, który nie dotarł do mety nawet jako drugi. Taką decyzję podjął nie nauczyciel wychowania fizycznego, lecz sekretarz partii.

Mieliśmy również lekcje muzyki, ale i na nich mówiono nam o komunizmie. Uczyliśmy się ciągle tych samych piosenek. Na szkolny konkurs śpiewu połowa klas zgłosiła pieśń zatytułowaną *Bez partii nie byłoby Nowych Chin*; wielkim powodzeniem cieszyła się też *Piosenka o grzeczności*, ułożona w ramach kampanii zachęcającej nas do bycia uprzejmymi i do dobrego sprawowania. Nie brakowało piosenek o młodym Mao; inne jeszcze wzywały nas do wydajnej pracy i do stania się dzielnymi „młodymi pionierami”.

Ogólnie rzecz biorąc, nauczyciele nie mieli wiele swobody w doborze metod i treści nauczania. Wszyscy musieli stosować się do reguł narzucanych im przez sekretarza partii.

Ponadto ja, Saskia, odniosłam wrażenie, że nauczyciele w naszej szkole musieli ciężko pracować i że nie wynagradzano ich za to zbyt dobrze. Pensje nauczycieli są w Chinach bardzo niskie, żyją oni nader skromnie. Kawalerowie i panny mieszkają w nędznych pokoikach na terenie szkoły. Codziennie za kwadrans jedenasta idą do brudnej kuchni, tam każdy numerowanym kluczem otwiera swoją skrytkę i wyjmuje z niej menażkę, do

której włożono dwie łyżki zupy, trochę makaronu i mikroskopijne kawałeczki mięsa z warzywami, wszystko zupełnie pozbawione smaku. Myślę, że to dlatego moi nauczyciele byli bez wyjątku okropnie chudzi.

Dla nas, cudzoziemców, byli bardzo życzliwi. Przyjechaliśmy tu, nie znając słowa po chińsku, a oni naprawdę bardzo się starali nas tego języka nauczyć. Kiedy ja, Folco, leżałem w szpitalu, dwóch moich nauczycieli zadało sobie trud, żeby przyjść do mnie i przynieść mi owoce. Byli naprawdę dobrymi ludźmi, ale musieli stosować się do reguł narzuconych przez sekretarza partii.

Reasumując: nasza opinia o chińskiej szkole nie jest bynajmniej pozytywna. Ja, Folco, nienawidziłem donosicielstwa, krytyki, robienia wszystkiego, żeby ratować własną skórę. Nieznośny był dla mnie system nauczania nieuwzględniający wyobraźni, nie znosiłem kopiowania, przymusowego przyswajania sobie „właściwego” sposobu myślenia, oszukiwania. Dręczyła mnie świadomość, że nie mogę powiedzieć tego, co myślę, i że o pewnych rzeczach nie wolno mi nawet myśleć.

Nie. Nigdy więcej.

Folco przyjechał do Chin w wieku jedenastu lat.

Saskia miała lat dziewięć.

# 14. „witajcie, długowłosi”

Shenzhen i Kanton – eksperymentowanie z kapitalizmem

Kapitalizm zwyciężył – przynajmniej tutaj. Shenzhen, miasteczko na granicy Chińskiej Republiki Ludowej i Hongkongu, brama wejściowa do purytańskiego i egalitarnego królestwa Mao Zedonga, bastion chińskiego komunizmu, uległo pokusom mieszczańskiego dobrobytu. Rozkaz nadszedł prosto z Pekinu. Powiedziano mniej więcej tak: „Dosyć przeciwstawiania się kapitalizmowi. Trzeba go naśladować. Trzeba poznać rządzące nim mechanizmy i systemy”.

Shenzhen jest pierwszym skrawkiem terytorium Chin, na który trafia przybywający z Hongkongu podróżny. Granicę stanowi mała rzeczka, dwa światy łączy most. Na jednym brzegu trzepoce chorągiew angielska, na drugim – czerwona chińska. Te kilka kroków po moście było dawniej niekończącą się podróżą między dwoma nieskończenie odległymi wszechświatami, rozdzielonymi przepaścią i wrogimi wobec siebie. Teraz tak już nie jest.

Pekin ogłosił Shenzhen „specjalną strefą ekonomiczną”. Oznacza to, że w obrębie tej strefy obowiązują inne niż w całym Chinach prawa, że tutaj kapitalizm jest dozwolony, że inicjatywa prywatna może tutaj istnieć i rozkwitać.

Koncepcja stref specjalnych powstała w 1979 roku i jest jednym z niezwykle odważnych posunięć Deng Xiaopinga po jego powrocie do władzy.

Dla komunisty pomysł eksperymentowania z kapitalizmem jest z pewnością całkiem niepowszedni. W umysłach wielu ludzi, także z kierownictwa partii, zrodziły się jednak liczne pytania. Spowodowały one, że spróbowano tej drogi, podobnie jak innych, w poszukiwaniu polityki umożliwiającej rozwiązanie niezliczonych problemów olbrzymiego kraju, zacofanego i spragnionego nowoczesności.

„Jak to możliwe, że stopa życiowa Chińczyków w Hongkongu jest o tyle wyższa od poziomu życia Chińczyków w Chinach?” „Dlaczego ci, którzy uciekli z Chińskiej Republiki Ludowej jako zupełni nędzarze, wracają po kilku latach wyposażeni we wszelkie symbole dobrobytu, o których tutejsza ludność marzy?” „Czyżby komunizm źle funkcjonował?”

Bez żadnej wątpliwości system wprowadzony w Chinach po objęciu władzy przez komunistów nie funkcjonuje całkiem dobrze. Stąd pomysł, aby na małej próbce przeprowadzić doświadczenie z czymś nowym.

W porównaniu z kontynentem chińskim terytorium Shenzhenu jest maleńkie, mieszka na nim zaledwie dwieście tysięcy osób. Zaprowadzenie ustroju „strefy specjalnej”, usankcjonowane teraz w nowej konstytucji, gdzie poświęcono sprawie cały trzydziesty pierwszy paragraf, zmieniło oblicze tego obszaru.

W czasach, gdy Chiny były odseparowane od świata zewnętrznego, niedostępne, kiedy szukały w samowystarczalności rozwiązania swoich problemów, przewodnicy turystyczni z Hongkongu organizowali wycieczki na położone w granicach kolonii brytyjskiej wzgórze, skąd obserwowało się przez lornetki świat „czerwonych”. Widać było wtedy spokojne, prowincjonalne miasteczko otoczone polami, na których przy akompaniamencie płynących z głośników rewolucyjnych melodii pracowali ubrani na niebiesko wieśniacy.

Obecnie Shenzhen jest olbrzymim placem budowy: buduje się wieżowce, fabryki, drogi, dzielnice mieszkalne. Pola uprawne zastąpił cement, chłopów – tysiące robotników. Osiemdziesiąt tysięcy murarzy, elektryków i mechaników przybyło tutaj w towarzystwie swoich partyjnych sekretarzy, aby zrobić z Shenzhenu drugi Hongkong.

Za czyje pieniądze? W dużej mierze za pieniądze chińskich kapitalistów z tegoż Hongkongu. Prawo o strefach specjalnych przyznaje zagranicznym inwestorom ogromne ułatwienia. To okazja, której wielkie przedsiębiorstwa z Hongkongu nie chcą stracić: parcele i siła robocza są tu jeszcze tańsze niż w kolonii brytyjskiej na półwyspie Koulun.

Pewne przedsiębiorstwo budowlane ukończyło właśnie trzy wielkie bloki na użytek zamorskich Chińczyków, pragnących mieć w Chinach mieszkania. Pepsi Cola uruchomiła już zakład butelkowania. Firma z europejskim kapitałem wytwarza kontenery dla statków. Wielka fabryka zabawek z Hongkongu przeniosła tutaj znaczną część produkcji, podobnie postąpiły: drukarnia, kilka zakładów przemysłu tekstylnego i wytwórni drobnego sprzętu elektrycznego.

Rząd pekiński ze swej strony zajmuje się infrastrukturą. Buduje drogi, kanalizację, pogłębia nowy port, projektuje lotnisko, pozostawiając w gruncie rzeczy niemal wolną

rękę „kapitalistom”, jak nazywa się ich tu prawie z poszanowaniem. Rzecz nie do pomyślenia w innych częściach Chin: w Shenzhenie zakłady pracy dobierają sobie robotników, zwalniają pracujących niewydajnie, nagradzają hojnie tych, którzy pracują dobrze.

– Tutaj w zarządzaniu stosuje się kryteria ekonomiczne, nie polityczne – mówi przybyły z Hongkongu dyrektor fabryki. Stojący obok chiński urzędnik potakuje.

Symbole władzy są na zewnątrz takie same, jak w całym Chinach: urzędnicy partyjni ubrani na niebiesko, z czarnymi plastikowymi aktówkami w rękach; policjanci umundurowani identycznie jak w Pekinie. Tu jednak zachowują się oni tak, jakby byli tylko obserwatorami.

– Przyjeżdżają tutaj poznawać, jak funkcjonuje kapitalizm, i nie wtrącają się – mówi o nich przemysłowiec z Hongkongu.

Ma poniekąd rację.

Wieczorem w kawiarni „Ogród sztuk” szafa grająca młóci przeboje piosenkarki z Tajwanu, zakazane w pozostałej części kraju jako „pornograficzne”. W wielkim, ciemnym pokoju obok dziesiątki długowłosych młodzieńców w skórzanych kurtkach manewrują hałaśliwymi pojazdami kosmicznymi w elektronicznych grach, o których gdzie indziej w Chinach nikt nie ma pojęcia.

To, co gdzie indziej zwalczano jako dekadencja, tutaj jest dozwolone, jak gdyby było rzeczą oczywistą, że dla osiągnięcia produkcyjnego tempa Hongkongu i Zachodu trzeba koniecznie pogodzić się także i z tego rodzaju okcydentalizacją.

– Jeśli noszenie długich włosów przyczynia się do urzeczywistnienia czterech modernizacji, to witajcie, długowłosi! – mówi jeden z członków kierownictwa politycznego miasta.

Na początku przeprowadzanego w Shenzhenie eksperymentu partia otworzyła w mieście „biuro propagowania cywilizacji duchowej”, swego rodzaju ośrodek nauczania socjalistycznej moralności. Po kilku miesiącach daremnych wysiłków biuro zamknięto. *Danwei* nie ingerują tutaj w prywatne życie ludzi.

– Możemy robić, co chcemy – zapewniają dwie dziewczyny, które zaczęły ze mną rozmowę podczas spaceru. – Wystarczy, że pracujemy, i że pracujemy dobrze.

Z Shenzhenem jest teraz tak, jakby nie leżał już w Chinach. Robotnicy zarabiają od



czterech do pięciu razy więcej niż ich koledzy w innych częściach kraju, kupują dobra konsumpcyjne po tych samych cenach, co w Hongkongu, i cieszą się niewyobrażalną gdzie indziej wolnością.

Do Szenghenu trafiali dawniej nieuchronnie ci wszyscy, którzy chcieli uciec z Chin do Hongkongu. Dzisiaj nie ucieka stąd nikt; wręcz przeciwnie, ponieważ „bajka” o specjalnej strefie ekonomicznej dotarła już do każdego zakątka kraju, bardzo wielu chce przyjechać tu nie po to, aby uciekać, lecz po to, żeby zostać i pracować. Partia selekcyjnie starannie wysyła do Szenghenu robotników. Inni nie mogą po prostu tutaj się dostać: niezbędne jest specjalne zezwolenie, coś w rodzaju paszportu.

To, co się dzieje w Szengzeniu, uważa się jeszcze za eksperyment nastawiony na przyciąganie zagranicznego kapitału, import zachodniej technologii, zapoznanie chińskich menedżerów z systemem kapitalistycznym, aby mogli ewentualnie zastosować częściowo wiedzę, którą posiadają, w gospodarce reszty kraju.

Ale jak uchronić pozostałą część Chin przed wpływem wywieranym przez Szengzen, gdzie wolno to wszystko, co zabronione gdzie indziej?

Siedem kilometrów na północ od obecnej granicy między Hongkongiem a Chińską Republiką Ludową skończono właśnie wznosić zasieki wysokości siedmiu metrów i długości siedemdziesięciu kilometrów, które izolują Szengzen od reszty kraju. Tę przecinającą pola żelazną sieć nazywa się „barierą celną”. Czy tylko celną?

Im bardziej Szengzen się rozwija i staje drugim Hongkongiem, w tym większym stopniu płynąca między brytyjską kolonią a Chinami rzeczka traci swoją funkcję granicy między dwoma światami. Hongkong i Szengzen integrują się z każdym dniem silniej, ludzie przechodzący po drewnianym moście nie myślą już o dwóch przeciwstawnych wszechświatach. Czyniąc z Szenghenu „strefę specjalną”, Deng Xiaoping pomyślał z pewnością, że w ten sposób odbierze sobie bez większego trudu Hongkong: po prostu powoli go wessie.

A gdyby tak Hongkong, lub dokładniej – kapitalizm, wessał Chiny?

Pobył w Kantonie może nasunąć taką myśl. Troje żebrzących dzieci czepia się moich rękawów, prosząc o jałmużnę. Przykucnięty na ziemi czyścibut chwytła mnie za nogawkę, usiłując ustawić moją stopę na drewnianej ławeczce. Jakaś kobieta chce mi

sprzedać owoc papai, a jakiś starzec – gipsowy posążek. Grupka młodych ludzi szepce między sobą wokół człowieka, który ukrył swój towar, zaledwie się zbliżyłem. Gdy staje się oczywiste, że mimo chińskiego ubrania nie mogę być policjantem, wszyscy wybuchają śmiechem i zegarki z przemytu znowu pobłyskują w mroku. Zwykły spacer o zachodzie słońca wzdłuż Rzeki Perłowej dostarcza wielu niespodzianek.

Czy takie są Chiny?

Kanton to stolica prowincji Guangdong; Hongkong i Makau, wysepki kapitalizmu na socjalistycznym oceanie, oddalone są zaledwie o krok. Przez wieki tysiące chińskich emigrantów wyruszały stąd w poszukiwaniu szczęścia. Teraz wracają, aby pochwalić się nabytym bogactwem i opowiedzieć, jak radzą sobie w szerokim świecie ludzie sukcesu.

Podczas rewolucji kulturalnej Kanton i jego prowincja mocno ucierpiały ze względu na swoje podejrzane związki z zagranicą. Teraz, kiedy Deng Xiaoping przyznał krajowi nieco swobód, tutejsi ludzie schwytali go nie za palec, ale za całą rękę, może nawet za całe ramię – wygląda na to, że sytuacja wymknęła się prawie spod kontroli.

W porównaniu ze stanem sprzed zaledwie dwóch, trzech lat zmiany są ogromne. Dawniej Kanton był pierwszym miastem, na podstawie którego przybyły z zagranicy podróżny wyrabiał sobie wyobrażenie o Chinach. Ulice czyste i zatłoczone, puste o zachodzie słońca. Ludzie wszyscy jednakowo ubrani, dziewczęta z warkoczykami, brzęczenie rowerowych dzwonków. Dzisiaj zaraz po wyjściu ze stacji rzuca się w oczy przede wszystkim to, że neonowa reklama Seiko, biegnąca wzdłuż całego dachu jednej kamienicy, jest dłuższa i jaśniejsza od neonu na sąsiednim budynku, który życzy „długiego życia Chińskiej Partii Komunistycznej”.

Dawniej podróżny musiał sam wlec swój bagaż i uważał to za niezbędny aspekt głoszącego samowystarczalność socjalizmu. O tej zasadzie, jak i o innych, całkowicie w Kantonie zapomniano. Młode chłopki z bambusowymi nosidłami tłoczą się wokół przybysza, spierając się o jego walizki, zaś różni młodzieńcy usiłują zaciągnąć go każdy do swojej taksówki – nowiutkiej, czerwonej toyoty. Taksówki należą do firmy „mieszanej”: pieniądze dają „kapitaliści” z Hongkongu, siła robocza jest miejscowa. Za trzy lata, kiedy finansiści odzyskają swoje pieniądze z procentem, taksówki przejdą na własność Kantonu.

Taksówkarzom przysługuje oprócz stałej pensji bon w wysokości uzależnionej od

uzyskanego dochodu. Przyjmują oni chętnie napiwki, których przedtem odmawiali, poczytując je sobie za obrazę. Jeśli klient płaci specjalnymi bonami, równającymi się obcej walucie, taksówkarze najchętniej wydają mu resztę w pieniądzach chińskich (na czarnym rynku jeden juan-kupon wart jest półtora juana zwykłego).

Kiedy dawniej ktoś wypytywał o prostytutki, trafiał od razu na komisariat policji lub przynajmniej musiał wysłuchać politycznego kazania. Natomiast teraz zapytany o niekantończyk rozwodzi się nad tym, że za usługę owe damy mogą zażądać aż do pięćdziesięciu juanów, bo z Hongkongu przyjeżdżają masowo niezwracający uwagi na cenę klienci, którzy popsuli rynek miejscowym.

Hongkong. Hongkong.

– Byłeś tam? – pytam młodego człowieka, ubranego dokładnie tak, jak mógłby być ubrany mieszkaniec tej angielskiej kolonii.

– We śnie wiele razy – odpowiada ze śmiechem.

Prawie każda rodzina ma tutaj brata, wuja, kuzyna lub dalekiego krewnego, który w jakiś sposób – nawet wpływ – uciekł lub przeniósł się do kolonii. Z tymi krewnymi miejscowi łączą teraz w dużej mierze swoje nadzieje. Chcieliby dostać od nich parę dzinsów, radio, kolorowy telewizor albo i niewielki kapitalik, umożliwiający otwarcie sklepu. Teraz już wolno, „wujaszki z Hongkongu” przyjeżdżają do rodzin obładowani prezentami.

Rezultaty są wszędzie widoczne. Dziesiątki wyposażonych w nowoczesny sprzęt fryzjerów damskich pootwierały swoje zakłady w śródmieściu, dobry tuzin kawiarni z muzyką rockową i ogródkiem jest czynny aż do pierwszej w nocy, dziewczyny spacerujące w towarzystwie swoich chłopców po oświetlonych teraz światłem neonów ulicach mają prawie wszystkie przerzuconą przez ramię torebkę z imitacji skóry, młodzi robotnicy chodzą już nie w maoistowskich mundurkach, ale w kowbojskich kurtkach.

– To pokój w moim mieszkaniu. Teraz pracujemy tu we czterech. Państwu płacimy miesięcznie osiemdziesiąt juanów podatku, cała reszta należy do nas – mówi mi chłopak, który dzięki pieniądзом wuja z Hongkongu otworzył własny zakład fryzjerski.

Dzięki pieniądżom z Hongkongu dwie restauracje w śródmieściu odnowiły całkowicie swoje wnętrza. Dzięki pieniądżom z Hongkongu i wykonanej tam ekspertyzie państwowe przedsiębiorstwo wybudowało na wyspie Shamian hotel Biały Łabędź.

Natomiast firma „mieszana” wniosła Hotel Chiny – luksusowy kompleks budynków, dokąd rodzice zabierają w niedzielę dzieci, aby im pokazać, co to znaczy modernizacja.

Te napływające z zewnątrz kapitały zmieniły już życie codzienne Kantonu. Wszędzie – poza urzędami państwowymi – tętni już ono rytmem charakterystycznym dla wszystkich miast Azji Południowo-Wschodniej, gdzie Chińczycy pracują, spekulują, krzątają się i bogacą.

Wieczorem wzdłuż kanału, który w czasach koncesji odgraniczał dzielnicę cudzoziemców do dzielnicy chińskiej, pod gałęziami stuletnich drzew wyrastają z ziemi stoliki i taborety improwizowanych restauracyjek, serwujących owoce morza, zupełną rybą, a w zimie sezonowe przysmaki: potrawy z mięsa psów i węży. Pod arkadami starych, na wpół zrujnowanych kamienic w centrum, na alei wzdłuż rzeki kręcą się setki wędrownych handlarzy, u których można potargować się o wszystko, od zebranych i wysuszonych w dalekich górach ziół leczniczych po ceramiczne wazy i posążki, zakupione hurtem u producenta w Foshanie, aby sprzedawali je tu detalicznie przedsiębiorczy bezrobotni.

Te wszystkie zmiany mają oczywiście swoją cenę. Gazety piszą o korupcji, policja dokonuje regularnie obchodów i zdejmuje anteny telewizyjne, umożliwiające odbiór programów z Hongkongu ludziom, którym nie wystarczają miejscowe. Oficjalna prasa musi często potępiać „niebezpieczny wpływ burżuazyjnego liberalizmu”.

Kanton się zmienił, ale Kanton to nie Chiny. Wystarczyłby jeden rozkaz z Pekinu, aby definitywnie skończyć z całym tym wrzeniem.

Zresztą nawet tutaj nie wszystko się zmieniło, pewne stare przyzwyczajenia pozostały. W odrestaurowanym całkowicie przez firmę z Hongkongu Ludowym Grand Hotelu młody recepcjonista żąda ode mnie natychmiastowej zapłaty za rozmowę telefoniczną z Pekinem przed czterech godzin. Kiedy puka do drzwi pokoju, budząc mnie zniechęca, jest godzina druga nad ranem.

# 15. „Allah dał nam jedno tylko serce”

Kaszgar – Chiny i Azja Środkowa

Domy są z wyschniętego błota, z wyschniętego błota są ulice, meczety i groby.

Tylko Mao jest z granitu. Jeden z niewielu gigantycznych pomników Wielkiego Sternika, które przetrwały do dzisiaj, znajduje się właśnie tutaj, gdzie jest najmniej u siebie: pośrodku oazy Kaszgar, na skraju Takla Makan – najstraszniejszej na świecie pustyni, u podnóża najwyższych gór – Pamiru, w najdalej na zachód wysuniętym zakątku Sinkiangu – najdalej na zachód wysuniętej prowincji Chin. Wywiera dziwne wrażenie, wydaje się całkowicie pozbawiony proporcji i nie na miejscu ten osiemnastometrowej wysokości posąg Mao, królujący nad labiryntem miasta koloru ochry, gdzie mrowi się tłum ludzi o antycznych rysach, stada owiec, mułów i wielbłądów.

Mieszkańcy Kaszgaru są żarliwymi muzułmanami i jako tacy nie akceptują żadnych podobizn bóstw. Są Ujgurami, należą do mniejszości etnicznej w granicach Chińskiej Republiki Ludowej, są więc ustosunkowani bardzo niechętnie do wszystkiego, co przypomina im otwarcie, że rządzi nimi i nad nimi panuje większość – naród Han.

Pomnik wzniesiono w 1966 roku, na początku rewolucji kulturalnej, kiedy odległy o cztery tysiące dwieście kilometrów Pekin usiłował narzucić tutaj tę samą radykalną linię polityczną, co w innych częściach kraju. Czerwona Gwardia Mao Zedonga, próbując zrobić także i z tego odległego i pełnego kurzu zakątka Azji Środkowej kroplę „czerwonego oceanu”, zabroniła wszelkich czynności religijnych, pozamykała meczety, spaliła publicznie wszystkie znalezione egzemplarze Koranu, zniosła handel prywatny, odgrywający od wieków zasadniczą rolę w życiu ludności, zlikwidowała bazyry i uwięziła kupców jako „spekulantów”.

Tę politykę odrzucono teraz jako „błąd”, a reformy Deng Xiaopinga wprowadza się tu w życie z większą jeszcze swobodą, niż gdzie indziej w kraju. Kwitną religia i handel prywatny, Koran sprzedaje księgarnia „Nowe Chiny”, bazar stał się znowu centralnym punktem miasta, pełnym zgiełku i ruchu.

Wszystkie ślady, wszystkie napisy z przeszłości usunięto lub zatarto, lecz kolosalny

pomnik Mao stoi nadal, dominuje nad błotnistym krajobrazem Kaszgaru jako symbol niezmiennego determinacji Chin, zdecydowanych rządzić tą częścią świata. Jeszcze niedawno posługiwały się one w tym celu siłą, ideologiczną presją i terrorem (ofiar rewolucji kulturalnej było tu siedem tysięcy), obecnie wybrały tolerancję, przyznając więcej wolności i autonomii.

Zmieniają się sposoby, lecz cel pozostaje taki sam. Walka o zdobycie duszy Kaszgaru jest elementem ogólnego wysiłku, który komuniści chińscy podjęli, aby zapewnić sobie wierność mniejszości etnicznych i wyeliminować jedną z tradycyjnych słabości Chin: ogromną kruchość ich granic.

Granica lądowa Chińskiej Republiki Ludowej ciągnie się przez ponad dwadzieścia tysięcy kilometrów od Wietnamu na południu po Indie i Związek Sowiecki na zachodzie oraz Mongolię i Koreę na północy. Wszystkie terytoria przygraniczne nie są zamieszkane przez Hanów, lecz przez Mongołów, Tybetańczyków, Zhuangów, Ujgurów i Kazachów – ludy, które przez wieki sprzeciwiały się chińskiemu panowaniu, buntowały się wielokrotnie przeciwko Chinom i mogłyby w każdej chwili zbuntować się znowu.

Chiny wewnętrzne nie będą całkiem bezpieczne dopóty, dopóki nie zasymiluje się tych mniejszości lub przynajmniej nie udobrucha ich zupełnie, albo dopóki Hanowie – Chińczycy, nie przybędą masowo na zajmowane przez nie obszary i nie ustanowią tam pełnej kontroli.

Chińczycy nie mogą nigdy być stuprocentowo pewni lojalności tych grup etnicznych. Wręcz przeciwnie, stanowią one piętę achillesową kraju, ponieważ – nie mając szczególnych powodów do wdzięczności wobec Pekinu – są bardzo podatne na propagandę wrogów Chin płynącą z zagranicy, gdzie podobne do nich mniejszości żyją w lepszych nieraz warunkach.

Pekin jest tych niebezpieczeństw w pełni świadomy.

– Połowa mojej rodziny mieszka w Związku Sowieckim, ale ja nie mogę nawet do nich pisać – słyszę od Ujgura spotkanego pod daszkiem na bazarze, gdzie popija herbatę i chrupie orzechy. – Jeśli napiszę choćby jeden raz, policja zaraz zacznie mnie śledzić.

Kaszgar leży w odległości stu dwudziestu kilometrów od Związku Sowieckiego, trzystu dziesięciu kilometrów od zajętego obecnie przez Sowieców Afganistanu, czterystu

kilometrów od Pakistanu. W przeszłości był pierwszym miejscem postoju na Jedwabnym Szlaku, zatrzymała się tam karawana Marco Polo przed wyruszeniem na pustynię w drodze na dwór władcy Mongołów. Kwitł tam handel, spotykali się ludzie różnych narodowości i wyznań.

W XIX wieku Kaszgar stał się ośrodkiem intryg i spisków, bo tam właśnie „spotykały się trzy cesarstwa” i mniej lub bardziej tajni agenci Anglii, Rosji i Chin rozgrywali „wielką grę”, jak nazywano wówczas walkę o panowanie nad Azją Środkową i jej bogactwami.

Cesarstwo rosyjskie rozszerzało nieustannie granice swojej części Turkiestanu, pozyskując sobie miejscowe mniejszości i wciągając je pod panowanie caratu. Imperium brytyjskie starało się zagrozić drogę Rosjanom i wzmocnić swoje wpływy, wykorzystując solidną bazę, jaką były Indie. Cesarstwo chińskie próbowało ustanowić ponownie swoją władzę nad całym regionem, gdzie wybuchały w imię Allacha kolejne powstania mniejszości przeciwko Pekinowi.

Dyplomaci i szpiedzy, oficerowie i archeolodzy, badacze i łowcy przygód udawali się do Kaszgaru, zmieniając nieraz swoje role.

Zaniechano korzystania z Jedwabnego Szlaku wiodącego lądem z Zachodu do Chin, wybierając o wiele wygodniejszą drogę morską. Wtedy ta pustynna oaza, niegdyś tak ważna i bogata, została opuszczona, a ruchome wydmy i piaski Takla Makan powoli ją zasypywały. W ciągu wieków przy rozpalanych nocą przez karawany ogniskach i na azjatyckich bazarach opowiadano sobie o skarbach zakopanych gdzieś na rozległej pustyni, ale ci, którzy wybierali się ich szukać, nigdy nie wracali.

Pod koniec XIX wieku Kaszgar stał się znowu bazą wypadową dla wielu. W 1890 roku przyjechał tam na zaproszenie sławnego konsula rosyjskiego Petrowskiego badacz Sven Hedin, odbywający swoją pierwszą podróż po Azji. Albert von Le Coq, podróżujący „śladami Hellady w zachodnim Turkiestanie” (to tytuł jego książki), spędził pewien czas w Kaszgarze jako gość angielskiego konsula Macartneya po wywiezieniu z buddyjskich grot w Bezekliku wspaniałych fresków, mających potem ulec zniszczeniu w berlińskim Muzeum Archeologicznym, zbombardowanym przez Amerykanów podczas drugiej wojny światowej. W Kaszgarze zatrzymał się sir Aurel Stein ze swoim ładunkiem bezcennych rękopisów z Dunhuangu, zanim zawiózł je do Indii, a stamtąd do British Museum, gdzie

znajdują się do dziś.

– Wszyscy ci cudzoziemcy przyjeżdżali tu tylko po to, żeby nas okradać – mówi pani Guang Yuru, chińska urzędniczka administracji prowincjonalnej Sinkiangu.

Chińczycy uważają Sinkiang za swoją ziemię, ponieważ przybyli tam już w 126 roku przed Chrystusem. Cesarzowi Wudi doniesiono, że tamtejsza ludność posiada osobliwe konie, pocące się krwią i pochodzące bezpośrednio z raju; chciał on koniecznie mieć takie dla swojego wojska. Cesarskiemu wysłannikowi podróż z chińskiej stolicy tam i z powrotem zajęła trzynaście lat, lecz jego wyprawa otworzyła drogę z Chin wewnętrznych na terytoria zachodnie, położone za pustynią.

Kontrolę nad oazami i ludnością tych okolic uważano odtąd nie bez słuszności za nadzwyczaj ważną dla bezpieczeństwa Chin. Owa kontrola nigdy nie była jednak zupełna, na przestrzeni ostatnich dwóch tysięcy lat swoich dziejów Chińczykom udało się władać oazą Kaszgar – z przerwami – łącznie przez mniej niż pięć stuleci.

Jednym z zasadniczych problemów była zawsze odległość. Na początku XX wieku karawany przemierzały trasę między Pekinem a Kaszgaru w ciągu pięciu miesięcy. Dziś jeszcze Kaszgar nie ma połączenia kolejowego z resztą Chin. Biegąca wzdłuż południowego brzegu pustyni droga nie została nadal całkowicie wyasfaltowana, a mały antonow, samolocik sowieckiej produkcji, który – zanim doleci do Kaszgaru – kołysze się na wietrze między oazami Akesu i Heitan, startuje co cztery dni, tylko pod warunkiem że pogoda na całej trasie jest dobra i że według prognoz nie ulegnie ona pogorszeniu.

Kaszgar pozostaje nadal jednym z najbardziej odległych i odosobnionych chińskich miast, podróż tam jest podróżą bardziej w czasie niż w przestrzeni. Przybywający do Kaszgaru odnosi wrażenie, że przeniósł się w epokę biblijną. Ludzie i zwierzęta roją się w zaułkach starego miasta z zeschniętego błota. Na grzbiecie wychudzonych, malutkich mułów siedzą starcy o długich, siwych, kędzierzawych brodach, wszyscy w długich, czarnych barchanowych opończach. Kobiety z głowami i twarzami ukrytymi pod brązowym, ciężkim szalem z wełny, rozmawiają w grupkach. Dzieci zbierają do słomianych koszy odchody zwierzęce, które tu także służą za opał. Na ulicznych straganach, owianych chmurą dymu i pary, sprzedaje się szaszłyki i zupę na kozim mięsie.



Właściwie w ogóle nie ma tu samochodów, rowerów też jest niewiele – ludzi i towary przewozi ogromna flota prymitywnych drewnianych wózków, zaprzęzonych w osiołki. „Posh... posh... posh...” („z drogi”) – powtarza niestrudzenie woźnica; jest to pierwsze ujgurskie słowo, jakiego uczy się turysta. Dźwięki, zapachy, kolory, spojrzenia ludzi – wszystko sprawia, że niesłychanie trudno uświadomić sobie, iż jest się w Chinach. A przecież Kaszgar w Chinach się znajduje, zaś Pekin postanowił, że musi w nich pozostać.

Komuniści zawładnęli tym regionem w 1949 roku i stąd właśnie wyruszyli „wyzwalać pokojowo” Tybet. Nikt nie zakwestionował odtąd chińskiego panowania w tej części świata. Można więc uznać, że „wielka gra” o kontrolę nad Azją Środkową została zakończona. Wygrali ją Chińczycy.

Anglicy opuścili niepodległe już Indie, w Kaszgarze ich elegancki niegdyś konsulat zamienił się w odrapany budynek, który użytkują kierowcy ciężarówek, krążących przez pustynię między tym miastem a Urumczy, stolicą prowincji. Wynieśli się także Rosjanie; ich ostatni przedstawiciel dyplomatyczny opuścił Kaszgar w 1958 roku, kiedy popsuły się stosunki chińsko-sowieckie. Dawny rosyjski konsulat, gdzie przez ponad dwadzieścia lat spiskował Petrowski, usiłując zdobyć cały Sinkiang dla swojego cara, stał się teraz „hotelem numer jeden”, gdzie można wypić herbatę i podziwiać stare miejscowe dywany z kolekcji tego nadzwyczaj zręcznego i uzdolnionego dyplomaty.

Związku Sowieckiego nie uważa się tu już dzisiaj za wielkie zagrożenie. Stosunki między Moskwą a Pekinem uległy ogólnej poprawie, w Kaszgarze nikt nie mówi już o nieuchronnej napaści, ani nawet o konieczności strzeżenia się infiltracji. Wręcz przeciwnie.

– Na granicy panuje spokój. Sowieci przestali przysyłać tu swoich szpiegów – zapewnia Abdullah Rayim z prowincjonalnego Urzędu Spraw Zagranicznych.

Ucichła też zjadliwa propaganda radiowa, nadawana przez ZSRR z rozgłośni w Samarkandzie. Na falach krótkich słychać teraz najwyraźniej audycje BBC i Deutsche Welle.

Odradza się lokalny handel graniczny, sparaliżowany przez prawie dwadzieścia lat. Wymiana towarów odbywa się już w jednym miejscu na granicy z Pakistanem i w jednym na granicy z ZSRR. Miejsc takich będzie więcej.

– Prowadzenie interesów z sąsiadami niczym nam nie grozi – oświadcza Esai Shakir, zastępca mera Kaszgaru.

Pekin musi natomiast obawiać się miejscowej ludności, ponieważ to ona, nie zagraniczni sąsiedzi, zagraża chińskiemu panowaniu w tej części świata. Niebezpieczeństwa nie stanowią Sowieci, lecz wrogie stosunki między mniejszościami etnicznymi a Hanami.

Dwa lata temu wykryto grupę ujgurskich dysydentów, przygotowujących powstanie przeciw Chińczykom, mające objąć całą prowincję Sinkiang. Ich hasła brzmiały: „Chcemy samostanowienia!”, „Nie chcemy obcej dominacji!”.

Jeszcze w styczniu 1983 roku „Dziennik Ludowy” pisał o wykryciu i wyeliminowaniu w Kaszgarze „kontrrewolucyjnego ugrupowania”. Organ partii nie podał wtedy żadnych szczegółów, a miejscy urzędnicy nie chcą dziś nawet mówić o tej nader kłopotliwej dla nich sprawie. Nie ulega jednak wątpliwości, że miejscowa ludność żywi wobec Chińczyków głęboko zakorzenioną wrogość i że nie straciła ona złudnej zresztą nadziei, iż pekińskie jarzmo uda się zrzucić. Oto znaczenie słowa „kontrrewolucyjność”.

Problem wyjaśniają także proste liczby. W okręgu Kaszgar mieszkają dwa miliony Ujgurów; Hanów jest tylko trzysta sześćdziesiąt tysięcy, lecz to oni wszystkim rządzą. Wśród dyrektorów, prezesów i urzędników kierujących odpowiednio już dobranymi „jednostkami”, z którymi pozwala się rozmawiać przybyszowi z zagranicy, zdarzają się wprawdzie Ujgurzy – wystarczy jednak kilkuminutowa wymiana zdań, aby zdać sobie sprawę, że prawdziwym szefem jest zawsze jakiś Han, który stoi na uboczu na pozór obojętnie, ale w rzeczywistości słucha bardzo uważnie tego, co Ujgur mówi.

Zazwyczaj przedstawia się Chińczyka jako wicedyrektora lub wiceprezesa, ale to na niego Ujgur zerka, aby się przekonać, czy mówi właściwie, i to on odpowiada w końcu na pytania trudniejsze albo nieprzewidziane w „scenariuszu”.

Oczywiście takie właśnie postępowanie – charakterystyczne dla wszystkich prowincji, w których żyją mniejszości etniczne, a Chińczycy rządzą – wzmacnia niechęć Ujgurów wobec Hanów. W podobnej atmosferze drobny incydent może wywołać wielki, niebezpieczny pożar.

Na przykład w sierpniu 1980 roku zabójstwo ujgurskiego chłopca przez Chińczyka w oazie Akesu stało się przyczyną prawdziwej rewolty, wielodniowych rozruchów na tle

etnicznym, w czasie których Ujgurzy napadali na domy Hanów. Inny tego rodzaju incydent miał miejsce w 1981 roku w Kaszgarze. Grupa ujgurskich robotników zamierzała wykopać rów wzdłuż chodnika, przy którym znajdował się państwowy sklep, prowadzony przez Chińczyków. Nastąpiła wymiana zdań, która zamieniła się szybko w gwałtowną kłótnię; jeden z Chińczyków zabił Ujgura strzałem z dubeltówki. Tysiące Ujgurów wyszły wtedy na ulicę, w mieście zapanował trwający kilka godzin chaos, zabito dwóch Hanów. Musiało interweniować wojsko, które stłumiło bunt, rozdzieliło obie społeczności i przywróciło porządek.

W 1981 roku stosunki międzyetniczne w Sinkiangu pogorszyły się tak dalece, że Deng Xiaoping we własnej osobie musiał przyjechać na inspekcję prowincji, aby zdać sobie sprawę ze stopnia niezadowolenia w łonie samej administracji i przekonać się, jak wielkie jest zagrożenie. Jego przyjazd spowodował w regionie istotny zwrot.

Deng skonstatował dużą „niestabilność” (to jego określenie) prowincji. W konsekwencji nakazał całkowitą reorganizację lokalnej administracji, odwołał kilku najwyżej postawionych urzędników łącznie z gubernatorem i zatwierdził program liberalizacji, przewidujący większą autonomię Ujgurów oraz przywrócenie pewnych obyczajów, na których zależało ludności.

Kaszgar stał się miejscem, gdzie poddano próbie sposoby, za pomocą których Deng zamierza pozyskać zaufanie i lojalność miejscowej ludności. Wydaje się, że przynajmniej do tej chwili okazują się one skuteczne.

W 1981 roku w mieście otwarto ponownie bazar, którego widok dostarcza dzisiaj niezwykłych w Chinach wrażeń. Zadziwia bogactwem ludzkich typów, pomysłowości i przedsiębiorczości; reprezentuje wszystkie drobne swobody, jakie Ujgurzy sobie wywalczyli. Bazar jest czynny codziennie, ale najwspanialej wygląda w niedzielę.

Niekończące się karawany ludzi, wozów, mułów, wielbłądów, owiec i kóz napływają o świcie ze wszystkich stron na zniwelowany teren pod staromiejskim murem z wyschłego błota. W ciągu niewielu godzin gromadzi się na tej przestrzeni pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt tysięcy osób, które kupują, sprzedają, jedzą, pracują, kłócą się lub po prostu krążą w nadziei na zrobienie dobrego interesu. Zobaczyć tam można wszystkie towary, przyprawy i zwierzęta Azji Środkowej: noże ze słynnej kaszgarskiej stali (półtora euro sztuka), skórzane buty z cholewami (sześć euro sztuka), haftowane mycki,

siodła, wysokie kapelusze z czarnego aksamitu obramowane czerwona skórka norki, dywany, przedmioty z miedzi, korzenie, proszki, nasiona najprzeróżniejszych barw i zapachów. Wielbłąda zabiera się ze sobą do domu za sto trzy euro, muła – za trzydzieści jeden, owcę – za trzynaście.

Jedni sprzedają winogrona i morwy, inni świadczą pod gołym niebem usługi: fryzjerzy wodzą po policzkach klientów lśniącoymi brzytwami, dentyści grzebią w szeroko rozdziawionych ustach pacjentów wiertarkami o napędzie nożnym. Koszularze, kowale, szewcy, zielarze, jubilerzy pracują i sprzedają, gwarzą między sobą i śmieją się. W tłumie przechadzają się zgrabne dziewczęta o jasnej cerze i brwiach wykreślonych jedną czarną linią, przecinającą czoło nad nasadą nosa. Starcy o twarzach biblijnych proroków grzeją się na słońcu w swoich czarnych opończach i skręcają tytoń w kawałkach starych gazet, czekając, aż z prymitywnych pieców z wyschłego błota, zamontowanych na rowerach, wyjmie się bochenki świeżego, chrupiącego chleba.

Wszystko wspaniałe i prawdziwe. A właśnie tego rewolucja kulturalna Mao Zedonga zakazała, to zdużyła z ideologicznych przyczyn. Najprostszą prywatną działalność handlową uznano za „ogon kapitalizmu”. Ten ogon trzeba było uciąć, Ujgurzy musieli zadowolić się garścią towaru sprzedawaną w państwowych sklepach.

– Ponowne otwarcie bazaru to najważniejsza zmiana w życiu miasta – mówi Esai Shakir, zastępca mera. – Prawie cały handel jest teraz znowu w prywatnych rękach.

W Kaszgarze zajmuje się obecnie handlem dziesięć tysięcy ludzi. Sprzedają produkty miejscowe, ale mogą też w ciągu najwyżej dziesięciu dni sprowadzić jakikolwiek towar z Szanghaju lub z Pekinu.

– Z korzyścią dla wszystkich – zapewnia Shakir – bo gdybyśmy stosowali się do biurokratycznych przepisów, towar dotarłby tutaj po roku.

Stosowania się do „biurokratycznych przepisów” uniknięto także w odniesieniu do rolnictwa. Komuny ludowe, którym Ujgurzy byli od początku przeciwni, zlikwidowano tutaj prędzej niż w pozostałej części kraju. Chłopi uprawiają teraz pola na własny rachunek, wzrosła produkcja, a wraz z nią dochody.

Zmianą jeszcze ważniejszą dla miejscowej ludności była tolerancyjna postawa, jaką komuniści przyjęli wobec jej religii – islamu. Meczet Id Kah w centrum starego miasta,

spustoszony przedtem i zamknięty, całkowicie odrestaurowano. Co roku pozwala się teraz dwudziestu osobom pielgrzymować do Mekki. Organizacja islamska zajmuje się kształceniem młodych duchownych, zniesiono wszystkie zakazy dotyczące czynności religijnych. Wierni chodzą swobodnie do dziewięćdziesięciu dwóch istniejących w Kaszgarze meczetów, modlą się tam, słuchają lektury Koranu w cieniu topoli, dają jałmużnę zbierającym się znowu na dziedzińcach żebrakom.

Osiemdziesięcioletni Khasim Karajin, imam Kaszgaru, jest znowu najbardziej poważanym przywódcą wspólnoty, uznawanym z tego powodu przez lokalne władze komunistyczne.

– Doktryny partii nie da się pogodzić z islamem – mówi – ale partia toleruje teraz nasze obyczaje i obrządki.

Tolerancja może z czasem okazać się niewystarczająca, gdyż w ostatecznym rozrachunku jedna ideologia wyklucza drugą. Obie strony zdają sobie z tego sprawę.

– Trzeba starannie wybrać swoją drogę – słyszę od członka miejscowej organizacji partyjnej. – Nie można stać jedną nogą w islamie, a drugą w komunizmie.

– Allah dał nam jedno tylko serce. Dwóch wiar mieć nie można. Wierzy się albo w islam, albo w komunizm – oznajmia ze swej strony imam.

Ta oczywista i zasadnicza sprzeczność jest w Sinkiangu jeszcze bardziej wyraźna, bowiem komunizm importowali tutaj Hanowie, więc miejscowa ludność widzi w nim pochodną chińskiej dominacji.

Jednym z najświętszych miejsc w Sinkiangu, przyciągającym dawniej pielgrzymów z całej prowincji, jest oddalona o osiem kilometrów od Kaszgaru spokojna, ogrodzona przestrzeń. O świcie, kiedy po jednej stronie nieba blednie księżyc, a po drugiej wschodzi w chwale słońce, wznosząca się za drżącym parawanem z topoli, pokryta zieloną glazurą kopuła mauzoleum Abacha Hodży ze swoimi czterema minaretami jest jednym z najbardziej urokliwych widoków w środkowej Azji. Poprzez szelest poruszanych ciepłym wiatrem liści i szmer wody w kanałach, które nawadniają płaską i jałową ziemię, słysząc litanie recytowane przez ludzi modlących się przed drewnianą bramą broniącą wstępu do mauzoleum i przed zamkniętymi drzwiami starszej jeszcze, sąsiadującej z nim kaplicy.

– To historyczny zabytek; zamknęliśmy go, żeby go chronić – mówi miejscowy przewodnik.

Mauzoleum ostatnio odrestaurowano, zamieniając je jednak w swego rodzaju muzeum. Aby tam wejść, trzeba kupić bilet; otwierają się wtedy zaryglowane drzwi. Oczywiście tutejsza ludność nie czuje się tam już u siebie.

Abach Hodża był muzułmańskim świętym, który między innymi posłużył się islamem, aby uczynić z krainy Kaszgar teokratyczne państwo, rządzone samowładnie przez niego samego i jego potomków. Zmarł w 1694 roku; dla Ujgurów pozostaje świętym i bohaterem narodowym. Dzisiaj Chińczycy wolą, aby tutejsi ludzie o nim nie pamiętali, aby zapomnieli, że ten zabytek – wspaniały przykład architektury muzułmańskiej – zbudował Ujgur i jego potomkowie, władający wolnym i niezależnym kaszgarskim państwem. Usiłują więc zainteresować zwiedzających małym, mniej ważnym grobem, jednym z siedemdziesięciu dwóch znajdujących się pod chroniącą je wielką kopułą.

Ten grób jest pusty, lecz imieniem osoby, która rzekomo go zajmuje, ochrzcili teraz Chińczycy cały zabytek. W nowych przewodnikach nie nazywa się już go mauzoleum Abacha Hodży, ale „Grobowcem Pachnącej Nałożnicy”. Warto opowiedzieć, jak Chińczycy piszą na nowo historię.

Prawdziwe imię bohaterki brzmiało Manrisim. Była to przepiękna młoda Ujgurka, małżonka należącego do rodu Hodży władcy państwa Kaszgar. W 1759 roku, gdy zajęły je wojska chińskiego cesarza Qianlonga, mordując pół miliona Ujgurów i zaprowadzając znowu w regionie chińskie rządy, męża Manrisim schwytano i ścięto. Ją samą uwięziono i jako łup wojenny wysłano na dwór pekiński, aby była jedną z wielu cesarskich nałożnic.

Qianlong zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia, ale ona mu nie uległa. Ukryła w swoich szatach nóż, aby bronić się nim w ostatecznym wypadku, i opierała się wszelkim próbom i wszelkim pokusom ze strony cesarza. Trwało to dopóty, dopóki pewnego dnia cesarzowa matka, zmartwiona udreką syna, korzystając z jego nieobecności rozkazała pięknej konkubinie popełnić samobójstwo. Manrisim chętnie wykonała rozkaz i udusiła się jedwabnym szalem u podnóża Księżycowej Bramy, na jednym z północnych dziedzińców Zakazanego Miasta.

Gdy Qianlong się o tym dowiedział, wzburzył się i zarządził, aby zwłoki Manrisim

pochować w pobliżu miejsca, w którym on sam miał kiedyś spocząć – w zespole grobów Qing o osiemdziesiąt kilometrów od Pekinu, gdzie oba grobowce dziś jeszcze można obejrzeć.

Mimo to Pachnąca Nałożnica – tak cesarz nazwał swoją branke, której nie zdołał posiadać – ma teraz drugi grób w mauzoleum Abacha Hodży, gdzie pokazuje się nawet zwiedzającym trumnę i wóz, na którym zgodnie z nową wersją historii zwłoki owej piękności miały zostać przewiezione, aby z woli cesarza odzyskał je lud ujgurski.

Historię Pachnącej Nałożnicy przekazywali sobie Ujgurzy z ojca na syna jako przykład okrucieństwa i nikczemności Chińczyków. Natomiast teraz kończący opowiadać nową jej wersję przewodnik zapewnia turystów: „Miłość chińskiego cesarza do ludu ujgurskiego jest namacalnym dowodem jedności różnych zamieszkujących Chiny narodów; jedności, która sięga głęboko w dzieje”.

Za mauzoleum dziesiątki innych grobów, wykonanych z wyschniętego błota na kształt chatek i kopuł, leżą jeden obok drugiego w słońcu: miasto zmarłych koloru ochry, które stworzyły pokolenia Ujgurów, grzebiące drogich im ludzi w świętej ziemi.

– Gdzie jest grób Jakuba Bega? – pytam przewodnika, myśląc o człowieku, który w połowie XIX wieku przewodził kolejnemu powstaniu muzułmanów przeciwko Pekinowi, sformował niewielką, ale nowoczesną armię i zbudował szereg fortów, zdolnych oprzeć się atakom chińskiej kawalerii. Kazał, aby go nazywano „ojcem ojczyzny” i usiłował zrobić z krainy Kaszgar niepodległą republikę islamską. Zmarł otruty w 1877 roku.

Przewodnik udaje, że nie rozumiał. Towarzyszący nam liczni urzędnicy są zakłopotani; część z nich utrzymuje, że nigdy nie słyszała tego nazwiska, które Ujgurzy znają równie dobrze, jak Włosi nazwisko Garibaldi.

– Grób był tutaj – mówi wreszcie ujgurski dozorca, wskazując ręką nieokreślony punkt w terenie, który właśnie minęliśmy. – Grobów było zbyt dużo; władze kazały posadzić tu drzewa. W 1978 roku usunięto więc nagrobek Jakuba Bega... ale jego kości jeszcze tam w ziemi leżą.

Jeden z urzędników Han, chcąc znaleźć wyjście z sytuacji, pomija historię o drzewach i tłumaczy: – Jakub Beg był separatystą. Jego rola w dziejach była straszna, ludzie pragną o nim zapomnieć.

Ujgurzy rzeczywiście mogą powoli zapomnieć. Wydane przed objęciem władzy przez komunistów podręczniki historii są już niedostępne, w szkołach podstawowych i średnich o całej sprawie w ogóle się nie wspomina, jedynie studentom uniwersytetu wolno dyskutować o „negatywnej roli, jaką godni potępienia osobnicy w rodzaju Jakuba Bega odegrali w tym regionie” (wyjaśnienie udzielone mi przez Wu Dongyao, Chińczyka z Urzędu Miejskiego).

W odróżnieniu od działaczy rewolucji kulturalnej, usiłujących nakłonić mniejszości etniczne do szybkiej asymilacji, którą wprowadzano brutalnymi nieraz metodami, obecne kierownictwo chińskie wydaje się stawiać na proces powolny, długofalowy, ale gwarantujący lepsze skutki. Deng Xiaoping zamierza chyba przyznawać mniejszościom więcej swobód, aby one same zdecydowały się wstąpić na drogę asymilacji.

W Kaszgarze są dzisiaj dwa rodzaje szkół – szkoły Hanów i szkoły ujgurskie. Posyłając dzieci do szkoły chińskiej, ujgurscy rodzice zapewniają im bardziej staranne wykształcenie, a później lepszą pracę. Decyzję taką niełatwo jednak podjąć; zbyt głęboka jest jeszcze dzieląca obie społeczności przepaść.

Na niedzielnym bazarze w malowniczym tłumie ludzi, którzy jedzą, piją, kupują, sprzeczą się i bawią, nie widać ani jednej chińskiej twarzy. Hanów drażnią zapachy, brud i bałagan Ujgurów, wołają więc na ogół robić zakupy w wielkim domu towarowym należącym do państwa, ponurym wprawdzie, ale uporządkowanym, który – podobnie jak wszystkie inne tego rodzaju sklepy w Chinach – nosi nazwę „sklepu stu produktów”. Można w nim nabyć te same termosy, te same spluwaczki, to samo mydło i to samo sukno, co w Szanghaju lub w Kantonie.

– Im nie podoba się to, co podoba się nam... Ich nie interesuje to, co interesuje nas... My się im nie podobamy – mówi młody Ujgur, który zanim zaczął ze mną rozmowę, nie omieszkał podkreślić: – Tak, mówię po chińsku, ale nie jestem Chińczykiem.

W każdej rozmowie z Ujgurem, której nie przysłuchuje się Han, pojawia się regularnie temat Chińczyków: „Nie smakuje im baranina... Oni nie tańczą... Oni nie umieją śpiewać”. To „oni” świadczy dobitnie o odległości, jaka dzieli jeszcze oba ludy, które mają razem żyć.

W rzeczywistości wcale razem nie żyją. Kaszgar składa się właściwie z dwóch miast, stykających się na skrzyżowaniu ulicy Wyzwolenia z ulicą Ludu. Na południu mieszkają



Chińczycy w swoich ceglanych blokach, na północy – Ujgurzy w domach z wyschniętego błota. Podział utrzymuje się nawet w dzielnicach „wzorowych”, gdzie rodziny z obu nacji mieszkają obok siebie.

W skład Zarządu Zasobów Zboża w Kaszgarze, którego zadaniem jest żywienie całego miasta, wchodzi tysiąc pięciuset urzędników wraz rodzinami; jak mówi miejscowy przewodnik, „współżyją oni nadzwyczaj spokojnie i zgodnie”. A przecież wystarczy kilka zadanych ludziom pytań, aby ustalić, że wśród rodzin ujgurskich i chińskich, mieszkających tuż obok siebie w tym samym bloku, w ciągu ostatnich trzydziestu lat nie doszło do ani jednego mieszanego małżeństwa.

Hanowie nie znają języka Ujgurów, Ujgurzy nie znają chińskiego.

– Wspólnym językiem jest socjalizm – oświadcza bez cienia ironii wicedyrektor Li Wukui.

U podstaw wszystkich trudności we wzajemnych stosunkach między oboma narodami leży fakt, że Ujgurzy uważają Hanów za cudzoziemców, którzy sprowadzili się do nich bez zaproszenia, i że Hanowie – z wyjątkiem tych, którzy obcują z miejscowymi, przystosowali się do ich obyczajów i sposobu bycia – Ujgurami gardzą. Dla przeciętnego Chińczyka Ujgurzy są na wpół dzicy i prymitywni; nierzadko można zobaczyć Chińczyka, który po przypadkowym otarciu się na ulicy o Ujgura instynktownie otrzepuje ubranie dłonią. To poczucie wyższości Hanów wobec mniejszościowych grup etnicznych nie jest bynajmniej czymś nowym.

Kiedy przed dwoma wiekami chińskie wojska zajęły ponownie Kaszgar, kiedy ucięto głowę przywódcy buntowników i wysłano do haremu w Pekinie wdowę po nim, cesarz Qianlong rozkazał wznieść w regionie kamienną stelę z wyrytym tekstem swojego edyktu: „Słuchajcie, ludzie, przez całe pokolenia postępowaliście jak złodzieje. Moźni uciskali słabych, większość uciskała mniejszość [...] lecz teraz ustanawia się tutaj władzę wielkiej dynastii Qing, a dzieje się to z woli Nieba”.

Chińscy prawodawcy rzeczywiście przywrócili wtedy w Kaszgarze porządek. Obecnie prawo Deng Xiaopinga, jego reformy i liberalizacja mogą przynieść dobrobyt temu od dawna zapomnianemu miastu.

Od 1949 roku, kiedy to do Kaszgaru przybyli komuniści, miejscowość niewiele się zmieniła. Nie zbudowano dużych fabryk, ulice są nadal z ubitej ziemi, na peryferii nie

ma jeszcze światła, zaś linia kolejowa, która – jak niejednokrotnie obiecywano – połączyć ma Kaszgar z Urumczy, a więc i z resztą kraju, dotarła dopiero do odległej o osiemset kilometrów Korli.

W odróżnieniu od wszystkich innych miast chińskich, gdzie w czasach, gdy obawiano się sowieckiej inwazji, zostały wykopane tunele i schrony przeciwlotnicze, Kaszgar takich zabezpieczeń nie posiada. Prawdopodobnie Chińczycy doszli do wniosku, że miasta i tak nie dałoby się obronić i że nie warto marnować pieniędzy. Liczyli raczej na to, że sowieckim czołgom zagrozi najskuteczniej drogę otaczająca Kaszgar pustynia.

Obecnie wobec zmiany sytuacji międzynarodowej i powolnej normalizacji stosunków z Moskwą, kiedy otwiera się granicę i przywraca handel prywatny, Kaszgar staje się jednym z ośrodków o dużym znaczeniu dla unowocześnienia Sinkiangu i eksploatacji jego zasobów. Ujgurzy będą więc mogli włączyć się w nurt życia Chin, lecz jednocześnie osłabnie ich wiara w przynależność do innej narodowości, o własnej, odrębnej kulturze.

Takie jest przeznaczenie również i pozostałych mniejszości etnicznych w Chinach. Problem rysuje się jasno w świetle statystyk: mniejszości stanowią sześć i siedem dziesiątych procent ogółu ludności kraju, lecz zamieszkują sześćdziesiąt procent jego terytorium. Ponadto zamieszkane przez mniejszości obszary należą do najbogatszych w Chinach pod względem zasobów naturalnych i posiadają nietknięte jeszcze złoża; w Sinkiangu znajduje się ropa naftowa, węgiel, mangan, uran, nikiel, złoto i tak dalej. Biorąc pod uwagę wzrost liczby mieszkańców właśnie w najgęściej zaludnionych regionach, łatwo zrozumieć, że władze pragną przemieścić masy ludzkie z Chin wewnętrznych w okolice mniej zaludnione i słabiej rozwinięte. Sinkiang, którego powierzchnia równa się połowie powierzchni Indii, jest jednym z najbardziej nadających się do tego terytoriów.

W odróżnieniu od Tybetu, gdzie wysokość nad poziomem morza uniemożliwia całkowicie masowe zasiedlenie ludnością z nizin, Sinkiang oferuje warunki klimatyczne bardzo dla Hanów odpowiednie. Dlatego też z pewnością nie przez przypadek Hu Yaobang, sekretarz generalny partii komunistycznej, w rozmowie z dziennikarzami wymienił Sinkiang jako jeden z trzech obszarów na świecie (pozostałe dwa to basen Amazonki i region Sahary) o najwyższym potencjale rozwojowym. Powiedział, że prowincja ta mogłaby bez trudu wchłonąć dwieście milionów ludzi; dzisiaj ma tylko

czternaście milionów mieszkańców.

Od 1949 roku Pekin wysyła do Sinkiangu osadników. Ten proces uległ ostatnio przyspieszeniu wraz z reaktywowaniem „korpusów produkcji i odbudowy”, formacji paramilitarnej złożonej z żołnierzy po odbyciu służby zasadniczej, którzy jadą w charakterze rolników i techników uprawiać ziemię dziewicze i budować infrastrukturę. Dotychczas trzymano te masy imigrantów Han daleko od aglomeracji miejskich i od obszarów zajmowanych tradycyjnie przez Ujgurów także i po to, aby uniknąć wzrostu niezadowolenia wśród miejscowej ludności.

Czterdzieści kilometrów na wschód od Kaszgaru, już na terytorium Takla Makan, leżało niegdyś – zanim pochłonęła je pustynia – jedno ze słynnych miast Jedwabnego Szlaku – Ha Noi (Hannuoji), Dom Królewski. Tysiąc lat temu liczyło ono osiemdziesiąt tysięcy mieszkańców. Dzisiaj z trudnością rozpoznaje się zarys jego murów, a miejsca, gdzie stały domy, trzeba odgadywać po wystających z piasku resztkach skorup z terakoty.

– Na początku stulecia cudzoziemcy wywieźli wszystko, co miało coś wspólnego ze sztuką i przedstawiało jakąkolwiek wartość – mówi urzędnik administracji miejskiej Kaszgaru. – Pozostało tylko to.

To, co pozostało, zabierają teraz Chińczycy, niepodzielający zresztą zainteresowań owych cudzoziemców, którzy złożyli przecież wywiezione skarby w europejskich muzeach. Zza wydm dochodzi dyszenie koparki, która przeorywuje teren i przesypuje ogromne góry ziemi na wielkie ciężarówki.

– Tej ziemi używają jako nawozu. Najlepszy nawóz pochodzi właśnie stąd, gdzie były kiedyś domy i gdzie trzymano zwierzęta – mówi obserwujący scenę młody robotnik. – Dwa dni temu dokopano się do stosu kości i innych rzeczy, ale chłopci wzięli tylko przedmioty z metalu. Kilka było nawet ze złota.

Odjeżdżają w pustynię ciężarówki wyładowane ziemią zmieszaną ze szczątkami starożytnego miasta, które zachwyciłyby wielu archeologów.

W oddali rysują się w wywołanej upałem mgłę baraki, zamieszkałe przez nowych osadników. Wszędzie wokół pola, które trzeba nawozić. Jest tu już sześćdziesiąt tysięcy przybyłych ostatnio imigrantów. Będzie ich więcej; ich liczba z czasem przewyższy liczbę Ujgurów.

Ponieważ obecność osadników oznacza nie tylko wzmocnienie dominacji Hanów w regionie, lecz także postęp i rozwój gospodarczy, Ujgurom będzie coraz trudniej unikać asymilacji. Podobnie jak inne mniejszości w geograficznej pułapce między dwoma potężnymi narodami, Ujgurzy nie mają dużego wyboru. O niezależnym państwie ujgurskim w ogóle nie ma co mówić, podobnie jak nie ma co marzyć o niezależnym od Pekinu Tybecie.

Ujgurzy z Kaszgaru mogliby teoretycznie przekroczyć granicę i przenieść się do współbraci mieszkających w Związku Sowieckim, ale – choć żyliby tam w nieco lepszych warunkach – byłiby przecież nadal pod obcym panowaniem. Najbardziej logicznym dla tego ludu rozwiązaniem byłoby zjednoczyć się z Hanami w dziele unowocześnienia Chin, iść z nimi równym krokiem, upodabniając się do nich coraz bardziej.

Część ujgurskiej warstwy urzędniczej już to zrobiła, odżegnując się od islamu i zapisując do szkół partyjnych. Pójdą za nimi inni, wywodzący się z gęstych szeregów ujgurskich chłopców i dziewcząt, którzy w nowych szkolnych mundurkach, łopocąc czerwonymi sztandarami, defilują w świąteczne dni, maszerują przed meczetem Id Kah, skąd patrzą na nich ze zdziwieniem i smutkiem starzy Ujgurzy w swoich opończach i zerkają ukradkiem zawoalowane kobiety.

Wszystkie siedem kin w Kaszgarze wyświetla – z dialogami po chińsku – te same filmy, które wyświetla się w całych Chinach. Miejskowa stacja telewizyjna nadaje z pięciodniowym opóźnieniem wiadomości krajowe i międzynarodowe, przekazane z Pekinu. Także i te programy są po chińsku, tylko w końcu tygodnia transmituje się ujgurskie streszczenie.

Kaszgar staje się coraz bardziej chiński. Nowe budynki administracji miejskiej są utrzymane w tym samym chińsko-socjalistycznym stylu, który przeważa w innych prowincjach. U wejścia do niektórych szkół strumyczek wody tryska z artystycznie ułożonego stosu kamieni, podobnie jak w kamiennych ogrodach Suzhou. Na wyspie pośrodku pięknego jeziora na peryferii miasta buduje się teraz małą pagodę. Będzie ona jeszcze jednym chińskim akcentem na tle przesyconego zeszlę błotem krajobrazu Kaszgaru, nad którym dominuje już gigantyczny, granitowy pomnik Mao Zedonga.

## 16. „zabij kurczaka, żeby przestraszyć mały”

masowe egzekucje

Zwykle wystarcza strzał w tył głowy. Jeśli nie, policjant odczeka kilka minut i strzela znowu – tym razem w serce.

Pod względem technicznym Chiny się unowocześniły. Natomiast co do reszty wszystko odbywa się tak, jak w dawnych czasach. Zwołuje się tłum na wielki plac albo na stadion. Oskarżeni mają ręce związane na plecach i ogolone głowy, wzrok wbity w ziemię. Wleczą się ich na środek areny, każdy nosi na piersi kartkę z wyszczególnieniem jego „zbrodni przeciwko ludowi”: kradzież, gwałt, morderstwo. Oskarżyciel wygłasza swoją mowę. Sędziowie słuchają, tłum przygląda się oszołomiony, ktoś krzyczy.

„Proces” trwa krótko. Oskarżonych jest wielu, trzeba się spieszyć. Wyrok ustalono już przedtem, brzmi on zazwyczaj: kara śmierci. Skazanych upycha się na otwartej ciężarówce i obwozi po mieście przy dźwiękach gongów i bębnów. Taka parada ciągnie się niekiedy godzinami, aby wszyscy mogli zobaczyć. Bok ciężarówki opatrzony jest pasem materiału z napisem: „Chronimy życie i mienie ludu”.

Na miejscu egzekucji – w Pekinie jest to pole w pobliżu mostu Marco Polo – skazańców ustawia się w szereg, potem muszą uklęknąć. Policjant w mundurze Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego podchodzi do każdego od tyłu i strzela ze służbowego pistoletu. Na białych afiszach z czarnym tekstem i przekreślonymi czerwonym krzyżem nazwiskami skazanych widnieją wykazy przeprowadzonych egzekucji. Ludzie zbierają się przed nimi i czytają w milczeniu te pięć lub sześć linijek o każdym poszczególnym przypadku.

Kampania rozpoczęła się we wrześniu 1983 roku po uchwale Ogólnochińskiego Zgromadzenia Przedstawicieli Ludowych, wnoszącej poprawkę do wprowadzonego właśnie w życie kodeksu karnego; poprawka zniosła wiele ograniczeń dotyczących wydawania wyroków śmierci. Dochodzenie należy zakończyć w ciągu trzech dni; oskarżonego nie zapoznaje się już z aktem oskarżenia; wyroków śmierci nie musi już zatwierdzać Sąd Najwyższy.

– Mogą cię zaaresztować we wtorek i rozstrzelać w sobotę – mówi mi młody mieszkaniec Pekinu.

Do dwudziestu dwóch rodzajów przestępstw, za które była przewidziana kara śmierci, dodano teraz z mocą wsteczną siedem, między innymi: kradzież w okolicznościach obciążających, gwałt oraz „sprzedaż kobiet i dzieci”.

Partyjna prasa rozpisała się należycie o tej kampanii przeciwko przestępczości. W ciągu trzech miesięcy aresztowano już siedemset tysięcy osób. Poproszona o współpracę ludność zareagowała znakomicie: według pierwszych oficjalnych danych do policji wpłynęło czterysta czterdzieści tysięcy spontanicznych donosów od obywateli, oskarżających przeważnie swoich sąsiadów.

Liczbę wykonanych w całym Chinach wyroków śmierci utrzymuje się jeszcze w tajemnicy, ale według szacunkowych danych wynosi ona od czterech do dziesięciu tysięcy. Ludzie reagują na ogół pozytywnie. „Trzeba było wreszcie kogoś rozstrzelać”, „Bez tych zbójów w mieście będzie więcej porządku”, „Teraz będziemy spokojniejsi” – oto komentarze, jakie słyhać najczęściej wśród osób zbierających się przed afiszami zawiadamiającymi o egzekucjach.

Przyczyny tej pozytywnej reakcji są ogólnie znane. Przez cztery ostatnie lata, to jest od początku reformatorskiej polityki Deng Xiaopinga, przestępczość znacznie wzrosła. Wiezorami wiele osób bało się wychodzić samotnie z domu, bardzo dużo przestępstw pozostawało niewykrytych. Zgodnie z oficjalnymi statystykami od 1980 do 1983 roku miało miejsce w Chinach czterdzieści tysięcy morderstw, ale policja zdołała schwytać tylko cztery tysiące winnych.

– Dopiero teraz, kiedy jemu się to przytrafiło! – mówią ludzie.

W Pekinie opowiada się, że kampanię przeciw przestępczości rozpoczęto po tym, jak na samochód, którym Deng Xiaoping i Li Xiannian jechali w kierunku Beidaihe, napadła grasująca od dawna w tamtych stronach banda; jeden z ich ochroniarzy zginął jakoby od zadanych mu nożem ciosów. Według innej wersji kampanię przeciw przestępczości rozpoczęto, kiedy zgwałcona przez jakiegoś chłopaka w publicznej toalecie w Pekinie córka jednego z wiceministrów napisała do partii list z żądaniem skazania gwałciciela na śmierć. Pogryziona w pierś i w pośladki dziewczyna miała zagrozić, że w przeciwnym wypadku popełni samobójstwo pośrodku placu Tiananmen.

Dla lubiących opowiadać różne historie Chińczyków obie te wersje dowodzą przede wszystkim, że czołowi przywódcy kraju pojęli wreszcie, z jakiej przyczyny lud codziennie cierpi, i postanowili przeciwdziałać.

W Chinach przestępczość istniała od zawsze. Nawet wtedy, gdy maoistowskie władze zaklinały się, że w kraju nie ma ani przestępców, ani więźniów i że ludzie nie powinni niczego się obawiać, wystarczyło spojrzeć na rowery, aby stwierdzić, że wszystkim brakowało reflektorów, a żadnemu – wielkiej kłódki, oczywiście ze względu na złodziei.

Nowością jest nagły wzrost liczby przestępstw (według statystycznych danych za lata 1978–1981 aż o sześćdziesiąt procent) oraz pojawienie się zjawisk takich jak korupcja (zwłaszcza wśród urzędników państwowych), którą przedtem udawało się zwalczyć. Na prestiżu partii odbił się ujemnie szereg epizodów dotyczących wysokich rangą urzędników udzielających protekcji swoim dzieciom i krewnym, zamieszany w poważne skandale. Należało koniecznie dać przykład surowości i bezstronności: w październiku 1983 roku siostrzeniec marszałka Chu De, bohatera narodowego, i jego trzech wspólnicy – wszyscy byli synami komisarzy politycznych Armii Wyzwoleńczej – stanęli przed sądem w Tiencinie i zostali skazani na śmierć za kradzież, gwałt i inne przestępstwa. W Pekinie mówią, że wdowa po marszałku, a babka głównego oskarżonego, przewodnicząca Ogólnochińskiej Ligi Kobiet, udała się osobiście do Deng Xiaopinga prosić o łaskę; ten zwołał jednak zebranie Politbiura, na którym większością głosów uchwalono, że strzał w potylicę jest konieczny.

Podobne epizody mają dowieść, że wszyscy są równi wobec prawa. Niemniej jednak kampania przeciwko przestępczości przez sam sposób, w jaki jest prowadzona, świadczy o tym, że Chiny – gdzie zaledwie cztery lata wcześniej zatwierdzono nowe kodeksy, głosząc, iż metody rewolucji kulturalnej zostały już definitywnie zapomniane i że kraj jest wreszcie „państwem prawa” – znajdują się jeszcze bardzo daleko od swojego celu.

Bardzo mało ma z prawem wspólnego sposób, w jaki ludzi się aresztuje, osądza przed trybunałem ludowym, stawia pod pręgierzem, a wreszcie wysyła przed oblicze Stwórcy strzałem w tył głowy.

W dokumentach wewnątrzpartyjnych kampanię przeciw przestępczości ogłoszono pod hasłem: „Zaaresztujcie stu, skażcie na śmierć jednego”. Ona także, podobnie jak „akcja sadzenia drzew”, ma swoje limity i wyznaczony czas, w jakim należy je osiągnąć.

Krążą słuchy, że opierając się na ustalonej ogólnej liczbie osób, mających w ciągu jednego roku ponieść karę śmierci w całym kraju, skalkulowano dla wszystkich prowincji, okręgów i miast limity liczbowe, których należy obowiązkowo przestrzegać. Opowiada się więc, że w pewnych okolicach policja, nie mogąc skompletować odpowiedniej liczby przestępców do likwidacji, chwyta miejscowych półgłówków i oskarża ich o gwałt po to, aby wykonać plan egzekucji.

Nawet chińskie Stowarzyszenie Prawników wyraziło wątpliwości w sprawie tej kampanii, stwierdzając, że masowe egzekucje „niszczą ponownie ustalony bardzo niedawno system prawny”. Inni skrytykowali owo zaostrenie kar jako „represje o feudalnym charakterze”. Inni jeszcze, podkreślając, że połowa skazanych na śmierć to młodzi ludzie poniżej dwudziestego piątego roku życia, oskarżają Deng Xiaopinga i innych przywódców o dokonywanie pokoleniowej zemsty starych – ofiar rewolucji kulturalnej na młodych, którzy ją przeprowadzali.

Amnesty International wyraziła swoje wątpliwości i troskę z powodu fali egzekucji.

Kampania przeciw przestępczości umożliwia bez wątpienia – zwłaszcza na prowincji – załatwianie starych porachunków, a policji pozwala wzmocnić kontrolę nad ludnością. Praworządność jest tu sprawą całkiem drugorzędną, sprawujący władzę może nawet w ogóle nie biorą jej pod uwagę.

Wystarczy jeden przykład. W Shijiazhuangu, głównym mieście prowincji Hebei, osiemnastoletni robotnik miał starszą od siebie kochankę, którą po kilku miesiącach porzucił. Kobieta oskarżyła go wówczas o gwałt. Młodego człowieka aresztują, prowadzą przed oblicze ludowych sędziów i skazują na osiem lat więzienia. Skazany oświadcza, że wyrok jest niesłuszny i że nie zgadza się z nim. Sędziowie na to, że może apelować. On odpowiada, że wszystko to na darmo i że nie pozostaje mu nic innego, jak odsiedzieć osiem lat, a potem kobietę z zemsty zabić. Wtedy sędziowie odwołują wydany przed chwilą wyrok, gdyż dochodzą do wniosku, że młody człowiek jest z pewnością osobnikiem aspołecznym i niebezpiecznym, najlepiej więc od razu się z nim rozprawić, zamiast czekać osiem lat, aż popełni morderstwo. Wyrok śmierci zostaje wykonany.

Kampania przeciwko przestępczości łączy się więc nie tyle z prawem, co z polityką. Akcję przeciw przestępcom Deng Xiaoping rozpoczął w przeddzień ogłoszenia kampanii „naprostowania” wewnątrz partii, to jest czystki wobec przeciwników jego linii



politycznej. Każe to przypuszczać, że egzekucje kilku tysięcy młodych ludzi – przestępców i nie – są także ostatnim, groźnym ostrzeżeniem dla tych, którzy w łonie partii się z Dengiem nie zgadzają.

Mający przysłowie na każdą okazję Chińczycy cytują na ten temat następujące: „Zabij kurczaka, żeby przestraszyć małpy”.

# 17. „Chińczycy nie są przyzwyczajeni żyć bez cesarza”

kampania przeciw wypaczeniom duchowym

Na skrzyżowaniu ulicy Wangfujing i alei Długiego Pokoju, dokładnie przed hotelem Pekin, ogromna, uroczysta twarz Mao dominuje od wielu dni nad morzem rowerów i przechodniów. Nieco bardziej na południe, na placu Perłowym, inny olbrzymi, ale młodszy Mao, wymalowany na ścianie, kieruje pierwszą wielką bitwą Długiego Marszu. To po prostu reklamy dwóch nowych filmów wyświetlanych dwudziestego szóstego grudnia, w dziewięćdziesiątą rocznicę urodzin Wielkiego Sternika. Dla przeciętnego Chińczyka, przyzwyczajonego do wyczuwania najmniejszych zmian politycznych, komunikat przekazywany przez te dwa malowane farbą olejną portrety ma jednak oczywistą wymowę: Mao jest znowu w modzie.

Mao był głównym – chociaż niewymienionym z nazwiska – oskarżonym w procesie bandy czworga; w tekście ważnej uchwały partyjnej wskazano na niego jako na odpowiedzialnego za błędy rewolucji kulturalnej; zdjęto wszystkie jego portrety z publicznych gmachów w Chinach, oszczędzając jedynie portret na Bramie Niebiańskiego Spokoju. Mao stał się „osobą nieistniejącą”<sup>26</sup>, jego nazwisko nie padało prawie nigdy, jego mauzoleum było przeważnie zamknięte, o związanych z jego postacią rocznicach systematycznie zapominano. Teraz niespodziewanie Chiny znowu o nim mówią.

Z okazji rocznicy oprócz obu filmów ukazuje się około pięćdziesięciu poświęconych mu książek. Jego dom rodzinny, który zniknął prawie z mapy Chin – a był przecież swojego rodzaju socjalistycznym Betlejem – odrestaurowano i otwarto dla zwiedzających; przyległe muzeum uporządkowano i poszerzono. Myśl Mao stanowiła temat ważnego, całotygodniowego sympozjum, które odbyło się w mieście Nanning; pisała o tym obszernie prasa.

Poglądy Mao na sztukę wojenną, uznane przedtem za nieaktualne już i bezużyteczne, są teraz odkrywane na nowo, wychwala się je w oficjalnych publikacjach. Na listę lektur obowiązkowych dla członków partii wróciły dziesiątki tekstów Mao, a wśród nich część tych właśnie, które zawierała „czerwona książeczka”.

Na dodatek jest obecnie w toku ogólnokrajowa kampania przeciwko tak zwanym „wypaczeniom duchowym”, której tony (na przykład antyintelektualizm) i cele, w jakie mierzy (wartości burżuazyjne, wpływy Zachodu) przypominają blisko tony i cele rewolucji kulturalnej, rozpoczętej z woli Mao w 1966 roku.

Czyżby Chiny powracały zatem do maoizmu?

– Bynajmniej – twierdzi pewien zagraniczny obserwator – nie jest to powrót do maoizmu, lecz jego rewizja. Deng Xiaoping wyjaśnia teraz Chinom, co Mao naprawdę powiedział.

Hipoteza wydaje się uzasadniona. Po siedmiu latach u władzy Deng musi jeszcze umocnić swoją pozycję w partii i w kraju oraz przygotować teren dla swoich następców – ludzi, których postawił już na czele rządu (Zhao Ziyang) i partii (Hu Yaobang).

Doświadczenia ostatnich lat i czynione w różnych kierunkach próby przekonały Denga, że owe cele można osiągnąć jedynie, utrzymując pewną ciągłość, dbając o pewną więź między przeszłością a przyszłością. Tą więzią może być tylko Mao.

Droga „demaioizacji”, którą Deng na początku kroczył, szybko okazała się pełna niewiadomych i niebezpieczeństw. Podanie w wątpliwość jednego dogmatu powodowało automatycznie podważenie wszystkich innych; pogłębianie analizy „niektórych błędów” prowadziło do wyeksponowania wszystkich błędów. Mao odpowiadał przecież za rewolucję kulturalną i związane z nią zbrodnie, lecz także za „wielki skok naprzód” i za kampanię przeciw elementom prawicowym – przedsięwzięcia szaleńcze i wysoce niesłuszne.

Z wychwalanych pod niebiosa Nowych Chin, zrodzonych w 1949 roku, zostałyby bardzo niewiele, gdyby wszystko, czego dokonano, poczynając przynajmniej od 1957 roku, okazywało się tak czy inaczej błędne. Co można było uratować z „dalekosiężnej i zawsze słusznej polityki” partii komunistycznej? A jeśli przeszłość była tak przepełniona błędami, jak zagwarantować ludziom, że teraźniejszość, a zwłaszcza przyszłość, będą całkiem inne?

Przez trzy dziesięciolecia wbijano ośmiuset milionom chłopów w głowy, że zawdzięczają Mao swoje wyzwolenie. Nauczyli się go wielbić; gdyby teraz im tej adoracji zabroniono, mogłoby to mieć poważne konsekwencje. Mao był w końcu założycielem Chińskiej Republiki Ludowej i takim pozostaje, Mao jest wiążącym Chiny

spoiwem.

Dlatego Deng wstrzymał demaoizację i występuje teraz nie jako niszczyciel maoizmu, lecz jako wzbogacający go kontynuator. Deng nie jest prostaki, nie wznawia kultu jednostki, jak próbował robić Hua Guofeng, który zmienił nawet uczesanie, aby upodobnić się do Mao. Pozwala jednak, aby jego publiczny wizerunek przypominał wizerunek Przewodniczącego, aby nawiązywał doń w jakiś sposób. W Szanghaju wydrukowano plakat, na którym Deng króluje nad zastępami żołnierzy i inteligentów zupełnie tak samo, jak Mao na plakatach z czasów rewolucji kulturalnej. Wszystkie gazety publikują zdjęcie Denga pływającego w morzu, całkiem podobne do słynnej fotografii, na której Mao przepływa Błękitną Rzekę.

– Wydaje się, że ten kraj nie może żyć bez cesarza – mówi mi chiński przyjaciel. – Zbytńio jesteśmy do tego przyzwyczajeni.

Deng wypełnia teraz zostawioną przez Mao próżnię. Nie przez przypadek właśnie on – na wzór cesarzy, którzy w podobny sposób oddawali hołd swoim poprzednikom – skreślił własnoręcznie ideogramy na pamiątkową tablicę, którą wmurowuje się w ścianę rodzinnego domu Mao.

„Deng Xiaoping to człowiek, który dzięki swojej doskonałej znajomości marksizmu-leninizmu przyczynił się w zasadniczej mierze do obrony i wzbogacenia myśli Mao” – napisał partyjny ideolog, komentując wydane w czterdziestu milionach egzemplarzy *Dzieła wybrane Deng Xiaopinga*. Deng Xiaoping, obrońca wiary, jest więc prawdziwym następcą Mao Zedonga.

Ale jakiego Mao? Oczywiście nie tego od rewolucji kulturalnej, lecz tego, który pasuje do prowadzonej aktualnie polityki – Mao, który oświadczył publicznie, że wszyscy członkowie partii powinni uczyć się dialektyki od Deng Xiaopinga; Mao, który o Dengu powiedział: „To człowiek niezwykle utalentowany i znakomity ideolog”. Obszernie pisze teraz o tym prasa.

Przywołując z powrotem Mao w przejrzaney i poprawionej wersji oraz przedstawiając siebie samego jako obrońcę Wielkiego Sternika wzbogacającego jego myśl, Deng Xiaoping szykuje się w rzeczywistości do ataku na niedobitki maoistów: zawłaszczając Mao, pozbawia ich najskuteczniejszej broni.

W dzisiejszych Chinach lewica jest mocno osłabiona, lecz istnieje. Ortodoksyjni

maoiści stracili swoich przywódców z najwyższego szczebla aparatu władzy (marszałek Ye Jianying jest wiekowy i sparaliżowany; Hua Guofeng jest politycznie skończony i umiera na raka), są jednak obecni w łonie niższej i średniej kadry partyjnej, w wojsku i administracji państwowej. Mogą więc utrudniać realizację reform Denga i próbować przywrócić ustrój o radykalnym charakterze.

Na prawicy Deng ma wrogów innego rodzaju, którym również musi się teraz przeciwstawić.

Walka na obu frontach przebiega równolegle i równoważą się, bo każda ze zwalczanych przez Denga stron jest zadowolona z tego, co robi on drugiej. Deng może więc żywić nadzieję, że wygra, że umierając, zostawi Chiny „dengistowskie”.

– Deng jest teraz silniejszy niż Mao kiedykolwiek, nawet u szczytu swojej potęgi – twierdzi jeden z amerykańskich analityków.

Kampania przeciw lewicy nazywa się „naprostowaniem” i oznacza w gruncie rzeczy polowanie na pewnych ludzi („naprostowanie polega na demaskowaniu elementów uporczywie sprzeciwiających się partii i szkodzących jej” – czytamy w dokumencie przyjętym przez Komitet Centralny w październiku 1983 roku). „Kampania przeciwko wypaczeniom duchowym” to przede wszystkim polowanie na myśli pod płaszczykiem moralizujących apeli.

– Musimy zwalczać wszystko, co sprośne, barbarzyńskie, wulgarne i reakcyjne – powiedział Deng Liqun, kierownik Biura Propagandy partii i wódz tej krucjaty.

Sprośność ustalić łatwo. W Szanghaju dziewczyna idzie wywołać zrobione sobie z narzeczonym fotografie; zostaje zaareztowana, bo w ciemni niektóre pozy na zdjęciach okazały się nieprzyzwoite. W kantońskim hotelu przerywa się w połowie występ piosenkarki; musi ona zapłacić grzywnę i odejść, ponieważ ma na sobie spódnicę ze zbyt głębokim rozcięciem. W Xi’an aresztuje się grupę młodych ludzi, bo dysponując wideokasetą z godnym uwagi filmem pornograficznym, urządzali prywatne seanse (cena biletu: dwadzieścia juanów); w Kantonie o wiele bardziej przedsiębiorcza grupa zorganizowała w ukryciu ośrodek powielania wideokaset z pornograficzną treścią.

„Sprośnym” okazuje się jednak także młody pisarz utrzymujący, że sztuka jest środkiem osobistej ekspresji. „Sprośny” jest student, który twierdzi, że demokracji nie da

się pogodzić z systemem jednopartyjnym. „Sprośni” są intelektualiści, którzy wolą czytać Sartre’a niż Marksa. Policja dochodzi do wniosku, że w jednej z bibliotek w Syczuanie około tysiąca książek jest „wulgarnych” i że trzeba je skonfiskować. Z dwudziestu jeden czasopism publikowanych w prowincji Hubei sześć zostaje po upadku bandy czworga uznane za „bardzo złej jakości” i powoduje to ich zamknięcie.

„Wypaczenia duchowe” wyglądają na nieoszczędzającą nikogo chorobę, która objawia się pod różnymi postaciami. W Tybecie, gdzie nawet „wysokie góry i wielkie rzeki nie zdołały powstrzymać wypaczeń” (według Radia Lhasa) ta zaraza występuje jako „odradzenie się religijności i przesądów”; w prowincji Ningxia – jako plakaty reklamujące towary z Zachodu. Nie ominęła nawet chińskich sportowców, „zwłaszcza tych, którzy weszli w styczność z zagranicą, z dekadencją ideologią i systemem kapitalistycznym”. „Młodzież przywiązuje większą wagę do formy fizycznej niż do przygotowania ideologicznego, myśli już przede wszystkim o pieniądzach, o własnym interesie i o sławie” – napisał „Dziennik Sportowy”.

Według oficjalnej prasy panosząca się zaraza jest najgroźniejsza dla kręgów artystyczno-literackich. Krytykuje się nawet fantastykę naukową, ponieważ „kosmiczne stwory i roboty służą do wzbudzania wątpliwości co do polityki partii i socjalizmu”, jak stwierdzono w podsumowaniu specjalnego seminarium, przeprowadzonego w Szanghaju na temat tego gatunku literackiego, który zdobył sobie w Chinach niezwykłą popularność.

W imię „kampanii przeciw wypaczeniom duchowym”, przypominającej wielu rewolucję kulturalną, portugalski zespół baletowy zaraz po przybyciu do Chin musiał zmodyfikować swój repertuar, uznany za zbyt „modernistyczny”. W Urzędzie Miejskim w Pekinie urzędnicy musieli zgolić sobie wąsy; w prasie pochwalono fryzjera, który odmówił robienia mężczyznom trwałej ondulacji; setki młodych ludzi poddano krytyce na zebraniach za to, że zbyt ekscentrycznie się ubierali.

– Kiedy rano się ubieram, nie wiem, co mam założyć, żeby szefowie nie powiedzieli mi, że jestem „zatruta” – skarży się ekspedientka w jednym z pekińskich domów towarowych.

Ofiarą tej kampanii zaczęły padać także postacie należące do wysokich sfer: dwóch z najświetniejszych dziennikarzy „Dziennika Ludowego” straciło posady, zaś pisarz Bai

Hua, znany autor publikacji krytykujących Mao, został zaatakowany jako „przedstawiciel linii politycznej sprzecznej z socjalizmem”.

Pornografia, długie włosy, roboty, religia, Freud i tak dalej... Czego ten Deng jeszcze chce?

– Otworzył okno, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza, a teraz chce wytepić wszystkie muchy, które wraz z tym świeżym powietrzem do Chin wleciały – zauważa pewien amerykański obserwator.

Denga martwią nie tyle owe „muchy” w kraju, który on otworzył na technologię, na turystykę i na pomysły z Zachodu, ile fakt, że partia komunistyczna ze swoimi kampaniami za i przeciw, z totalną „maoizacją” najpierw i próbą „demaioizacji” potem, obawia się teraz utracić moralne prawo do rządzenia krajem.

Jeszcze kilka miesięcy temu ten problem określany mianem „kryzysu zaufania” tłumaczono przede wszystkim chaosem, wywołanym przez radykałów ich rewolucją kulturalną. Teraz nazywa się go „wypaczeniami duchowymi” i przypisuje w pierwszym rzędzie wpływom Zachodu, lecz chodzi w gruncie rzeczy o to samo niebezpieczeństwo. Zagrożenie polega na tym, że partia komunistyczna utraciła wiarygodność i prestiż, że przestaje się ją szanować, że trudno jej już utrzymać w ryzach intelektualistów, że ludzie coraz częściej zaczynają uważać komunizm – pisze o tym nawet oficjalna prasa – za „niemożliwy do urzeczywistnienia sen”.

Spółeczeństwo chińskie doby „po odejściu Mao” nie jest już z pewnością społeczeństwem z pierwszych lat po Wyzwoleniu, za którymi tęsknią teraz starzy rewolucjoniści, jak Deng Xiaoping, którego czasy wspominają oni jako wiek złoty i które pragnęliby odtworzyć. Ludzie byli wtedy pełni dobrych chęci, gotowi do poświęceń dla kraju i dla jego odbudowy. Obecnie już tak nie jest. Wojsko nie może znaleźć ochotników na odpowiednim poziomie, partii trudno o młodych kandydatów, którzy nie chcieliby legitymacji jedynie z czystego oportunistu. Młodzież straciła wiarę, społeczeństwo straciło swoją spójność, co tłumaczy wzrost przestępczości. Skorumpowana jest sama partia (trzydzieści procent przestępstw gospodarczych, o których powiadomiono opinię publiczną w ubiegłym roku, popełnili urzędnicy partyjni). Ostro zwalczane przez trzydzieści lat religia i przesady odradzają się nawet wśród wychowanej w socjalistycznych szkołach młodzieży, a niektórzy intelektualiści

zaczęli już mówić o alienacji w społeczeństwie socjalistycznym.

To właśnie okazało się kroplą, która przepełniła czarę, wywołując kampanię przeciw „wypaczeniom duchowym”.

Z okazji setnej rocznicy zgonu Karola Marksa Zhou Yang, wiceprezes Związku Artystów i Pisarzy, od niepamiętnych czasów zaliczający się do grona osób kierujących polityką kulturalną kraju, napisał w „Dzienniku Ludowym”, głównym organie partii, że należy godzić marksizm z humanizmem, że marksizm zapomina często o wartości istoty ludzkiej i że mimo wyraźniej wyższości społeczeństwa socjalistycznego nad kapitalistycznym, „także i socjalizm dotknięty jest alienacją”; lepiej to wyznać, aby móc złu się przeciwstawić. Wielkie nieba! Artykuł wywołał prawdziwą burzę. Wydział Propagandy Komitetu Centralnego partii zakazał cytować go w innych publikacjach. Teorię natury ludzkiej i myśl, że punktem wyjściowym marksizmu jest człowiek, zaatakowano jako odpowiedzialne za całą „szkodliwą literaturę, w której mowa o swobodach demokratycznych, indywidualnej emancypacji, anarchizmie, nihilizmie i negatywności” (według „Guang Ming”, dziennika inteligencji).

Po ośmiu miesiącach Zhou Yang musiał wszystko odwołać, napomknął jednak w swojej samokrytyce: „Pisząc o pewnych rzeczach, okazałem się zbyt nieostrożny”. Zdjęto ze stanowisk redaktora literackiego i kierownika działu w redakcji „Dziennika Ludowego” – najwyraźniej za to, że pozwolili wydrukować artykuł Zhou Yanga. Skrytykowano szereg intelektualistów, którzy w ślad za nim wypowiedzieli się w podobnym tonie. Wydział Filozofii szanghajskiego Uniwersytetu Fudan przyznaje, że była tam mowa o „ideach sprzecznych z niektórymi podstawowymi zasadami marksizmu”, a uczelniany komitet partyjny zobowiązuje się zbudować „w umysłach wykładowców i studentów Wielki Mur przeciw duchowym wypaczeniom”.

Zaatakowano za „brak patriotyzmu” Bai Hua, autora filmu *Gorzka miłość*, który został wycofany z obiegu, ponieważ bohater wymawia w nim w pewnej chwili zdanie, słynne teraz w całym Chinach: „Ja kocham moją ojczyznę, ale czy ona mnie kocha?”. Pisarka Ding Ling, podpora prawomyślności kulturalnej, która od dwudziestu lat nie napisała dobrej powieści, wzięła teraz do ręki pióro, aby potępić artystów, których zdaniem im mniej partia kontroluje kulturę, tym lepiej. Ona natomiast jest przekonana, że partia winna bezwarunkowo czuwać nad twórczością literacką.



Powraca stara taktyka komunistyczna: mieć artystę, który napadnie na innych; niech intelektualiści rozszarpują się między sobą.

– Pewni ludzie próbowali zanegować kierowniczą rolę partii, utrzymując, że sztuka powinna być wolna jak dziki koń – zagrział szef komórki partyjnej w prowincji Anhui na manifestacji publicznej przeciwko „wypaczeniom duchowym”, które oznaczają w jego ujęciu „rozpowszechnianie dekadentkich ideałów burżuazji, szerzenie niewiary w socjalizm, w komunizm i w kierowniczą rolę partii komunistycznej”.

W listopadzie 1983 roku „Dziennik Ludowy” przedstawił sprawę „wypaczeń” następująco: „Nie zwracaliśmy dotąd należytej uwagi na skłonności prawicy ideologicznej [...] są między nami tacy, co pod pretekstem popełnionych przez partię podczas rewolucji kulturalnej błędów negują teraz jej kierowniczą rolę”.

Rzecz w tym, że po śmierci Mao i usunięciu tak zwanej bandy czworga Deng Xiaoping musiał – także dla zyskania popularności – „pozwolić ludziom odetchnąć”, jak wtedy mówiono; musiał złagodzić kontrolę i zezwolić na pewną swobodę wypowiedzi (Ściana Demokracji i „pekińska wiosna”), co było mu zresztą na rękę, bo szkodziło ultralewicy.

Z tej polityki zrodziło się jednak także wiele wahań i wątpliwości w łonie samej partii. Dlatego staje teraz pod znakiem zapytania nie tyle pozycja Denga i jego następców, co przyszłość Komunistycznej Partii Chin jako siły kierującej krajem.

Dlatego pragnący zajmować się sprawami ludzi pisarze, dyskutujący o egzystencjalizmie profesorowie i domagający się wielopartyjności studenci stają się „sprośni” tak samo, jak handlarze filmami pornograficznymi na wideokasetach i dziewczyna, która fotografuje się z narzeczonym w nieprzyzwoitych pozach. Wina – tak ją nazwijmy – leży całkowicie po stronie wpływów z Zachodu, które dotarły do Chin za sprawą polityki otwartych drzwi.

Kampania przeciwko wypaczeniom, skutkiem której w kraju zaczęła już się rodzić atmosfera terroru zbliżona do tej z lat rewolucji kulturalnej, po kilku tygodniach gwałtownych napaści werbalnych przycichła, później odstąpiono od niej zupełnie. Jednak sam fakt, że została podjęta, że najwyższe władze partii ją zaaprobowały, dowodzi, iż mentalność właściwa łowcom czarownic istnieje nadal, a mechanizm represji znajduje się w dobrym stanie, gotów do działania w każdej chwili, gdy tylko zechce się go uruchomić.

Deng nie może zrezygnować z polityki otwarcia na świat zewnętrzny. Tylko tak może unowocześnić kraj i podnieść stopę życiową ludności, do czego dąży. Będzie jednak musiał od czasu do czasu zgniatać „muchy” swobody myśli i okcydentalizacji, które wraz z tym otwarciem się pojawiły.

Kampania przeciwko „wypaczeniom duchowym” była jedynie ostrzeżeniem, skierowanym także do kierownictwa Nowego Zakazanego Miasta.

Premier Zhao Ziyang lubi ubierać się po europejsku; gdy jedzie za granicę, zabiera ze sobą zawsze kilka pięknych garniturów i dwadzieścia krawatów. Jednak ostatnio, przyjmując w Pekinie cudzoziemskich dostojników, wystąpił znowu w klasycznej kurtce w stylu Mao.

# 18. „teraz zaczynamy twoją reedukację”

zostają wydalony z Chińskiej Republiki Ludowej

– Przyznaj się, przyznaj do swoich zbrodni, a władza ludowa potraktuje cię łaskawie. Ale jeśli coś zataisz, kara będzie bardzo surowa... Przyznaj się. Dla twojego dobra... Pomyśl o przyszłości... Przyznaj się.

Pięciu chińskich policjantów w niebieskich mundurach przygląda mi się, a metaliczny głos przesłuchującego mnie godzinami dociera do moich uszu jakby z bardzo, bardzo daleka. Mam w głowie zamęt wywołany zmęczeniem, huśtawką gróźb i obietnic; mój umysł jest morzem usianym szczątkami przeżyć i wspomnień.

– Przyznaj się. Znamy twoje przestępstwa. Masy ludowe obserwowały cię od dawna – włącza się drugi przesłuchujący.

Przypominam sobie przeczytane dawno temu książki: *Więzień Mao* Jeana Pasqualiniego, Francuza, który spędził siedem lat w chińskich więzieniach; *Zakładnik w Pekinie* angielskiego dziennikarza Anthony’ego Greya, któremu przez dwadzieścia sześć miesięcy nie wolno było opuszczać swojego mieszkania. Przypominam sobie opowiadania o przesłuchaniach w czasie rewolucji kulturalnej, relacje o praniu mózgow autorstwa Chińczyków i cudzoziemców, więzionych w chińskich gułagach w przeszłości. Ale to nie przeszłość, to nie czasy bandy czworga. To rok 1984 i nie chodzi o „nich”, o tamtych. Chodzi o mnie dzisiaj. Nie mogę nie uśmiechnąć się na myśl o sobie samym jako „zakładniku Deng Xiaopinga”.

– Jakie przestępstwa? – pytam.

– Już ty dobrze wiesz, i lepiej, żebyś szybko się przyznał. Mów, nie kręć! Przyznaj się.

Wszystko zaczęło się pierwszego lutego, kiedy pojechałem do Hongkongu. Na przejściu granicznym Gongbei między Chinami a portugalską kolonią Makau chińscy celnicy przeszukali mnie od stóp do głów i skonfiskowali wisiołek-talizman, ofiarowany mi przez żonę w 1975 roku, kiedy po uwięzieniu przez Czerwonych Khmerów w Kambodży cudem udało mi się uciec. Ten przynoszący szczęście wisiołek towarzyszył mi odtąd zawsze, chińską granicę przekraczałem z nim tam i z powrotem dziesiątki razy. Celnicy wydali mi pokwitowanie i powiedzieli, że mogę wystąpić w Pekinie o jego

ewentualny zwrot.

W tydzień później wracam samolotem do Pekinu. Na cle prowadzą mnie znowu na bok i dokładnie rewidują. Konfiskują mi tym razem dwa wydawane w Hongkongu chińskie czasopisma, które moje biuro w Chinach otrzymuje zresztą regularnie pocztą. Procedura konfiskaty przeciąga się. Pojąłem dopiero później, że sprawę załatwiano tak wolno jedynie po to, aby wszyscy pasażerowie zdążyli sobie pójść i aby nie było świadków tego, do czego miało dojść.

Kiedy naczelnik straży celnej oznajmił mi wreszcie z uśmiechem: „Możesz iść”, lotnisko całkowicie opustoszało, wszyscy inni pasażerowie zniknęli. Martwię się, czy znajdę taksówkę, która mnie odwiezie do domu.

Przy wyjściu zatrzymuje mnie młody policjant:

– Nazywasz się Deng Tiannuo? (moje chińskie nazwisko składa się z określenia rodziny – Deng, jak Deng Xiaoping, oraz z dwóch innych znaków o treści: „obietnica Nieba”).

– Tak, to ja.

– Pójdiesz ze mną.

Jest kwadrans po dziesiątej wieczorem ósmego lutego. Wchodzimy na pierwsze piętro budynku lotniska, sadzają mnie na krześle w małym pokoiku. Naprzeciwko mnie siedzi dwóch policjantów, przyglądają mi się w milczeniu.

– Mogę zadzwonić? – pytam.

Mówią, że nie ma tu telefonu i że zaraz przyjdzie szef, żeby ze mną porozmawiać.

Drzwi są na wpół otwarte. Widzę więcej policjantów w pełnym dymu pokoju po drugiej stronie korytarza. Słyszę dzwonek telefonu, ale nie dociera do mnie prowadzona rozmowa.

Po całej godzinie wchodzi oficer – wysoki, chudy, z okularami o grubych szklach na krzywym nosie. Trzyma w ręku niewielką kartkę papieru, widzę u dołu czerwoną pieczętkę, stawianą na chińskich dokumentach urzędowych. Przygotowuje się do czytania, a ja odruchowo wyciągam notes i pióro.

– Odłóż – mówi. – To nie pora na robienie notatek.

– Ale ja jestem dziennikarzem – oponuję.

– Jakim tam dziennikarzem! – śmieje się. – Jesteś kanalią, kryminalistą. Siadaj! –

Trzymając kartkę w obu dłoniach, czyta głośno, jakby to było wypowiedzenie wojny: – Deng Tiannuo... w imieniu rządu ludowego, na podstawie paragrafu trzydziestego ósmego kodeksu postępowania karnego Chińskiej Republiki Ludowej, podaję ci do wiadomości, że zostałeś zatrzymany na przesłuchanie. Kazano mi odstawić cię do Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Pekinie. Jesteś teraz pod moimi rozkazami.

Pokazuje mi kartkę, wskazuje na podpis szefa Urzędu w Pekinie i żąda, żebym podpisał. Odmawiam:

– Chcę przede wszystkim zatelefonować do ambasady włoskiej lub niemieckiej.

Dowiaduję się, że nie wolno mi już kontaktować się ze światem zewnętrznym.

Idę do wyjścia z bagażami, które wydają mi się z każdą chwilą coraz cięższe, w towarzystwie pół tuzina policjantów. Przechodzimy przed postojem taksówek, gdzie – wiem o tym – jest kilka telefonów. Próbuję podejść do jednego z nich, ale powstrzymuje mnie silna ręka. Ten drobny akt przemocy uświadamia mi, że nie jestem już wolny. Czarny mercedes z zaciągniętymi firankami wiezie mnie, ściśniętego między dwoma policjantami na tylnym siedzeniu, w stronę Pekinu. Podczas długiej jazdy bez słowa widmowymi ulicami stolicy kłębią się w mojej głowie koszarne myśli.

Spędziłem w Chinach cztery lata i słyszałem przerażające historie o ludziach więzionych przez tę budzącą postrach policję. Wiedziałem o wielu, którzy za drobne przewinienia lub całkiem bez winy znikali na całe lata w obozach pracy, nie zobaczywszy nigdy sędziego, nie stanąwszy nigdy w sali sądowej.

Zniknięcie. Zniknięcie. Powtarzam to słowo wielokrotnie w myślach, pamiętając, że nikt mnie nie widział, że nikomu nie wiadomo o zaarrestowaniu mnie.

Przed placem Tiananmen samochód skręca na północ w ulicę Jeziora i wjeżdża na dziedziniec byłej rezydencji mandzurskiego księcia, a obecnie siedziby Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, Wydział Cudzoziemców.

Wprowadzają mnie do pokoju, gdzie stoją fotele, na podłodze leży dywan, na ścianie wisi dobrze znany także z innych miejsc olejny obraz Wielkiego Muru. Na stołach filiżanki do herbaty, ale dla mnie żadnej, a czuję zimno. Krążą policjanci, szepcząc sobie do ucha niepokojące sekrety. Niektórzy zagląдают do pokoju po to tylko, aby na mnie spojrzeć, potem odchodzą.

O co mogę być oskarżony? Dobrze wiem, że napisane przeze mnie od czasu przybycia

do Chin artykuły nie zjednały mi szczególnej przychylności władz. Po mojej podróży do Tybetu ówczesny rzecznik rządu oświadczył mi nawet, że moje reportaże z Lhasy „bardzo zirytowały kilka wysoko postawionych osobistości”. W zeszłym roku, po opublikowaniu serii artykułów o rozmyślnym zniszczeniu starego Pekinu przez komunistów, wezwano mnie do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i zganiono „w imieniu niemieckich mas ludzi pracy, rozgniewanych przeinaczaniem wydarzeń w Chinach” (ministerstwo czuje się najwyraźniej upoważnione do reprezentowania mas ludowych całego świata); ostrzeżono mnie też przed pisanem innych, podobnych artykułów.

Bardzo ostrą krytykę wywołał również tekst napisany przez moje dzieci o ich doświadczeniach w chińskiej szkole. Wielu sądzi nadal, że ja się do niego przyczyniłem, chociaż napisały go zupełnie same.

W grudniu 1983 roku Ministerstwo Spraw Zagranicznych zawiadomiło mnie drogą dyplomatyczną, że z powodu moich artykułów nie uzyskam przedłużenia ważności wizy dziennikarskiej po jej wygaśnięciu. Natomiast siedemnastego stycznia, po przyjacielskiej rozmowie, którą zawdzięczałem interwencji czynników rządowych w Bonn, przedłużono mi wizę o rok.

Jak to możliwe, że po upływie zaledwie dwóch tygodni te same władze knują coś teraz przeciwko mnie? A może nie są to te same władze, może mam do czynienia z Ministerstwem Bezpieczeństwa Publicznego, które, niezadowolone z tego, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych pozwoliło mi zostać w Chinach jeszcze przez rok, próbuje teraz wypędzić mnie na swój sposób? Jeszcze jeden przejaw dobrze skądinąd znanego konfliktu między radykałami a umiarkowanymi?

Grupa policjantów wchodzi do pokoju i ustawia się ceremonialnie przede mną. Jeden z nich rozkłada czyste arkusze papieru i przygotowuje się do pisania.

Chudy:

– Jak się nazywasz?

– Tu możecie przeczytać – podaję mu paszport.

– Twoje nazwisko chińskie?

Podaję mu legitymację dziennikarską.

Oba dokumenty znikają w czarnej plastikowej aktówce, którą Chudy nieustannie

głaszczę, jakby trzymał w niej wszystkie swoje tajne bronie przeciwko mojej osobie.

I rzeczywiście.

Wyciąga z aktówki jeszcze jedną kartkę z czerwoną pieczętką: „Nakaz zrewidowania Deng Tiannuo i przeprowadzenia rewizji w jego mieszkaniu”.

Znowu chcąc, żebym podpisał, ja ponownie odmawiam. Zauważam interesujący szczegół: dokument nosi datę dwudziestego stycznia, został więc wystawiony w trzy dni po przedłużeniu mojej wizy. Wygląda na to, że chodzi rzeczywiście o akcję policji przeciwko decyzji Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Rewiduje mnie młody policjant. Zawartość moich kieszeni zostaje rozłożona na stole, zawartość walizek – na podłodze. Oglądają dokładnie każdy kawałek papieru, kartki zapisane po chińsku odkładają na bok wraz ze wszystkimi adresami moich chińskich przyjaciół i znajomych.

Za kwadrans druga, w środku nocy, przy temperaturze dziesięciu stopni poniżej zera, czarny mercedes wiezie mnie znowu ściśniętego między dwoma policjantami, tym razem do dzielnicy dyplomatycznej, gdzie mieszkam.

Chudy przestrzega mnie:

– Na razie twój areszt jest tajemnicą, nie chcemy, żeby o nim wiadano. Chronimy twoją reputację, nie chcemy, żebyś stracił pracę. Wejdziemy teraz cicho do twojego mieszkania. Nie chcemy robić hałasu, budzić twoich sąsiadów. Liczymy na twoją współpracę.

Ja wręcz przeciwnie, liczę na to, że ktoś mnie zobaczy, ale kiedy dojeżdżamy do domu, w którym mieszkam, nie widać żywej duszy, podwórze jest nieme, wszystkie okna są ciemne oprócz dwóch na ostatnim piętrze. Ale kto tam mieszka?

W windzie każdego domu jest telefon, za pomocą którego stale obecny dozorca zawiadamia policję, kiedy jakiś Chińczyk udaje się w odwiedziny do cudzoziemca. Powtarzam, że chcę zadzwonić do ambasady. Nie odpowiadają w ogóle, popychają mnie tylko silnie ku drzwiom.

Wśród policjantów wysiadających z samochodów, które za nami przyjechały – kilku wysiada z wielkimi, czarnymi walizami w rękach – widzę ekipę telewizyjną i dwóch przygotowujących swoje flesze fotografów. Może to pułapka, może pod moim łóżkiem znajdą nagle kilogramy heroiny. Robię więc to, co od początku chciałem zrobić:

– Na pomoc! Na pomoc! Jestem dziennikarz Terzani, na pomoc! – wołam z całych sił.

Wszyscy policjanci rzucają się na mnie. Jeden usiłuje zatkać mi usta, jego ręka wciska się między moje zęby. Drugi próbuje chwycić mnie za nogi, inni łapią mnie za włosy, starając się wykręcić mi głowę. Wezwani przez Chudego przybywają na odsiecz: dozorca mojego domu, dozorca sąsiedniego i trzech urzędników z dyżuru nocnego na pobliskiej poczcie.

Udaje mi się zatrzasnąć nogą drzwiczki mercedesa, ale zostaję obezwładniony. Rzucają mnie do wnętrza samochodu, który odjeżdża w pośpiechu w stronę komendy policji.

Dziwnie się czułem, przejeżdżając przed domami przyjaciół, przed hotelem Pekin, gdzie – jak sobie wyobrażałem – znani mi ludzie wychylali ostatni kieliszek przy barze, a ja nie mogłem z nikim się porozumieć. Nie wiedziałem, że moje krzyki zbudziły pewnego zachodniego dyplomatę i jego żonę, że wyjrzeli oni przez okno, wśród kłębiących się czarnych cieni dojrzeli moje siwe włosy i zawiadomili już Graziellę Simbolotti, radcę włoskiej ambasady.

Ponieważ samochody nie miały specjalnego oznakowania, a ludzi w watowanych płaszczach nie można było z daleka rozpoznać jako policjantów, uznano, że „zostałem pobity i porwany przez grupę nieznanych osób”.

Chudy jest wściekły.

– Jesteś prawdziwym dzikusem. Co ci się wydaje? Myślisz, że się przestraszymy twoich wrzasków? Jesteśmy ludową policją, nie boimy się niczego i nikogo. Powinieneś wiedzieć, że mamy sposoby, żeby cię zmusić do zrobienia tego, co chcemy. Mogliśmy wziąć ze sobą elektryczne pałki, ale myśleliśmy, że na ciebie nie będą potrzebne.

Kiedy po upływie godziny wyruszamy znowu, widzę, że na pasach policjantów wiszą pałki. Bierze mnie pod swoją opiekę dwóch rosłych młodzieńców: ściskają mi palce, ręce wykręcają do tyłu – jestem całkowicie unieruchomiony. Na głowę zarzucają mi gruby watowany płaszcz, zduszając z łatwością moje kolejne krzyki.

Wnoszą mnie do mojego mieszkania jak worek. Najpierw weszli ci z telewizji i fotografowie. Mieszkanie zalewa błysk fleszy, staję się mimowolnym bohaterem absurdałnego filmu. Popychają mnie z miejsca na miejsce, stawiają przed biblioteką, sadzają za biurkiem.



Rewizja trwa od trzeciej do kwadrans po szóstej rano. Ponad dwudziestu policjantów przewraca mi mieszkanie do góry nogami, kartkuje każdą książkę, przegląda każdą teczkę z papierami dotyczącymi mojej pracy, rozkręca lampy, zaglądając do środka. Ja jestem ciągle popychany tu i tam, filmowany i fotografowany z dowodami moich „zbrodni” w rękę, składanymi stopniowo na stole w pokoju jadalnym.

Po sporządzeniu inwentarza i upchnięciu wszystkiego w trzy wielkie torby okazuje się, że – oprócz rodzinnych fotografii i zdjęć porobionych w różnych chińskich muzeach – skonfiskowanych przedmiotów jest sześćdziesiąt cztery. Między innymi: plakat z Mao i Hua Guofengiem wydrukowany w Chinach w 1980 roku, na którym zawiesiłem mały krucyfiks, kupiony – kto by się tego spodziewał – w buddyjskiej świątyni Szaolin w prowincji Henan; przysłana mi kiedyś przez kolegę z Europy pocztówka z Giocondą o twarzy Mao Zedonga; siedem nefrytowych guzików; mosiężna kadzielnica, wykonana dla mnie kilka miesięcy wcześniej; kilka pozbawionych wartości posążków Buddy, zdobiących mój domowy ołtarzyk; trzy brązowe figurki z mojego biurka; plakat przedstawiający tybetańską tanekę; drewniany zółw z Tajlandii; pudełko na betel z Laosu; trzy klatki ze świerszczami (proszę, aby oszczędzono śpiewające wesoło w trakcie całej rewizji owady i zostają wysłuchany).

Wracamy na komendę policji. Przesłuchanie zaczyna się znowu i ciągnie godzinami.

Odmawiam współpracy. Robione są krótkie przerwy, „abym mógł się zastanowić”.

– Jeśli przyznasz się do wszystkiego, będziesz potraktowany pobłaźliwie; jeśli nie, kara będzie bardzo surowa – powtarza Chudy. – Milczenie nic ci nie pomoże... wiemy już wszystko... poinformowali nas...

Ogólnie wiadomo, że to bardzo stary policyjny chwyt, ale mimo woli pojawiają się w mojej pamięci przyjaciele i znajomi, zaczyna mi się wydawać, że każdy z nich mógłby okazać się zdrajcą. Przychodzi mi na myśl notes z nazwiskami i adresami znanych mi Chińczyków, który znaleziono w moim biurku; zaczynam sobie wyobrażać, że wszyscy ci ludzie mogliby być szantażowani i zmuszeni świadczyć przeciwko mnie, oskarżać mnie o najstraszniejsze zbrodnie.

Świat jest daleko. Patrzą na suche gałęzie drzewa za oknem na tle szarego pekińskiego nieba i myślę, że wszyscy moi chińscy znajomi mogą być w tej chwili przesłuchiwani zupełnie tak, jak ja.

Czuję nagle to, co muszą czuć oni. Czuję się, jak musi czuć się przed policją Chińczyk: zrozpaczony, bez gruntu pod nogami, bez prawa, na które mógłby się powołać, całkowicie bezbronny, mogący jedynie przyznać się, wyrazić skruchę i oddać się we władanie swoich „zbawców”.

Wreszcie i ja stałem się Chińczykiem! Rozbawiła mnie ta myśl. W Chinach cudzoziemcy rzadko mają sposobność dowiedzenia się, jak ludność żyje naprawdę, ponieważ obracają się w murach zbudowanych umyślnie po to, aby ich od tej ludności oddzielić. Mieszkają w specjalnych domach, jadają w specjalnych restauracjach, podróżują pociągiem w specjalnych przedziałach, nocują w specjalnych hotelach; informują ich i pilnują nieustannie specjali Chińczycy.

Mieszkający w Chinach cudzoziemcy są jakby na karuzeli, która oddziela ich od zwykłego życia. Kiedy tylko spróbują z niej zejść, nawiązać normalne stosunki z jakimś Chińczykiem, odwiedzić go w domu, pójść z nim na spacer, wyrasta przed nimi mur, ponieważ Chińczykowi nie wolno się spotykać z cudzoziemcami. Chroniony swoimi przywilejami cudzoziemiec nie może nigdy pojąć, o czym Chińczyk marzy i czego się obawia.

Ja mogę. Niespodziewanie otworzył się przede mną widok na jedną z najważniejszych dziedzin życia w tym kraju – na stosunki między obywatelem a władzą. Znalazłem się w brzuchu wieloryba i zbliżam się do jądra ciemności, mającego w życiu Chin tak wielką wagę.

Po dziewiętnastu godzinach prowadzą mnie w końcu przed oblicza dwóch młodych dyplomatów z włoskiej ambasady, Bisognera i Giorgiego, którzy spoglądają z troską na rozdartą rękaw mojego płaszcza.

Zostaję formalnie oskarżony o: zniewagę Przewodniczącego Mao i Chińskiej Partii Komunistycznej („czyn kontrrewolucyjny” – oświadcza policjant, a więc przestępstwo niezwykle poważne), zakupy drogą prywatną, posiadanie i przewożenie chińskich „skarbów narodowych”.

Stawiają mnie przed prostą alternatywą: mam kontrasygnować nakaz aresztowania, nakaz rewizji, inwentarz, protokoły z przesłuchań oraz złożyć „wyznanie winy”, albo zostanę oficjalnie już aresztowany i osadzony w chińskim więzieniu.

Zajmowałem się przez długie lata Chinami nie po to, żeby nie wiedzieć, że w tym

kraju poddanie się jest cnotą, a opór – przestępstwem. Poczułem się już jak Chińczyk i nie jest mi teraz trudno jak Chińczyk się zachować.

Podpisuję dokumenty, ale zamiast „wyznania winy” piszę krótki tekst zatytułowany *Mój błąd*: „Ja, niżej podpisany Tiziano Terzani, znany w Chinach jako Deng Tiannuo, oświadczam, że posiadam kilka starych chińskich przedmiotów nabytych prywatnie. Uświadamiam sobie teraz, że zakup, posiadanie i przewożenie tych przedmiotów są sprzeczne z chińskim prawem. Żałuję, że popełniłem ten błąd i proszę o wyrozumiałość”. Przepraszam również za to, że znieważyłem pamięć Mao, zawieszając na jego portrecie krucyfiks.

Dziewiątego lutego o szóstej wieczorem zostaję zwolniony, ale jako „osoba podejrzana w areszcie domowym”. Nie zwracają mi paszportu, mam zakaz opuszczania Pekinu i muszę pozostawać do dyspozycji władz policyjnych.

Wracam do mieszkania, które nie wydaje się już moim. Pogwałcono je, przewrócono do góry nogami. Spędzam noc pełną koszmarów.

Pierwsze wezwanie otrzymuję już następnego ranka. Mam się stawić o wpół do trzeciej po południu.

Ten sam pokój, ci sami policjanci.

– Teraz zaczynamy twoją reedukację – oświadcza Chudy, a młody policjant notuje. – Po pierwszych godzinach, wczoraj poczyniłeś wreszcie właściwe postępy w zachowaniu. Teraz chcemy ci pomóc poczynić ich więcej. Opowiedz nam wszystko, opowiedz nam twoje myśli. Niczego nie ukrywaj.

I tak przez kilka posiedzeń. Opowiadam, gdzie kupiłem skonfiskowane przedmioty, dlaczego zawiesiłem na piersi Mao z plakatu ten malutki krucyfiks, dlaczego moje dzieci podarowały mi na urodziny obraz przedstawiający mnie jako chińskie bóstwo na tronie z wypisanym pod spodem pierwszym chińskim zdaniem, którego się nauczyły: „Niech żyje Komunistyczna Partia Chin”.

Chudy wyjmuje ze swojej plastikowej aktówki pożółkłe strony starych gazet i policyjne podręczniki z tekstami praw, które odczytuje mi, stopniując groźnie kary za moje „zbrodnie”: od grzywny w wysokości kilkudziesięciu eurocentów do dziesięciu lat więzienia i dożywocia.

Dożywocie. Powtarza mi to słowo kilkakrotnie, ale ja z nim nie dyskutuję. Po prostu

opowiadam. Moim postępowaniem towarzyszą nagrody: na pierwszym posiedzeniu nic do picia, na drugim – przegotowana woda, na trzecim – filiżanka gorącej herbaty.

Zdarzają się jeszcze chwile napięcia.

– Gdzie kupiłeś tę tankę? – pyta Chudy.

– To nie tanka, to plakat. O, tu jest napisane: *printed in London*. Kupiłem go w Muzeum Wiktorii i Alberta w Londynie za jednego funta.

– Kłamiesz. Świadomie kłamiesz! – wrzeszczy Chudy. – Tę tankę kupiłeś, a może ukradłeś w Tybecie! Prawda? Byłeś przecież w Tybecie, prawda?

– Oczywiście, że byłem.

– Kiedy?

– We wrześniu 1980 roku.

– No to widzisz, że mam rację? Ta tanka pochodzi z Tybetu.

– Nie. To nie tanka, to wydrukowana w Londynie reprodukcja.

I tak całymi godzinami.

Przecież Chudy nie jest głupcem, umie przeczytać, że *printed in London*. Więc dlaczego robi mi taką scenę?

W Chinach często to, co się widzi, jest tylko cieniem rzeczy, a to, co wydaje się rzeczywistością, jest tylko teatralną grą. Możliwe więc, że on mówi mi o zniewadze Mao, o tybetańskich tankach, a naprawdę chodzi mu o coś innego. Ale o co?

– Musisz przestać jeździć po mieście na rowerze ubrany jak Chińczyk – powiedział mi kiedyś pekiński przyjaciel. – Policja weźmie cię w końcu za szpiega.

Czy mogą oskarżyć mnie o szpiegostwo?

W Chinach wszystko to, o czym nie pisze oficjalna prasa – łącznie z tłumaczeniami artykułów o Chinach ogłoszonych za granicą – jest „tajemnicą państwową”. Podczas rewizji w moim mieszkaniu słyszałem wielokrotnie, jak policjanci powtarzali: *Mei you... mei you* („Nie ma ich... nie ma”); może szukali dokumentów takiego rodzaju.

W czasie jednego z przesłuchań Chudy mówił o cudzoziemcach przyjeżdżających do Chin po to, aby przeprowadzać akcje sabotażowe o charakterze politycznym lub gospodarczym. Porzucił jednak szybko ten temat, a zlecając mi teraz „samokrytykę” jako „zadanie domowe”, precyzuje, że mam się skupić wyłącznie na zniewadze i zakupach antyków. „Napisz dobrze, bo inaczej będziesz musiał pisać znowu i znowu”.

Daje mi na to trzy dni.

Samokrytyka jest dziś dla Chińczyka czymś całkiem normalnym, jak dla katolika spowiedź; jako „Chińczyk” staram się dokonać jej właściwie. Piszę pilnie dwadzieścia stron pod tytułem *Chiny i ja*. Opowiadam o moim zainteresowaniu tym krajem, o studiowaniu pism Mao, o tym, dlaczego zawiesiłem na plakacie krucyfiks, o tym, jak nabyłem – podobnie jak wielu innych cudzoziemców, którzy w Pekinie mieszkali lub nadal mieszkają – drobne przedmioty antykwaryczne, o tym, jak wisiołek-talizman – mikroskopijny Budda – podarowany mi przez żonę w 1975 roku, trafił do Chin wraz ze wszystkim innymi rzeczami kupionymi w różnych częściach Azji, kiedy przenosiliśmy się tutaj z Hongkongu w 1980 roku; zaznaczam, że nie było wtedy jeszcze prawa zobowiązującego do zgłaszania wszystkich posiadanych przedmiotów.

– To nie samokrytyka – mówi mi Chudy po dwóch dniach, kiedy już wszystko przeczytał. – To samoobrona.

Muszę przepisać pięć stron i poddać się znowu wielogodzinnemu przesłuchaniu – reedukacji.

Siedemnastego lutego Chudy zawiadamia mnie, że musi złożyć swoim zwierzchnikom raport o moich „postępach”. Mijają dni i nic się nie dzieje. Czekam; jestem bez paszportu, nie mogę bronić się, rozgłaszając sprawę („Bardzo by ci to zaszkodziło” – przestrzegł mnie kilkakrotnie Chudy).

Drugiego marca dzwoni telefon:

– Tu policja. Masz przyjść o trzeciej.

Ten sam pokój, ci sami policjanci. Na trzech stołach wszystkie wyniesione z mojego mieszkania rupiecie.

– Możesz robić notatki – mówi mi policjant, gotując się do uroczystego odczytania „decyzji o postępowaniu z Dengiem Tiannuo, lat czterdzieści sześć, Włochem, dziennikarzem... który popełnił czyny przestępcze”.

W najważniejszej swojej części „decyzja” brzmi następująco: „[...] w myśl paragrafu sto trzydziestego siódmego kodeksu karnego Chińskiej Republiki Ludowej, kto kradnie lub wywozi za granicę skarby narodowe, podlega karze od co najmniej trzech do najwyżej dziesięciu lat pozbawienia wolności. W poważnych przypadkach winny zostaje skazany na dożywotnie więzienie. Mogliśmy wszcząć proces przeciwko Dengowi

Tiannuo, co doprowadziłoby do skazania go na dożywocie, lecz z uwagi na dobre stosunki między Italią a Chinami, z uwagi na dobre stosunki między Chinami a Republiką Federalną Niemiec oraz z uwagi na postępy, poczynione przez Denga Tiannuo podczas jego reedukacji, postanowiliśmy potraktować go łaskawie”.

Zarządza się więc konfiskatę dwudziestu pięciu przedmiotów i wpłacenie grzywny w wysokości dwóch tysięcy juanów, czyli około ośmiuset siedemdziesięciu ośmiu euro.

Zakończenie głosi: „Deng Tiannuo nie pasuje już do życia w Chinach”. Wśród przedmiotów skonfiskowanych jako „skarby narodowe” jest także tanka *printed in London*. Darowuje mi się przestępstwo zniewagi „ze względu na postępy poczynione w trakcie reedukacji oraz na wyczerpujące przeprosiny ze strony Denga Tiannuo”.

– Co znaczy, że nie pasuje już do życia w Chinach? – pytam.

– Doskonale wiesz – odpowiada Chudy. – To znaczy, że musisz jak najprędzej opuścić Chiny.

Wyjmuje potem z kieszeni jeszcze jedną kartkę i czyta:

– Pozwól, że dam ci osobistą radę. Kiedy wyjedziesz z Chin, nie próbuj robić kawałów i przeinaczać faktów. Zdarzało się nam już to i zawsze umieliśmy sobie poradzić. Poradzimy sobie także z tobą. To wszystko na dzisiaj.

Ambasada włoska prosi o spis skonfiskowanych przedmiotów i o kopię policyjnego „raportu”. Odpowiedź jest negatywna. Niemiecki ambasador chciałby obejrzeć skonfiskowane przedmioty, lecz słyszy w odpowiedzi, że byłaby to „niedopuszczalna ingerencja w wewnętrzne sprawy Chin”.

Nazajutrz płacę grzywnę i otrzymuję z powrotem paszport, abym mógł kupić bilet lotniczy do Hongkongu. Zabierają mi legitymację dziennikarską.

Nie przemyciłem nigdy żadnego chińskiego skarbu narodowego i nie przyznałem się do przemytu w żadnym z podpisanych przeze mnie dokumentów, a jednak jestem w Chinach przestępcą. I co za wyrafinowanie! Jednym z powtarzających się tematów moich artykułów było niszczenie chińskiej kultury przez komunistów, a teraz oni oskarżają mnie o okradanie ich z dóbr kulturalnych.

Piątego marca o świcie jadę na lotnisko. Zostawiam w domu moje chińskie ubrania i wkładam znowu krawat. Na cle i na policji wypełniam wszystkie formularze po angielsku, nie jak dawniej po chińsku. Podpisuję: Terzani.

Deng Tiannuo przestał istnieć.

- <sup>1</sup> Obaj usunięci później przez samego Denga, który na swojego następcę wybrał Jiang Zemina (przyp. autora).
- <sup>2</sup> W oryginale *Honglou meng*, słynna osiemnastowieczna powieść pióra Cao Xueqina (przyp. tłum.).
- <sup>3</sup> Włoch Matteo Ricci (1552–1610), jezuicki misjonarz w Chinach od 1582 roku, krzewił tam kulturę europejską (przyp. tłum.).
- <sup>4</sup> Zmarły w 1996 roku włoski polityk chadecki, wielokrotny minister, przewodniczący Senatu, założyciel Instytutu Włosko-Chińskiego w Rzymie (przyp. tłum.).
- <sup>5</sup> Ieoh Ming Pei jest także twórcą m.in. Rock and Roll Hall of Fame w Cleveland i piramidy na dziedzińcu Luwru (przyp. red.).
- <sup>6</sup> Partią Czang Kaj-szeka (przyp. tłum.).
- <sup>7</sup> Mengzi, kontynuator dzieła Konfucjusza (przyp. tłum.).
- <sup>8</sup> Centralne postacie mitologii taoistycznej (przyp. tłum.).
- <sup>9</sup> Chińska nazwa stowarzyszenia, Yihequan, oznacza dosłownie „pięć w imię sprawiedliwości i pokoju” (przyp. red.).
- <sup>10</sup> Określenie *fantong* można przełożyć także jako „obzartuch”, „pasibrzuch” (przyp. red.).
- <sup>11</sup> W 1986 roku nazwę miasta i okręgu zmieniono na Qingzhou (przyp. red.).
- <sup>12</sup> Chińska nazwa góry to Tuo Shan. Opisywany dalej zespół świątynny nosi nazwę Haotian, w 1986 roku został zrekonstruowany i jako obiekt muzealny jest dostępny dla turystów (przyp. red.).
- <sup>13</sup> Obecnie mauzoleum jest zrekonstruowane i udostępnione zwiedzającym (przyp. red.).
- <sup>14</sup> Tytuł chiński: *Lunyu* (przyp. tłum.).
- <sup>15</sup> Niemiecki samolot Etrich A-II Taube (niem. *Taube* – „gołąb”) (przyp. red.).
- <sup>16</sup> Niemiecka nazwa półwyspu i zatoki Jiaozhou; w polskich publikacjach na temat pierwszej wojny światowej pojawia się jako Kiauczou albo Kiauczau (przyp. red.).
- <sup>17</sup> *Ich hatt' einen Kameraden*, znana niemiecka pieśń wojskowa do słów dziewiętnastowiecznego poety Ludwiga Uhlanda (przyp. tłum.).
- <sup>18</sup> Chińskie nazwisko Konfucjusza brzmi Kong; zwano go też Kong Fuzi, czyli Mistrzem Kongiem (przyp. tłum.).
- <sup>19</sup> „Stary Mistrz”, wielki filozof taoistyczny (przyp. tłum.).



- <sup>20</sup> Heinrich Harrer, *Siedem lat w Tybecie. Moje życie na dworze Dalajlamy*, przeł. Ewa Waldeck-Kurtyka, Warszawa 1998, s. 43.
- <sup>21</sup> Obecnie klasztor został częściowo odbudowany (przyp. red.).
- <sup>22</sup> Tanka, malowana lub haftowana chorągiew buddyjska (przyp. tłum.).
- <sup>23</sup> „Ogród Klejnotów” (przyp. tłum.).
- <sup>24</sup> *Shuihu zhuan*, powieść historyczna napisana prawdopodobnie w XV wieku, jej autorem ma być Shi Naian (przyp. tłum.).
- <sup>25</sup> Jet Li (przyp. red.).
- <sup>26</sup> *Unperson* – określenie z *Roku 1984* George’a Orwella (przyp. tłum.).

Przekład: Krzysztof Żaboklicki

Redaktor serii: Adam Pluszka

Redakcja: Beata Iwicka

Korekta: Katarzyna Pawłowska, Mariola Hajnus

Projekt okładki: Studio *Page Graph*, na podstawie koncepcji graficznej mamastudio

Fotografia wykorzystana na I stronie okładki: © Emanuela Danielewicz

Wydawnictwo W.A.B.

02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5

tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11

wab@wab.com.pl

www.wab.com.pl

Skład: Tekst – Małgorzata Krzywicka, Piaseczno ul. Żółkiewskiego 7a

ISBN 978-83-7747-486-0

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Wydawnictwo W.A.B.](#)

i Magdalena Wojtas / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

**VIRTUALO**  
Digital platform of tomorrow